

Deborah Moggach

Mieć i zatrzymać

Przełożyła Zofia Kierszys

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jest takie miejsce za szopą w ogrodzie. Viv nazywa je Ziemia Mi-Mija. Rządzi tam. To łyse miejsce. Viv przynosi tam misia i buldożer, i samochód policyjny. Szura tymi zabawkami po ziemi w jedną i w drugą stronę, mamrocząc rozkazy, a kiedy indziej tylko siedzi, zdrapuje swoje strupki. Jeżeli jej nudno, dopuszcza Ann, ale wymyśla nowe hasła, bo to jest tył frontu, i każe jej odgadywać, żeby ona dłużej pragnęła tam wejść.

Ann przynosi lalkę, która zabiera mnóstwo miejsca halką z falbankami. Viv nie chce mówić do lalki po imieniu, ale czasami, żeby dokuczyć Ann, skanduje ćwierkająco, coraz piskliwiej to imię – bo jest strasznie ckiwe. Doprowadza Ann do płaczu, a lalka nawet okiem nie mrugnie. Pewnego dnia Viv zdziera z lalki halkę i przejeżdża ją buldożerem.

*

Viv zakopywała rów. Siedziała nad nim okrakiem w spódnicy napinającej się na łydkach. Gdy znajdowała dżdżownicę, wyciągała ją, patrzyła, jak okręca się wokół palca, i zrzucała ją na bok. Z daleka słychać było megafon. Teren tych ogródków działkowych otaczały fabryki – Mc Vities, Heinz. W podmuchach wiatru niósł się zapach zupy. Dalekie szemranie maszyn, klaksony ciężarówek dostawczych, wysokie ogrodzenia z drutów sprawiły, że ten obszar zieleni wydawał się tym rozleglejszą krainą wolności. Viv rządziła w swojej błotnistej domenie. Chwilami śpiewał skowronek wysoko w górze. Był słoneczny dzień lutego.

Za chatą dziewczynki siedziały cicho. Viv zajrzała do nich. Jadły chrupki. Trzy misie leżały na ziemi.

– To było na obiad – powiedziała Viv. Popatrzyła na misie.

– Co one robią?

– Opalają się – odpowiedziała Daisy.

– Jakie to nudne.

Dziewczynki chrupały. Viv sięgnęła po chrupkę.

– Kiedy pojedziemy do domu? – Daisy odebrała jej tę chrupkę i, grzebiąc w torbie, wybrała dla niej mniejszą.

– Ciocia Ann i ja potrafiłyśmy się bawić całymi godzinami – powiedziała Viv. – Gdzie wasza fantazja?

– Kiedy będzie obiad?

– Chodziłyśmy za szopę. Waszego dziadka. Nazywało się to Ziemia MiMija. Trzeba było zakryć twarz, iść przez bagno, mówić specjalnym językiem. Ach, żebyście wiedziały, jakie miałyśmy przygody. Robiłyśmy dla siebie szosy i posuwałyśmy się po nich, nieprzyjaciel zwierzał za nami szyki. Nieraz brałyśmy lalkę Ann. Nazywała się Dżidziunia Angela.

– Faj! – prychnęła Daisy.

Rosie pociągnęła Viv za rękaw. Była starsza, miała osiem lat, pulchna jak kiedyś Ann, o milej szerokiej twarzyczce.

– Mamo – powiedziała – ja bym chciała mieć lalkę.

Przy drzwiach frontowych Ann był kurant niczym kościelne dzwony. Viv kochała siostrę, ale są rzeczy, które trzeba pomijać milczeniem. Za drzwiami usłyszała wiertarkę Kena – hałas sobotni.

To była ulica małych tarasowatych domów – starych, za schludnymi firankami u zasiedziałyich mieszkańców, i nowych, z żaluzjami, u ich pierwszych nabywców. Panował nastrój szanującego się sobotniego popołudnia – ktoś odkurzał samochód, ktoś inny świeżą farbą malował drzwi frontowe, radio grało. Nad północnym Londynem zbierały się chmury przyciemniające niebo, co nadawało tej ulicy wygląd spokojnie niewinny, szablonowość miasteczka z półki z zabawkami.

Viv weszła do kuchni Ann i wrzuciła do zlewozmywaka pory czarne od błota.

– Długo będziesz musiała je myć.

– Ale pomyśl, jaka jestem organiczna – powiedziała Ann.

– Dobrze się czujesz?

Ann była w trzecim miesiącu ciąży. Potakująco skinęła głową. Niebo zadudniło. Przed trzema laty, gdy wprowadziła się z Kenem do tego domu, też spodziewała się dziecka. Ale nawet Viv już nie mogła z nią o tym mówić. Łatwiejszy temat – jarzyny.

– Masz buraki – Viv wyciągnęła jeden burak z torby. – Ja ich nie cierpię.

– To dlaczego je uprawiasz?

– Jakiś atawizm. Mama zostawiała je dla nas na podwieczorek.

– Buraki z majonezem i stuk stuk na wysokich obcasach biegła ulicą. – Ann umyła burak pod kranem. – Ken lubi buraki.

– Więc może dlatego je uprawiam.

Niebo znów zadudniło, a potem zaczął padać deszcz, ulewny deszcz zimowy. Tak bębnił w szybę przybudówki, że Ken, który ją budował, wyprostował się i niespokojnie spojrzął w górę na sufit, odległy zaledwie o kilka jardów ale przysłonięty mgłą pyłu. Zza swojej burzy piaskowej zasalutował Viv, z taką jednak miną, jakby dalej chciał robić swoje. Ciągły brak czasu. Czasu na co?

W kuchni się ściemniło. Ann zapaliła światło. Ken wrócił do wiercenia. Viv pomyślała: Szkoda, że taki przystojny, przecież to facet z tych, co zdają na zawodowe prawo jazdy.

Po zabłoconym zlewozmywaku, rozciągając się jak gumka, sunęła do otworu ściekowego dżdżownica. Viv wzięła ją przy wzdrygającej się Ann i wyniosła za kuchenne drzwi.

– Zmokniesz – powiedziała Ann.

Viv zerknęła na Kena, który za szybą uniósł brwi. Z uśmiechem podniosła dżdżownicę w rękę. Potem rzuciła ją na klomb.

*

Dzidziunia Angela. Ann dziergała dla niej na drutach maleńkie sweterki. I dzisiaj na kanapie w saloniku Ann leżała robota na drutach. Po bez nuda trzydziestu latach znów maleńki dzemperek. Tym razem nie może być zrobiony daremnie.

*

– Dzieci! – mówi matka – dlaczego my je mamy? Wypuszcza nozdrzami dym papierosa i z tupotem niecierpliwie chodzi po kuchni, rozdeptując na podłodze ślady ziemi. Prostuje szwy pończoch, przygląda włosy przed lustrem.

– Oczywiście lubicie buraki. – Ściąga przed lustrem usta, przygląda się sobie. – Więc nie jęczcie mi, jedna z drugą. Nawet własnych myśli nie słyszę.

Mama pracuje w „Odeonie” w kasie. Mówi, że po to, by się wyrwać z domu. Tatusiowi to się nie podoba, ale mama mówi, że zdumiałby się, gdyby widział, kto z kim przychodzi do kina na te wczesne seanse, żeby się migdalić po ciemku. I czy by się przypuszczało, że coś takiego jest możliwe w Watford? I odkąd to – mama pyta – nie są potrzebne pieniądze?

Kiedy jest gotowa do wyjścia, wygląda jakoś inaczej, jakoś niegodziwie. Kiedy wraca, pachnie dorosłymi – wodą kwiatową, papierosami i duchotą. Czasem one tam idą na sobotni seans popołudniowy i mama w kasie pyta je głosem jedwabistym: *Jakie bilety dla pani?*, aż wszyscy w ogonku zwracają uwagę. Viv się czerwieni, ale potem, w sali, pełna dumy myśli o swojej mamie, która siedzi w tej kasie i włosy ma jak gwiazda filmowa – takie stojące.

Późno już. Mama wychodząc uśmiecha się ładnie do nich obu i dopiero teraz widzi kolano Ann.

– Co się stało?

– Popchnęli mnie na boisku.

– Biedulka. – Mama nagle obejmuje Ann ramieniem. – Bieduleńka kochana. To te straszne chłopaczyska?

Ann odpowiada przytaknięciem.

– Tata wróci lada chwila. Poproś, żeby ci to przemył, i nie dajcie mu wyjść z domu.

Mama wychodzi. Drzwi trzaskają. Viv odwraca się do Ann.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że to ja?

Ann wzrusza ramionami, wgrzyza się w kromkę chleba z masłem. Jest blada i anielsko dobra.

Viv czuje, jak policzki ją palą. Dźga nożem bułkę z kielbasą, mocno.

Ann była o dwa lata starsza od Viv. Ta grzeczna dziewczynka, ten kujon. W szkole mówiono, że bardzo się stara, więc przebrnie w końcu. I przebrnęła, niejako. Pomijając fakt, że Viv ją prześcignęła, dotarła do mety na długo przed nią i oklaski już ucichły, a część publiczności poszła do domu.

– To niesprawiedliwe! – często lamentowała Ann. Rozwścieczała tym ojca.

– Życie nie jest sprawiedliwe, moja panno; im wcześniej to pojdziesz, tym lepiej.

Ojciec wychodził do ogrodu i szalał w szopie. Viv i Ann trzymały się wtedy z daleka, siedziały przed telewizorem i oglądały „Billa Bena i Ludzików z Doniczki”. Były za młode na sprawiedliwość czy niesprawiedliwość życia.

Tej nocy zerwała się wichura. Viv leżała przy Olliem skulona. Szyby okienne grzechotały. W sąsiednim pokoju dziewczynki mamrotały przez sen. Nawet kot był niespokojny – kręcił się, ocierając o stos pacierzowy Viv. Poniżej na ulicy szkło się tłukło i pokrywa puszki na śmieci z łoskotem turlała się po jezdni.

Viv śnił się rów na działce. Rów pełen wzburzonej wody, chlustającej, przechylającej się

jak w wannie, a ona wie, że nie może spojrzeć w tę wodę, bo to nie worek marchwi leży w głębi. Niebo jaśniej zaróżowione i słychać szepty zza chat, które wyrosły wokół niej wysokiej, wyprostowanej, o wiele za wysokiej. Zza każdej chaty głos syczy do niej o worku z marchwią, ale ona zatyka sobie uszy, bo zrobiło jej się gorąco i coś ciepłego sunie jej po plecach, i oddech dmucha jej w kark, i czyjeś ręce ją ciągną.... Więc odwróciła się, spocona, wilgotna, a to Rosie gramoliła się przy niej pod kołdrę, zasapana astmatycznie.

– Tam okropnie hałasuje. Podciągając nogi, wbijając jej kolana w żołądek, Rosie przytuliła się do niej.

– To nic. Tylko wichura.

– Okropna.

– Nie porwie nas – szepnęła Viv, gdy dachówki na dachu grzechotały. Mocno objęła ukochaną córeczkę.

*

W mieście można poznać, że wiał silny wiatr, po tabliczkach agencji sprzedaży nieruchomości. W ten poranek były przekrzywione na wszystkie strony, aż ulica wyglądała jak pijana. Jedna tabliczka leżała na zaparkowanym samochodzie. Chodnik pokrywały śmieci, gdy Viv wracała z pakistańskiego supersamu. Niedziele jednak zawsze miały w sobie coś takiego, że okolice, w których mieszkała, wydawały się jej nędzne.

Ollie zabrał dziewczynki do parku. Byle co go złościło, nikt nie spał tej nocy dobrze. Viv została z bólem głowy. W dali jazgotała syrena – samochód policyjny pędzi chyba przez Holloway Road. Dzwony katolickiego kościoła za rogiem przywoływały wiernych, ale na tej ulicy nikt nie śpieszył na mszę. Ciągnął się tu rząd skruszałych dwupiętrowych domów, prywatnych albo komunalnych, z wielodzietnymi rodzinami wewnątrz i gdzieniegdzie z rusztowaniami na zewnątrz, świadectwem, że się remontuje. Była to ulica, na której późno w nocy warczały włączone silniki samochodów i z otwartych okien buchały dźwięki *reggae*.

Ale dzisiaj, w tę zimną niedzielę, okna pozostawały zamknięte. Dlatego Viv usłyszała dzwonek telefonu dopiero wtedy, gdy doszła do swoich drzwi frontowych.

Telefon dzwonił i dzwonił w pustym domu, a Viv musiała wyciągnąć z torby na ramieniu klucze, tkwiące gdzieś na dnie. Przy tych wysiłkach upuściła reklamówkę z zakupami. Karton jajek wyleciał na chodnik, jajka powypadały, potłukły się.

– Cholera!

Gdy wpatrywała się w rozlane żółtka, telefon przestał dzwonić.

*

– Łap! – Ollie rzucił piłkę do Rosie. Podbiegła przez trawnik i złapała, ale piłka wysunęła jej się z rąk.

– Fajtłapa, fajtłapa! – skandowała Daisy tyranka, podskakując.

– Co? – Viv znieruchomiała na kanapie. – Boże!

Drzwi frontowe się otworzyły, piłka wpadła, obita się po hallu. Rosie i Daisy wbiegły do pokoju.

– Mamo, tatuś mi kupił Przysmak Potwora, ale w tym jest sól i ocet, a Rosie kupił...

– Cicho! – Viv znów wtuliła ucho w słuchawkę. Słuchała chwilę. – Och, Ken, nie wiem, co powiedzieć.

– Czy to wujaszek Ken? Ja chcę z nim porozmawiać...

– Tej nocy?

– Mamo, daj...

– Operowali?

– Mamo...

– Cicho bądź!

Ollie wszedł do pokoju, zdejmując płaszcz.

– Przed domem jakieś czarne duże psisko zlizuje z chodnika mnóstwo rozbitych jajek.... – urwał. Wlepił oczy w Viv.

– Co się stało?

ROZDZIAŁ DRUGI

Leżąc Ann widziała małe kwadraty światła. Coraz to któryś gaśł, inny się pojawiał. Były w nich postacie – maleńkie. Gdy zmrużyła oczy, powiększyły się, potem znów skurczyły. Gdy otworzyła oczy, światel przybyło: dwa wysoko, trzy rzędem.... liczyła je w myśli. I widziała kwadratowe niebieskie łuny. Postacie w tych oknach poruszały się, zasuwano zasłony, czas mijał. Może godzina, może miesiąc... Ann na pół spała; usta miała zaschnięte, dziecko w brzuchu ją bolało. Wydawało się, że boli wiecznie.

Najlepiej było leżeć bez ruchu i chwilami, gdy odmykała zamglone oczy tylko troszeczkę, wiedziała, że naprawdę już jest ciemno i oczywiście to jest blok mieszkalny za tym szpitalnym oknem, a ona leży tutaj od stuleci i pielęgniarka do niej przychodzi, mówi coś i trzeba odpowiadać grzecznie, bo wtedy odchodzi i można znów popatrzeć na te małe niebieskie łuny, które, jak już zdawała sobie sprawę, były oczywiście odbłaskiem telewizorów – miło tam, ludzie siedzą i patrzą.

Potem tych łun już nie było i zobaczyła przy sobie twarz Kena bardzo wyraźnie. Powiedziała mu, że widzi go zupełnie dobrze, kiedy mruży oczy. A Ken z daleka, z odległości całych mil powiedział coś, coś o dziecku, więc przytaknęła czując, jak przy tym podbródek jej się porusza, i powiedziała, że on ma rację, dziecko wkrótce przestanie boleć. Ale dlaczego przyszedł w nocy i wciąż mocno trzyma ją za rękę, nie mogła zrozumieć.

Gdy następnym razem się obudziła, wszystkie okna mieszkań były ciemne i poczuła żal do Kena, nieokreślony, raczej przyjemny, o to, że nie rozumiał, i zastanowiła się: jeżeli z nią wszystko w porządku, to on na pewno jest teraz w pracy, a ona w domu, chociaż te ściany są inne. Ale zaraz pomyślała, że ona nie może być w pracy teraz, w głuchą noc.... Jakaż ja głupia...

A potem, gdy znowu się obudziła, był poranek, jasno wszędzie wokół niej, kobiety leżały na łózkach, dotychczas rzeczywiście ich nie widziała. I od innej już pielęgniarki, czarnej, dostała kubek herbaty. A potem rozumiała, co Ken usiłował jej powiedzieć.

*

Ken golił się starannie. Radio go informowało, że w Blackwall Tunnel jest korek i na M1 stoi sznur samochodów. Słuchał każdego słowa, goląc się z wielką uwagą; wiedział, że ogolić się musi, przecież nie zidiociał, to tylko sprawa unoszenia maszynki, przesuwania nią po policzku i, ostrożniej, w pobliżu ust. Golił się od – ach, już od dwudziestu lat – gdyby dziś tego nie zrobił porządnie, wpędziłby się w panikę, a to już byłoby nie do pomyślenia. Po chwili radio mu powiedziało o chłodnym froncie. W tym głosie brzmiała pewność, że wszystko jest normalne, rozumiał samo przez się, więc chciał słuchać dalej. Zabrał radio do sypialni na czas, kiedy będzie się ubierał.

Były jakieś słabe szmery – pojęcia nie miał, skąd. Jakieś nucenie czy może raczej przeciągłe kwilenie – wolał to zignorować, bo komu przyjemnie wiedzieć, że coś mu kwili w głowie. Ale wkładając koszulę zorientował się, że to dolatuje z telefonu przy łóżku.

Oczywiście nie położył dobrze słuchawki wczoraj w nocy. Rano nikomu by się nie udało do niego dodzwonić. Położył słuchawkę na widelkach jak należy.

Na dole w kuchni leżała torba Ann z robotą na drutach. Ken przygotował sobie śniadanie: herbatę i grzanki, chociaż ta torba tak zwyczajnie tam leżała. Nawet zirytował się przelotnie tym, że zegar kuchenny stoi, więc będzie musiał kupić świeżą baterię. Śmieszne, z ulgą stwierdził, że mogą go drażnić takie błahostki.

Był gotów do wyjścia. Gdy wyłączył radio, w domu zaległa grobowa cisza. Aż przystanął w hallu, usiłując wyłowić jakikolwiek odgłos.

Zamknął drzwi frontowe za sobą w tej samej chwili, gdy swoje drzwi otworzyła pani Maguire, sąsiadka.

– Straszne, prawda? – zagaiła. Odwrócił się do niej.

– Słucham?

– Straszne. Tylko patrzeć, jak będziemy mieli szczury – pani Maguire wskazała plastikowy worek ze śmieciami. – Nie wywożą, a przecież płacimy świadczenia, no nie?

Przytaknął.

– I co nam to daje? – zadała pytanie retoryczne.

– Straszne – powiedział, kierując się do swego samochodu.

*

Na ulicy przy szpitalu wszystkie miejsca do parkowania były zajęte. Viv wjechała na podwójną żółtą linię i wyłączyła silnik. Jakoś przewrotnie zapragnęła być ukarana mandatem, niedużym cierpieniem za jedne dziesięć funtów. *Życie jest niesprawiedliwe!* – krzyczał do nich ojciec, kiedy były za małe, żeby tę prawdę pojąć. Czym ona, Viv, zasłużyła sobie na dwie krzepkie córeczki z włosami, które mogła im szczotkować i które teraz one już szczotkują sobie same, i ze zręcznymi palcami, i z uskarżaniem się na szkołę, i z listami wysyłanymi w kopertach bez znaczków do Klubu Fanów Groźnego Dennisa? Dwie dziewczynki – ich świeży oddech nocą, ich flamastry rozrzucone po podłodze, doprowadzające do szału, bo gubicie nakrętki i patrzcie, co się dzieje! ... Te dwie dziewczynki otwierają oczy, są żywe, trzeba je siłą zaganiać do dentysty.

Wysiadła z samochodu. Dzisiaj przywiozła kwiaty, wczoraj nie było czasu. Ruszyła ku schodkom szpitala i zatrzymała się: stał tam samochód Kena. W jego samochodzie jak zawsze panował porządek, aktówki firmy ZENITH – GRZYB DREWNA leżały na przednim siedzeniu przy miejscu kierowcy jak w zwykły poniedziałek. Popielniczkę wypełniały niedopałki.

Zawróciła i usiadła w swoim samochodzie. Ludzie wchodzili do szpitala niosąc kwiaty. Czekała wśród odprysków swego życia rodzinnego – błota z działki, okruszków, opakowań, kaset *Moja Niegrzeczna Siostrzyczka* i pudełek od tych kaset. Czy ja zasługuję na to, żeby mieć dzieci, jeżeli nie chce mi się bodaj włożyć ich kaset wideo do pudełek? Zaczęła wkładać kasety. Co chwila patrzyła przy tym na schodki szpitala, więc zobaczyła wchodzącą tam matkę. Wskoczyła z samochodu.

– Mamo! – podbiegła, chwyciła matkę za rękę. Irenę odwróciła się do niej.

– Do licha! Tak mnie zaskoczyłaś, mogłam dostać zawału. Co prawda gorszy byłby zawał gdzieś dalej od szpitala.

– Teraz Ken jest u niej – powiedziała Viv. – Zaczekajmy w moim samochodzie.

Irenę usiadła przy niej na przednim siedzeniu.

– Ty i ten twój ruchomy śmietnik. – Pokręciła nosem. – Nie rozumiem, jak Ollie się z tym godzi.

Viv wskazała na szpital.

– Pocierp tu jednak, mamo. Trzeba im dać trochę czasu dla siebie.

– Czasu będą mieli mnóstwo, kiedy Ann wyjdzie.

– Nie mów tak!

– Ja tylko mówię, że właśnie teraz powinniśmy wszyscy zgromadzić się przy niej. Biedulka kochana. Jak ona wczoraj?

– Starala się być pogodna. Wolałabym, żeby nie poczytywała sobie tego za obowiązek.

– Co to było – chłopczyk czy dziewczynka?

– Nie pytałam. – Viv patrzyła na schodki szpitala. Schodziła jakaś para. Kobieta niosła noworodka owiniętego w szal, małego jak lalka. Mąż niósł jej walizkę, otworzył dla niej drzwiczki samochodu.

– Biedulka kochana – powtórzyła Irenę. – O, Boże święty!

– Co?

– Popatrz, kto tu jest.

Douglas szedł do nich. Też miał kwiaty. Viv znowu wysiadła. – Cześć, tatusiu.

Powiedziała mu o Kenie, wskazała miejsce w samochodzie. Zawahał się.

Irenę otworzyła tylne drzwiczki. Wsiadł.

– No, no – powiedział – przytulnie tu.

Zaległo milczenie.

Irenę spojrzała w lusterko nad kierownicą.

– A cóż to ma być?

– Cóż ma być co? – zapytał Douglas.

– Te faworki. Poprzednim razem ich nie miałeś. – Odwróciła się, żeby z bliska popatrzeć na byłego męża – Nie miałem?

– Tych faworków. Istny gwiazdorz rocka.

Douglas dotknął swych faworytów i uśmiechnął się. – Pierwszy raz jestem porównany do gwiazdora.

– A bo ja ciebie porównałam?

Znowu milczenie. W samochodzie było jakoś ciasno. Irenę wyciągnęła papierosy, poczęstowała Douglasa.

– Dziękuję, nie.

Wybałuszyła oczy. – Rzuciłeś palenie? Przytaknął. Irenę uniosła brwi i spojrzała na córkę. Viv wzruszyła ramionami.

– Raczej późno, no nie? – powiedziała Irenę.

– Nigdy nie jest za późno – powiedział Douglas.

– Odkąd to tak dbasz o zdrowie?

Viv wzięła papierosa. – Czasem bywa za późno na niektóre sprawy.

Irenę poprzez dym zezem wpatrywała się w Douglasa.

– Dla Ann z pewnością – dokończyła Viv. I pomyślała: nie siedziałam tak w samochodzie z nimi obojgiem, odkąd się rozeszli, czyli od piętnastu lat. Trzeba było aż tego nieszczęścia, żebyśmy znów tak siedzieli. – Dla Ann jest za późno – powiedziała.

*

– Już nie może mieć dzieci.

– Dlaczego? – zapytała Rosie.

– Dlatego, że wycięli jej macicę, to znaczy...

– Ja nie chcę takich pantofli. Chcę mieć bez pasków i żeby były obcasiki.

– No, nie będziesz miała.

– Tamsin ma i Rashida ma i...

– Cicho!

Siedziały w sklepie z obuwem. Rosie kurczyła i prostowała stopę.

– Cioci bardzo się podobała wasza karta z życzeniami – powiedziała Viv.

– Mamo, dlaczego nie będę...

– Cicho!

Podeszła ekspedientka. Viv spróbowała spojrzeć jej w oczy przepaszająco, ale została zignorowana.

– Może niech ona przymierzy te? – Podniosła w ręce sandałek i zwróciła się do Rosie: – Potem kupię wam rajstopy. – Pragnęła dziś z całego serca kupować swoim dzieciom nowe rzeczy.

Gdy szły z powrotem do domu, zaczęła znowu: – Ciocia Ann jutro wychodzi ze szpitala.

Ale Rosie i Daisy parły naprzód, żeby zdążyć na telewizyjną *Farmę na Wzgórzu*.

W kuchni zrzuciła torbę z ramienia na stół, reklamówki z zakupami postawiła na podłodze. Niby dlaczego dziewczynki miałyby to rozumieć?

Jednak później, gdy weszła do ich pokoju, Rosie właśnie kładła swoją kangurzycę na dywanie i otulała ją kocykiem.

– Co ty robisz?

– Ona jest w szpitalu. Ciii...

*

Ken wiozł Ann do domu. Milczała. W szpitalu nie wiedział, o czym z nią rozmawiać. Pozbierał dla niej różne historyjki z pracy, ale to były przeważnie pijackie przygody Boba i Ala, tych gadułów, którzy mówili najwięcej, i brzmiały jakoś nie bardzo, więc przestał je opowiadać.

Z sąsiedniej sali dolatywały wyraźnie popłakiwania noworodków. Ann przez cały dzień musiała słuchać tego płaczu. Zapewne i przez całą noc także, chociaż ani on ani ona takich tematów nie poruszali. O tylu sprawach nie można było wspominać. Dotychczas nie

uświadamiał sobie, ile miejsca w ich życiu zajmowała myśl o przyszłości, praca dla mających się urodzić dzieci. Nie mógł mówić nawet o słonecznej, wygodnie połączonej drzwiami z kuchnią przybudówce, a to ze względu na jej niewypowiedaną, prawdziwą nazwę: pokój dziecienny. Ostatecznie spróbował opowiedzieć Ann, co mu się popsulo w samochodzie – tylko czy to był temat? Chciał, żeby się uśmiechnęła, chciał zdać relację z oględzin pewnego domu na Wainwright Avenue – jak oświetlał latarką szpary w deskach pod tynkiem, gdy tymczasem mała córeczka tych państwa związała mu sznurowadła butów jedno z drugim. Przyszła do niego pani domu zapytać o grzyb, a on miał nogi spętane. Ale o tym też nie mógł mówić, więc siedzieli w milczeniu, tyle że trzymając Ann za rękę pytał, czy w szpitalu dobrze dają jeść. Niezmiennie mu odpowiadała, że i tak wkrótce wyjdzie i że chce już być w domu.

Teraz zbliżali się do Finsbury Park. Było wpół do czwartej, lekcje w szkołach się skończyły. Na jezdnię wyszła pani z lizakiem. Ken zatrzymał samochód. Czerwone, niebieskie kurteczki z kapturami. Chłopczyk upuścił papier, matka dała mu klapsa. Ken włączył radio.

– *Z Bejrutu nasz korespondent donosi...*

Pokręcił tarczami, włączając silnik. Wydawało się, że przejście przez jezdnię zabiera dzieciom całe wieki. Czy one nie rozumieją? Zerknął na profil Ann.

*

Wprowadził ją do hallu. Do domu czekającego w tak idealnym porządku, jak gdyby byli gośćmi.

– Zimno? – Postawił jej walizkę.

– Nie, akurat dobrze.

– Włączyłem centralne. – Dotknął kaloryfera.

Kiwnęła głową z uznaniem i weszła do saloniku. – Posprzątałeś – zauważyła.

– Zaparzę herbatę.

– Czy nie powinienes wrócić do pracy?

– Jeszcze nie.

Gdy przyszedł z tacą z kuchni, siedziała na kanapie. Wolałby, żeby miała w rękach jakąś książkę czy magazyn. Choćby z uwagi na niego.

– Może przejrzymy to. – Usiadł przy niej, pokazując broszury, które przyniósł. – Weź herbatnik. Popatrz – przewrócił stronicę – takie letnisko. Jest willa, balkon, dziwna grecka kanalizacja. Levkas to niedaleko Korfu, ale miejscowi nie tak zepsuci przez turystów. Są knajpki ocienione winoroślą i moglibyśmy poćwiczyć jazdę na desce.... wiesz, z masztem.

Położył jej broszurę na kolanach. Po chwili przewróciła stronicę.

– Albo pojedźmy na Kos. – Na tej stronicy było: willa rodzinna, sześć sypialni, zniżka dla dzieci. – Przewrócił parę stronic i jeszcze jedną. – Albo może trochę kultury, może Florencja?

– Mogłoby być miło. Zaległo milczenie.

– Słuchaj, ja dziś już nie pojedę do pracy.

– Ależ musisz.

– Zostanę tu – powiedział – z tobą.

– Proszę cię, Ken. Mnie nic nie jest. Znowu milczenie.

– Proszę, jedź – powiedziała Ann już ostrzej.

Zawahał się. Przerzucała stronicę broszury. Wstał. Nie ruszała się z kanapy. Podeszedł do drzwi. Podniosła głowę.

– Tak mi przykro – powiedziała prawie szeptem.

– Ann!

– Tak bardzo mi przykro.

– Nigdy tego nie mów.

Chciał podejść do niej, ale zajęła się broszurą. Popatrzył na jej brązowe włosy porządnie wyszczotkowane, opadające nad tymi fotografiami. Wyszedł do samochodu.

*

Ann sprzątnęła kubki z herbatą i nietknięte herbatniki. Było cicho. W szpitalu pragnęła wrócić do domu, ale teraz, gdy już wróciła, czuła się jak gość.

Otwierając kuchenny kredens, zobaczyła lśnienie plastiku. Patelnie go przysłaniały. Sięgnęła tam w głąb i wyciągnęła torbę z robotą na drutach dla dziecka. Była sama, więc wysunęła spod stołu krzesło, nawet wiedząc, po co to robi. Usiadła na tym krześle i rozplakała się.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dwie dziewczynki są na plaży. Jest śliczny letni dzień, nic nie powinno go zepsuć. Viv w kostiumie kąpielowym z nylonu jak dla dorosłej, ale żółtym na pośladek od piasku, stoi obok ojca, który rzuca kamyki na wodę. Wybiera najbardziej płaskie, wtyka jej w rękę i obejmując ramieniem pokazuje, jak rzucać, żeby sunęły po wodzie jak najdłużej.

– O, właśnie – mówi – w ten sposób. Viv rzuca kamyk.

Ann widzi to i podchodzi. – Utopił się – stwierdza.

– Nie – mówi ojciec. Daje Viv jeszcze jeden kamyk. Viv rzuca.

– Brawo! – chwali ją ojciec.

– Także się utopił! – krzyczy Ann. – Wcale nie podskakiwał. Ojciec nie zwraca na nią uwagi. Viv wykrzywia się do niej i sama znajduje następny płaski kamyk. Właściwie to ojciec rzuca, podrywając rękę Viv tak, że ten kamyk muska wodę raz i drugi raz, i trzeci. W porządku, jeśli chodzi o tatę. Ale Viv nie robiła tego należycie.

– Widziałam, że ona nie potrafi – mówi Ann, prawie piszczy, bo to straszna niesprawiedliwość. Patrzy na smukłe, bocianie nogi Viv i jej zapiaszczone pośladki. Patrzy na kark ojca spieczony, poczerwieniały. – Teraz moja kolej – mówi i staje przy nich. Też w „dorosłym” kostiumie kąpielowym, jest jednak grubsza niż Viv. Taka klucha. Dopiero na tych wakacjach – ma dziesięć lat – zdała sobie z tego sprawę.

Podnosi płaski kamyk, rzuca. Ojciec zapalił papierosa, już się nie interesuje. Zresztą jej kamyk, oczywiście, natychmiast wpada w wodę.

Od niedawna zameżne, spędzają z mężami – we czworo – weekend w Devon. Znow jest śliczny letni dzień i są nad rzeką. Wodę koloru khaki cętkuje blask słońca. Ken, dobry do takich rzeczy, buduje piramidę z patyków, żeby rozpałić ognisko. Musi się przy tym skupić, więc one trzymają się od niego z daleka. Ollie, który mówi, że lubi być podwładnym, przynosi mu patyki.

Ann w kostiumie kąpielowym siedzi na brzegu rzeki i zanurza stopy w wodzie.

– No, wejźdź! – woła Ollie. – Nie bądź ciapciak! – Uczył się w prywatnej szkole i czasami, choć już nieczęsto, daje to o sobie znać.

Viv stoi na brzegu. Jest w kupionej na ciuchach sukience w kwiatki, swój kostium kąpielowy ściska w garści. Smukła, stoi jak sarna, nieświadoma, że na nią patrzą. Ale Ann, jej siostra, wie, że żadna dorosła kobieta nie bywa tego nieświadoma.

Ken rozpala ognisko i prostuje się, podziwia swe dzieło. Viv nagle upuszcza kostium. Zdejmuje sukienkę i majtki, i wchodzi do rzeki.

– O rany boskie, zamarzną! – woła, więc mężczyźni się odwracają. Nurkuje, płynie zachłystując się i śmiejąc. – No, Annie!

Ann jednak siedzi nadal. Znajduje patyk i rzuca go na wodę koliscie żebrowatą, gdy Viv, pod wodą długa i żółta, pływa w kółko. Ann rzuca jeszcze jeden patyk, który kołysze się na falach rozhuśtanych przez Viv.

– Jest cudownie! No Annie, włącz!

Ann jednak siedzi i tylko. rzuca gałązki. Ollie zbiera drewno, a Ken, znów Odwrócony tyłem, zajmuje się ogniskiem.

W końcu Viv wychodzi z wody naga, ociekająca, mokre włosy zwisają jej ha piersi. Wysoko wśród drzew jakiś ptak pokrzykuje.

Viv, chwytając po drodze ręcznik, biegnie do ogniska, siada tam, oplata kolana rękami.

– Mmm... – Podsuwa się, podaje Kenowi patyk. Ken bierze patyk od niej, dokłada do sterty. Potem się od niej odwraca, chucha w płomień. – Już się pali – zwraca mu uwagę Viv.

Tamtej nocy w wynajętym pokoju (śniadanie wliczone) Ken kocha się z Ann. Gryzie ją w ramię, przyciska z całej siły, przeraża roznamiętnieniem. W pokoju jest czarno, Ann nie widzi jego twarzy, a on nie mówi ani słowa. Trzyma ją tak mocno, że opalenizna boli.

Nazajutrz Ollie usiłuje zapłacić za nich wszystkich.

– Wykluczone! – Głos Kena rozlega się donośnie w sieni tego małego zajazdu.

– To tylko jedna noc – tłumaczy Ollie. – Ja was zaprosiłem.

– Mowy nie ma!

Ann i Viv wymieniają spojrzenia za ich plecami. Stoją tam we czworo, gdy Ken wygrzebuje swój portfel. Na drobnym deseni tapety wisi barometr. Zapowiada się na burzę.

*

Viv pochyliła się i zaczęła z pralki wyciągać pranie. Był poranek niedzielny. Wyszarpywała splecione mokre prześcieradła, splecione ze sobą koszule, warkocze skarpetek.

Ollie stanął za nią. Pieszczotliwie wgarnął w dłonie jej piersi. Wyciągnęła brezentowe spodnie, których suwaki brzęknęły w pustej już pralce.

– Bierze cię?

– Co? – szepnął jej w ucho.

– Widok takiej służebnicy.

– Po prostu w dresie czuję się cielesny.

– No to idź i czuj się cielesny ze swoimi kumplami. – Ollie wybierał się na mecz.

Potał twarzą tył jej głowy.

Szturchnęła go, żeby się odsunął, i przeniosła koszyk z praniem na stół.

– Wysublimuj swoją cielesność na boisku. Do tego boiska służą!

Zacząła sortować uprane rzeczy. Patrzył na nią.

– Wiem, czego chcesz.

– Powiedz, czego.

– Żebym cię posiadał przemocą. Zawsze lubiłaś brutalność.

– Westchnął i wziął torbę ze swym sportowym ekwipunkiem.

– Tylko że ja jestem za dobrze wychowany. – Spojrzył na zegarek, ruszył do drzwi.

– Słuchaj – powiedziała – zastanawiam się. Postawił torbę na podłodze.

– Nie cierpię, kiedy tak mówisz. Co mam ci dać? Rozwód? Dziecko? Kozę?

– Nie. Czy nie mógłbyś skaptować Kena do waszej drużyny?

– Kena? – Zapatrzył się na nią.

Przytaknęła. – Jest strasznie przygnębiony. Wiem od Ann. Nie buduje już przybudówki

ani nic. Jej ludzie współczują, a o nim zapominają. Wiesz, jaki on zamknięty w sobie.

– Do naszej drużyny?

– Czemużby nie? To by może go podniosło na duchu. I przecież jesteście tylko paczką rachitycznych dziennikarzy. On jest w lepszej formie niż wy wszyscy razem wzięci.

Ollie się zastanowił. – Ty go zapytaj.

– Dlaczego? Zawsze muszę ja.

– Mnie mógłby posądzić.... no, o protekcyjność. Wiesz, jaki jest przeczulony.

– Ale uważasz, że to dobry pomysł?

Zawahał się, potem wzruszył ramionami i przytaknął. Pocałowała go na do widzenia, wsuwając mu język w usta.

*

Teraz w biurze czegoś nie było, Ann się od razu zorientowała – nikt nie mówił jej dowcipów. Wróciła do pracy już prawie tydzień temu i okazywano jej ogromną życzliwość. Ale czyż oni nie pojmują, że tą swą ostrożnością tylko podkreślają jej osamotnienie? Bez słów próbowała ich uprosić, żeby odnosili się do niej normalnie. Jak długo to ma trwać? Lubiła słodczyce i nieraz przynosiła sobie na drugie śniadanie kanapki z masłem orzechowym, z dżemem. Dawniej nad tym ubolewali, teraz nikt jej nie dokuczał.

I zaszły pewne zmiany. Frances, prymitywna kobiecina, dawniej miała na swoim biurku fotografię męża i synka, a teraz ta fotografia zniknęła. Ann chciała powiedzieć: postawie ją z powrotem, nie oszczędzaj moich uczuć.

I nawet Janinę, która wcale nie była takim typem, czyniła wysiłki. W piątek rano rozmawiała przez telefon.

– Simone, słuchaj niani! Już ja ci dam, jeżeli będziesz nieposłuszną!

Ale zniżyła głos do szeptu, gdy Ann przechodziła obok jej biurka.

Pociechę Ann znajdowała tylko w liczbach, nigdy jej nie zawodzących, byleby kalkulator nie bzikował, co przynajmniej też nie miałoby nic wspólnego z ogólną usilną troskliwością. Chłodne liczby wyskakiwały na ekraniku: dwa plus dwa równa się cztery; rzeczywiście, jakie to proste. Tysiące się zapadały, żeby pomnożyć się, zmienić w jeszcze większe tysiące plus odsetki. Liczby funkcjonowały, stanowiły pewność, na najniższej linii się sumowały, a potem dawały się wszystkie usunąć. Z głową wolną od jednego obliczenia można było zacząć następne. Jeżeli pracowała wpatrzona w kalkulator, mogła się spodziewać, że gdy podniesie wzrok, dzień pracy będzie się zbliżał do przerwy obiadowej, a potem do końca.

Późno po południu w ten piątek Derek wezwał Ann. Pokazał jej wypełnione formularze podań o zastawy hipoteczne na Femcroft Road. – Janinę to załatwia?

Nie odpowiedziała.

– Tak? Przytaknęła.

– Musimy coś z tą dziewczyną zrobić.

– Ona ma mnóstwo kłopotów, wiesz. Dziecko na utrzymaniu, matkę, która...

– Wiem, wiem. – Uniósł rękę. – Ale czy my wszyscy nie mamy? Ann, jej brak piątej klepki, tak jak połowie dziewczyn tutaj. Oczywiście, ma swoje kłopoty, ale popatrz na siebie,

jaka ty jesteś dzielna.

Milczała. Derek zapalił cygaretkę.

– Nie myśl, że tego nie widzę. Ten słoneczny uśmiech nie zmyli starego Dereka.

Wzięła formularze. – Załatwię to w poniedziałek – powiedziała.

– Na żadnej tutaj nie mogę polegać tak, jak polegam na tobie.

– Ja tu pracuję dłużej.

– I nie ja jeden to widzę. Może dostaniesz dobrą wiadomość.

– Jak to?

– Wiesz, że byłem na bankiecie dyrekcji we wtorek. Przytaknęła.

– No i słyszałem tam coś niecoś pokrzepiającego o naszej Annie.

– Naprawdę?

– Nie dziw się tak. Chociaż z tym rumieńcem bardzo ci do twarzy.

– Co mówili? – zapytała.

– Dowiesz się. Skoro już wiadomo, że nas nie porzucisz... – Urwał i odchrząknął. –

Przepraszam.

– Nie przepraszaj.

– Nie chciałem.

– Nie bądź taki ostrożny, błagam – powiedziała. – Wszyscy są tacy mili, ale chwilami mam ochotę wrzasnąć.

Wskazał drzwi. – Nie wrzeszcz, bo pomyślą, że poczynam tu sobie nieprzystojnie.

Była godzina piąta. Derek wstał i zebrał z biurka papiery. Otworzył szufladę, wyjął kasetę wideo.

– Już mi nie dawaj – powiedziała Ann.

– Moja droga, przecież weekend na horyzoncie.

– Jak się czuje Mary?

– Tak jak zwykle, Annie. Jak zwykle. Ann wstała.

– A chłopcy?

– Świetnie, świetnie – odpowiedział szybko. Spojrzała na kasetę.

– Jaki film tym razem?

– *Sound of Music*. Tylko że Mary zawsze przy tym płacze.

*

Szatnia była maleńka i prawie całą zajmowała Janinę, wkładając jedwabną spódnicę.

– Robisz coś w ten weekend? – zapytała.

– Będę u siostry. – Ann precyzyjnie się obok niej, żeby sięgnąć po swój płaszcz.

– U tej z tyloma dziećmi?

– Ma tylko dwójkę.

– A wydaje się, że dużo więcej. Zawsze trzeba zmieniać bibularze, kiedy one tu przychodzą.

– Dlaczego?

– Rysują na nich. Króliki i Bóg wie co. Ann się uśmiechnęła. – Hodują króliki.

– Założę się, że nie w spódniczkach jak baletnice.

– A rysują je w spódniczkach?

Janinę potwierdziła niemo, zanim zaczęła malować usta. – Siostra nie jest do ciebie podobna.

– Wszyscy to mówią. – Ann zdjęła już płaszcz z wieszaka. – Więc z którym się dziś spotkasz?

– Nigdy byś nie zgadła, gdzie go poznałam. Na ruchomych schodach. Obcas mi utknął.

– Myślałam, że jednak z tym od mrozonek.

– Z nim? – Janinę ściągnęła wargi, podziwiając w lustrze ich połysk. – On jest w Hull.

Kupuje dla spółki nowy samochód.

– Myszy harcują, gdy... Spojrzała w lustrze na Ann.

– Wiesz co? Myślę, że ty już wracasz do życia.

*

W sklepie zoologicznym subiekt ważył i wsypywał do plastikowych torebek farbowany żwir. Ken przyglądał się tropikalnym rybkom. Wiedział, że to śmieszne, ale ostatnio zwlekał z powrotem do domu. Wiedział też, że nie powinien.

– Patrz, jakie tu szczury.

– To nie szczury, to gerbille. Stali za nim dwaj chłopcy.

– Uj, patrz na tego.

– Świński pedał.

Subiekt z głębi sklepu zawołał: – Wy tam... zabierajcie się stąd!

– Co? My?

– Wy.

– Jesteśmy z tym panem.

Jeden z nich stanął przy Kenie. Zapachniało owocową gumą do żucia.

– Proszę pana, hej, co to za ryba?

– Tamta? – zapytał Ken. – Prawda, że piękna? Paszczowylęgarka z Mozambiku.

– Jak?

– Tak się nazywa, bo swoje małe wylęga w paszczy.

– Jejku!

– Zadziwiająco, rzeczywiście. – Ken patrzył na akwarium.

– Oto świat w miniaturze. Widzisz te migające jak błyski światła?

– Które? – Owocowym oddechem wionęło z bliska.

– Te. *Lebistes reticulatus*. Zacząłem od nich, kiedy miałem...

– spojrzal na chłopca – mniej więcej tyle lat, co ty. Szło całe moje kieszonkowe. – Odwrócił się znów od chwiejnych wodorostów.

– Żarliwość młodości – powiedział. Trzask zapalniczki. Chłopiec zapalił papierosa.

– Jazda stąd! – zawołał subiekt. Powłócząc nogami, chłopcy wyszli. Subiekt teraz przyklejał ceny na kamieniach.

– Myślałem, że pan jest ich tatą.

- Och, nie!
- Bezczelne dranie.
- Nie mają ze mną nic wspólnego – powiedział Ken.

*

Moja droga, weekend na horyzoncie. Jest ten Derek ze swoim domem nie opodal terenu golfowego w Potters Bay i krzewami wysokogatunkowych róż, ze swoją smutną miną, z podskakującymi synkami. – Ann widziała tych małych na fotografii! Ich brykanie w sobotnie poranki przyprawia biedną Mary o ból głowy, ich szkoła kosztuje Dereka bająnskie sumy. Uśmiechnięte piegowate buziaki. I jest Frances, która po zakupy idzie przed mężem pchającym spacerówkę. W tym roku mąż na urodziny synka sam upiekł tort – niejadalną gąbkę, ale czy to istotne? I jest pani Maguire, sąsiadka. Teraz właśnie krzyczy na swoje dzieci. Jak one się dostosowują do tego, że ojciec, ostatnio bezrobotny, przez cały dzień siedzi w domu? I jest Janinę. Co sobota jej były mąż *przyjeżdża* po Simone, a potem ta mała ma boleści, bo on się stara – tak mówi Janinę – kupić miłość dziecka za słodycze. I co niedziela, kiedy Simone wpada w złość, Janinę wie, czyja to wina. Raz powiedziała: – Wiesz, Annie, czasami ci zazdrozczę.

- Czego?
- Sama z Kenem. Wygodnie ci.

*

Ken, odwrócony do Ann plecami, stał nad swoim akwariem i trzymał w wodzie plastikową torbę. W torbie była nowa rybka. Wyrównywał dla niej temperaturę.

- Zawsze czuję się przy tym tak, jakbym zaparzał herbatę – powiedział.
- Dlaczego?
- Herbatę w torebce. Ann się roześmiała.
- Przyjemnie to słyszeć.
- Co?
- Twój śmiech.

Znieruchomiała. Po chwili szła dalej. Jeden ścieg, drugi. Tonem starannie normalnym zaczęła: – Coś... no, coś planuję.

- Wspaniała nowina. I już czas na to, w dodatku. Pracujesz tam wystarczająco długo.
- Nie mówię o mojej posiadzie. Mówię o czymś zupełnie innym.
- O czym?
- Przestała szyć. – Tylko nie wiem, jak się do tego odniesiesz.
- Zapytaj.
- Nie domyślasz się?
- Nijak.

Patrzyła na niego – na jego ramię, zza którego wypływały świetliste rybki w akwariem, na jasnoniebieską koszulę. Zna tego barczystego mężczyznę tak dobrze – ale czy rzeczywiście? Czy on słucha?

– Moglibyśmy adoptować. Milczenie.

– Ken, odpowiedz coś.

Bezszelstnie w wodzie akwarium wzbijały się bąbelki.

– Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Myślałeś o tym? – zapytała. Przytaknął niemo.

– Myślałeś?

– Och, tak – potwierdził. – Prawie wciąż tylko o tym przez cały tydzień.

– Naprawdę? – Serce jej biło coraz szybciej. – Podeszła do niego.

– Och, tak – powtórzył.

– Bardzo bym chciała. Bardzo. Ja...

– Ann...

– Białe czy czarne czy brązowe... byłoby nasze. Stała przy nim. Wreszcie się do niej odwrócił.

– Obawiam się... – Urwał.

– Nie obawiaj się. Oboje byśmy je kochali. Byśmy... Powoli powiedział: – Obawiam się, że masz większe serce niż ja. Zaległa cisza. Rybki pływały niefrasobliwie. Ich ogonki śmigły. Później w ten piątkowy wieczór Ken biegał. Z tupotem mijał knajpy: jasne okna, fale ryków, gdy drzwi się otwierały. Z tupotem mijał domy: oświetlone wnętrza za zasłonami, rozedrgane łuny telewizorów. Skreślił w główną ulicę, oddychając już chrapliwie, i dalej biegł obok pozamykanych sklepów i stert przywianych śmieci, i obok centrali całonocnych autobusów, i obok garmazerii z marynowanym mięsem i frytkami, gdzie tylko mu migły rośliny i chrom, i uderzał w nozdrza zapach tłuszczu. Biegał w ostrym blasku neonów, w hałasach radia... Och, całe brudne miasto przelatywało poszarganą smugą. Nogi go bolały, płuca waliły, mroźne powietrze wdychane i wydychane zgrzytało miarowo jak piła...

Aż biegnąc znalazł się w nieznannej okolicy pod mostem kolejowym, w odorze moczu, a potem już znowu autobusy jeździły, światła oślepiały i myślał, że płuca mu pękną.

Usiadł na ławce. Była zimna i mokra. Ukrył twarz w dłoniach.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tej nocy śniło się Ann, że ma dziecko imieniem Jonquil. Wiezie je, usadowione w foteliku, samochodem do supersamu. Jest sobota, w supersamie tłok i mnóstwo trzeba kupić, tylko czy wszystko to zapamiętała? I czasu mało, bo Viv, jej siostra, czeka na nią gdzieś daleko za Londynem.

Ludzie przepychają się, kiedy ona załadowuje wózek. Słyszy głosy, pogawędki za półkami. Słyszy swój zegarek tykający bardzo głośno, wie, że musi się śpieszyć. Płaci przy kasie, wynosi torby na ulicę do samochodu. I jedzie, i dopiero w drodze, już na wsi, odwraca się, patrzy na tylne siedzenie i widzi, że jest puste. Zostawiła dziecko!

Więc zawraca, dodaje i dodaje gazu. Ale Jonquil na pewno już tam nie ma, ktoś ukradł jej dziecko. Teraz supersam wydaje się o wiele większy niż był przedtem i w ogóle to jakaś inna ulica ze szpalerem drzew. Przejścia w supersamie ciągną się pomiędzy półkami w nieskończoność. Słyszą szepty, jak gdyby rozmawiały ze sobą opakowania Persilu, i nogi jej się robią takie ciężkie, kiedy biegnie w stronę, z której dolatuje kwilenie Jonquil i chyba wielu innych niemowląt – tylko dlaczego ludzie na te kwilenia nie zwracają uwagi? Próbuje ich pytać, ale słowa nie dobywają się z krtani. Wargi się poruszają i nic, ludzie gapią się na nią jak na wariatkę. Biegnie dalej, nogi ma ciężkie, istne dwa worki piasku, a przecież za następnym rogiem będzie Jonquil na pewno. Ale za tym rogiem nie ma żadnych niemowląt Same tylko rzędy półek i wciśnięte między puszki z konserwami wysuwają się jak szydercze języki torby, w których jest robótka na drutach...

*

Viv miała włosy zebrane w kok na czubku głowy, spięty dziecięcą plastikową klamerką.

– Wejdz, wejdz, wybac ten bałagan. Ann weszła za nią do pokoju dziennego.

– Nie widzę, żeby tu było inaczej niż zawsze.

Chociaż mieszkała w odległości pół mili, nie odwiedziła Viv ani razu w ciągu tych kilku tygodni po powrocie ze szpitala. Teraz czuła swojskość jak dobrze znany smak w ustach. To prawie uspokajało – jej świat zmienił się całkowicie, a tutaj jest tak, jak było. Rozejrzała się z bojaźnią, goryczą i jakąś otępiłą zawiścią. Ten wielki pokój dzienny połączony z kuchnią zajmował cały parter poza sienią prowadzącą na schody. Jedno okno we wnęce było od strony ulicy. Wszystkie inne wychodziły na ogród. Pokój „zamieszkały”, można by go określić. Ken nazwał go „chlewem”, ale to wtedy, gdy wstając tam z kanapy zobaczył, że do spodni z tyłu przylepiła mu się grzanka z masłem.

Na stole wśród nie sprzątniętych pozostałości śniadania leżały niedzielne gazety. Na podłodze nie dojezdzone rogaliki, który Viv teraz podniosła i machinalnie zjadła, włączając czajnik bezprzewodowy. Na ścianach gęsto wisały obrazy, draperie indyjskie z sześćdziesięciu mistycznych dni Viv oraz mnóstwo rysunków dziecięcych przedstawiających dziwadła o zjeżonych włosach i pajęczych kończynach zwane Mamusia i Tatuś. Z klatki chomika na kredensie pachniało mokrymi trocinami. W haki wieszakakraty były wbite kartki

z takimi przypomnieniami, jak: *kupić papier toaletowy* i reklama: *Korzystajcie z usług pogotowia hydraulicznego. Roboty wodnokanalizacyjne.*

Ann zaczęła zbierać ze stołu śniadaniowe talerze.

– Usiądź – powiedziała Viv.

– Już nie jestem chora.

– Ale to nie u ciebie bałagan. Przyszłaś tu na obiad.

– Chcę ci pomóc. – Ann wstawiła talerze do zlewozmywaka. Na parapecie kuchennego okna stały doniczki z roślinami, słoik z pietruszką w żółtawej wodzie i półmisek z watą, z której rosły wybijająca gorczyca i rzeżucha. Za tym wszystkim widać było ogród. Ann przypomniała sobie, że w jej śnie Viv czekała na nią gdzieś na wsi, a potem że Viv przed laty czekała na nią za ogrodową szopą w słonecznym blasku ich dzieciństwa. I po raz pierwszy sformułowała się myśl: nie mogę dać dzieciństwa nikomu.

– Już zostaw, ja to zrobię. – Viv odsunęła Ann od zlewozmywaka i wzięła szczotkę. Ann jeszcze nie zaczęła zmywać.

– Przepraszam.

– Ty wycieraj.

Ann zapytała: – Gdzie dziewczynki?

– Gdzieś tam się wałęsają.

– Nigdy się nie boisz?

– Czego?

– Że mogą zginąć.

Viv zatrzymała ręce w wodzie. – Pamiętasz, jak zostawiłam Rosie u zieleniarza?

Ann myślała przez chwilę. – Pamiętam. Była wtedy maleńka. Ty pewnie jeszcze nie wierzyłaś, że masz dziecko.

– Coś takiego mniej więcej. – Viv przytaknęła. – Jak w pracy?

– Nikt nie opowiada kawałów. – Ann rozejrzała się. – Gdzie masz ścierkę do filiżanek?

– Jest na klatce chomika. On prowadzi tylko nocne życie, więc zaciemniają mu klatkę. W ten sposób się budzi.

– Ale pod nakryciem przecież nie mogą go widzieć. Viv parsknęła śmiechem. – Na to jeszcze nie wpadły. Ann podeszła do kredensu, wzięła ścierkę z klatki. – Śpi. Śmiały się obie.

I nagle Ann poczuła tęsknotę i żal, aż zabrakło jej tchu i usiadła.

– Co ci się stało? – zapytała Viv.

A ona udawała, że zobaczyła coś na podłodze i usiadła, bo tak łatwiej to podnieść.

Viv poszła do komórki pod schodami po węgiel. Gdy napełniała węglem wiaderko, przypomniało jej się, jak dziewczynki zginęły w Hiszpanii.

Latem zeszłego roku... pusta rozległa plaża. Wczesnym rankiem przyprowadzili dziewczynki, ona i Ollie, i odeszli na pół godziny, żeby w hotelu rozpakować najpotrzebniejsze rzeczy. Gdy wrócili, plaża już napełniła się tysiącami, tysiącami ludzi. Dziewczynki połączył ten tłum prawie golasów radujących się słońcem i nie znających angielskiego. Dwie godziny minęły, zanim je odnaleźli – przytulone do siebie, znieruchomiałe, tyle że trzęsły się od szlochów.

Viv przyniosła węgiel i podsycała ogień na palenisku kominka.

– To był koszmar – powiedziała.

– Ja tej nocy miałam koszmarny sen – powiedziała Ann.

– O czym?

– Nie pamiętam.

*

Siedząc na stole. Viv wymachiwała nogami i popijała wino. Mięso zaczynało syczeć w piecyku, ale jeszcze nie zadała sobie trudu, żeby zająć się jarzynami. Zawsze wszystko robiła w ostatniej chwili, podczas gdy Ann przygotowywałyby jarzyny wcześniej. Ann, ilekroć była z Viv, wydawała się sobie strasznie nudna. Cóż, kiedy tak właśnie było. Jak gdyby barwność Viv wysysała z niej kolory. Powinam już się do tego przyzwyczaić, myślała Ann.

W tę Bardzo ważną niedzielę, zanim wszystko zmieniło się raz na zawsze, patrzyła, jak później wspominała, na Viv machającą nogami w wyblakłych dżinsach. Ten artystyczny nieład potarganych włosów ściągniętych na czubku głowy, ta urocza twarz – ładne rysy z krótkim noskiem, lalkowata, zdaniem mężczyzn, dopóki nie słyszeli jej ciętych odpowiedzi – ta mina trudna do określenia, mina pięknej kobiety mającej jakiś sekret. Ale to była nie tylko powierzchowność. Głowy odwracały się ku Viv jak kwiaty ku słońcu. Przy Viv wszystkie inne wydawały się na pół śnięte. Nawet te piękniejsze wyglądały nieciekawie. Bo w Viv kipiało życie. Ann mogła to znieść, tyle już razy powtarzała sobie, że może. Czyż swojej siostry nie kocha?

I poza tym ona, Ann, ma męża, który pochwała przygotowywanie jarzyn zawczasu. I który mówi, że ją kocha – nieczęsto, ale z uczuciem.

– Zastanawiam się, o czym ci dwaj będą rozmawiać – powiedziała.

– Kiedy się gra w rugby, nie ma żadnych rozmów. W tym właśnie rzecz.

– Śmieszne... przez te wszystkie lata nigdy się do siebie nie zbliżyli.

– To dlatego, że my zawsze byliśmy sobie bliskie. Tylko dlatego. Wiesz, jakie my jesteśmy.

Ann spojrzała na zegarek. – Już nakryję do stołu.

– Nie bądź służką.

– Przyjdą głodni – powiedziała Ann.

Zupełnie jakbym słyszała moje dziewczyny w szóstej klasie. Stają się takie potulne. Bo omawiamy teraz Jane Eyre. Zaczynają się martwić, że przegrają, jeśli chodzi o mężczyzn.

Ann oświadczyła: – Ja czuję się przegrana.

– Nie mów tak.

– Ken tego nie mówi, oczywiście...

– Zabiłabym go, gdyby tak powiedział.

– Nie mówi. Ja mówię.

– Och, Ann! – Viv zeskoczyła ze stołu i podeszła do niej. Ale w tej samej chwili drzwi frontowe raptownie się otworzyły i wbiegły dziewczynki.

– Cześć, ciociu! – Rosie podeszła i uściskała Ann.

Ann przycisnęła twarz do policzka Rosie. Ośmioletnia, a jeszcze pachnie ładnie jak nowa. Miła, powolna Rosie. Ją kochała bardziej, chociaż nikomu by się do tego nie przyznała. Odwróciła się do Daisy i wyciągnęła z reklamówki prezent.

– Tym razem coś dla ciebie. – Dała Daisy sukienkę, którą szyła przez ubiegły tydzień. – Mam nadzieję, że pasuje. Rośniesz taka duża.

Daisy włożyła tę sukienkę różową z falbankami. Zaczęła podskakiwać przed lustrem.

Viv przyjrzała się córce. – Cudowna kreacja. Wyglądasz jak bohaterka romansu Georgette Heyer.

Ann, urażona, powiedziała: – Ja jednak czytam inne książki, wiesz.

– Wiem.

– Nie zawsze takie.

– Chały dla śmiechu.

Ann zmarszczyła brwi. – Wolałabym, żebyś ich tak nie określała. W każdym razie ty też je czytałaś. Zanim stałaś się miejscową intelektualistką.

– W Watford to żadna sztuka i konkurencja niewielka. – Viv parsknęła śmiechem. – Dawniej wyznawałam romantyczność. Kiedy nie było rzeczy niemożliwych. Przed tym wszystkim. – Rozejrzała się i uśmiechnęła. – Pamiętasz, czytałyśmy pod kołdrami. *Piękność z baletu*, pamiętasz?

– Ach, tak...

– Miała zadarty nosek i na policzkach lekki pył piegów... Daisy zapytała: – Mamo, dlaczego ja nie mogę tańczyć w balecie?

– Dlatego, że tańczysz zwyczajnie.

– A ja chcę w balecie i chcę taką sukienkę baletnicy. Viv ucięła: – Balet jest regresywny.

– Jaki? – Daisy zgramoliła się z kanapy i wywędrowała do ogrodu.

– Pamiętasz – zapytała Viv siostrę – *Fotomiiłość* i *Valentinel* Ja wtedy kochałam Elvisa, bo był taki oślizgły i sexy.

– Ja kochałam Cliffa Richarda – powiedziała Ann.

– Ponieważ byłaś przyzwoita. Przyzwoite kochały Cliffa.

– Te przyzwoite, zręczne do igły. Uśmiechnęły się obie.

– Pamiętasz – zapytała Ann – jak tata nas przyłapał na czytaniu *Valentine* za szopą?

– Krzyczał, że to brudy, i spuścił ci lanie.

– Och, tak...

– Zawsze ty obrywałaś.

– Byłam starsza – powiedziała Ann.

– niesprawiedliwość. Czepiał się ciebie. Nigdy tata nie był sprawiedliwy.

Ann się zastanowiła. – Nie przejmowałam się tym.

– Ja się przejmowałam.

– Nieprawda.

Viv się zastanowiła. – No, ale przejmuję się teraz. Umilkły. Z ogrodu słabo dolatywały głosy dziewczynek. Viv dopiła swoje wino.

– niesprawiedliwe.

- Co?
- Zycie. Miał rację.
- Ojcowie powinni mieć rację.

Umilkły. Ann uznała, że nie zdoła się wypowiedzieć. Dziewczynki są tak blisko, Ken i Ollie mają wrócić lada chwila. Zresztą jak Viv mogłaby pomóc?

Z pobliskiej ulicy doleciały dźwięki kościelnych dzwonów.

Ann położyła ścierkę z powrotem na klatce chomika. Gdy była nastolatką, romantycznie, płomiennie pokochała Boga. Nikt z rodziny nigdy nie chodził do kościoła, więc w tajemnicy po ciemku prowadziła swoje pobożne rozmowy. Modliła się pod kołdrą, dobijała targu z czarnym mrokiem. Jeżeli nachodziły ją niedobre myśli o Viv, sama wyznaczała sobie kary – na przykład zapinała pasek o parę dziurek za ciasno. Lękała się Boga namiętnie, tak zapamiętała, że aż w głowie jej się kręciło, i głodziła się specjalnie, żeby kręciło się jeszcze bardziej.

Kościelne dzwony były. Ann jeszcze raz sięgnęła do swojej reklamówki i wyjęła dobrze opakowany torcik beżowy. Zrobiła go w ten poranek, ozdobiła kremem i wiśniami. Kiedy straciła wiarę? Wydawało się, że wczoraj. Wstawiając torcik do lodówki, pomyślała: Kiedyś wierzyłam w Boga. Teraz wierzę w dobrą kuchnię.

*

– ... I on przyczłapuje po tym śniegu – opowiadał Ken – ledwie dyszy, a ona otwiera drzwi i pyta: „Gdzie jest salami”?

Ryknęli śmiechem. Ollie zjadł garść fistaszków, zadowolony. Cudownie robi człowiekowi szamotanie się w błocie popite mocnym piwem. Taki prosty męski środek na uspokojenie. Żyjąc z Viv, odczuwał brak spokoju.

Diz, kapitan drużyny, przychylił się i szeptem zapytał: – Skąd go wytrzasnąłeś?

- Kogo?
- Tego naszego Kennetha.
- To mój szwagier – poinformował Ollie.

Diz wybałuszył oczy. – Nie mów!

Ollie potwierdził przytaknięciem. Ken zaczął opowiadać następny kawał. Należał do tych nielicznych znanych Ollie’emu, którzy pijąc pokazują się ze swojej lepszej strony. Viv mówiła, że Ken jest jak samochód ruszający dopiero wtedy, gdy się go nakręci korbą, ale po nakręceniu pędzący jak wyścigowy. Tak mówiła w świątecznych chwilach kurtuazji.

- To naturszczyk – powiedział Diz. – Możesz go przekupić, żeby wszedł do drużyny?
- Nie zaprawiony w rugby, jest futbolistą.
- Nieważne, kiedy takiego kalibru.

Ollie patrzył na Kena z nowym respektem. I Ken w dodatku potrafi żartować. Dziwne: ktoś, kogo się zna od czternastu lat. ujrzany nagle w innym otoczeniu, jeszcze może zrobić niespodziankę.

*

Drzwi frontowe trzasnęły.

– Oho, są – powiedziała Viv. – Nasi wracają z akcji.

Ollie i Ken wkroczyli. Ken niósł torbę z butelką wina kupioną w barze „na wynos”. Obaj mieli nieśmiałe miny facetów po trzech piwach.

– Dobry był mecz? – zapytała Ann. Ken kiwnął głową. – Wygraliśmy. Uśmiechnęła się.

Wyciągnął butelkę z torby. – Skromny wkład. – Popatrzył na Viv i Ann. – A wy co robiłyście? Trzaskałyście dziobami?

– O rany! – jęknęła Viv.

– Uważaj – doradził Ollie szwagrowi.

Ken odwrócił się do niego. – Złe są na nas. Popadliśmy w niełaskę.

– Nie – powiedziała Viv z papierosem w ustach, odkręcając kran nad durszlakiem pełnym brukselki. – Ja uważam, że jesteś słodki.

Ken się zmieszał. Ann próbowała myślą zmusić go do ostrożności.

*

– Więc on szarżuje przez boisko – opowiadał Ken.

Ollie wyjaśnił żonie: – Wiesz, ten kretyn z „New Statesman”.

– Ale wyście go pilnowali we dwóch – powiedziała Viv. Ken przytaknął. – Wysoki jak tyka do fasoli. Bez jednego mięśnia.

– Podczas gdy ty – powiedziała – niziutki, za to świetnie zbudowany.

Zesztywniał. – Bardzo cię, Viv, przepraszam za mój niski wzrost – powiedział oziębło – ale rzeczywiście trzymam się w formie. Weszły dziewczynki. Ollie uniósł brwi na widok sukienki Daisy. – Auu! Córko, istna z ciebie śpiewaczka kościelna w średnim wieku.

– Ollie! – powiedziała Viv.

Wreszcie usiedli do obiadu. Ken zerknął na zegar. To miał być jeden z tych obiadów Viv „o trzeciej”.

– Ja się nie daję zastraszyć – powiedział Ollie. – Na tym mrocznym niepewnym padole tylko rugby to czysta uciecha.

– Ostatnie echo twojej szkoły żigolaków – powiedziała Viv.

– Całą resztę już ci wybiłam z głowy.

– Tak czy owak – powiedział Ollie – to moja jedyna gimnastyka.

– Moja jedyna gimnastyka – powiedziała Viv – to schody i seks.

Ollie się roześmiał. Ken spojrzał na Viv ostrzegawczo. – Dzieci mają uszy, Viv.

Ann szybko zapytała: – Co tam w szkole? Kołowrót, prawda?

– Wciąż nerwy – odpowiedziała Viv – jak na scenie.

– A działka?

– Krzyż mnie od niej boli.

Ollie zwrócił się do Kena: – Wychowywały się w parterowym domku.

– Wiem, ale co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Ken.

– Nie pytaj. – I Ollie dodał niejasno: – To z pewnością się na nich odbiło.

– Na tobie – rzuciła Viv – z pewnością odbiło się dwanaście akrów w Herfordshire.

Ann uśmiechnęła się do nich. – Dzieci!

Viv jej wyjaśniła: – Karmimy się wojną klasową. Ollie i ja. To jest dopingująca pożywka naszego małżeństwa. Staliśmy się mikrokosmosem współczesnej Brytanii. Ja z mojej klasy wspięłam się, mam aspiracje, a on – wskazała na Ollie’ego – ze swojej zjechał w dół i ma poczucie winy.

Ann znowu się uśmiechnęła. – Już nie udawajcie, że się kłóćcie na takie podniosłe tematy.

– Zwykle tematy są o wiele późniejsze – powiedział Ollie. – Na przykład: kto komu się narazi tym, że nie pomoże posprzątać.

Ann popatrzyła na kuchnię. – Tego chyba sobie nawzajem oszczędzacie.

Roześmieli się. Daisy sięgnęła nad stołem i wzięła w palce kartofel.

– Ej, Daisy. złotko – upomniał Ken – do czego służy łyżka? Ollie go zapytał: – Więc myślisz, że przyłączysz się do naszej drużyny?

– Widziałeś ich – wtrąciła się Viv. – Typowa paczka bubków z klasy średniej. Mięczaki, lewicujący ludzie mediów. Zdziorni, ale bez stanowczości.

– Grać potrafią tylko w słowa – powiedział Ollie. – Potrzebujemy ciebie.

– Ja także otwieram książki – oświadczył Ken. – Chociaż chodzę w sukiennej czapce i w kombinezonie.

– Ken! – Ann ujęła go za rękę.

– Nie bądź taki drażliwy – Viv pochyliła się nad stołem i wzięła w garść kartofel z salaterki – taki samczy. On nie chce ciebie jako brutalą. Po prostu jesteś w tym dobry.

– Przecież nie widziałeś, jak gram.

– Widziałam, jak tamci grają. Każdy byłby dobry w porównaniu z nimi.

– Dziękuję – powiedział Ken.

– No i mogę to poznać po tonacji mięśni. – Przyłożyła dłoń do jego klatki piersiowej. – Wolno mi ciebie dotykać, jestem twoją szwagierką.

Ollie parsknął śmiechem. – Ona zawsze to robi. Ja to nazywam pobudzaniem, ona mową ciała.

Ken uśmiechnął się i powiodł palcami po wąsach jak zwykle, gdy czuł się nieswojo. Powiedział: – Chętnie przyłączę się do twojej drużyny, jeżeli mnie zechcą.

Ollie podniósł swój kieliszek. – Więc zdrowie!

Ollie wyszedł do hallu po węgiel. Viv przyszła tam, gdy szuflą grzebał w szafie.

– Szkoda, że tak powiedziałaś – syknęła.

– Jak powiedziałem?

– O sukience Daisy. Cholerne chamstwo. Ann uszyła...

– Żartowałem przecież. Stękając dźwignął napelnione węglem wiaderko.

– Wyśmiewałeś się z niej – powiedziała Viv.

– A ty się nie wyśmiewasz? Z jej wymuskanego domku, z laufferków z widokami Londynu.

– Ja mogę – syknęła Viv. – Jestem jej siostrą.

– No to co?

- Siostrom wolno się wyśmiewać. Innym nie. Ollie spojrział na nią. – A ja to „inni”?
- Niestety, tak.

*

Ken i Ann siedzieli z filiżankami kawy przed kominkiem. Ken wpatrywał się w płomień.

- W tej knajpie jest gazowy. Taki, że się nabrałem.
- Słuchaj, Ken – Ann zniżyła głos. – Nie rozgniewaj się...
- Bo co?
- Nie powinienes krytykować ich dzieci.
- O co ci chodzi?
- Psst! – syknęła. – O to, jak Daisy wzięła kartofel.
- Dlaczego nie powinienem? Dała dowód bardzo złego wychowania. Zresztą ty sama to robisz.
- Co robie?
- Zwracasz tym małym uwagi – powiedział Ken – i tak należy, moim zdaniem.
- Ja to co innego.
- Nie rozumiem.
- To znaczy... no, Viv jest moją siostrą.
- ! – No, więc one to i moje siostrzenice. Jeżeli nie ja, to kto będzie je przywoływał do porządku w tym domu wariatów?
- Psst!
- Ollie i Viv już wracali z węglem.

*

Zapadał zmierzch. Viv i Ann zostawiły mężów przy zmywaniu i chodziły teraz między stoiskami w ośrodku ogrodniczym. Deszcz bębnił o szklany dach. Za szeregiem zwiniętych węzów do polewania zieleń się połyskliwie wysokie palmy i kaskady paproci. Wszystko w ostrym białym świetle jarzeniówek. Ann myślała o supersamie ze swojego snu, o tym gorączkowym poszukiwaniu. Dlaczego szukała Viv?

- Możliwości oszłamiające – powiedziała jej siostra, biorąc z półki paczkę nasion. – *Obfitość błękitnego kwiecia* – przeczytała – *od wczesnej wiosny do pierwszych mrozów.*
- Ann uśmiechnęła się. – Wierzysz w to?
- Co rok wierzę. – Viv odłożyła paczkę z powrotem na półkę. – Optymizm albo głupota.
- Albo wiara.
- Viv miała kupić sadzeniaki kartofli na działkę. Szły dalej.
- Tej nocy – zaczęła Ann – śniło mi się niemowlę. Miało na imię Jonquil.
- Viv zatrzymała się.
- Śliczne imię.

Spojrziała na Ann i poprowadziła ją do ławki. To była biała ławka z kutego żelaza, opatrzona kartonikiem z ceną. Usiadły. Przez chwilę Ann milczała. Pojęła – później

przypomniała sobie dokładnie swoje myśli na tej ławce – że kiedyś przecież zdoła kupować rośliny do przybudówki, mającej być oranżerią. Nawet będzie tam ładnie i – jak Ken mówił – przybudówka, do czegokolwiek ją wykorzystają, niezawodnie podniesie wartość ich domu.

Powiedziała: – Ja chyba zwariuję.

*

Ken wytarł talerz.

– Mam nadzieję, że ona nie zwariuje w tym ośrodku.

– Annie?

– Z kartą kredytową.

Ollie podał mu salaterkę. – Ann przecież nigdy nie wariuje.

– Sama nigdy.

– Aha, tylko pod deprawującym wpływem siostrzyczki... Ken wytarł salaterkę. – No, nie ona, tylko Viv ma lekką rękę do roślin. Wszystko się rozrasta dla Viv.

Ollie przytaknął i podał Kenowi następną salaterkę. Ken spojrział poprzez zieleń w oknie na ogród. Chciał zagadać szwagra. Ollie lubi pytać tak wnikliwie, że gorąco się robi pod pachami. Odchrząknął i wskazał na królikarnię. – Widzę, że ich przybyło. Ile tym razem?

– Osiem.

– Rozmnażajcie się jak króliki, co?

Ollie odchrząknął. – Smarkule zaczynają być zblazowane, jeśli chodzi o Cud Narodzin.

*

Ann powiedziała: – Nie myślałam, że może być jeszcze gorzej, ale jest. Codziennie. Nic nie ma żadnego znaczenia... – urwała.

– Ken jest przy mnie. ale wydaje się oddalony o całe mile.

– Siedziała z Viv na tej ławce „na sprzedaż”, obracając w ręce kartonik z ceną. – On nie może pomóc.

– Nie – potwierdziła Viv.

– Nikt nie może. Ani on, ani ty.

– Żałuję, że ja nie mogę. Ann zaczerpnęła tchu.

– Wczoraj patrzyłam na panią Maguire w jej ogrodzie. – Teraz mówiła z pośpiechem. – Ona wciąż beszta swoje dzieci. Patrzyłam na nią, na ten jej wielki szeroki tył. nogi rozsunięte, i nienawidziłam jej. Naprawdę. Viv, nienawidziłam za to, że dla niej te dzieci są czymś zrozumiałym samo przez się. Czułam, że zwariuję.

– Nie zwariowałam.

– Ken nie chce ze mną o tym rozmawiać, rozumiesz.

– I nie chce słyszeć o adopcji?

Siedziały w milczeniu. Jacyś dwoje przeszli obok nich, pchając wózek z workami torfu.

W końcu Ann odpowiedziała: – Nie chce. – I po chwili: – Bo jemu nie jest wszystko jedno...

– Tak przypuszczałam.

– ... czyje to dziecko.

Viv przytakiwała. Ann bawiła się kartonikiem z ceną.

– On rzeczywiście kocha dzieci.

– Wiem.

– Chociaż bywa czasami... no... surowy. Ale to dla ich dobra. Viv przytaknęła. Pogrzebała w torebce i wyciągnęła papierosy.

Ann powiedziała wolno: – Był taki podniecony tym razem.

– Wiem.

– Mówił każdemu. Nawet sąsiadom, a wiesz, jak się do nich odnosi.

Viv przytaknęła i wypuściła nosem dym.

– Dlatego tak mi ciężko. Zamknął się w sobie. Gdybyśmy mogli się tym dzielić. Gdybym wiedziała, że on też to czuje.

– Co?

Ann zastanowiła się. – Pustkę. To, że nic nie warto robić.

Viv zaciągnęła się. – Więc jest gorzej niż poprzednim razem? – zapytała ostatecznie.

Ann myślała przez chwilę. – Tak.

Przeszła obok jakaś para. Mężczyzna trzymał za rękę małą dziewczynkę.

– Ona byłaby teraz w tym wieku. Viv przytaknęła.

– Wciąż jeszcze myślę o niej. Dzień w dzień.

– Ja też – powiedziała Viv.

– Pomimo że jej prawie nie było. Prawie się nie urodziła. Siedziały w milczeniu.

Viv dopaliła papierosa. O dziecku Ann, które urodziło się martwe, rozmawiały bardzo rzadko, a teraz wydawało się, że jeszcze mniej jest o nim do powiedzenia. Po tamtym porodzie, przed trzema laty, jeszcze były nadzieje na następny. Viv wpatrywała się w swoje kartofle. Leżały w sznurowanej siatce jak jajka do wylęgu. Upuściła niedopałek na ziemię i zdeptała.

– Tylko pustka – powiedziała Ann. Viv objęła ją, siedzącą sztywno.

Po długiej chwili Ann powiedziała: – On jeszcze mógłby mieć dziecko, oczywiście.

Viv przytaknęła. Znów milczały. Przeszedł klient z workiem torfu. Przeszedł subiekt z pękiem kluczy. Potem patrzyły na kobietę, która niosła paproć w doniczce.

– Gdyby można było tak łatwo – powiedziała Viv.

– Co? Wskazała tę paproć.

– Kupić dziecko i zabrać do domu.

– Już zasadzone – dodała Ann głosem podniesionym nieomal do krzyku.

Nagle obie zaczęły śmiać się histerycznie. Siedziały tam przy sobie i trzęsły się od śmiechu, miały czkawkę, brakowało im tchu. Viv poczuła, jak siostra, rozdygotana, opiera się na niej. Łzy popłynęły im obu po policzkach.

Ośrodek ogrodniczy już zamykano. Ponad szklanym dachem niebo było ciemne. Ludzie odwracali wzrok od dwóch kobiet, które siedziały na ławce przytulone do siebie i płakały.

Kościelne dzwony wzywały na wieczorne nabożeństwo. Ollie, siedząc na kanapie, czytał „Sunday Times”, kolorowy magazyn. Ken ukradkiem zerknął na zegar: szósta. Chciał, żeby Ann już przyszła. Czuł jakieś mdłe osamotnienie. Z początku myślał, że to skutek alkoholu, ale w końcu ze zdumieniem utożsamiał to uczucie z tęsknotą do domu, taką jak nigdy od wielu lat. W tym rozgardiaszu u Viv coś go niepokoiło, sprawiało, że pragnął bezpieczeństwa swojego saloniku. Stał przy półce z książkami i przeglądał kieszonkowe wydanie Orwella. Wbrew przeświadczeniu Viv rzeczywiście czytał trochę Orwella, zawsze podziwiając pasję tego pisarza. I teraz przynajmniej Ollie nic nie mówi.

Daisy się przyplątała. – Już umiem gwizdać – oznajmiła.

– Umiesz? – zamknął książkę. – Niech usłyszę. Zagwizdała.

– Doskonale – pochwalił.

– A ty umiesz?

– Oczywiście – zagwizdał *Wzgórza Północy, radujcie się*. Ta melodia zawsze go wzruszała.

– Co to jest? – zapytała Daisy.

– Psalm.

– Co to jest psalm?

Wybałuszył oczy. – Nie wiesz? – spojrzał na szwagra pogrążonego w lekturze i odwrócił się z powrotem do Daisy. – Nie znasz żadnych psalmów?

Potrząsnęła głową.

*

Ann zdjęła celofan z rośliny, którą kupiła, i postawiła tę doniczkę na parapecie okna. Ken już siedział w fotelu i czytał „Sunday Express”. Zza gazety zapytał: – Jak się to nazywa?

– Co?

– Ten krzaczek.

– Nie wiem. – Spojrzała na etykietkę. – Nie potrafię tego wymówić. Wyrzuciła celofan. – Po prostu spodobał mi się.

Ken odwrócił stronicę gazety. Po chwili powiedział: – Nie znają żadnych psalmów.

– Kto nie zna?

– Twoje siostrzenice. Czy to nie smutne? Spojrzała na niego. – Przecież jesteś ateistą.

– Agnostykiem właściwie. – Odwrócił jeszcze jedną stronicę. – Ale uważam, że to smutne.

Przytaknęła i znów patrzyła na tę roślinę. Wśród liści były maleńkie pąki. Poza tym nie miała czym się zająć. To już się stało swojskie, to uczucie paniki. Godzina dziewiąta wieczorem i nie ma na świecie niczego, co by wydawało się warte wysiłku. Jedyнным sposobem, żeby zdławić panikę, jest mówić sobie: niedzielny wieczór zawsze jest taki.

Chciała zapytać Kena, czy on też to czuje. Ale nawet gdyby zapytała, co by się zmieniło? Ta myśl przerażała ją najbardziej.

*

Viv leżała bezsennie w mroku głuchoj nocy. Ollie spał oddychając miarowo; z sąsiedniego pokoju dobiegały odgłosy, gdy dziewczynki poruszały się we śnie. Stary dom skrzypiał i pojękiwał. Dla ilu już dzieci musiał być tymczasowym bezpiecznym schronieniem. Na ulicy zahuczał klakson samochodu. A ona słyszała głos ojca krzyczącego na Ann: *Życie nie jest sprawiedliwe, moja panno, im wcześniej to pojmiesz, tym lepiej!* Ojciec krzychał na Ann, taką wtedy małą i wrażliwą jak Rosie, z tą miłą szeroką twarzą zastygłą w zdumieniu wobec tej niezrozumiałej prawdy.

Na dole w ogrodzie jakiś kot miauczał rozdzierająco. Dom szemrał oddechami swoich śpiących dusz. Wspominała, jak Ann uprała halkę lalki i powiesiła ją na sznurze, i przebaczyła jej, Viv. Jak Ann po cichu modliła się pod kołdrą w nocy, rozmawiała z Bogiem wierząc w Jego istnienie, bo gdzież indziej można znaleźć słusność wszystkiego? Musi być jakaś słusność, inaczej wierzyliby się tylko w rzucanie monety, a kto by przetrwał, gdyby całą wiarę pokładał w przypadkowym, być może, okrutnym wyroku własnego nadgarstka?

Czyjeś łóżko skrzypnęło, w drzwiach nagle stanęła Rosie w swej nocnej koszulinie z firmy Mothercare. Przecierając oczy, podeszła do Viv.

– Miałam okropny sen – powiedziała – Chodź tu do mnie.

Viv odchyliła kołdrę. Rosie wgramoliła się i położyła przy niej.

– Śniło mi się mnóstwo, mnóstwo takich dragali...

– Ciii... !

Viv objęła Rosie i odgarnęła jej włosy z czoła. Ale córeczka się nie uspokoiła, odwracała głowę z boku na bok.

– A potem jeden spadł z drzewa...

– Ciii...

Rosie znów zaśnie, już inaczej. Trzeba jej złe sny delikatnie odpędzić, bo za kilka lat nie będzie to już możliwe.

*

Nerwy, jakby się było na scenie. Nazajutrz przez cały poranek Viv bezgłośnie to powtarzała. Nigdy dotąd nie czuła się taką aktorką, stojąc w klasie przed tymi twarzami i spoglądając na zegar. Później nie pamiętała nic z tego, co mówiła. Jak rozmazana plama był czas do przerwy obiadowej i teraz prowadziła samochód na Wood Green High Road.

Zaparkowała naprzeciw tej spółki budowlanej. Przez chwilę z gardłem zaciśniętym siedziała w samochodzie. Teraz, gdy się już zdecydowała, ogarnęło ją dziwne gorące onieśmienie. Ale też czuła, że właśnie zbudziła się do czynu. Wysiadła z samochodu.

– Co się stało? – Ann patrzyła zdumiona zza szyby biura.

Viv podeszła do tego wewnętrznego okna jak klientka. Wydawało się, że powinna swoją wiadomość mieć napisaną na kartce i wsunąć tę kartkę jak potwierdzenie wpłaty. Wtedy widziałaby wyraz twarzy Ann zmieniający się przy czytaniu.

– Nic się nie stało – odpowiedziała. – Podjechałam, żeby cię zabrać na obiad.

– Co? Nie słyszę.

– Masz czas na obiad?

Ann skinęła głową i poszła po płaszcz. Po chwili już wsiadały obie do starego peugeotu Viv. Na zakurzonej masce ktoś wypisał palcem BRUDAS.

Viv nie włączyła silnika. Ann siedziała przy niej.

– Zastanawiam się – powiedziała Viv.

– Nad czym?

– Przez całą noc zastanawiałam się i nie wiem, dlaczego dotychczas nie przyszło mi to na myśl.

– Co?

Viv odczekała chwilę. – W związku z dzieckiem. Ann zagapiła się na nią. – Z jakim dzieckiem? Viv powiedziała: – Przecież to oczywiste.

– Co?

– Ja będę je miała dla ciebie.

– Co będziesz miała?

Viv odpowiedziała powoli: – Dziecko.

Zaległa cisza. Później Viv przypomniała sobie, że patrzyła, jak do sąsiedniego samochodu podchodzi policjantka, wyciąga notes i coś notuje. Pamiętała przesuujące się czerwone plamy autobusu.

Ann zapytała: – Co ty mówisz?

– Urodzę to dziecko za ciebie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nigdy popołudnie nie ciągnęło się tak długo.

W końcu nadeszła godzina czwarta. Dzwonek się rozległ, drzwi trzasnęły, głosy rozbrzmiewały echem po korytarzach. Viv popędziła do pokoju nauczycielskiego, ale przy telefonie, jak zwykle, wisiała Madeleine.

– ... Oczywiście jestem gotowa się zaprzyjaźnić – mówiła – tylko bez zobowiązań. Och, już nie mogę rozmawiać...

Ale rozmawiała. Viv niecierpliwie wierciła się nie opodal. Coraz bardziej dojmująco czuła, jak rozpiera ją to, co miała do zakomunikowania. Ścisnęła w garści dziesięciopensówkę na telefon.

Przyszedł Harold, kolega, też anglista. Otworzył swoją szafkę i odwrócił się.

– Viv, najdroższa, możliwe, że jestem z natury uczynnym facetem, stanowczo jednak nie zgadzam się poprawiać wypracowań twoich owieczek.

Viv zajrzała do jego szafki. – O rany, przepraszam. – Były w tej szafce jej książki i zeszyty. Przełożyła je do sąsiedniej, swojej. – Straciłam rozum – powiedziała.

Harold poklepał ją po ramieniu. – Nie przejmuj się. Wszyscy gonimy w piętę pod koniec semestru. – Przyjrzał się jej badawczo. – Czy może czwarta B ćwiczyła się dzisiaj w tym, do czego jest zdolna, i coś niecoś z tego ci przekazała?

Viv parsknęła śmiechem. Madeleine wciąż jeszcze wisiała przy telefonie.

– Swietlistooka – zapytał Harold – czy jedziesz prosto do domu, czy chcesz gdzieś po drodze napić się herbaty?

Viv spojrzała na telefon. Musiała zadzwonić do Ollie'ego.

– Hmm... jeszcze chwilę tu zostanę.

– Ja pana nie odtrącam – mówiła Madeleine. – Ja tylko mówię, że muszę dziś wieczorem przygotować zadania.

– ... zgraja dziwek – dokończył Harold.

– Co?

– No, nie słuchałaś! Zgadnij, kogo i zgadnij, z kim widziałem wczoraj w naszej knajpie.

Do pokoju nauczycielskiego wszedł dyrektor.

– Czy zdobędę się na odwagę, żeby powiedzieć jemu? – zapytał Harold.

– Nie obawiaj się – powiedział Alan. – Jestem uodporniony na wszelkie jady.

– Właśnie mówiłem Viv, że widziałem sam kwiat naszych dziewczątek, czyli Eileen i Yvonne z szóstej, w pubie wczoraj wieczorem. Z kim? ... Z woźnym.

– Nie potępiaj ich – powiedziała Viv. – On jest śliczny z tyłu i stawia trunki.

– Coś ci powiem, Viv Meadows – powiedział Alan pół żartem, nigdy jednak nie było stuprocentowej pewności, że on nie mówi poważnie. – Ty chyba jesteś gorsza niż one wszystkie.

– Dzisiaj szczególnie narowista – dodał Harold. – Myślę, że czwarta B czymś ją uraczyła.

Madeleine skończyła rozmowę. Viv rzuciła się do telefonu.

– Ollie? Hallo! Słuchaj, wrócisz późno? Co masz w planie? Ollie powiedział, że musi być na wernisażu – jeden z fotografów redakcji otwiera swoją wystawę.

– A bo co? – zapytał. Jego głos dobiegał słabo, trzeszczał jakby z odległości stu mil. Zastanowiła się, czy kiedykolwiek zdoła mu powiedzieć.

– Och, nic. Do widzenia.

*

Ken w terenie, jeszcze nie wrócił do biura. Ann położyła słuchawkę na widełki. Chciała usłyszeć jego głos, chociaż nie miała pojęcia, co by jej to dało. Chciała tylko wiedzieć, że on jest w każdej chwili osiągalny. Był wpół do piątej! Wyobraziła sobie, jak Ken chodzi, stąpając ciężko po gruzach, tam i z powrotem w jakimś remontowanym domu i jeszcze nie jest tym Kenem, który będzie wiedział, jaką ona ma dla niego wiadomość.

Do jej biurka podszedł Derek.

– Hmm... Annie...

– Tak?

Pokazał jej formularz.

– Pewien drobiazg mnie intryguje. Tyś to wypełniała?

– Ja. Teraz, po przerwie.

– Popraw mnie, jeżeli się mylę, ale czy to – wskazał – nie powinno być w setkach?

Popatrzyła na ten papier. – Idiotka ze mnie.

– Nie bądź niemądra. To raczej podnoszące na duchu.

– Co?

Dotknął jej ramienia. – To, że nawet tobie czasami zdarzają się błędy.

Twarze się gapiły. Robiły miny, uśmiechały się od ucha do ucha. Ręce się wyciągały, wytykały palcami. Włosy sterczały jak kolce, policzki były umalowane. Jakieś zakrętasy, tatuaże. Piersi niektóre gołe. Tyle w serii plemion afrykańskich. Potem łańcuchy i ćwieki w serii punków. Viv przechodziła od fotografii do fotografii, udając zainteresowanie. Usiłowała czuć się jak gdyby nigdy nic.

– Wszystko to narcyzm. – Diz, wydawca magazynu Ollie'ego, stanął przy niej.

Wskazała na fotografie. – Tutaj?

– Nie. Tutaj – wskazał siebie i uśmiechniętych wernisażowych gości, kobiety połyskliwouste, wywodzące krótkie trele śmiechu. – Czy patrzy kto na zdjęcia?

– Ja patrzę – skłamała. Teraz zobaczyła Ollie'ego. Podszedł z brwiami uniesionymi.

– Co ty tu robisz?

– Nie mogła się oprzeć tym pięknym nagościom – powiedział Diz.

– Nie roznamiętniaj jej – powiedział Ollie. – Tylko narobisz sobie kłopotu.

Diz podał mu kieliszek wina z tacy przechodzącego kelnera.

– Pół godziny z flamastrami i ty także mógłbyś się stać *l'objet d'art*.

– *L'objet* seksu. – Ollie zaczął popijać. Znad kieliszka patrzył na Viv. Uśmiechnęła się, ale już żałowała, że przyszła. – Ona czegoś chce – powiedział – znam to spojrzenie.

Diz zobaczył, że kieliszek Viv jest pusty, i przyniósł jej następny. Wypiła.

– Po prostu miałam ochotę tu przyjść. – Roześmiała się. Chciała uciszyć salę, wrzasnąć swoją nowinę. Nie, wcale nie. Chciała zataić to na zawsze przed wszystkimi.

Chichocząc i lekko się zataczając weszli do sieni.

– Gdzie milusińskie? – zapytał Ollie.

– Julie zabrała je na noc.

Weszli do pokoju dziennego. Viv zaczęła ściągać z męża marynarkę.

– Hej! Co ty mi robisz? – wymamrotał.

– Chodź, teraz mamy szansę.

– Jesteś zalana. To małżeński gwałt.

– Tobie zawsze kolana się trzęsą. – Rozpinając mu koszulę, poprowadziła go do kanapy.

– Wiedziałem, że ciebie podniecają dzikusy. – Zrezygnowała z rozpinania, więc teraz, gdy ściągnęła mu koszulę przez głowę, mówił głosem stłumionym: – A oni to wszystko pedały, wiesz, te plemiona. Alfonsi... Oj! – szarpnięciem uwolniła mu głowę – alfonsi z tymi swoimi lustreczkami.

Pocałunkiem zapieczętowała mu usta. Pogłaskała go po plecach. Palce miała zimne, poczuła, jak się wzdrygnął. Już ona go rozgrzeje.

– Kobiety są wyłącznie do celów reprodukcji – burczał podnosząc się z kanapy, tak żeby mogła ściągnąć z niego spodnie.

– To tylko ciała, tylko łona... – Zdjęła mu buty. – Tylko powinność... tylko spełniam powinność przez lata całe... – Ściągnęła z niego slipki. – Spełniam moją powinność.

Odrzuciła poniewierający się dziecięcy pantofelek i osunęła się na Ollie'ego, odchylając mu głowę w tył. Na kredensie kółko w klatce skrzypiało pod kroczkami chomika, który zupełnie się rozbudził.

*

– Świece – Ken przytaknął z uznaniem i zasiadł do stołu.

– Powinniśmy mieć je częściej.

– Podoba ci się? – Światła były przygaszone. Ann podniosła pokrywę znad *coq au vin*. – Ken, chcę cię o coś zapytać.

– Wiesz co? Bądźmy romantyczni.

Zerwał się od stołu i podszedł do adaptera. Wyszukał spośród płyt jedną Simona i Garfunkela.

– Pamiętasz, kiedy pierwszy raz to słyszeliśmy?

– U Boba i Jenny. – Uśmiechnął się. – Byłaś tam, przeglądałaś płyty i czułaś się piątym kołem u wozu tak samo jak ja. W tej czerwonej sukience z czymś przy dekolcie.

– Posłuchaj, Ken...

Włączył stereo. W całym domu światła zgasły.

– Niech to diabli!

Viv i Ollie leżeli na kanapie, spleceni rękami i nogami. Rozrzucone części garderoby wały się po podłodze. Było cicho poza tym, że po kółku drapał się, drapał chomik.

– Dostatecznie prymitywnie dla ciebie? – zapytał w końcu Ollie.

– Słuchaj, mam ci coś do powiedzenia.

– Och, nie! Więc tyś mnie urabiała! – machnęła ręką w stronę rozsianej bielizny.

– Nie. Po prostu tak mnie to rozhecowało. Powiedzieć ci teraz?

– Mów. I skończmy już z tym.

Położyła głowę na jego piersi. Policzką czuła bicie jego serca. Powiedziała: – Chcę urodzić dziecko dla Ann.

– Co? Podniosła głowę.

– To nagle wydało mi się takie oczywiste. Postaralibyśmy się o dziecko jak dla siebie. – Umilkła i po chwili dodała ciszej: – Mogłabym to zrobić, Ollie. Moglibyśmy.

– Chcesz... Co?

– Urodzić dziecko dla niej. Obmyśliłyśmy to. Mogłabym wziąć parę miesięcy urlopu, karmić je piersią przez sześć tygodni i...

– Obmyśliłyście? Kto?

– Ja i Ann. Dzisiaj przy obiedzie.

– Nie mówisz poważnie.

– Mówię poważnie. Jak nigdy w życiu. Odsunął ją od siebie i długo patrzył jej w oczy. – Co? – zapytał jeszcze raz.

– To jest możliwe. Ollie. Wiem. Pomyśl, jak ona się czuje. Wobec takiej ostateczności. Takiej beznadziei. – Mówiła powoli. Przerabiała sobie w duchu tę scenę przez cały dzień, ale teraz nie pamiętała ostatecznych sformułowań. – Ona myśli, że zwariuje.

– To ty już wariujesz.

– Akurat wtedy, gdy była pewna, że tym razem wszystko pójdzie dobrze... Viv usiadła przy Olliem. Spojrzała na niego słuchającego bacznie, na jego potargane brązowe włosy, – Myślisz, że co to jest dla niej? Widzieć, jak nasze dzieci rosną. Jak rosną dzieci wszystkich.

Siedzieli na kanapie. Ulicą przejechał samochód. Chomik chrobotał.

– Ollie, rzeczywiście można pomóc jej, zmienić komuś życie. Czy nie rozumiesz?

Nie odpowiedział.

Mówiła coraz prędzej. – Ty i ja zawsze rozmawiamy, wszyscy rozmawiają, słowa, słowa, słowa i na tym się kończy. No, wreszcie możemy rzeczywiście coś zrobić. – Podniosła rękę, odwróciła twarz do jego twarzy. – Czy nie rozumiesz, jakie mamy szczęście i jak bardzo to jest niesprawiedliwe? Czy nie rozumiesz, że z łatwością możemy czemuś zaradzić tylko dlatego, że ja jestem kobietą?

– Nie.

– Tylko dlatego, że ja jestem kobietą – powtórzyła – mogę zdecydować. My, kobiety, mamy cudowną wolność w takich sprawach.

– Wolność? Zajście w ciążę?

Przytaknęła, skoncentrowana całym ciałem, każdym włóknem, każdym nerwem.

– Posłuchaj, Ollie – ujęła jego twarz w stulone dłonie, ale on jej się wyrwał. – Możemy to zrobić – powtórzyła – możemy.

– Daremnie próbowała rozszyfrować wyraz jego twarzy.

– Chyba się ubiorę. – Odsunął się na bok, sięgnął na podłogę i włożył slipy. To go

oddaliło, uczyniło ją jeszcze bardziej nagą. Usiadł znowu, ale na drugim końcu kanapy.

Z oczami spuszczoneymi czekała. Jak gdyby po raz pierwszy w życiu spotkała go dziesięć minut temu. Wstrząśnięta, uświadomiła sobie, że on może być tak nieznany po czternastu latach, w ciągu których był jej najbliższym przyjacielem.

– Jesteś nadzwyczajna – powiedział w końcu. – A ja myślałem, że cię znam.

Spośród swoich rzeczy na podłodze wygrzebała papierosy. Zapaliła. Zaciągnęła się, wypuściła nozdrzami dym.

– Znasz mnie przecież.

– Chcesz, żebyśmy mieli dziecko i tak po prostu oddali je Ann i Kenowi.

Nagle chwyciła go za rękę.

– Czy to nie cudowny pomysł? Czyż to nie podniecające?

– Nie poruszył tą ręką. – Wciąż tylko mówimy o... ach! Ależ byśmy zburzyli te stare systemy. Rodzice pionierzy. Jest era atomowa. Eksperymentalnie byśmy...

– Więc to eksperyment – Nie! – wykrzyknęła – to jest pewniak! – Umilkła, po czym zniżyła głos. – Mógłby być. Zależy tylko od nas.

Potrząsnął głową.

– Nadzwyczajna kobieta. – Na pół się uśmiechał, ale to ją niepokoiło. – Może oszczędźmy sobie fatygi i dajmy im Daisy?

– Uniósł brwi, przybrał ton swobodniejszy: – I dorzucimy do niej komplet laufrów z widokami Londynu i trochę znaczków Green Shield? Skoro już o tym mowa, mleczarz wydaje się samotnym facetem, więc moglibyśmy dać mu Rosie. Nie – podniósł rękę i głos – nie. Rosie wystawimy na licytację, a także miejsce, z którego się wzięła...

– Ollie!

– Ogłosimy się na Żółtych Stronicach: *dostawa wszędzie na obszarze Londynu*.

– Ollie!

Umilkł, oddychając ciężko. Potem wybuchnął śmiechem. Uśmiechnęła się ostrożnie. Pochylił się, trzęsąc ze śmiechu, i oparł głowę na rękach. Widziała guzy jego stosu pancerzowego i długie szczupłe uda. Równie dobrze mógłby w tej pozycji szlochać. Tak się tą myślą zdenerwowała, że już nie wiedziała, czy on się śmieje, czy płacze.

– Ollie – powiedziała łagodnie – porozmawiaj ze mną. Powiedz mi, co myślisz.

Ale nadal tak siedział z twarzą ukrytą. Ostatecznie podniósł głowę. Wyglądał zupełnie inaczej, jakby twarz mu się rozpadła i na nowo została złożona.

– Wiesz co, Viv? Nie miałem odwagi ci powiedzieć przez te wszystkie lata.

– Czego?

Patrzył jej w oczy. W końcu spuściła wzrok. Powiedział: – Przerażasz mnie.

Ken stał na drabince w hallu i majstrował przy bezpiecznikach. Ann trzymała zapaloną świecę.

– Cholerne korki – mamrotał. – Żeby właśnie w takim czasie.

– Biedny Ken.

– Śrubokręt proszę. Podała mu śrubokręt.

– Ojcowie chrestni, co za dzień! Najpierw Bob wyrznął w ciężarówkę, potem gaz się

ulatniał w tej ruderze w Eillesden. Potem... czekaj... komu ta opona siadła?

– Och, nie!

– Temu tu frajerowi.

Światła się zapaliły. Ann westchnęła i zdmuchnęła płomyk świecy. Jakżeby mogła porozmawiać z Kenem teraz?

– Przepraszam. – Zszedł z drabinki. – Zepsułem tę uroczą kolację.

– Wcale nie jest zepsuta – skłamała.

*

Powiedziała mu o tym po ciemku w łóżku. Przedtem modliła się w czarną ciemność, żeby on słuchał, żeby tylko dał jej skończyć mówić... Raz po raz wysuwała stopy spod chłodnego rąbka kołdry. Koc elektryczny był włączony, więc zrobiło się gorąco. Dziwiła się: jak mogę myśleć o tym, że mi jest gorąco, w takiej chwili? Ale myślała też i o tym, jak pod kołdrą dobijała targów z Bogiem przed laty, i myślała o Kenie, jak jego ciało łączy się z jej ciałem – och, setki, setki razy. Ciałem cię wielbię. Pod kołdrą oplatają się ciepłymi kończynami. Usta przy ustach. Tak poczyna się życie.

Zaczęła:

– Ken...

– Mmm... – Poruszył się sennie.

– Ken. muszę z tobą porozmawiać.

– Teraz?

– Wydaje się, że nigdy nie jest właściwa chwila. Odwrócił się do niej. – O co chodzi?

– O dziecko.

Milczał dość długo. – Przykro mi, Ann. Nie mogę się zdobyć na adopcję.

– Już i tak za późno. Dzwoniłam, wiesz, tam do nich.

– Co? Kiedy?

– Wczoraj – odpowiedziała. – Granica wieku dla kobiety to trzydzieści pięć lat.

Pozostawałby nam niecały rok.

– Jesteś tego pewna?

– Tak.

– Niemożliwe. Ja do nich zadzwonię.

– Już za późno.

– Niemożliwe.

– Przecież stanowczo nie chciałeś.

– Ale... och, Annie.

– Nieistotne – powiedziała.

– Istotne!

– Już za późno, nieistotne. – Zacerpnęła tchu. – Przynajmniej nie musi być istotne.

– Co?

Już jej wzrok oswoił się z ciemnością i mogła widzieć zarysy Kena obok siebie. Ale wpatrywała się w sufit.

– Czy uważałbyś, że to adopcja, gdyby Viv urodziła nam dziecko?

Tearz spojrziała na niego. Za jego głową pulsowały zielone cyfry budzika 11. 51 i zaraz 11. 52. Ken powiedział: – Ty żartujesz.

– Nie, Viv też nie żartuje. Poczula na czole jego rękę.

– Kochanie, Annie, prześpij się.

– Ona to traktuje poważnie.

Nagle usiadł i zapalił światło. Zamrugła, zobaczyła jego twarz.

– Co Viv kombinuje?

– Myśli poważnie.

– Jakież jej sztuczki.

– Co?

– Nabija ci głowę diabli wiedzą czym.

– Nie. Przemyślała to.

– Och, czyżby? – Głos mu się podniósł do pisku. – Dziwne przemyślenie. Jednak z jej strony nic mnie nie zaskoczy. Jest zdolna do wszystkiego.

– Ken...

– Masz o wiele za dużo rozsądku, żeby jej słuchać.

– Ale myśmy to omówiły. Ona się zaofiarowała. Urodzi je i wykarmi piersią...

– Dość tego!

– Ale...

– Oszczędź mi tych brudnych szczegółów.

– Nie gniewaj się. Ja tylko... – Patrzyła, jak mu twarz czerwienieje.

– Wy obie czasami... – urwał. – Co wy, dziewczyny, uknułyście?

– Nie nazywaj nas dziewczynami.

– W co ona się bawi, do diabła?

– Wyjaśnię ci...

– Jutro mi wyjaśnisz.

– Ale...

– Nie teraz. Proszę – Objął ją. Głos mu złagodniał. – Słuchaj, nie chciałem wrzeszczeć, po prostu nie chcę, żebyś się denerwowała. Przecież to o ciebie się martwię, kochanie.

Głaskał ją po rękę, odciągając rękaw jej nocnej koszuli. Zżymała się, ale leżała nieruchomo. Głaskał ją, kręcił głową, uśmiechał się słabo. Gdyby tylko przestał patrzeć tak na nią... Uznała jednak, że nie powinna się odsunąć.

– Tyle przecierpiałaś – powiedział. – Zapomnijmy na razie o twojej siostrze. Już nie myślmy o tym wszystkim. – Pocałował ją w policzek. – Przecież to ciebie kocham, pamiętaj.

Zmusiła się, by go objąć. Po raz pierwszy w ich małżeństwie, gdy pieszczotliwie dotknął jej piersi, poczuła się jak dziwka. Pochyliła się nad nim i zgasiła lampkę.

*

Niemowlęta raczkują jedne na drugich, sterty niemowląt. Kwilą cicho. Pucółowate. Krzywe kończyny i błyszczące oczy. W tej sali wysokiej, błękitnej jak niebo, czy im nie

chłodno? Jak tu szukać wśród nich? Panika coraz większa. Bo te golaski wszystkie jednakowe. Na każdej rączce – och, takiej aksamitnej! – tatuaż. Trzeba się nauczyć ten tatuaż odczytywać, bo któreś z nich jest moje. Z bliska widać tylko jakieś zakrętasy, nic nie znaczące. Ale wiem, że gdzieś tutaj wytatuowane jest moje imię i to niemowlę będzie moje. Ale czasu coraz mniej i już muszę stąd wyjść. Muszę zabrać je do domu.

Viv raptownie się obudziła. W domu było cicho, wiedziała, że dziewczynek nie ma. Popchnęła Ollie'ego. Nie obudził się. Potrząsnęła jego ramieniem.

– Ollie! Gdzie są dziewczynki?

Odwrócił głowę. – U Julie, nie pamiętasz? – Usiadł i zapalił światło. – Pojadę po nie przed śniadaniem.

Spojrzeli na zegar. Dochodziło wpół do trzeciej. Zgasili światło i znów ułożyli się do snu.

Po chwili Viv myślała, że Ollie już śpi. Myliła się, pociągnął kołdrę i odsuwając się przewrócił na drugi bok. Tyłem do niej powiedział zdumiewająco dźwięcznie: – Viv...

– Co?

– Czy nie rozumiesz?

Kołdra się poderwała, gdy odwrócił się do niej z powrotem. Kolanem zawadził o jej kolano.

– Przepraszam – powiedziała. W ciemnościach nie mogła go widzieć wyraźnie. Ponieważ nie było dziewczynek, zgasili światło na podeście schodów.

– Jedno w tym wszystkim chyba uszło twojej uwagi.

– Co mianowicie?

– Wiesz doskonale, że... – westchnął – że kiedy urodzisz, jeżeli urodzisz...

Cisza.

– To co?

– Nie zdołasz zrezygnować ze swojego dziecka. Znowu cisza.

– Wiesz o tym – powiedział. – Prawda?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W całym Londynie ludzie podążali do pracy. Zimowy poranek był ciepły – plucha. Dziewczyny patrzyły z okien autobusów, pocierały rękami zamglone szyby. Na jezdniach tworzyły się korki: warkotały niecierpliwie silniki i radia samochodowe bełkotały różnorako. Serce miasta biło coraz szybciej. Nie wiedziało, że Ollie’ego boli głowa po tanim winie wypitym w poprzedni wieczór i po dezorientującej rozmowie z żoną. Zstępując do tunelu kolei podziemnej, Ollie poczuł się połknięty. Facet, który stał przed nim na ruchomych schodach, nie wiedział tego i dziwne, ale to nie sprawiało żadnej różnicy. Po chwili wpatrywania się w jego bezrozumny kark Ollie przeniósł wzrok na reklamy napęczniałych kalesonów i amerykańskich musicali – *Wspaniały Rok Czwarty* – a potem na fotografię twarzy kobiecej i poniżej napis: *Czy lękam się o moją ciążę?*

*

Ken wszedł cło swego biura, przyczepy na warsztatowym podwórzu. Archie już tam był, przeglądał pocztę.

– Aleśmy mieli wczoraj dzionek. Jak po grudzie – powiedział Archie. – Wieczorem bym się nie zdumiał, gdyby mi moja pani oznajmiła, że spodziewa się czworaczków.

– Czworaczków? – Ken powiesił płaszcz.

– Jeżeli tak, trzyma to w tajemnicy.

Przed Kenem rozciągał się dzień dowcipasów, inspekcji w czterech remontowanych domach i poleceń z centrali. Czy możliwe, że świat wydaje się zupełnie normalny?

Viv siedziała przy Yvonne. Czytała jej wypracowanie. Yvonne pachniała wodą kolońską i papierosami, aż mdliło.

– *Pan Rochester jest macho* – czytała – *jak wulkan przed eksplozją*. – Wskazała to słowo. – Powinno być *wybuchem*.

Yvonne wzruszyła ramionami. Viv nieznacznie odwróciła rękę, żeby spojrzeć na zegarek. Koniec lekcji za dziesięć minut. Chciała zadzwonić do Ann, dowiedzieć się, jak Ken zareagował. Czy eksplodował, wybuchnął? Czy w ogóle odważy się zadzwonić?

Ann telefonowała do Viv, ale za pierwszym razem w pokoju nauczycielskim nikt nie odbierał, a za drugim razem ktoś jej powiedział, że Viv jeszcze ma lekcję. Spróbowała skoncentrować się na swojej pracy.

Gdy znów podniosła wzrok, zobaczyła ojca. Stał w jednym z okienek dla klientów. Zerwała się od biurka i podbiegła.

– Tatusiu! – uśmiechnęła się zza szyby. – To miła niespodzianka.

– Tak sobie pomyślałem, no, że wpadnę.

Wpatrywała się w niego. Przez chwilę myślała, że on na pewno wie i dlatego przyszedł. Ale to niemożliwe. Pobiegnęła naokoło do zamkniętych drzwi biura i otworzyła je.

– Zamykasz się przede mną? – zażartował Douglas.

– Straszne, prawda? – wskazała ten elektroniczny zamek. Rozejrzał się wchodząc. –

Śliczna dekoracja.

– Zafundowaliśmy sobie to... och, trzy lata temu. Napijesz się kawy?

– Przeszkadzam ci?

– Oczywiście, że nie – zapewniła z uśmiechem. Rzadko widywała swego ojca, a i to przeważnie w domu Viv.

Wskazał okienka dla klientów. – Powinienem być tam.

– Oczywiście, że nie. Milczał. Nalała kawę.

– Przyszedłem, bo... – Wziął kubek. – No, o coś chciałbym cię zapytać.

– O co?

– Mała sprawa... urzędowa.

Patrzyła na niego. Zmarszczki i siwe włosy. Mama miała rację co do tych faworytów.

– Zamierzasz wykupić swoje mieszkanie, tatusiu? – zapytała. Mieszał cukier w kawie, patrząc w głąb kubka.

– Niezupełnie. Ja... no, myślę o przeprowadzce.

– To podniecające.

– Tylko myślę.

– Dokąd?

– Decyzja jeszcze nie ostateczna. – Odłożył łyżeczkę i spojrzał na nią. Od lat, pomyślała, na mnie nie patrzył i rzeczywiście nie pytał o nic. – Więc jak uważasz?

– To zależy od wysokości pożyczki i okresu spłacania – odpowiedziała.

– Więc nie odesłaliby z kwitkiem takiego starca jak ja?

– Jeżeli mi podasz, tatusiu, bliższe dane, zrobię orientacyjne obliczenie.

– A czy byś mogła szepnąć w mojej sprawie słówko temu, jak mu tam, Derekowi?

– Mogę w to wejrzeć.

– Możesz?

Uśmiechnęła się. – Taka jest moja praca.

– No jasne, oczywiście. – Uśmiechnął się do niej pośpiesznie. Wiedziała, że teraz, gdy już uzyskał informacje, wstanie i wyjdzie.

Wstał, postawił kubek z nie dopitą kawą. – Zrób coś dla mnie, kochana.

– Chętnie.

– Niech to zostanie między nami, tylko między tobą i mną. Odprowadziła go do wyjścia. Pocałował ją lekko w policzek.

Stała patrząc, jak on odchodzi w stronę centrum handlowego. Raz się obejrzał i pomachał do mej ręką, po czym szedł dalej. Patrzyła na niego i gdy zniknął jej z oczu, patrzyła na przechodniów, którzy go zasłonili. Co on zamyśla?

Może to wszystko sen. Ojciec wcale nie przyszedł, ani Viv wczoraj nie siedziała w swoim zagraconym samochodzie i nie powiedziała, że... Poranek wydawał się jakiś wytrącony z codzienności.

W biurze podeszła Janinę. – Szukałam ciebie. Twoja siostra przed chwilą dzwoniła.

– Do licha!

Janinę uniosła brwi. – Wolnego. Powiedziała, że urwała się tylko na chwilę i jeszcze

zadzwonili.

To nie była wina ojca, oczywiście. A jednak Ann poczuła, jak ją ogarnia fala czegoś, co kazała sobie nazwać zwykłą irytacją.

Ann jeszcze nie wróciła. Ken spojrzął na zegarek i wypił piwo. Wałęsał się po saloniku, stanął przy oknie. Roślina, kupiona przez Ann w niedzielę, już zaczynała więdnąć. Dotknął ziemi w doniczce: mokra. Ann zawsze za dużo podlewa, tak mówi jej siostra. Roślinom Viv wspaniale służy zaniedbanie.

Jak zwykle na myśl o szwagierce przeszło po nim mrowie. Wielką ulgą było w niedzielę wieczorem znaleźć się znów w swoim domu, miłym domu. Wypił piwo do dna i postawił szklankę na stole. Brzęknęła. Ze zdumieniem zobaczył, że ręka mu się trzęsie.

Usłyszał trzaśnięcie. Wyjrzał przez okno. Przerazająco blisko Ann uśmiechała się do niego, otwierając drzwi frontowe.

– Cześć. – Weszła do saloniku. – Wróciłeś tak wcześnie.

– Rozmawiałaś z Viv?

Kiwnęła głową. – Mówiłam ci, Ken. Ona traktuje to poważnie.

– Z nim do spółki?

– Nie. To jej pomysł. – Ann usiadła na kanapie. Ken nadal stał przy oknie.

– Wyobrażam sobie – powiedział – stanowimy godny ich zainteresowania przypadek.

– Oczywiście, że nie...

– Rozповідаją swoim przyjaciołom. Prawdopodobnie ogłoszą to w tym jego magazynie.

– Ken...

– Pamiętasz, jak pojechaliśmy we czworo do Salcombe i on chciał sam zapłacić za hotel?

– To nie jest tak.

Czuł, że podnosi głos, ale nie mógł się powstrzymać. – Myślisz, że oni nam je dadzą jak prezent na Gwiazdkę?

– Nie!

Zapalając papierosa, nadal stał do niej tyłem, żeby nie widziała, jak ręce mu się trzęsą. – Właściwie co Viv planuje? To nielegalne, wiesz. Tego pewnie nie wzięła pod uwagę. Jak te kobiety w gazetach.

– Nie, to będzie po cichu...

– Będzie? Będzie, będzie? Wszystko już ustalone, co?

– Nie! Musimy porozmawiać!

– Nie musimy! – wrzasnął. – W ogóle zapomnijmy o tym! Głęboko zaciągnął się dymem papierosa, wpatrzony w tę roślinę. Dwa pąki odpadły.

– Coś ci powiem. Wolałbym dziecko adoptować niż mieć od nich.

– Ale nie możemy adoptować. Już za późno na zgłoszenie. – Rozszlochała się głośno, zgrzytliwie. od lat takich szlochów nie słyszał. – Tobie to dobrze, ty możesz mieć dziecko! Z każdą... z tą z księgowości...

Odwrócił się do niej. – Ann! Twarz miała czerwoną i mokrą.

– I z tą jak jej tam z Klubu Młodzieży. Gdybyśmy się rozwiedli...

– Co takiego?

– ... mógłbyś zacząć wszystko od początku! Podbiegł i usiadł przy niej, ale ona wstała.
– Co ci chodzi po głowie? Rozwód? – zapytał. Stojąc, patrzyła na niego z góry.
– Mówisz, że się martwisz o mnie... że nie mogę się zadrećzać... że nie można dopuścić, żeby Viv mnie denerwowała... a tak naprawdę myślisz tylko o sobie... Z tą swoją głupią, głupią dumą!

Usiłował ją objąć, ale mu się wyrwała.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nazajutrz było głośno od wiatru i słonecznie. Viv nieomal słyszała, jak w niej krew śpiewa. Czowała się sprawna, silna i szczęśliwa; nie może być rzeczy niemożliwych. Pierwszy dzień marca. Wiatr porwał ostatnie jej wątpliwości, gdy grzebała w ziemi, usuwając żdzbla perzu. Odrzucała je. Blade cienkie pasemka nie zdołają jej pokonać. Nic nie zdoła. W podmuchach wiatru zapachniało zupą pomidorową. W górze, ilekroć podniosła głowę, widziała zawrotne niebo.

Słowa – też je odrzucała. Cała ta gadanina przez ubiegłe dwa wieczory. Zaledwie parę dni temu – wydawało się, że to już rok temu – w ośrodku ogrodniczym powiedziała: *wszystko jest możliwe*. Czy rzeczywiście tak myślała? Ale naprawdę można spowodować wszelkie wydarzenia, byleby tylko w taką możliwość się wierzyło. Wspomniała twarz Ann siedzącej tam na ławce, wybieloną światłem jarzeniowym, jej sweter zapięty na wszystkie guziki, jakby ktokolwiek mógł zapiąć się definitywnie w bezpiecznym smutku. *Viv, ty zawsze potrafiłaś spowodować wydarzenia*.

Wykopała płytki rów i otworzyła opakowanie bobu. Zaczęła wtykać ziarna jedno po drugim w ziemię zygzakowato. Tę część zadania lubiła najbardziej. Potem zawróciła wzdłuż rowu, człapiąc w tęczowych gumowych butach oblepionych błotem. Z daleka dolatywało pokrzykiwanie dziewczynek. Raz wyjątkowo na działce nie jest im nudno, kipiały energią tak samo jak ona.

Bób został posadzony. Wyprostowała się i mignęły jej niebieskie kurtki z kapturkami; dziewczynki bawiły się w berka za chatką. Gdy odwróciła się w stronę parkingu, zobaczyła Kena.

Szedł do niej. Stała nieruchomo. Jeszcze by jej nie dosłyszał, więc milczała, zarumieniona. Kącikiem oka patrzyła, jak on przestępuje kałuże. W garniturze wyglądał tu nedorzecznie. Wszedł między tyki fasoli, na których powiewały zeszłoroczne szmaty.

Wreszcie był już dostatecznie blisko.

– Hej! – zawołała – Dzień dobry. – Podszedł do niej i rozejrzał się. – Właśnie przejeżdżałem tędy, więc myślę sobie, wpadnę.

Tylko przejeżdżał? Spojrzała na dalekie fabryki na tym odludziu. Uśmiechnęła się, żeby dodać mu odwagi.

– Remontujemy dom w pobliżu – powiedział. – Zobaczyłem twój samochód tam. I wiem, że dziś nie ma szkoły. Czytałem w gazecie.

Potakiwała.

– Dziwne, że ty się nie przyłączyłaś.

– Do tej demonstracji?

– No, bo jesteś taka rozpolitykowana.

– Dzisiaj nie jestem. – Znow się uśmiechnęła i pochyliła nad swoją torbą. – Chcesz pomarańczę?

– Hmm... nie, dziękuję. Na pewno ci nie przeszkadzam? Potrząsnęła głową. – Marzyłam

o jakimś pretekście, żeby zrobić sobie przerwę.

Po chwili powiedział: – No i ja się zjawiłem.

– Nie byłeś tutaj od wieków, prawda?

– Od czasu tych ostów. Mnóstwo pracy wkładasz w swoją działkę.

– Kiedy coś zaczynam, potrafię się uwziąć.

Umilkli oboje. Patrzyli na brązowe spody liści brukselki, które odgarniał wiatr. Ken miał na butach falbanki z błota.

– Czujesz, jak pachnie zupa? – zapytała.

– A owszem, kiedy już o tym mowa. Wskazała fabrykę.

– Przyczynek do ochrony przyrody – powiedział.

– Dużo moich uczennic tam pracuje. Zapach zupy wywołuje we mnie poczucie kłęski.

Przez tyle lat je uczę, a one łądają przy puszkach z jarzynową w proszku.

– Nie twoja wina. Westchnęła.

– Słowa. Tyle tych wszystkich słów i guzik im to dało.

– Nie mów tak.

– Ja się wyzwoliłam, rozumiesz? Gdybym nie miała rozumu, też bym tam pracowała.

– Bzdura.

– Oczywiście, one pracują tylko dopóki nie wyjdą za mąż i nie urodzą dzieci.

Zabrzmiało to, zawisło w powietrzu i nie chciało się rozwiać. Patrzyła na swoje gumiaki, na rozmazane spirale zielone i pomarańczowe. Już nawet błoto na nich wyglądało uczciwiej niż te kolorki. Ken odchrząknął. Otworzyła usta, żeby mu powiedzieć. Ale tylko zapytała: – Oprowadzić cię tutaj?

– Bardzo proszę.

Poszła pierwsza alejką i zatrzymała się przy spłachetku spulchnionej ziemi. – Tu będzie bób – powiedziała. – Bób potrzebuje sporo nawozu. – Kącikiem oka widziała, jak on grzecznie potakuje. Wskazała inny spłachetek. – Zagon sałaty i marchwi.

– I dodała: – Jeszcze mało jest do oglądania.

– To bardzo interesujące.

– Nie wszystko, prawdę mówiąc.

Zatrzymali się. Zaczepnęła tchu i odwróciła się do niego.

– Ken...

Zawyła fabryczna syrena.

– To już ta godzina? – Spojrzał na zegarek. – Obowiązek mnie wzywa.

– Ken...

– Muszę tup tup...

Zanim zdążyła się odezwać, odwrócił się i szybko odszedł. Nie patrzyła na niego. Te jego odwiedziny na działce wydawały się wtargnięciem. Obojgu.

Jeszcze nie zaczęła obierać swojej pomarańczy. Teraz gniewnie wbiła paznokcie w skórkę.

Ann zdjęła pantofle, bo piły. Szpilki beżowe z paskami zapinanymi na kostce. Impulsywnie kupiła je wczoraj. Były o wiele za drogie i pocieszyły ją tylko chwilowo. Znad biurka spojrzała na zegar. 1. 15. Ze swojego gabinetu wyszedł Derek. Po drodze wkładał marynarkę.

– Nie wychodzisz? – Zatrzymał się przy niej.

– Czekam na Kena. Umówiliśmy się bez godziny, że zabierze mnie na obiad. Chcemy kupić magnetowid.

– Tylko nie kupujcie takiego jak mój. Zawsze nagrywa nie to, co trzeba. Wszystko przygotowane, kolację mam na kolanach, włączam tę cholere i co? Druga połowa boksu wagi średniej. – Uśmiechnął się. – Nie przyczynia się do harmonii w małżeństwie.

Ann znów spojrzała na zegar. – Może on zapomniał.

– Ken nigdy nie zapomina.

– Nigdy – potwierdziła z powątpiewaniem. – Nie nasz Ken. Derek wyszedł.

Wzdrygając się, Ann włożyła pantofle, żeby być gotowa.

*

Godzina 1. 25. Ken zamówił następne piwo. Knajpa obskurna, ale on zasługuje na przygnębiające otoczenie. Przez matową szybę słyszał samochody na Willerden High Street. To była najbliższa knajpa w okolicy działek.

Przypięta za barem fotografia seksbomby z obnażonym biustem reklamowała orzeszki KP. Seksbomba patrzyła na niego wyzywająco, gdziekolwiek kierował wzrok. Zapalił jeszcze jednego papierosa.

*

Dziewczynki zjadły piknikowe drugie śniadanie. Znów odbiegły. Viv nie mogła sobie znaleźć miejsca, chodziła wzdłuż działek, zaglądała do cudzych ogródków, porządniejszych niż jej. Staruszek w szelkach przekopywał rów. Ona nigdy nie kopała dwa razy, chociaż wiedziała z książek ogrodniczych, że powinna. Jakiż nienaganny jest ten człowiek. Czy już za stary na powikłania, na bałagan? Rano czuła się silna i giętka, teraz była zdezorientowana i nawet myśl o kopaniu ją męczyła.

Na dziedzińcu fabryki siedziały postacie w kombinezonach. Viv podeszła do siatki ogrodzenia. Zobaczyła Mo, której siostra Tracey była w szóstej klasie.

– Głupia dziwa – powiedziała Mo siedząca na bębnie po nafcie. – Pani będzie ją widziała w piątek?

– Na drugiej lekcji, jeżeli przyjdzie.

Mo poczęstowała Viv przez siatkę gumą do żucia i znów usiadła. – Czy ja pani już mówiłam, że mieszka z tym facetem? Skinieniem głowy Viv odpowiedziała, że tak.

– Młeczkarz mówi do niej „proszę pani”, kiedy ona mu otwiera drzwi w szlafroku. I w pięć minut potem wybiega w szkolnym mundurku.

Viv zrobiła minę, rozwijając sreberko gumy do żucia.

– Siostry – powiedziała Mo – same z nimi kłopoty. Pani ma?

- Jedną.
- Jest z facetem?
- Zameżna.
- Lubi go pani?

Viv wzruszyła ramionami, po czym przytaknęła. Mo uściśliła swoje pytanie: – To znaczy, czy jest nudny? Viv przez chwilę żuła gumę. – Niezupełnie nudny – określiła Kena. – Obliczalny.

*

Godzina 1. 40. Ken wychylił do dna trzecie piwo. Za jego plecami coś załaskotało. Poderwał się, ale to była tylko wygrana jakiegoś hazardzisty przy automacie.

Zdusił niedopałek i wstał.

*

Jakie to proste być starym i w szelkach. Przekopuje się glebę dwa razy, a potem już czas na podwieczorek.

Na Ziemi MiMijej wszystko jest możliwe – możesz jeździć na koniu, któremu wyrastają skrzydła tuż za twoimi udami, skrzydła objijają się o ciebie i słyszysz, jak trzepoczą, jak skrzypią. Tyranizujesz swoją siostrę, ciagniesz ją ze sobą, jakbyś zwyczajnie wybierała się do sklepów. Albo możesz po prostu mocno zamknąć oczy, patrzeć na światełka przepychające ci się pod powiekami i już zaraz będzie podwieczorek.

Viv siedziała na trawie przed swoją chatką i paliła papierosa, który z pewnością szkodził bardziej niż podwieczorek. Pamiętała, że zanim zjawił się Ken, spojrzała na zegarek i pomyślała: za pięć druga, powinnam wracać do domu, załatwić sprawunki. Teraz też podniosła wzrok i oto Ken w ciemnym garniturze znów szedł ku niej. To było jak replay.

Tym razem zerwała się na równe nogi i wybiegła mu na spotkanie.

– Viv – powiedział – musimy porozmawiać.

Rozejrzała się. Jej sąsiad o kilka jardów dalej dokonywał inspekcji swojej działki. Może tak łązić dosyć długo.

– Wejźmy do chatki – powiedziała. Gdy tam weszli, przybiegły dziewczynki.

– Wujaszek Ken! – wykrzykiwały.

Ken pogrzebał w kieszeni i wyjął dwie paczki fistaszków. – Może bądźcie wiewiórkami – zaproponował. – Biegnijcie... nie... hopsajcie na piknik fistaszkowy.

*

Ann siedziała w barze śniadaniowym i jadła sałatkę. Pantofle ją piły. Za taflową szybą przechodzili ludzie z zakupami. Na przystanku autobusowym tworzył się ogonek. Gdy znowu tam spojrzała, autobus odjeżdżał i na przystanku było pusto. Słońce świeciło, jak wszyscy to stwierdzali przez całe przedpołudnie; czuło się, że jest pierwszy dzień wiosny.

*

Ken wsunął jedną doniczkę w drugą. Stał na pół odwrócony, ta chatka była mała, więc gdy odwrócił się do Viv przodem, omal się nie dotykali.

– Viv, przystąpię od razu do rzeczy. – Zapanowała cisza. Zajął się wkładaniem następnych doniczek jedna w drugą, robił z nich wieżę. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Powiedz, co czujesz. No, co czujesz? – Nie mogła patrzeć na niego, patrzyła na podłogę usianą starymi komiksami.

– Czuję... och, to takie trudne.

– Słuchaj, Ken. Oboje kochamy Ann. Przytaknął.

– Bardzo – powiedziała.

– Tak.

– Jest możliwość, żeby Ann była szczęśliwa. Konkretna możliwość. – Mówiła coraz szybciej. Szczęście Ann zależało od niej.

– Ja mogę rodzić dzieci. Aż za lekko. – Byłoby lepiej, gdyby usiedli, ale nie mieli na czym. – To niesprawiedliwe, prawda? Ja nawet przez dużą część mojego dorosłego życia starałam się zapobiegać. I inne dziewczyny w college'u także. Pamiętasz?

– Co?

– Na uniwersytecie. Te aborcje. – Patrzyła mu w oczy. – Nie wiedziałeś?

Potrząsnął głową.

– Ann nigdy ci... ?

– Nie – odpowiedział.

– Może myślała, że byłbyś zgorszony. W każdym razie ja to zrobiłam. Dwa razy. Chyba byłam trochę za lekkomyślna. No, ale było, minęło.

Stał przy półce. Wziął kłęb splątanego sznurka i zaczął go rozplątywać. – Nigdy nie rozmawiałem z tobą o... no, o czymś takim.

– Zabawne, prawda? – zapytała.

– Nie ma po temu okazji.

– Nawet wtedy, gdy... – urwała – nawet ... no, wiesz...

– Tak. – Palce Kena pracowały nad sznurkiem. Powiedziała: – Nawet w tamtym strasznym okresie, kiedy mogliśmy się do siebie zbliżyć. Przytaknął.

– W każdym razie – powiedziała – to już przeszłość.

– Przeszłość, ale nie poszła w niepamięć.

– Oczywiście, że nie. – Patrzyła na te zabłocone komiksy.

– Nigdy o niej nie zapomnimy, Ken. Ona się urodziła, była rzeczywistą osobą.

Ken wyrzwał przez małe brudne okienko. Za nim uchylone drzwi skrzypiały kołyszac się z wiatrem, ale Viv nie odważyła się ich zamknąć. Nie mogła się ruszyć. Patrzyła na wąsy Kena w blasku słońca.

Powiedział: – Trzymałem ją na ręku, wiesz?

– Wiem.

– Dali mi ją trzymać tak długo, jak chciałem. Ona była calutka, Viv. Wszystko miała w porządku. – Daleko przejechał pociąg. Z sąsiedniej działki doleciało gwizdanie sąsiada. – Była doskonała.

Położyła mu rękę na ramieniu. – Och, Ken...

– Tak czy owak, tym ostatnim razem myśleliśmy, że wszystko pójdzie dobrze. Naprawdę w to wierzyłem. Myślałem... że niemożliwe, żeby... Nie, nie mogło tak być. Kto by dopuścił, żeby znów to się stało? Kto byłby taki... ?

– Ken! – Mocno chwyciła go za rękę. – Nie myśl o tym. Nie będziemy przeszłości zaprzeczać ani udawać, że jej wcale nie było. Zaczynaj już myśleć o przyszłości. Ken, ja mogę rodzić tak łatwo jak... jak śliwki spadają z drzewa. Nigdy nie choruję... jestem wybitnie, wprost obrzydliwie zdrowa. Wprost przeżeglowałam przez moje ciążę. Kiedy każda inna jęczała, ja się upajałam. Nawet porody były dla mnie... cudowne. Potęga.

Urwała, żeby złapać oddech. Czuła się skąpiana blaskiem, rozgrzana aż po czubki palców. Nadal ścisnęła jego ramię, pragnęła, żeby dziewczynki trzymały się z daleka.

– Wiem – powiedział Ken – ale...

– Ale co?

– W żadnym razie bym nie mógł zgodzić się na to. – Patrzył jej w oczy. – Nie mógłbym.

– Ja mogę. Chcę. – Położyła mu drugą rękę na ramieniu, odciągnęła go od rozplątywania sznurka. Stali przed sobą twarzą w twarz. – Nie musisz czuć się winny. Naprawdę nie.

– Nie chciałbym tego.

– Nie. Więc nie czuj się winny.

– Chodzi mi tylko o dobro Ann. Chcę, żeby była szczęśliwa Jak dawniej.

– Możemy to sprawić.

– My?

Zatkało ją. Gwizdanie sąsiada nie ustawało. Musiała głośno odetchnąć – czy on to słyszy?

– Nie chcesz, żeby to było dziecko Ollie’ego. prawda? Milczenie. W końcu zapytał: – Mogę być szczery?

– Nieszczerość nie ma sensu.

– Więc nie chcę.

– Tak myślałam.

– Nie chodzi o... wiesz. Nie chcę wydawać się...

– Chcesz mieć swoje własne dziecko.

– Tak – odpowiedział po prostu. – Chcę. Ogromnie.

Stali w ciszy. Za Kenem wznosiła się jego wieża z doniczek.

– Ale jak?

– Och, muszą być sposoby – odpowiedziała.

– Ale jakie?

– Nie wiem... sposoby i środki. Metody.

– Jakie?

– Och. sztuczne. Jakieś tam. – Potrząsnęła głową. – Słuchaj, to nie jest ważne. Ważne jest tylko to, że jest możliwość. Już wiemy, że możemy tego dokonać.

Stali tam, patrząc na siebie. W końcu ona zdjęła ręce z jego ramion. Zostawiła mu na marynarce odciski zakurzonych palców.

*

Redakcja „Metropolii” była w Covent Garden. Ta wielka sala bez żadnych przepierzeń została tak zaprojektowana, by nieustraszenie wystawiać swoje systemy trawienne i nerwowe. Rury centralnego ogrzewania, różowe i cytrynowo-zielone prawie już niemodnie w stylu ostrego technicoloru, raziły Ollie’ego. Znów bolała go głowa. Znów zarwał połowę nocy, pijąc i kłócąc się z Viv.

Ellie, nowa siła w centralce telefonicznej, wracając z zakupami, podeszła do jego biurka i dała mu paczkę.

- Faj! – pociągnęła nosem.
- Ser brie. Dziękuję. – Zapłacił jej.
- Wygląda pan strasznie – powiedziała.
- Bardzo dziękuję. Niewiele sypiam ostatnio.

Uniosła brwi. Miała perukowato blond włosy związane z tyłu wstążką. – Raczej interesujące. – Westchnęła. – Wy to macie same przyjemności.

- My?
- Dziennikarze.
- Gdzie przedtem pracowałaś? – zapytał, zaczynając jeść kanapkę.
- W DHSS. W przerwie obiadowej wszystkie wyciągały roboty na drutach.
- Raczej nudziarstwo – powiedział.
- Więc teraz pan rozumie, dlaczego przyjechałam do Londynu.
- Urzędziłaś się już?

– Wynajęłam sobie pokój z tych naszych drobnych ogłoszeń. Zostawiła go i poszła do centrali. Diz powiedział, że ta dziewczyna swoim zdrowym akcentem Lancashire przydaje telefonowi redakcji wiarygodności. Ponadto Diz powiedział, że on, Ollie, spóźnia się z artykułem o problemach mieszkaniowych, więc niechże się przyłoży, stary taki owaki syn, bo to trzeba puścić w poniedziałek. Ollie złapał się za głowę.

Viv wrzuciła kapustę do zlewozmywaka i zmyła z rąk błoto. Ojciec czekał; żałowała, że przyszedł, chciała być sama, żeby przemyśleć rozmowę z Kenem.

- Nie ma ślimaków? – zapytała Daisy, wtykając palce w liście kapusty.

Rosie podeszła do Douglasa. – Chcesz zobaczyć moją ranę? – Podciągnęła nogawkę dzinsów.

– Ech, później, serduszko – powiedział. – Popatrz, co dziadzius tu ma. – Monety brzękały, gdy grzebał w kieszeni. Dał dziewczynkom trochę pieniędzy. – Może wyskoczycie za róg kupić sobie jakieś... – zniżył głos – słodczyce.

- Tato! – Viv spojrzała groźnie.

Dziewczynki wybiegły frontowymi drzwiami. Viv pomyślała: wszyscy dziś je przekupują. Douglas usiadł przy kuchennym stole, a ona włączyła czajnik.

– Viv, serduszko, chciałem z tobą trochę pogawędzić. – Odchrząknął. – Pewnie myślisz, że twój ojciec to zaskorupiały stary samotnik i już poza wszelkimi takimi kontredansami.

Wlepiła w niego oczy.

- Wiesz – ciągnął – odkąd matka i ja...

– Co się stało?

– Co byś powiedziała, gdybym ci powiedział, że... no, jeszcze raz idę w płasy?

– Nie!

– Nie patrz na mnie z taką zgrozą.

– Nie patrzę – powiedziała. – Boże! Przytaknął. – W starym piecu jeszcze diabeł pali.

Wpatrywała się w niego, w jego swojską, zniszczoną twarz, jego nieswojskie faworyty. Dzisiaj miał krawat, w dodatku.

– Kim ona jest? – zapytała. – Gdzie ją znalazłeś?

– W klubie.

– W tej twojej czwartkowej knajpie?

Przytaknął i zaczął przesuwac okruchy na stole. – Też po rozwodzie. Jak większość ich, oczywiście nie licząc wdów. Viv kręciło się w głowie. – Jak się nazywa? Podniósł rękę. – Jedno muszę ci powiedzieć. Nie jest Angielką.

– A kim?

– Pochodzi z Wiednia, ale tego prawie po niej nie widać. Na imię jej Vera.

– Gdzie mieszka?

– W Swiss Cottage na razie, ale myślimy o kupieniu niedużego mieszkania. – Przestał przesuwac okruchy i spojrzał na córkę.

– No?

Podeszła, przyłożyła policzek do jego łysiejacej skroni. To niewiarygodne, pomyślała. Wstał, wtedy go objęła.

– Gratuluję.

– Nie masz nic przeciwko temu?

– A cóż bym mogła mieć?

– No... wasza matka...

– Tatusiu, to było przed wieloma laty.

– Jestem najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem, Vivvy. Ona mnie uszczęśliwia.

Dziewczynki wbiegły. Buzie im się poruszały. Rosie poszła do ogrodu, Daisy podeszła do zlewozmywaka.

Później, po wyjściu dziadka, Daisy zawołała Rosie. – Cukierki! Zobacz!

Rosie przyszła do kuchni. Daisy dała jej plastikową torbę. Po chwili Rosie wrzasnęła, upuściła torbę na podłogę. To nie były cukierki, to były ślimaki.

*

Ona mnie uszczęśliwia. Viv myślała o ojcu i austriackiej rozwódce – fascynująco będzie ją poznać. Myślała o Kenie – jaki miał wyraz twarzy, gdy stał w tej pełnej kurzu chatce i gdy trzymała go mocno za ramiona. Możemy ją uszczęśliwić. To da się zrobić. Jedna osoba rzeczywiście ma możliwość rozjaśnienia innej życia.

Kiedyś, gdy były małe, wywołała Ann do ogrodu. – Zobacz, Annie! Mam jeżyny!

Ann przyszła. Była w poplamionej sukience w niebieski rzucik. Viv przypomniała sobie teraz każdy szczegół: pranie na sznurze, łysinę trawnika tam, gdzie stała, trzymając

plastikową torbę.

– Mam jeżyny dla ciebie.

– Dla mnie? – Ann podeszła bliżej.

– To prezent.

Ann się zawahała. – Słowo honoru?

– Słowo honoru. – Viv wręczyła jej torbę. – No, bierz. Ann wzięła torbę i wrzasnęła. W torbie ruszały się czarne ślimaki.

Zbieranie tych ślimaków zabrało cały poranek. Viv, w przeciwieństwie do Ann, bez żadnych oporów mogła ich dotykać. Gdy Ann z płaczem wbiegła do domu, ojciec uśmieł się z tego figla.

Viv umyła kapustę i pomyślała: ale teraz ją uszczęśliwię.

*

Ann wzięła z lodówki czarne porzeczki i wysypała je do salaterki. Usłyszała trzaśnięcie drzwi frontowych i kroki Kena w hallu.

Ken wszedł do kuchni. – Cześć. – Pocałował ją w policzek. – Mniem, mniem... to smakowicie wygląda.

Nie odpowiedziała. Podeszedł do zlewozmywaka. Wodą z kranu napełnił szklankę.

– Chce ci się pić? – zapytała.

– Pozwoliłem sobie w przerwie obiadowej na piwo – powiedział. – Chociaż nie powinienem.

– Dlaczego?

– Potem nie ruszyłem palcem przez całe popołudnie.

Ann zaczęła ubijać śmietanę. Widziała, jak on znów napełnił szklankę. Po chwili wyłączyła wieloczynnościowy robot i zapytała: – Z kim piłeś?

– Z nikim. – Postawił szklankę. – O co chodzi?

– O nic. – Znów włączyła robot. Śmietanę znaczyły zmarszczki. Ken wypłukał szklankę i postawił do góry dnem na suszarce. Wyłączyła robot. – Tylko myślałam, że...

– Że co?

– Myślałam, że dziś zjesz obiad ze mną. Wybałuszył oczy. – Ależ ze mnie idiota!

– Nieistotne.

– Istotne. – Podeszedł do niej. Wzięła salaterkę i wstawiła do lodówki.

– Musiałem się z kimś spotkać – powiedział. Zamknęła lodówkę.

– Chyba mówiłeś, że byłeś sam.

– Później. Musiałem się z kimś spotkać później.

– Nie wątpię, że to było ważne.

– Było – powiedział.

– Więc w porządku. Zawahał się. – Z twoją siostrą. Znieruchomiała. – Co?

– Pojechałem na działkę do Viv.

– Dokończcie kolację – poleciła Viv dziewczynkom. – Inaczej ja będę musiała zjeść to wszystko. – Leniwie nabierała na łyżkę pieczony bób i podnosiła do ust.

– A co na deser? – zapytała Daisy, idąc do lodówki.

Viv zagryzała bób kapustą. Dziewczynki nigdy kapusty nie chciały. Nałożyła im na talerze, żeby czuć się w porządku. Może sam widok kapusty uchroni je od niestrawności.

– Jeszcze tylko jedna łyżka. – Ale one nie słuchały. Zjadła do ostatka ich pieczony bób. – Strasznie utyję.

– Gdzie jest tatuś? – zapytała Rosie.

– Spóźnia się – wybełkotała Viv z pełnymi ustami. Zniosła talerz do zlewozmywaka.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i wszedł Ollie.

– Hej, ferajna! – Chwyił Rosie i wysoko podniósł w objęciach.

– Zwymiotuje – powiedziała Viv. Cudownymi ojcami, pomyślała, potrafią być mężczyźni, jeżeli nie muszą zajmować się dziećmi przez cały dzień.

– Wyżej! – wykrzyknęła Rosie.

Ollie obrócił ją do góry nogami. Posypały się fistaszki.

– Ejże! – powiedział Ollie.

– To od wujaszka Kena – poinformowała Daisy. – Ja swoje już zjadłam.

– Pożarła – poprawiła ją Rosie, gdy już znów stanęła na podłodze.

– Rosie zawsze chomikuje – zaskomlała Daisy.

– Od wujaszka Kena? – zapytał Ollie.

– Sprzątnę to – powiedziała Viv i już podeszła ze szczotką i śmietniczką.

– Od Kena? – zapytał Ollie.

– Co za bałagan – jęknęła Viv, zamiatając.

– Kiedy?

– Kazał nam być wiewiórkami – powiedziała Daisy.

– Chodźcie, dziewczynki. Pora spać. – Viv wyrzuciła fistaszki do śmieci.

– Dzisiaj? – zapytał Ollie.

Daisy powiedziała: – Kazał nam mieć piknik fistaszkowy. Viv stanęła przy schodach. – Chodźcie. Pora spać! Wy, plagi małe!

*

Ken umył ręce i przetarł flanelką twarz. Zatrzymał się na chwilę, patrząc w lustro. Kilka ulic dalej przejeżdżała karetka pogotowia, podzwaniając dzwonkiem. Czekał, aż ten dźwięk ucichnie. Nigdy nie wzywał pogotowia. Zauważył ślady kurzu na marynarce i starł je.

Zszedł na dół do kuchni. Ann otwierała drzwiczki piekarnika. Odwróciła się do niego. Usiadł przy stole.

– Pojechałeś tam specjalnie? – zapytała.

– Nie. Pracowałem... – Urwał. – Tak. Pojechałem, żeby się dowiedzieć, co ta twoja zwariowana siostra rzeczywiście myśli.

– No i co?

– Pogadaliśmy o... no, o tym, jak według niej to można by zrobić.

– Jak? – Ann teraz się odwróciła. Policzki miała różowe.

– Och. są różne sposoby. /

– Myślisz... to byłoby...
– Możliwe?
– Myślisz, że tak? – Stała tam, trzymając rondel z pokrywką. Ochocza i mała w dużych kuchennych rękawicach.
Zawahał się. – Nie wiem.
– Możemy to zrobić?
– Nie wiem! – usłyszał, jak głos mu się podnosi piskliwie. – Daj mi zastanowić się nad tym!

*

Ollie wszedł do łazienki. Przez ścianę słyszał szmer głosu Viv, która czytała dziewczynkom. Ten szmer zmienił się w ryk prosto z dzikiego Zachodu.

– *Wy, chłopcy, precz od mojej ziemi!* – Nie śpieszyła się z tym czytaniem.

W umywalni było pełno wody i leżał zatopiony miś. Ollie go wyciągnął przemoczonego, wrzucił do wanny. Umył ręce, a potem nagle zanurzył w tej zimnej wodzie twarz.

Podniósł ociekającą głowę, wytarł włosy ręcznikiem. Pomyślał: co mnie napadło?

Zszedł na dół, nalał sobie džinu z tonikiem i chodził po kuchni. Kolacji nie było, ale może to sygnał, że on powinien przygotować. Z Viv nigdy nic nie wiadomo.

Już skończył pić swój džin z tonikiem. gdy przyszła Viv.

– Wolalabym, żeby mnie nie prosiły o te brednie – powiedziała. – Prawie taka chała jak Enid Blyton.

– Więc on przyjechał na działki?

– Aha. – Wzięła sobie szklankę. – Boże, potrzebuję alkoholu. Patrzył, gdy wrzucała do szklanki lód.

– Więc co mówił?

– Ken?

– Nie, Dustin Hoffman.

– Tak tylko rozmawialiśmy.

– Viv!

Powiedziała: – Wiesz, myśmy nigdy dotąd nie rozmawiali naprawdę, Ken i ja. Przez te wszystkie lata. – Nalała do szklanki sporo džinu.

– Co mówił? Co ty mówiłaś?

– Nie wpytuj mnie. – Otworzyła butelkę z tonikiem, tonik syknął. – Ja nie pytam, gdzie ty byłeś.

– To co innego.

– Nie pytam, z kim piłeś.

– To nieważne – powiedział.

– Więc z kim?

– Z kimś z redakcji. – Usiadł na poręczu kanapy. – Z Ellie. nową dziewczyną, zabrałem ją do winiarni.

– Ken po prostu przyjechał do chatki. – Wypiła.

– Tyś to zaaranżowała?

Potrząsnęła głową. – Tak sobie przyjechał.

– Z torbą fistaszków. O czym rozmawialiście? O twojej brukselce?

– Przez jakiś czas. – Podniosła wzrok, trzymając nad szklanką plasterek cytryny, ale z kolei on potrząsnął głową.

– To mi wygląda na jakiś spisek – powiedział. – Przekupywanie moich dzieci, potajemne spotkanie...

– Wcale nie potajemne!

– Mam dziwne uczucie, że zostałem wykluczony!

– Nie zostałeś!

Schody zaskrzypiały. Rosie tam stała w nocnej koszuli. – Wrzeszczycie – powiedziała. – Nie mogę zasnąć.

*

Viv zdjęła kimono i weszła do łóżka. Ollie już leżał, czytając „Detektywa”. Przewrócił stronicę. Odczekała chwilę, po czym dotknęła jego policzka. – Przepraszam, że się uniosłam.

Odłożył magazyn. – Ja także. Przepraszam.

– My oboje trochę... wiesz...

Przytaknął, wychylił się z łóżka i zgasił światło. Odwrócił się i objął ją. Wtulił nos w jej szyję.

– Mmm...

Pocałowała go. Poczł swojski zapach pasty do zębów. Przesunął dłonią po jej piersi.

– Viv...

– No... ?

– Mam propozycję.

– Jaką? – zapytała szeptem. Leżała nieruchomo.

Zsunął rękę między jej uda i szepnął: – Poczniemy to dziecko teraz.

Leżała sztywno. Głaskał ją. W końcu zaczęła: – Ollie...

– Co?

– Coś muszę ci powiedzieć.

– Mmm... – nadal ją głaskał.

– W związku z Kenem. Zatrzymał rękę.

– Tak?

– On chce, żeby to było jego dziecko.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Była niedziela, po rugby. W szatni panował hałas, pachniało mokrymi mężczyznami. Ollie stał w kabinie pod prysznicem i śpiewał wniebogłosy:

Miłość, och, miłość niebaczna, och rzuciła mnie na pastwę łzom, rozbiła mój szczęśliwy dom!

Ken brał prysznic w sąsiedniej kabinie. Nagle Ollie przestał śpiewać i pod strugami wody wrzasnął: – Więc chcesz zapłodnić moją żonę?

Oplukał się, po czym wyszedł z kabiny. Ken też wyszedł, skromnie owijając się ręcznikiem w pasie. Drugim ręcznikiem się wycierał.

– Mówiłeś coś? – zapytał.

Ollie owinął się ręcznikiem w biodrach. – Tylko to, że dziwne jest życie.

Ken uśmiechnął się. – Myślisz, piętnastu dorosłych mężczyzn ugania się za kawałkiem skóry?

– Coś w tym rodzaju.

Ollie spojrzał na tors Kena nabity, umięśniony, na jego krzepkie ramiona i na zdumiewająco owłosioną pierś. Przypomniał sobie, jak Viv przesunęła po niej rękę i śmiała się: *Niziutki, za to świetnie zbudowany. Zna* Kena od lat, nigdy jednak porządnie mu się nie przyjrzał.

Podszedł Diz i uszczypnął Ollie'ego w ucho. – Trochę agresywnym się było, co, awanturniku? – wskazał Kena – przecież on jest po naszej stronie.

Ollie zapytał: – Ja awanturnik?

Diz pomacał klatkę piersiową Ollie'ego. – Nie, jesteś cały miękki i liberalny. – Zwrócił się do Kena. – Popatrz. Były radykał, klasyczny okaz mężczyzny dwudziestego wieku. Ramiona dwuznacznie pochylone, brak krzepy wynikały z uprzywilejowania... ciało zużyte przez introspekcję. Zważ wszelako, że on ma ten jedyny organ nadmiernie rozwinięty...

– Który? – spytał Ken.

– Sumienie społeczne.

– Odwał się, Diz – powiedział Ollie.

– Ja przecież mogę ciebie upokarzać. Jestem twoim naczelnym.

W pubie Ken usiłował stawiać.

– Pozwól, że ja... – powiedział Ollie.

– Nie, proszę cię...

– Przestań.

– Nie... – Ken odszturchnął Ollie'ego i dał barmanowi dziesięć funtów. – Co ci szkodzi?

Gdy Ken płacił, Ollie mruknął: – Ciekawe słowo.

– Jakie?

– *Szkodzi*. Właściwie co to znaczy?

– A bo ja wiem. Ken podawał kufle.

– Tarcza do strzałek wolna – powiedział Diz. – Chodźcie.

– Słuchaj, Ken... – zaczął Ollie.

Ken już odchodził. Ollie dotknął jego ręki, piwo zakotłosało się w kuflu. – Ken...

– Co?

– Musimy porozmawiać we czworo. – Diz już odszedł. Ollie mówił zniżonym głosem. –

Rozmawiałem z Viv i jeżeli mamy to przeprowadzić...

Ken zagapił się w niego.

Ollie kiwnął głową. – Ona mi powiedziała.

Ken zawahał się.

– Raczej wstrząs, ale... Obaj wypili. Milczeli.

– Ja rozumiem – powiedział Ollie. – Nie, właściwie nie rozumiem. Wiem, jak się czujesz...

– Słuchaj... – Ken rozejrzał się szybko po zatłoczonym barze.

– Może we wtorek? – zapytał Ollie. – Moglibyście przyjść na kolację.

– Hmm... we wtorek mam Klub Młodzieżowy.

– Więc w środę.

Ken przytaknął. Milczeli, po chwili przyłączyli się do gry w strzałki.

– Przestań mu gadać bzdury – powiedział Diz. Stuknął Ol-lie'ego palcem. – Założę się, że wciąż dokuczasz naszemu Kennethowi.

– Czym?

– Swoim domem. – Zwrócił się do Kena. – Chyba już ci wiadomo, że dziennikarze zrządzeniem losu dostają wszystko za darmo.

– Och, zamknij się – powiedział Ollie i wziął strzałki. Celował, ciskał je w tarczę.

Diz śmiał się. – Ollie, nie tak nerwowo, dziecinko.

Ollie wszedł do kuchni, położył torbę i wytrzeszczył oczy.

– Boże Świąty, przecież to nie będzie wizyta Królowej Matki.

Viv na klęczkach szorowała drzwiczki szafek kuchennych. Roześmiał się. – Wiesz co? Wyglądasz jak przystało na gospodynię domową.

– Nie stój tak. Chodź i pomóż.

– Nie nosiłaś tego fartucha od ich czasów niemowlęcych.

– Pozamiataj. – Spojrzała na zegarek. – Niedługo tu będą. Zdjął marynarkę i wziął szczotkę do zmiatania. – To tylko twoja siostra i jej małżonek, wiesz?

– Pośpiesz się.

Zaczął zmiatać. Robił to starannie, więc odsunął bufet od ściany. Wyciągnął coś zza bufetu. – Skamieniała grzanka. Powiedziałbym: circa z późnych lat siedemdziesiątych. Ach, i jest kolczyk tej rudej. Pamiętasz, jak zgubiła go na naszym jublu?

Vic nie odpowiedziała. Wykładała teraz zakupy, mrużąc:

– Rzeżucha, pomidory, no gdzie ta przeklęta kolendra?

– Patrz! – powiedział. – Karta od Trish i Alana z zawiadomieniem o zmianie adresu. Nic dziwnego, że się obrazili. Chyba urządzę tu kącik archeologiczny.

Ale jej nie rozśmieszył.

– Kolendra, kolendra... Wyprostował się. – To śmieszne!

Gmerała wśród paczek. – Musi być gdzieś tutaj.

– Nie jesteś na pokaz. Nie jesteśmy wystawą sklepową, do diabła! – Nagle chwycił flamaster i podszedł do niej. – Nie ruszaj się.

– Co ty robisz?

– Zamknij oczy.

Miała na sobie biały plastikowy fartuch Mothercare; kupili go razem. Zaczął na tym fartuchu pisać dużymi literami WYKSZTAŁCENIE WYŻSZE, PŁODNA.

– Co ty robisz? – Wykręciła szyję. ZDROWE ZĘBY. Odepchnęła jego rękę. – Ollie!

Ujął ją za ramiona, potrząsnął nią. Była zgrzana po pośpiesznej pracy.

– Słuchaj, Viv, nie potrzebujesz tego wszystkiego robić. Czy nie rozumiesz?

– Czego wszystkiego?

– Ależ z nich szczęściarze. – Patrzył na jej zaróżowioną twarz.

– Cholerni szczęściarze!

Powiedziała po chwili: – Nie napadaj na nich.

– Dobrze.

– I nie gniewaj się na Kena.

Przyjrzał jej się tak, jak przedtem Kenowi. Powiódł wzrokiem po owalu twarzy, po szczupłych ramionach pod koszulką gimnastyczną. Patrząc na Kena, zdumiewał się jego krzepkością. Viv, jak zdał sobie sprawę, schudła. Zawsze była smukła, ale teraz.

w tym oznakowanym fartuchu, wyglądała na wątłą dziewczynę dwudziestoletnią.

– Przyrzekam – powiedział – że będę zachowywał się przyzwoicie.

– Ten wieczór musi się udać. Przytaknął: – Boże dopomóż...

*

Godzina 7. 45. Viv starła napisy i powiesiła fartuch na kołku. Stół był nakryty. Nawet znalazła prawdziwe serwetki, które kiedyś dostała od Ann. Nigdy ich nie używała, więc wydawały się odprasowane.

Godzina 8. 00.

– Pośpiesz się, Ollie – zawołała w górę, opierając się o poręcz schodów. On ma rację, oczywiście, to głupio tak się denerwować.

Spacerowała wokół stołu. Była w luźnych kremowych spodniach z lureksu, takich właśnie, w jakich spokojnie można się zwinąć w kłębek i wypoczywać.

Ollie przyszedł do kuchni. Wypili dzin z tonikiem.

W końcu zapytała: – Nie powinniśmy zatelefonować?

– Ken nigdy się nie spóźnia.

Zapaliła jeszcze jednego papierosa, zła na siebie, bo chciała wstrzymać się z paleniem, dopóki Ken i Ann nie przyjdą. Godzina 8. 15 ... 8. 20.

– Ciężka próba dla nerwów – powiedział Ollie.

– Ciężka próba dla *boeuf en crouste*. Uniósł brwi.

– Zastępcze macierzyństwo będzie kosztowną sprawą. Godzina 8. 35.

– Może spóźniają się, bo wiedzą – powiedział Ollie – że my zawsze się spóźniamy.

Dzwonek. Zerwali się.

– Ty otwórz – powiedziała Viv.

– Nie, ty.

– Mięczaku – powiedziała. Przeszła przez korytarz i otworzyła drzwi frontowe. Przed drzwiami zobaczyła Ann. Ken pewnie parkuje samochód.

Ann powiedziała: – On nie chciał przyjechać.

*

We troje siedzieli przy stole i jedli sałatkę fasolową. Nakrycie dla Kena nie zostało usunięte. Ollie powiedział, że może Ken się namyśli.

– Mówiłam mu, że jest tchórzem – powiedziała Ann. – Skrzyczałam go. To było straszne.

Viv znów napełniła kieliszki winem. – Nadal nie rozumiem. Czy on się zgadza to przecierpieć, czy nie?

– Nie wiem. Powiedział tylko, że to jest zbyt osobiste jak na taką rozmowę od serca z wami.

Ollie zatoczył ręką łuk. – Co on podejrzewa? Że my tu mamy ukrytą kamerę?

– Jest nieśmiały, zrozum – wyjaśniła Ann.

– Nieśmiały?

Viv potwierdziła. – Oczywiście. I dlatego robi się agresywny. Ann popatrzyła na nich dwoje błagalnie. – Naprawdę nie jest tchórzem. Pierwszy by natarł na okopy.

Viv się uśmiechnęła. – Ale w okopach nie trzeba rozmawiać. Ollie kawałkiem chleba zbierał z talerza *vinaigrette*.

– A tyle mamy do omówienia...

– Wiem – powiedziała Ann. – Strona prawna, strona finansowa. On chce to omówić.

– Więc dlaczego, do diabła, nie ma go tutaj?

– Ollie! – Viv spojrzała na niego spode łba. Ann się zawahała. – Wiesz doskonale, dlaczego.

– Nie wiem.

– Dlatego, że wpędzacie go w kompleks niższości.

– Nie wpędzamy – zaprzeczyła Viv.

Ann potrząsnęła głową. – Przecież to widać.

– Co widać?

– Te starania.

Ken klęczał na podłodze w kuchni i naprawiał deskę do prasowania. Wbił gwóźdź. Przy nim, rozłożone na gazecie, leżały odlutowane części czajnika, który zamierzał naprawić już od miesięcy. Do czajnika miał zabrać się zaraz po desce.

*

Gdy Viv nalewała kawę, Ollie wyjął z lodówki butelkę szampana. – Jednak to wypijmy – powiedział. Otworzył butelkę, napełnił czyste kieliszki. Podnieśli je. – Zdrowie tego pokolenia i następnego.

Viv dodała: – I starszego.

– Jak to? – zapytała Ann.

– Taty i Very.

Ann postawiła kieliszek.

– Co?

Zaległo milczenie.

Viv zapytała: – Nie mówił ci?

– O czym?

Viv zagapiła się w Ann.

– Boże!

– Co się dzieje?

– Byłam pewna, że już ci powiedział. – Viv zawahała się. – On znów się żeni.

Była chwila ciszy, gdy Ann pociągnęła łyk z kieliszka. – Nie, nie powiedział.

– Och, do licha! – skomentowała to Viv.

– Nie zadał sobie takiej fatygi. Pofatygował się tylko, żeby mnie zapytać o hipotekę.

Nikt się nie odzywał. Patrzyli na pustą salaterkę stojącą pośrodku stołu. Jeszcze białą w niej resztki kremu i czerwieniła się zabłąkana kandyzowana wisienka.

Ann miała cichą czkawkę, ale po chwili Viv pojęła, że to nie to: Ann płacze. Zerwała się z krzesła i uklękła przy niej.

– Nie...

Ann zwróciła ku niej twarz zalaną łzami. – Tata mnie nie kocha.

– Na pewno nie chciał ci...

– Och, zawsze o tym wiedziałam, oczywiście. Wiedziałam! To tylko... och, nic nie jest dobrze. Ken nawet nie zadał sobie fatygi, żeby powalczyć ze swoją dumą i przyjechać tutaj... no bo jest zakłopotany, ale dlaczego to ma być ważne, na litość boską? To, czy jego czy nie jego dziecko? Mała mechaniczna sprawa, są sprawy o wiele większe niż ta, ale niestety on chyba do tej sytuacji nie dorasta. Prawdopodobnie nikt z nas nie dorasta. Wszystko wydaje się takie czcze, wszystko na nic.

– Ty nie... – zaczęła Viv.

– Te wszystkie lata. te wszystkie poronienia i moja kochana córeczka... jej prawie nie było, ale ona była. Była, była moja. Cała. w idealnym porządku, poza tym, że nigdy się nie poruszyła. I jaki jest sens czegokolwiek, po co takie miłe kolacje i dobre siostry, i to, że Ken jest kochającym mężem w gruncie rzeczy. Nic już nie zda się na nic, nic nie ma żadnego znaczenia, kiedy ja nie mogę mieć dziecka.

Ann urwała, wstrząsana czkawką, usiłowała złapać oddech. Viv i Ollie patrzyli na nią. Daremnie po omacku szukała chustki do nosa. Viv wzięła ze stołu serwetkę i wytarła jej policzki, biedne mokre oczy i w końcu nos.

Po długiej chwili ciszy powiedziała: – Słuchaj, Ann. Cokolwiek się stanie, ja ci urodzę dziecko.

Po raz pierwszy zabrał głos Ollie: – Ona urodzi.

– Kena zostaw mnie. – Viv znów wytarła jej oczy. Prawie nigdy Ann nie używała tuszu,

ale na ten wieczór rzęsy uczerniła. Na policzkach miała czarne smugi. – Ja go wywiozę, upiję i powiem mu, co zrobimy.

Ann podniosła wzrok.

– Naprawdę?

– Tak.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W pokoju nauczycielskim Madeleine jak zwykle rozmawiała przez telefon. Dzisiaj stała tyłem do pokoju i mówiła szeptem. Viv patrzyła na jej szerokie pośladki w wyblakłych dżinsach. Czuła do niej urazę za zajmowanie telefonu i jednocześnie wdzięczność za tę zwłokę. Harold, przy którym siedziała na kanapie, nagle spojrzął znad „Guardiana”.

– Wiesz, Trevor napisał mi dziś kartkę z pytaniem, czy może pójść do toalety. Napisał „tualety”. Powiedziałem, że owszem, może, jeżeli napisze to należycie. Wtedy napisał „do sracza”.

Parsknęła śmiechem.

Harold wskazał ogłoszenie w gazecie. – Jest posada w Norfolk, klasa druga. Jak myślisz, czy młodzież tam na tych moczarach jest świeża i niewinna?

Potrząsnęła głową. – Nie, tyle tylko, że tam demoralizacja pozostaje w rodzinie.

– Chyba długo już nie wytrzymam takiego rozbuchania hormonów. Za bardzo to denerwujące dla faceta w średnim wieku.

– Biedny Harry. – Poglaskała go po głowie i zerknęła na telefon.

– Wprost kipi seksem. Ta, jak jej na imię... aha, Tracey. Ta, którą zatrudniasz do pilnowania dzieci. Zdaje się, że zwymiotowała dziś na biologii.

– Tak? – Viv przypomniała sobie, co mówiła Mo, siostra Tracey.

– Czyżby takie wrażenie zrobił na niej widok nagiej żaby? Potem był ten mały incydent za kuchniami. Viv, kiedy wracam do domu i opowiadam o tym Louise. dzieciaki pytają, dlaczego mówię po francusku.

Madeleine odeszła od telefonu. Viv zerwała się i pogrzebała w torebce. – Harry, kotku, pożyczylbyś dziesięciopensówkę?

Dał jej monetę. – Rycerskość – powiedział – chociaż śmiertelenie chora, jeszcze nie wyzionęła ducha.

– Jesteś kochany. – Podeszła do telefonu i nakręciła numer. W lekkim pasiastym swetrze nie wiadomo dlaczego zrobiło jej się gorąco.

– Halo – powiedziała. Dziwne, nigdy dotąd nie dzwoniła do Kena w pracy. – Czy jest pan Fletcher?

Był. Zaproponowała mu, żeby napili się czegoś mocniejszego w mieście.

Viv siedziała przy kuchennym stole i poprawiała wypracowania. Usłyszała kroki Ollie’ego schodzącego z góry. Stanął w drzwiach, trzymając neseser.

– Posłuchaj tego – powiedziała – *Pan Rochester** [Bohater powieści Charlotte Bronie *lane Eyre* (przyp. tłum.)] *to prawdziwy mężczyzna, z porywczym usposobieniem i szerokimi ramionami i tłącymi się oczami.* – Zamknęła zeszyt – Może on by naprawił nam ściek.

Ollie roześmiał się. – Znowu rozpalasz klasę.

I ona tym zapełnia pół strony. Harold to nazywa spuchniętą prozą. – Viv wstała – Więc wyjeżdżasz?

Przytaknął. – Już się pożegnałem z dziewczynkami. To jutro spotkasz się z Kenem?

Przytaknęła.

– Oboje robimy swoje, co? Ty dla bezdziejnych, ja dla bezdomnych. – Wyjeżdżał do Liverpoolu, żeby napisać artykuł o tamtejszych problemach mieszkaniowych. Zatrzymał się.

– Ja cię rzeczywiście podziwiam, wiesz?

– Hej, a co z miłością?

– Teraz mi nie wolno.

– Duchowo możesz.

Uśmiechnął się. – Stokrotnie dziękuję. Zarzuciła mu ręce na szyję.

– Bądź Petrarką. Przez parę miesięcy możesz pisać sonety i tylko mi je dawać w łóżku.

Oparł policzek na jej ciemieniu. – Czy myśmy zwariowali? Podniosła głowę, pocałowała, go. – Kocham cię za to.

*

Ann odsączyła wodę z kartofli, krzywiąc się na widok stanu, w jakim był zlewozmywak Viv. Spojrzała na zegarek.

Wreszcie Viv zeszła na dół. Była w garsonce z morelowego dżerseju.

– O jejku! – powiedziała Ann.

Viv się zaniepokoiła. – Byłam w tym na wywiadówce w szkole.

Ann parsknęła śmiechem. – To nie jesteś ty.

– Godzinami przymierzałam ciuch po ciuchu. W co mam się ubrać dla twojego męża?

Ann zaczęła energicznie tłuc kartofle.

– W byle co, w czym dobrze się czujesz. W pierwszą lepszą rzecz, jaką znajdziesz na podłodze w waszej sypialni.

Viv poszła z powrotem na górę.

– I pośpiesz się – zawołała Ann. – Wiesz, jak on nie cierpi czekać.

Zawołała dziewczynki z ogrodu na kolację i dalej tłukła kartofle. Wspomniała, jak Viv, nastolatka, zasuwiała zamki błyskawiczne swoich białych butów z długimi cholewami. Te buty!

Od początku aż do zameścia miały wspólny pokój. Siedziałam na łóżku i co robiłam? – Nigdy Ann nie mogła sobie przypomnieć. Co robiła Viv, od razu jej się przypominało. Viv wbijała nogi w buty, zapinała swoją zamszową minispódniczkę, brudną, ale kogo stać na pralnię chemiczną? Ołówkiem do brwi przed niewygodnie umieszczonym za małym lustrem rysowała sobie pod oczami rzęsy a la Twiggy. Farba wojenna kociaków lat sześćdziesiątych. Czasami Viv pożyczła kosmetyki z toaletki matki.

Potem późno w nocy Viv wracała do domu. Podłoga skrzypiała. Wysiłki, żeby wracać po cichu, oczywiście budziły Ann; zresztą Ann chciała to słyszeć. Te jęki, gdy Viv wyzwalała nogi ze swych morderczych butów. Grunt to uroda, a nie wygoda – westchnienia koldry, gdy Viv siadała na łóżku i szeptała, co robiła i z kim. Słumione chichoty, takie że aż jedną i drugą bolały zębra. Viv pachniała wodą kwiatową i ryzykiem.

*

Wróciła na dół w podkoszulku i kwiecistej spódnicy. – Lepiej?

– zapytała.

Ann przytaknęła.

Viv podeszła, wygarnęła palcem trochę puree z salaterki i zjadła.

– Ken zawsze mówi, że wyglądam jak tramp. Albo jak majster na budowie.

Ann parsknęła śmiechem. – Nieprawda. Kiedyś mi powiedział, że powinnam brać z ciebie przykład.

– Niemożliwe!

– Bądź zuchwalsza – powiedziała Ann. Podeszła do schodów i zawołała: – Rosie! Daisy!

Ken był w sportowej marynarce i w różowym krawacie, tym samym, w którym paradował w Boże Narodzenie. Włosy miał przylizane, jeszcze mokre. Powitała go, żałując, że w tej knajpce jest tak pusto. Rzucił się do baru, żeby coś dla niej zamówić.

– Siedz! – Wskazała jego szklanke. – Jeszcze nie wypięs.

– Proszę... pozwól, że...

– Ken...

– Proszę.

– Dobrze. Więc piwo Burтона dla mnie. – Usiadła, uśmiechnęła się. – Dla wzmocnienia.

– Dokąd mama poszła?

– Mówiłam wam. Na kolację.

– Ale dlaczego na kolację z wujaszkiem Kenem?

– A niby dlaczego nie?

– Przestań. Wszystko ci wystygnie.

Usiadły. Daisy popatrzyła na kuraka. – Pycha. Mama nigdy nam tak nie gotuje.

– Nie daje wam porządnie zjeść?

– Nie takie rzeczy. Gdzie mama je kolację?

– Patrzcie, coś wam pokażę. – Ann wzięła widelec Daisy i przejechała nim po puree.

Potem rozsypała na puree trochę groszku. – Robiłyśmy to, wasza mama i ja, kiedy byłyśmy w waszym wieku. – Zaczęła śpiewać:

Orzemy, rozrzucamy siano na rozłogach – Co?

Które nakarmi ręką Wszechmocnego Boga.

– To jest psalm.

– Och, psalm – powiedziała Daisy.

*

– Przepraszam za przedwczorajszy wieczór – powiedział Ken.

– Drobiazg. – Viv popijała piwo.

– Ta kolacja u was, tyle kłopotu.

– Słuchaj, Ken, ja zmierzam do kłopotów o wiele większych niż tylko taki.

Nastąpiło milczenie.

– Jak tam w szkole? – zapytał.

– Świetnie. Słuchaj, Ken.

– Co?

Milczała. Wyciągnęła paczkę papierosów, poczęstowała go.

– Staram się nie palić – powiedział.

– Ja też.

Wzięli sobie papierosy, on zaczął szukać swojej zapalniczki.

– Proszę – wyciągnęła zapalki, podała mu ogień.

– Dziękuję.

Siedzieli, wypuszczali dym nozdrzami.

W końcu zagaiła: – Czuję się jak na pierwszej w życiu randce.

Nie odpowiedział.

– Powinniśmy porozmawiać o klinice.

– Czy to nie jest wulgarne?

– Będziemy tam udawać małżeństwo.

Spojrzał na nią. – Nie uwierzyliby nam.

– Zostaw to mnie. Ja cudownie kłamię.

– Nie chcieliby zobaczyć dokumentów, świadectw... ?

– Nie ma obawy. Wszystko dobrze załatwimy. Zawahał się. – Jedno powinniśmy załatwić...

– Co?

– Pieniądze. Wolałbym załatwić to z tobą...

– Powiedziałam ci, Ken. Nie będziesz mi płacił za urodzenie twojego dziecka!

Rozejrzał się szybko.

– Nikt nie słucha – zapewniła.

– Ale jest coś takiego jak rekompensata.

– Ken...

– Co?

– Nie czuj się winny, nie czuj się zobowiązany. To niebezpieczne.

– Co? – spojrzał na nią, zaniepokojony.

– Bo wtedy zawsze jest niechęć do ofiarodawcy. Nawet nienawiść.

– Więc nie będę tak się czuł. Jestem tylko... bardzo wdzięczny. Położyła dłoń na jego ręce.

– Nie ma czegoś takiego jak samozaparcie. Ja chcę właśnie tak postąpić. Wbij to sobie do tej swojej tępej głowy. – Milczał. Uśmiechnęła się. – No, wypijmy jeszcze. Może się zalejemy.

*

– Prędej! Do łóżek!

Ann poprowadziła dziewczynki obok sypialni Viv i Ollie'ego. Zajrzała tam. Było jak po plądrowaniu, tak jakby włamywacz zdecydował, że niczego nie warto zabrać. Na łóżku leżały rozrzucone części garderoby: złociste spodnie, skórzana spódniczka, kupiona na ciuchach sukienka w kwiaty, którą Ollie nazywał przebraniem Viv za sprzątaczkę nimfomankę.

*

W knajpie przybywało gości. Ken skończył pić trzecie piwo.

– Zaczyna mi się to podobać – powiedział.

– Chodźmy teraz coś zjeść.

Wybałuszył oczy. – Co z Ann?

– Zatelefonuję do niej – powiedziała Viv.

*

...książę wziął ten czarodziejski puchar i zaczął z niego pić. I gdy pił, stało się coś cudownego, był znów młody i silny jak dawniej, jego wszystkie rany się zagoiły. W puszczy ptaki zaczęły śpiewać, paki kwiatów się otworzyły. Księżę ruszył między drzewa na poszukiwanie swojej utraconej księżnej...

Zadzwoił telefon. Ann położyła książkę i wbiegła do sypialni Viv i Ollie'ego. Usiadła na łóżku.

– Viv! Jak idzie? Jak on? – mówiła szeptem, chociaż nie było nikogo w pobliżu. – Nie, nam jest doskonale. Tak, proszę, zostańcie tam, jak długo chcecie. – Umilkła na chwilę. – Powodzenia.

Uśmiechnięta, odłożyła słuchawkę na widełki. Siedziała na sterczącej klamercie kombinezonu. Gdy wstała, stwierdziła, że w rajstopach poleciały jej oczka.

– Przesiądź się na tę stronę – Viv poklepała miejsce przy sobie. – Strasznie ciemne jest to oświetlenie, prawie siebie nie widzimy.

Ken wstał i usiadł przy niej.

– Nadal – powiedziała biorąc jadłospis – tu podają najlepsze curry w Londynie.

Po chwili Ken powiedział: – Ann jest cudowną kobietą, Viv.

– Ja wiem.

– Nigdy nawet przez chwilę nie była rozgoryczona.

– Z jakiego powodu?

– No, to proste – powiedział. – Na egzaminach miałaś celujące stopnie, a właściwie nigdy się nie uczyłaś.

Uśmiechnęła się. – Uczyłam się, kiedy nikt nie patrzył.

– Pamiętam, jak przyszedłem do was na podwieczorek...

– Wyciągałyśmy nasze najlepsze filiżanki, żeby cię uczcić...

– Byłaś wtedy w szkolnym pulowerze włożonym tył na przód.

– Tak jest bardziej sexy.

– Dałaś sobie przekłuć uszy do kolczyków i wasz tata się rozgniewał.

– Bardzo opiekuńczy. Tata.

– Wobec ciebie.

Zawahała się. – Tak, wobec mnie.

Milczeli. Ken patrzył na jadłospis. – Uniwersytet, potem dzieci... – powiedział. – Nie, nie ma dziewczyny o miłszym usposobieniu niż Ann.

Położyła mu rękę na przedramieniu. – Ken, nie musisz mnie przekonywać. Uważam, że

ty też masz wielkie szczęście.

Siedzieli w milczeniu, słuchając muzyki hinduskiej z szafy grającej. Viv, trochę pijana, doznawała wrażenia, że w tej kasztanowobrzazowej sali, pełnej ech rozbrzmiewających głośno i słabnących, rozmowy przy stolikach nieskończenie się powtarzają i wszyscy goście szepczą o niej i Kenie. Ale to chyba jej imaginacja. Ken i ona na pewno wyglądają jak każda inna para.

Wskazała jadłospis. – Chciałbyś coś nieostrego? Dobre będzie jagnię gotowane w jogurcie, bardzo delikatne...

– Kusisz – powiedział. – Myślę, że wezmę *rogan ghosht*, trochę *keema nan* i nie mam nic przeciwko *dhal i dhal*.

Patrzyła na niego ze zdumieniem.

Odwrócił się do niej, unosząc jedną brew. – No właśnie – powiedział.

– Co „no właśnie”?

– Zawsze miałaś mnie za takiego, który zamawia mięso i dwie jarzyny, prawda?

Zawahała się. – Oczywiście, że nie.

– Ja też bywałem w różnych nocnych lokalach indyjskich. Ja też za młodu szumiałem.

– Tak?

Uśmiechnął się. – Nie szumiałem. Po prostu przychodziłem do tych restauracji z Ann.

Śmiali się oboje. Pomyślała: jacy sztywni byliśmy jeszcze dwie godziny temu, jakim darem zacierającej wszystko poufałości jest alkohol.

– Chodziliśmy do kina – powiedział – a potem do lokali w tym guście.

– Jak my teraz.

– Tak. Gdybyśmy najpierw poszli do kina, mielibyśmy o czym rozmawiać.

– Och, Ken...

– Ty nigdy nie miewasz kłopotu z brakiem tematów, co?

– Z brakiem tematów?

– No, z brakiem pewności siebie.

– Oczywiście, że miewam.

Zawahał się. – Ja czasami zapisuję jakiś interesujący temat i wkładam tę kartkę do portfela.

Skwitowała to uśmiechem. – Och, Kenny...

Popatrzył je w oczy. – Wiesz co? Nigdy tego nie mówiłem żywej duszy. – Spuścił wzrok na obrus. – Nigdy nie byłem taki spontaniczny jak ty.

– Jesteś dosyć spontaniczny, skoro mi to mówisz.

– Muszę się uczyć. – Ustawił solniczkę i pieprzniczkę równo, jedną przy drugiej. – Uważasz, że jestem dosyć nudny, prawda?

– Nie bądź głupi!

– Nudny stary Ken ze swoim Klubem Młodzieżowym i nudną posadą...

– Nie!

– I ze swoimi nudnymi rybkami tropikalnymi. Nie wiem, jak Ann może to znosić.

– Ken!

- Myślę, że to także jest nudne. Zapatrzyła się w niego.
- Co?
- Moja posada. Widzę, jak ci kolesie dokazują, ale nie jestem jednym z nich, prawda?

Tylko że w dyrekcji też nie jestem, ambicja mnie nie ponosi.

– To ładnie.

Podniósł wzrok. – Wiesz, czego chcę? Otworzyć sklep ogrodniczy.

– Rzeczywiście?

Potwierdził z powagą na twarzy. – Och, mnóstwo kryję w sobie niespodzianek.

Przytaknęła, uśmiechnięta. – Więc dlaczego nie otwierasz?

– Zbyt duże ryzyko. Będę musiał... no, zobaczyć, jak się wszystko ułoży.

– To znaczy, jeżeli będziemy – poprawiła się – jeżeli będziecie mieli dziecko.

– Tak. Wtedy nie najlepszy czas, żeby złożyć wymówienie.

– Więc jeżeli znajdę w ciąży, będziesz musiał zostać na tej nudnej posadzie.

– Ale bez oporów, no nie?

– Dlaczego?

– Ze wszystkim się pogodzę – powiedział po prostu – jeżeli będzie dziecko.

*

Ollie rozłożył swoje papiery na łóżku. Potrafił od razu nadawać pokojom hotelowym taki wygląd, jakby mieszkał w nich od tygodni.

Włączył czajnik na filiżankę herbaty. Nie chciało mu się pić, ale lubił zaparzać herbatę w torebkach, dolewać mleka z małego pojemniczka. W telewizorze odbywały się jakieś zawody. Kobieta o obfitych kształtach, przyobleczonej w dres, musiała jak najszybciej walnąć w siłomierz młotem. Jej mąż patrzył niespokojnie.

Jak Joyce się spisuje? – zapytał prezenter.

Nie może go podnieść.

Myślałem, że to kłopot męża.

Publiczność ryknęła śmiechem, Ollie wyłączył telewizor. Za oknem majaczył ciemny biurowiec. Za blisko. Nagle Ollie poczuł się jeszcze bardziej samotny. Podniósł słuchawkę telefonu.

*

Ann się obudziła. Kark ją bolał, bo zasnęła na kanapie w niewygodnej pozycji. Myślała, że to dzwonek do drzwi; śniła jej się Viv dobijająca się do swojego domu.

Dzwonił telefon. Odebrała.

– Ollie. Nie... to ja, Ann. – Spojrzała na zegarek. – Nie, jeszcze nie. To dobry znak, Ollie. Oni muszą... no, pogawędzić. Nie, czuję się doskonale. Przytulnie tu. Nie, naprawdę...

Położyła słuchawkę i spojrzała na zegarek. Potem znów zwinęła się na kanapie. Już nie zasnęła.

*

Viv i Ken wyszli z restauracji. Viv się zataczała, na zakończenie pili brandy.

Ken powiedział: – Zapomniałem, gdzie zaparkowałem samochód.

Viv zachichotała. – Ty? Prymus kursu dla zawodowych.

Ken spojrzał w lewo, w prawo. – Gdzieś za rogiem.

Byli niedaleko dworca Paddington, w nędznej bezsennej okolicy końcowego węzła kolejowego. Viv wzięła Kena pod rękę. – Bądźmy towarzyscy.

Szli powoli.

– Łyso, prawda? – zauważył.

Przytaknęła. Minęli bar Wimpy otwarty przez całą noc, a potem czarne okna Sauny i Masażu Genevieve.

Powiedział: – Ty lubisz takie denne miejsca „całe życie ludzkości jest tutaj”, prawda?

– Owszem, lubię, jak jest trochę szmatławe.

– Tak myślałem.

Odwróciła się do niego. – Czyżby? Maleńki zakamarek w tobie dotychczas nie od... – czknęła – ... słonięty?

– Do licha z twoim pojęciem o mnie.

Jakaś kobieta ich minęła. Viv trąciła Kena łokciem. – Ręczę, że to taka – szepnęła.

Ken zaproponował: – Liczmy dziwki.

Zatrzymali się przed nocnym supersamem. Za szybą stała przy półkach klientka.

– To już dwie – szepnął. Powoli poszli dalej.

– Trzy – powiedziała Viv.

– Ona? – Ken spojrzał na niemłodą paniusią po drugiej stronie ulicy. – Na pewno nie.

Viv obstawała. – Jedna drugą potrafi poznać.

– Jedna drugą? – W jego głosie brzmiało zaniepokojenie.

– Kobieta kqbietę.

– Aha. Parsknęli śmiechem.

Powiedział: – Ręczę, że bawiłaś się z Ann w BiegiPrzeszpiegi.

Przytaknęła. – A ty?

Potrząsnął głową. – Nie miałem z kim się bawić.

– Biedny Kenny. – Potargała mu włosy. – Biedny jedynaczek.

– Cztery.

Odwrócili się, żeby spojrzeć na przechodzącą dziewczynę.

– Cztery – zgodziła się Viv, ściskając mu przedramię.

– W szkole mówili, że zawsze można poznać, czy któraś... no wiesz...

– Już to zrobiła.

– Zrobiła – potwierdził Ken – jeżeli miała na ręce bransoletkę z breloczkiem.

– A któraś miała?

Przytaknęła. – Brenda jakaś tam. Siedziała w sąsiedniej ławce na geografii, wciąż pytała, dlaczego się na nią gapię. Viv się roześmiała. – Poderwałeś?

– Ja? Byłem jak skamieniały.

Już doszli do samochodu. Viv rzuciła się Kenowi na szyję, wtuliła twarz w jego

marynarke. – Och, Ken, jesteś taki...

– Jaki?

– Miły.

Zatrzymał się w jej objęciach. – Nie chcę być miły.

– A jaki chcesz być?

– Władczy. Groźny. – I dodał: – Spontaniczny.

Stali tak, opierając się o samochód Kena. Gdzieś daleko mężczyźni ryknęli śmiechem i trzasnęły drzwiczki samochodu. Główną ulicą przejechał autobus z oknami jasnymi i pustymi.

Viv powiedziała cicho: – Bądźmy spontaniczni teraz.

– Co?

– Chcesz być spontaniczny?

– Jak?

Powiedziała: – Popatrz za siebie.

Ken uwolnił się z jej objęć i popatrzył. – Ale na co?

Przeczytała mu litera po literze neonowy napis: HOTEL.

Był to odrapany hotel dla akwizytorów mieszczący się w rzędzie niegdysiejszych domków dwurodzinnych. Oświetlone okno na parterze zawiadamało tabliczką „Centralne ogrzewanie we wszystkich pokojach”.

Viv nadal zniżała głos: – Ken, dajmy sobie spokój z tą kliniką.

Zapytał: – Więc?

– Ty wiesz...

Teraz zrozumiał. Wpatrywał się w nią. Pamiętała później, jak w świetle tego neonu jaśniały jego wąsy. Pamiętała tę ciszę.

– No, Ken?

– Ale...

Ujęła go za rękę. – No! – Na pół w uniesieniu, na pół ze strachem spojrzała mu w oczy.

– Nie możemy! – powiedział.

– Czy nie lepiej tak?

– Ależ, Viv...

Nagle upuściła jego rękę. – Przepraszam. Wariacki pomysł. Milczeli. Stojąc przy samochodzie, patrzyli na siebie. Odwróciła się. W tę zimną noc czuła, jak twarz ją pali.

– Nie wiem, dlaczego to powiedziałam.

– Wariactwo.

Zarumieniona poszła naokoło do drzwiczek pasażera. Wlepiała wzrok w dach samochodu. Słyszała, jak Ken wsuwa kluczyk w drzwiczki przy kierownicy. W zamku chyba coś się zacięło, bo nie przekręcił kluczyka. Czekała. Pragnęła już być w domu, za swoimi frontowymi drzwiami. Jak mogła być taką idiotką?

– Więc chodź – powiedział.

Popatrzyła nad samochodem. Ken jeszcze stał, nie poruszył się.

– Co?

– Powiedziałem: chodź. – Spojrzał nad samochodem prosto na nią, unosząc brwi.

Milczała.

Po chwili obszedł samochód i wziął ją za rękę.

– Ale... – urwała. Patrzyli na siebie.

Poprowadził ją za rękę przez jezdnię, zatrzymując się, żeby przepuścić przejeżdżającą taksówkę. I nie puścił jej ręki, gdy pchnięciem otworzył drzwi i weszli do hotelowego hallu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Delikatne głaskanie po czole. Ken obudził się raptownie. Ann, pochylona nad nim, siedziała na łóżku, przez zasłony w oknie przenikało słońce.

- Spóźnisz się do pracy – powiedziała Ann. Poruszył się i jęknął.
- To Viv dzwoniła.
- Co?
- W porządku. Już położyła słuchawkę.
- Co mówiła? – zapytał piskliwie.
- Chce się z tobą zobaczyć po południu. Załatwiła wizytę w klinice.
- W klinice?

Ann potwierdziła. – Zadzwoń do ciebie do pracy. – Uśmiechnęła się. Strasznie się czujesz? Przytaknął: – Kac. Odczekała chwilę. – Ken, jestem taka szczęśliwa.

- Co?
- Ona mi powiedziała.
- Szeroko otworzył oczy. – Powiedziała ci?
- Że się zdecydowałeś.
- Na co?

– Przejsz przez to wszystko. – Znów pogłaskała go po czole, pochyliła się, pocałowała w policzek. – Jestem z ciebie dumna. Nie rób takiej miny, naprawdę jestem. – Wstała, podeszła do okna i rozsunęła zasłony.

- Wzdrygnął się w nagłej powodzi słonecznego blasku.
- Teraz już nie ma odwrotu – dodała Ann.

*

Viv na korytarzu spotkała Harolda. Poszli razem do pokoju nauczycielskiego.

- Jak się czuje Viv w ten poranek pełen słońca?
- Okropnie – jęknęła.
- Co ci jest?
- Katzenjammer.
- Niesforna, oj, niesforna. – Trącił ją łokciem. – Ja zwykle taką młodzież zatrzymuję po lekcjach.

*

Ann zapukała i weszła do gabinetu Dereka.

- Przyniosłam raport kontroli – powiedziała i usiadła z syknieniem.
- Co się dzieje? – zapytał Derek.
- Nic.
- No powiedz mi, Ann.
- Podniosła rękę do karku. – Tylko ten mój... no, boli.

– Biedna Ann.

– Spałam na kanapie – wyjaśniła.

Wstał i wyszedł z biurka. – Doktor Derek się tym zajmie.

Siedziała nieruchomo, gdy masował jej kark. Nikt nigdy, pomyślała, nie robi tego należycie, ale zawsze przy tym się mruczy: „och, jak dobrze”.

– Uuu... jak mi dobrze – mruknęła.

– Mam nadzieję, że... to...

– Co? – zapytała z oczami zamkniętymi.

– Nic, nic, nie moja sprawa.

– No, mów.

– Że to nie był skutek... hm... „małżeńskiego konfliktu”.

– Och, nie – powiedziała. – To był skutek pilnowania. dzieci.

– Aha.

– Żaden małżeński konflikt. Masował dalej.

– Możesz trochę mocniej, jeżeli chcesz – powiedziała grzecznie.

Zaczął ugniatać jej ramiona. – Mary ogromnie to lubiła. W dawnych dobrych czasach.

– Derek...

– Przepraszam. Nie powinienem.

– Nie powinieneś – powiedziała. – Ja po prostu musiałam przypilnować dzieci mojej siostry. Wszystko uczciwie, brudoodpomie, niepokalanie, do uprania w domu...

– Co chcesz przez to powiedzieć? Wzruszyła ramionami. – Nie wiem.

– Dziwne stworzenia – burknął.

– Kto?

– Kobiety. Wstała, żeby wyjść.

– Dziwniejsze niż mężczyźni?

*

Viv wytropiła Harolda w bibliotece. Wzięła go pod rękę, położyła mu głowę na ramieniu.

– Harry...

– Co chcesz zrobić?

– Drogi, kochany Harry...

– Dobrze. Zgadza się.

– Na co?

– Na ucieczkę z tobą. – Położył swoje książki. – Uciekamy. Nie będzie już Trevora. nie będzie Darrena, nie będzie klasy czwartej B, tych skurwysynków.

– Posłuchaj...

– Puchar życia wychylimy aż do fusów.

Przycisnęła jego rękę. – Posłuchaj, przyrzekam, że ucieknę z tobą jutro, jeżeli ty...

– Oho!

– Mam po południu tylko jedną lekcję, potem już będziesz wolny.

– O, nie!

– To tylko dalsze omawianie tematu poprzedniej lekcji. Proszę cię, Harry!
– Mam cię zastąpić? – Westchnął i wziął książki z półki. – A już myślałem, że ofiarowujesz mi swoje ciało.

*

– Klin – powiedział Ken wracając od kontuaru. Postawił piwo dla siebie, podał Viv sok pomarańczowy.

Ta sama melodia buchała z szafy grającej. W pubie było pusto poza tym, że gromadka jakichś handlowców siedziała w kącie.

– No – powiedziała Viv – i znowu my.

Przytaknął, pociągnął łyk piwa. Starł pianę z wąsów i wyznał stolikowi: – Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie turbuj się.

Po chwili powiedział: – Tak mi przykro.

– A mnie nie.

Bystro spojrzał na nią. – Czy... hram...

Potrząsnęła głową. – Jest jeszcze w Liverpoolu – powiedziała. Milczeli. W końcu zapytał: – Lekcje poszły dobrze? Kiwnęła głową i popatrzyła wokoło. – To chyba jakieś niecne tak w środku dnia.

– Co niecne?

– Popijanie tutaj.

Przytaknął. Znowu milczeli. No bo o czym mogliby mówić teraz? Ubiegły wieczór wydawał się czymś zupełnie innym.

Ken wpatrywał się w stolik. Siedzieli przy oknie. W świetle dnia cerę miał ziemistą, jak gdyby od tygodni nie był na świeżym powietrzu. Powiedział: – Czuję się bardzo nie w porządku.

– Nie! Słuchaj, Ken, ja...

– Psst! – zmarszczył brwi, wskazując wzrokiem coś poza nią. Odwróciła się. Zobaczyła idącą w ich stronę dużą kobietę o bardzo mocno skręconych czarnych włosach. Aż nią wstrząsnęło, gdy rozpoznała w tej brunetce Suzi, znajomą Amerykankę. Suzi najwyraźniej miała świeżą trwałą. Niosła dużą torbę. Swoje dwie towarzyszki zostawiła, gdy podchodziły do kontuaru.

– Cześć! – Suzi stanęła przy stoliku. – Jednak od razu cię poznałam. Nie przeszkadzam?

– Nie – odpowiedziała Viv. – To jest mój szwagier, Ken. Suzi uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Czyli nie przeszkadzam. Cześć, Ken.

Ken na pół wstał, podała mu rękę. Usiadł znowu.

Viv wyjaśniła: Suzi uczyła dramatu w mojej poprzedniej szkole.

Suzi zwróciła się do Kena. – Więc pan jest mężem siostry Viv?

– Tak... hm. , co mogę pani przynieść?

– Nic, dziękuję. – Suzi wskazała kontuar. – Jestem tu z nimi. Ja tylko coś Viv pokażę, pozwoli pan?

– Proszę bardzo – odpowiedział.

Podsunięła krzesło, usiadła i pogrzebała w swojej wielkiej torbie. Wyciągnęła plakat zwinięty w rulon i rozwinęła. Przedstawiał grzyb bomby atomowej i zadawał pytanie: **W JAKĄ PRZYSZŁOŚĆ INWESTOWAĆ?**

– Wspaniały, prawda? – zapytała. – Dzisiaj wyszedł z drukarni. Specjalnie przeznaczony do wywieszenia w banku, firmach budowlanych, takich tam miejscach.

– Jest fantastyczny – powiedziała Viv.

Suzi zwróciła się do Kena: – Mocna rzecz, prawda? Ken nie odpowiedział, więc znów zwróciła się do Viv: – Ile weźmiesz?

– Och. z pięćdziesiąt.

Ken spojrzał na Viv. – Rozlepisz je na ścianach? Viv odpowiedziała mu skinieniem głowy i wyjaśniła Suzi: – Jego żona... moja siostra pracuje w spółce budowlanej.

– To fantastycznie – ucieszyła się Suzi. – Będzie mogła...

– Nie sądzę, żeby chciała – powiedział Ken.

Zaległa cisza. Potem Suzi nagle wykrzyknęła: – Hej. Viv! Mam cudowną wiadomość. Wydadzą moją książkę. – Zwróciła się do Kena. Przyjęto moje *magnum opus*. Moje dzieciątko.

– Cudownie – powiedziała Viv. – Kto to wydaje?

– Spółdzielnia Kobiet w Limehouse. Bardzo obcesowa.

– O czym jest pani książka? – zapytał grzecznie Ken.

– O niechęci płciowej na terenie szkoły.

– Kiedy wyjdzie? – zapytała Viv.

– Pod koniec roku. Zrobimy szalone przyjęcie promocyjne, musicie przyjść oboje. – Uśmiechnęła się. – Zaproszenie na dziewięć miesięcy naprzód, więc nie możecie być wtedy zajęci.

Viv szybko spojrzała na Kena i zrobiła minę.

– No...

– Co? – zapytała Suzi.

Viv się opamiętała. – Nie sposób przewidzieć, co może być za dziewięć miesięcy.

– Rozumiem – powiedziała Suzi. – Tak, masz rację. Kiedy u władzy są tacy wariaci, któż może cokolwiek przewidywać? – Wstała. – To już wasze zmartwienie. – Zwinęła plakat w rulon, pożegnała się i odeszła do swoich przyjaciółek.

Ken zapytał Viv: – Będziesz je rozlepiać? Przytaknęła.

– Ale to niezgodne z prawem, wiesz. Takie rozlepianie propagandy.

– Przystępstwo, myślisz? – zapytała.

– Tak.

– A ja myślę, że przestępstwem jest grożenie ludzkości zagładą.

– Viv!

– Nie robimy tego dla uciechy. Nie jesteśmy chuligankami. Uniósł brwi. – Moja droga Viv, nikt nie chce wojny.

– Nie nazywaj mnie swoją drogą.

Westchnął i pociągnął łyk piwa. – Czy wiesz, co rzeczywiście gra mi na nerwach?

– Powiedz mi, co.

– Ty i te twoje – machnął ręką w stronę kontuaru – twoje znajome tam. Ogłupiałe, obłudne, zwycięskie damulki w drelichowych portkach; myślą, że mają monopol na pokój. To takie protekcyjne.

– Ty jesteś protekcyjny.

– Same sobie przyczepiacie etykiety, kiedy tak cholernie się wygłupiacie z tymi cholernymi plakatami. Zrażacie do siebie ludzi.

– My przynajmniej coś robimy, zamiast siedzieć na tyłkach. Na litość boską, Ken, chcesz żeby w jakim świecie dorastały twoje dzieci?

– Ja nie mam dzieci.

Ramiona jej drgnęły, zaczerwieniła się. – Chciałam powiedzieć, nie bądź takim faszystą.

– Ty nawet nie wiesz, co znaczy „faszysta”.

– Potrafię faszystów rozpoznać.

Podniósł się z rozpaczą. – No właśnie, i na swoim odpowiedzialnym stanowisku zatruwasz dzieci...

– Zatruwam?

– Zatruwasz je swoimi niedopieczonymi...

– Dwie moje przyjaciółki poszły za swoje przekonania do więzienia. Przyłapałam cię.

Oślupiał. Myślała, że zobaczył kogoś wchodzącego do baru i dlatego. Ale po chwili powiedział: – To przerażające.

– Co?

– To, że nie możemy się teraz pokłócić.

– Aż przerażające? – uśmiechnęła się. – Przecież zawsze się kłócimy. Mnie już ulżyło. – Zobaczyła, że skubnął wąs i znowu wlepił oczy w stolik. – Tobie nie?

Nie odpowiedział, tylko spojrział na nią żałośnie. Czasami tak na nią patrzą jej córki, zwłaszcza biedna Rosie, gdy czuje się wyśmiana.

Położyła dłoń na jego ręce. – Słuchaj, Ken, mam ci coś do powiedzenia.

– Co?

Zaczerpnęła tchu. Pogrzebała w torebce szukając papierosów. – Dzwoniłam do jednej takiej kliniki. Tam zgroza ich ogarnęła, Ken. Nawet nie chcą z nami rozmawiać. – Teraz to ona wlepiła oczy w stolik. – W tej sytuacji nikt nie zechce. Jesteśmy zdani na siebie.

*

Viv wyjrzała przez hotelowe okno w dół na ulicę. *Dorabianie kluczy... przekłuwanie uszu... minibusy, transport na zamówienie w dzień i w nocy...* Naprzeciwko pod arkadami z szyldem *Rozrywki Rodzinne* były automaty do gry.

– Miły dzionek poza domem dla rodziny. Nic, tylko zabrać ją do salonu wideo w Paddington.

Ken nie odpowiedział, jeszcze stojąc przy drzwiach. W toalecie za ścianą ktoś spuścił wodę. Po chwili Viv usłyszała, jak on stawia na podłodze reklamówkę, a potem jak siada na

łóżku, które pod nim skrzypi.

– Teraz po południu nie ma żadnych dziwek – powiedziała.

– Co?

– Żadna nie wyszła na żer. Dzisiaj tu jest nieposzlakowanie. Myślisz, że nas rozpoznał?

Ten szczurek w recepcji?

– Na pewno jest przyzwyczajony do takich rzeczy.

– Tak uważasz? – Odeszła od okna. Kącikiem oka widziała Kena siedzącego na łóżku.

– Jakiego rodzaju ludzie – zapytała – przychodzą do takich hoteli?

– Akwizytorzy.

– Samotni – umilkła na chwilę. – No i my tu jesteśmy. – Podeszła, wzięła z podłogi reklamówkę. Wyciągnęła z niej sprawunek – półlitrową butelkę whisky. – Lepiej napij się. Ja nie potrzebuję. – Trzymając butelkę, uśmiechnęła się. – Zamknij oczy i pomyśl o...

– Wolę nie myśleć.

– No to nie pomyśl.

Wstał i podszedł do umywalni. – Niestety, mamy tylko jedną szklanekę.

Roześmiała się. Otworzyła butelkę. Wzięła szklanekę od niego, nalała whisky.

– W tym jest – powiedziała podając mu szklanekę – niechęć płciowa.

Uśmiechnął się lekko. – Sto lat. – Wypił.

– No, już lepiej – pochwaliła go.

Uniósł brwi. – Czy zawsze tak się zachowujesz po daniach indyjskich?

Przytaknęła. – Połóż to na karb *biriani*. ~ Uśmiechnęła się i on się uśmiechnął. – Ann zrozumie – powiedziała.

– Jak?

– Po prostu zrozumie.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem.

Podał jej szklanekę. Krzywiąc się zaczęła popijać.

– Viv...

Odstawiła szklanekę. – Słuchaj, Ken, udawajmy, że przed chwilą się poznaliśmy i nic o sobie nie wiemy. Poza tym, że oboje dosyć lubimy Bell's Whisky. – Usiadła na krześle.

– To raczej skomplikowane.

– Więc bądźmy prości. Rozbierz się i połóż. Zagapił się na nią.

Poklepała łóżko.

– Możesz zostać w pantalonach. – Zdjęła sukienkę. – Połóż się. nosem w poduszkę.

Zdjął koszulę, buty i skarpetki, a potem spodnie. Położył się na łóżku, tak jak poleciła. W białym stanął nad nim i zaczęła go masować.

– Odpręż się. Przyjemnie? Odpowiedział niemym przytaknięciem.

– Jeszcze się nie odprężyłeś. – Ugniatała mu ramiona, pocierała miarowo stos pacierzowy. – Folgujesz. Ach. masz tu pieprzyk. Nie widziałam wczoraj. – Chrząknął, spróbował się poderwać. Pchnęła jego głowę z powrotem na poduszkę i masowała go dalej. – Fantastyczne umięśnienie.

– Dziękuję. – Leżał nieruchomo. Po chwili mruknął: – Więc to on robi.
– Kto?
– Szeft Ann. On ją masuje.
Przerwała poklepywanie, zdumiona. – Tak jak ja ciebie?
– Raczej myślę, że oni są kompletnie ubrani. No, ale może Ann kłamie. Może to zaraźliwe.
– Co?
– Kłamstwa.
Położyła się przy nim. – Ken, nie myśl o Ann – powiedziała łagodnie. – Nie teraz.
Potrzęsął głową wtuloną w poduszkę.
Uśmiechnęła się. – Przecież chodzi nie tylko o twoje ciało. W tym nie ma nic zdrożnego.
– Głaskała go po karku. – Inaczej to rzeczywiście byłoby okropnie skomplikowane.
Raptem usiadł tak, że ręce jej opadły. Odsunął się od niej i sięgnął po spodnie.
– Ken!
Zaczął wkładać spodnie. Chwyliła go, ale ją odepchnął.
– Ken...
– Musi być jakiś inny sposób.
– Posłuchaj, Ken, ten jest najprostszy... Włożył skarpetki.
– Nie!
– Oni rozumieją...
– Nie bądź taka ograniczona!
– Jak to?
– Och, Viv... Patrzył na nią. – Kobieta niby inteligentna, a potrafisz być cholernie głupia.
– Umilkł, na pół ubrany, wyczerpany. Siedział na łóżku zgarbiony, z głową spuszczoną.
Viv odczekała chwilę, po czym oparła się o niego tkliwie.
– Wiem, jak się czujesz.
Odwrócił się, żeby spojrzeć na nią. – Jesteś pewna, że wiesz?
– Ufaj mi – szepnęła.
Przytuliła go i pocałowała w zaschnięte usta. Przytuliła policzek do jego policzka, głaskała go po głowie. Ukrył twarz w jej włosach i osunęli się razem na poduszki.

*

– Ciocia Ann dała nam pióro z kartofli i kurczaka, i ciasto wiśniowe z nadzieniem rodzynkowym.
– No, a ja wam daję grzanki z serem.
– Nuda, nuda.
– Usiądźcie.
– Nie lepiej, żeby ciocia była naszą mamą?
– Milcz!
Telefon zadzwonił. – Och, hallo, Ollie? Złoszczę się? Nie, o nic. Tylko irytują mnie te bachory. – Usiadła na twardej poręczy kanapy i zaczęła pocierać śliną oczko strzelające w

pończosze. – Wczoraj wieczorem? Och, poszło świetnie. Wszystko ci opowiem... jutro wrócisz, prawda? Co? Nie... przecież powiedziałam, że świetnie. Słuchaj... muszę kończyć, dzieci się rozbijają. Pa.

Położyła słuchawkę. Dziewczynki patrzyły od stołu.

– Wcale się nie rozbijamy – powiedziała Rosie.

– Skłamałaś – powiedziała Daisy. Zaczęła skandować: – *Kłamczucha, kłamczucha, aż z majtek ogień bucha.*

– Zamknij się! – wrzasnęła Viv.

– *Powieś je na iańcuchach!*

Ann wniosła podgrzane talerze. – To jest uczta – powiedziała.

Stół był nakryty w saloniku. Ken wyjął z reklamówki te frykasy. – Nie lubię, jak harujesz w kuchni – powiedział. Postawił pojemniki na stole. Gorące, prawie parzyły, posłał palce.

– I w dodatku to. – Dotknęła tulipanów wazonie.

– To tylko bukiet kwiatów – mruknął.

Usiedli. Odłuskała pokrywkę z jednego pojemnika, zapachniało aromatycznie.

– Czuję się taka rozpieszczana.

Spojrzał na nią bacznie. – Nie czuj się tak!

– Dlaczego?

Popatrzyła na niego, zaciekawiona. – Dziwne to, co mówisz. – Umilkła, zdejmując pokrywki z innych pojemników. – Nie jedliśmy tego od wieków. A tutaj... co my mamy?

– *Bhuna ghosth.*

– Co jedliście, ty i Viv wczoraj?

– Nie pamiętam. Baraninę *mughlai*, takie rzeczy.

Zjadła kawałek chleba *nan*. – Nie nudno ci tak powtarzać?

– Co? Wskazała potrawy.

– Skoro jadłeś to wczoraj.

Potrząsną} głową. – Chcesz sałatki z krewetek? – Podał jej pojemnik. Wzięła sobie trochę.

– Pamiętasz – uśmiechnęła się – tego starego kelnera z zezem?

Przytaknął.

– I jak zjadłam przez pomyłkę wszystek czerwony pieprz?

– A jakże, i czarny malunek spływał ci po twarzy.

– Viv.

– Co?

– Tusz był Viv – wyjaśniła. – Pożyczyłam od niej. Zwykle nie malowałam rzęs.

Jedli przez chwilę milcząc. Potem Ann powiedziała: – Tak bardzo się cieszę, Ken.

– Z czego?

– Z tego, że doszliście do porozumienia. Co z kliniką? Oderwał kawałek chleba *nan* i położył przy swoim talerzu.

– Ona zasięga informacji.

– Cieszę się – powiedziała z uśmiechem – że to będzie twoje dziecko. Na pewno mnie

zrozumiesz. – Wypiła trochę piwa. – To o wiele, o wiele lepiej.

Dodał łyżkę jogurtu do swego curry i zamieszał. Zawirowały kolory: biel beżowo wtopiła się w brąz. Podniósł oczy. – Wiesz?

– Co?

– Tamte czasy. Pamiętam, jak rozglądałem się tam po restauracji i coś sobie pomyślałem.

– Co?

– To, że jestem najszcześliwszym człowiekiem w tej sali. Znów się uśmiechnęła. Położyła mu dłoń na ręce. – Nie musisz mi tego wszystkiego mówić.

– Dlaczego?

– Nie musisz, po prostu.

Umilkli. Ken jadł niewiele; nie był głodny. Nagle Ann parsknęła śmiechem.

– O co chodzi? – zapytał zakoczony.

– O to – wskazała. Popatrz na stół. Przy jego talerzu leżały rozrzucone małe kulki *nan*. – Robiłeś to na naszej pierwszej randce. – Spojrzała mu w oczy i znów się uśmiechnęła. – Bo byłeś zdenerwowany.

*

Już leżąc w łóżku, Ann czytała książkę. Za oknami dmuchał mroźny wiatr. Deszcz zacinał w szyby.

Ken zdjął szlafrok i położył się obok niej. Przeczytała na głos: – *W tłumie gości Marc zobaczył Candice. Ich oczy się scementowały*. – Roześmiała się. – Uj!

Odłożyła książkę na szafkę nocną. Ken leżał na wznak, zapatrzony w sufit – Ann – powiedział.

– No?

– Co do kliniki... – Podmuch wiatru walnął deszczem o szybę. Zagruchotał framugą.

– Co?

Ken zawahał się. Odwrócił głowę. – Nic. – Objął Ann, pogłaskał, a potem zaczął ją namiętnie całować. Delikatnie go odepchnęła.

Odsunął się. – O co ci chodzi?

– O nic. Jednak się wytłumaczyła: – To pewnie po curry chce mi się spać. – Dotknęła jego czoła, odwróciła się i zgasiła światło. Wszystkiemu winna jest *biriani*.

– Co? – W mroku jego głos zabrzmiał bardzo ostro.

– Pamiętasz? Wszystkiemu winna *bossa nova*. Viv i ja śpiewaliśmy to w innej wersji. – Cicho zaśpiewała: – *Wszystkiemu winna jest biriani*. Wtedy czułyśmy się niegrzeczne. To zabawne, prawda?

– Zabawne?

– Nie miałyśmy pojęcia, co znaczy *biriani*, ale byłyśmy pewne, że to jakieś wielkie bezeczeństwo. Głupio.

Zapytał w mrok: – Głupio? Przecież w *biriani* nie ma nic bezecnego.

Leżeli przy sobie. Pocałowała go w policzek. – Dobranoc.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Znowu ten pana okropny brie – Ellie pociągnęła nosem zanim położyła paczkę na biurku Ollie’ego.

– Dziękuję. – Dał jej pieniądze.

– Więc jak było w Liverpoolu? – zapytała, gdy odwijał ser.

– Samotnie.

W czasie jego nieobecności ufarbowała sobie jedno pasemko grzywki na różowo. Poza grzywką wszystkie włosy miała związane kawałkiem koronki. Wzięła z biurka egzemplarz „Metropolii”. – Mogę sobie wypożyczyć na przerwę obiadową? – zapytała.

– To kazirodztwo.

– Co?

– Czytanie pisma, w którym się pracuje.

– Ja w nim nie pracuję – oświadczyła. – Tylko odbieram telefony.

Zabrał jej magazyn i przejrzał. – No, Ellie, co cię interesuje? Spółdzielnia lesbijek? Warsztat rozwojowy? Jeden materac wodny trochę wyrudziały?

– Faceci.

Wybałuszył na nią oczy. – Co takiego?

Zaczerwieniła się. – O, kurczę...

Otworzył magazyn na stronie Samotnych Serc. – Tobie ten katalog przecież nie jest potrzebny.

– Kto tak mówi?

– Ja.

Jeszcze zarumieniona, zapytała: – Skąd pan wie, panie wszechwiedzący?

Wycelował w nią palec. – No... tylko popatrz na siebie.

Odwróciła się, żeby odejść. – Wiedziałam, że pan będzie się ze mnie nabijał.

– Zaczekaj. – Powiodł wzrokiem po tej rubryce i przeczytał na głos: – *Poszukiwana: serdeczna, wrażliwa, niepaląca miłośniczka kotów...* Miłujesz koty?

– Tak.

– To dobrze. *Ładne nogi konieczne.* – Odchylił się w fotelu obrotowym, popatrzył na jej nogi i przytaknął. – Cel: *przyjaźń długoterminowa.*

Wyciągnęła rękę po magazyn. – Niech mi pan da. Potrząsnął głową i przeczytał: – *Agent sprzedaży nieruchomości, męski, szuka pani posiadającej grunty...*

– Uch...

– Nie odpowiada? Możesz mieć innego. *Smukły, nieśmiały...* nie, to gej. *Dobrze zbudowany absolwent...* nie, także gej. No proszę: *troskliwy elektrotechnik*, aha... albo ten... *fachowy reprezentant wolnego zawodu...* w przeciwieństwie do takich amatorów jak my tutaj.

Parsknęła śmiechem. – Pan jest stuknięty.

– Stuknięta to jesteś ty. Rzeczywiście zamierzasz odpowiedzieć na któreś z tych ogłoszeń?

Wzruszyła ramionami. – Ma pan lepszy pomysł?

– Może by tak... och, są kluby. No i nie chciałabyś żadnego z tutejszych?

Skrzywiła się. – Oni wszyscy już...

– MNS?

– Co to znaczy?

Uśmiechnął się szeroko. – Mieszkają Nie Sami.

– Żonaci – dodała.

– Albo skapciani.

Westchnęła. Wzięła od niego magazyn. – Myśli pan, że każdy z takich ogłoszeń jest jakiś dziwny?

Ollie uniósł brwi i zaczął jeść kanapkę. – Nie dziwniejszy niż cała reszta nas na tym padole – wybełkotał.

*

W ciągu nocy wiatr przepędził chmury. Był pogodny rześki dzień. Kałuże mrugały – ciężarówki przejeżdżały z sykiem. Viv siedziała w samochodzie, dłonie miała wilgotne. Godzina 1. 15. Czekala od dwudziestu minut, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jeszcze zaciska ręce na kierownicy. Przejechał autobus, szyby błyszczały w słońcu. Po drugiej stronie tej głównej ulicy był rząd sklepów. W oknie Spółki Budowlanej Archway jaskrawił się nowy plakat. Z daleka to wyglądało na rodzinę na plaży; szczęśliwą i opaloną, niewątpliwie. Dwoje dzieci. Zawsze jest dwoje.

Godzina 1. 20. Viv przyjechała tu impulsywnie. Wkrótce powinna wrócić do szkoły. Przejechał następny autobus. A tam drzwi się otworzyły, ale wyszedł tylko klient. Musiała przyjechać. Teraz nie mogła znieść czekania ani chwili dłużej. Pomyślała: mogłabym włączyć radio. Coż, kiedy ręce jej nawet nie drgnęły.

Te drzwi otworzyły się znowu. Tym razem wyszła Ann. Zapinając kurtkę, spojrzała w górę na niebo. Serce Viv łomotało. Ale za Ann wybiegła jakaś dziewczyna w różowym płaszczu. Coś do Ann powiedziała, obie się roześmiały. Potem skręciły w lewo, we dwie odeszły ulicą.

Viv otworzyła drzwiczki samochodu. Ann i ta dziewczyna szły żwawo; po chwili zniknęły wśród ludzi chodzących w przerwie obiadowej po sklepach.

Viv zamknęła drzwiczki samochodu. Powoli włączyła silnik i pojechała z powrotem do szkoły.

*

Tracey siedziała na biurku, uśmiechając się w rozmarzeniu. Twarz miała upudrowaną i kluski z tego pudru jak z mąki na podbródku. W klasie było pusto – przerwa popołudniowa – poza tym, że Viv siedziała w sąsiedniej ławce.

– Mam nadzieję, że to dziewczynka – powiedziała Tracey.

– To straszne – powiedziała Viv – słuchaj, ja nie chcę być nauczycielska, ale...

– Nawet mnie nie obchodzi, czy wylecę.

– Co zamierzasz zrobić?

– On się zmył, wie pani. Mój chłopak. – Tracey nadal się uśmiechała. – Uciekał, aż się kurzyło, ale nie dbam o to. Już nie.

– Ale twoje świetne stopnie... – Viv chciała nią szarpnąć, strząsnąć z jej twarzy ten uśmiech.

– Pani też tak się czuła? Przed swoimi dziećmi?

– Słuchaj, Tracey, jesteś jedną z moich najzdolniejszych uczennic.

– Samotnej z dzieckiem dają mieszkanie.

– A twoja przyszłość? – zapytała Viv. – Musisz mieć jakiś zawód.

– Żeby tyrać w fabryce jak Mo?

– Nie. ty jesteś inteligentna, mogłabyś...

– Guzik prawda. – Tracey zsunęła się z pulpitu i ruszyła do drzwi. – Myślałam, że pani mogę powiedzieć. Pani jednej z tych wszystkich idiotek tutaj. – Zatrzymała się. – Myślałam, że pani zrozumie. – Westchnęła teatralnie. Włosy miała tłuste: nagle wyglądała na matronę w średnim wieku. Viv wstała, ale ona już otworzyła drzwi. – Niech się pani trzyma swojej Jane Eyre – palnęła na pożegnanie i zamknęła drzwi za sobą. Delikatnie, jak gdyby bardziej ze smutkiem niż z gniewem.

*

Ollie otworzył swoim kluczem drzwi frontowe, wszedł i postawił neseser w sieni. Dziwne, pomyślał, ten dom zawsze wydaje się zmieniony po mojej nieobecności nawet przez dwa dni. Wrotki na dywanie, sfatygowane nieznanymi trasami. Pognieciona sukienka Viv gotowa do czyszczenia w pralni chemicznej, kartki z wiadomościami telefonicznymi wetknięte w ramę lustra i list ksero ze szkoły dziewczynek, niewątpliwie z wiadomością o przejściu którejś z nauczycielek na emeryturę – datki mile widziane – czy może o giełdzie staroci – starocie mile widziane. Wszystko tak samo jak zawsze, ale jakieś przesunięte, jak gdyby normalność była kawałkami czerepu w kalejdoskopie codziennie potrząsanym i układała się w coraz to inny deseń. W domu panowała cisza.

Wszedł do pokoju dziennego. Z początku myślał, że nie ma nikogo. Rozejrzał się: pozostałości śniadania w zlewozmywaku, na stole sterta zeszytów i reklamówka Sainsbury's, na podłodze pusta torba po chrupkach. Przedwieczorne słońce świeciło zza wybujałych roślin na parapecie okiennym. Zobaczył kubek z nie dopitą herbatą i niedopałek na spodku, jakoś złośliwie wyeksponowane przez nieobecność osoby, która wypaliła tego papierosa, a tej herbaty nie dopiła.

Dopiero potem zauważył, że Viv jednak jest obecna. Leżała pod kanapą, głowy nie było widać. Popatrzył na połatane dżinsy z napisem *Energia atomowa? Nie, dzięki!* na pośladku i na fioletowy pulower. Czy nie słyszała, jak on wszedł?

– Fatalna – powiedział.

– Co?

– Szara rzeczywistość.

– Witaj – powiedziała i wykrzyknęła: – Cholerny ten Bertie! Spojrzał na kredens. Klatka

chomika była otwarta.

– Dlaczego one nigdy go nie zamykają? – Zwrócił się do nóg Viv. – Wyłaż już stamtąd i napijmy się. Musisz wszystko mi opowiedzieć.

– O czym?

– O tobie i Kenie. Wszystko. – Podeszedł do lodówki i wyjął lód. Nacisnął gumowe przegródki tacki. Kostki lodu z brzękiem wpadły w pucharki. Spojrzał znów na nieruchome nogi Viv.

– Wiesz – zaczął powoli – zastanawiałem się tam w Liverpoolu...

– Podeszedł do kranu, napełnił puste przegródki wodą. – Może bym z tego żartował, gniewał się, ale czułem tylko... no, wiesz...

Nie odzywała się. Patrzył na brudne podeszwy jej adidasów – ... zażenowanie – ciągnął. – Coś jest w tej klinicznej mechaniczności. Ale to mnie uderzyło dopiero tam...

– Co cię uderzyło?

– Potworność tego twojego postępowania. Fabrykowanie czegoś, co rozumie się przez... – Ukroił dwa plasterki cytryny i odwrócił się, aby spojrzeć na jej nogi... – przez akt miłości.

Nadal się nie odzywała.

– Wyłaż – powiedział. – Opowiedz mi o tym. Cios po ciosie.

– Wszystko było jak należy. Chodź prędko! – Przesunęła się pod kanapą. – Jest! Wygoń go stąd.

Podbiegł i przykucnął przy końcu kanapy. – Gdzie?

– Bydlaku!

– Co?!

– Mówię do Bertie’ego – powiedziała. – No, prędeży! – szperała pod kanapą.

Przykucnięty zapytał: – Co to znaczy „jak należy”?

– Mam cię! – Wykręciła się i wysunęła tyłem spod kanapy. Z twarzą czerwoną, potargana, podniosła chomika w ręce. – Uch, ty – powiedziała chomikowi – nienasycenie głodny przygód. – Podeszła do kredensu, wsadziła Bertie’ego do klatki.

Podał jej dzin i tonik. – Usiądźmy. Usiadła przy stole.

– Tracey jest w ciąży – oznajmiła.

– Tracey? Mów o sobie.

– Nie usunie.

– Nie o niej. O sobie – powtórzył. – Co się działo? Znalazłaś klinikę? Będziecie musieli udawać małżeństwo?

Przytaknęła, mieszając palcem lód w dzinie.

– Jest taka na Harley Street.

– Na Harley Street. Co powiedzieli? Będziecie musieli wejść do kabin?

Zawahała się. – Słuchaj, Ollie. Przyrzekłam Kenowi, że nie...

– Co nie? – zapatrzył się w nią.

Zapaliła papierosa. – To wszystko jest takie... bez godności. On chce, żebyśmy... no, szanowali jego intymność.

– Pompatyczny osioł.

– Wcale nie. – O zgrozo, poczuła jak łzy wzbierają jej w oczach.

Zerwał się z kanapy i usiadł przy niej. – Kochanie... – Objął ją ramieniem, ale go odepchnęła.

– Nie chciałem ciebie zdenerwować... – powiedział. Potarła nos, chlipnęła. Zupełnie jak nie Viv. Nie podniosła wzroku. – To wszystko takie... trudne.

– Vivvy. kochanie...

– Porozmawiamy o tym później – powiedziała. Przytaknął bezradnie.

*

Viv odsunęła się od Kena. Plasnęło tak, jakby się od niego odkleiła. Pokręciła gałką radia przy łóżku. Były trzaski, zakłócenia, a potem przytłumiona muzyka.

– Do licha – powiedziała – radio na chodzie.

Nastawiła głośniej. Rozbrzmiewało *Królestwo Nadziei i Chwaty* – Ojej! – roześmiała się. – Jakże stosowne.

Pokręciła inną gałką i te dźwięki zmieniły się w *reggae* cichutką, jak gdyby dolatującą prosto z dalekich Indii Zachodnich. Poczuła, że Ken się przesuwa, sięgając po papierosy. To był już następny dzień, znowu ten zawieruszony czy też możliwy do zawieruszenia czas pomiędzy godziną piątą i siódmą. Zostawiła dziewczynki u Julie w domu przy rogu swojej ulicy i powiedziała, że jedzie po zakupy. Powinna pamiętać, żeby coś kupić po drodze, kiedy będzie wracała. *Moja najpłodniejsza pora w miesiącu* – szepnęła Kenowi przez telefon – *więc musimy to wykorzystać*. Miała przy tym uczucie oderwania od rzeczywistości, ale jeszcze bardziej nieprawdopodobne wydawało się to, że telefonuje do Kena do pracy. Śmiesznie trudno tak pytać, czy jest pan Fletcher. Pomyślała o swoich córkach siedzących przy stole – te ich oczy okrągłe. *Kłamczucha, kłamczucha, aż z majtek ogień bucha*. Nie chciała myśleć o swoich dzieciach.

Powiedziała: – Zaczynam naprawdę lubić ten straszny pokój. Ciekawe, dlaczego za każdym razem dają nam ten sam.

Ken nie odpowiedział. Poczęstował ją papierosem z paczki. Wzięła dwa. zapaliła i jednego dała jemu.

– Ładnie, że to robisz.

– Tak się powinno. Jak w filmach. To bardzo kojące.

– Nie jestem taki ukojony. – Umilkł i spojrzał na zegarek.

– Lepiej, żebym poleżała jeszcze chwilę – powiedziała. Spojrzał na nią. Po raz pierwszy od pół godziny napotkał jej wzrok. Pomyślała: zdumiewająco pomysłowy kochanek i jaki czuły. Ale twarz przede mną ukrywa, czy porównuje mnie z moją siostrą?

Chyba odczytał to w jej wzroku. – Aha – powiedział.

– Dziwne, prawda? – uśmiechnęła się. – Przed laty wyskakiwałabym ze skóry, żeby nie zejść. A teraz leżę tutaj i wysilam wolę, żeby był skutek.

Zmarszczył brwi. – Viv...

– Co?

– Gdybyś... no, gdybyś mogła nie być taka kliniczna. Uniosła brwi. – Przecież mamy być

kliniczni. – Gdy milczał, dodała: – Co nie znaczy, że to nie jest...

– Jakie?

– Dosyć przyjemne. Zapytał po chwili: – Jest?

– A nie jest? – Uśmiechnęła się. – Właściwie to by mogło wejść w zwyczaj.

Nagle złapał się za głowę. – O. Boże!

Dotknęła jego ramienia. – Przyrzekłeś – powiedziała łagodnie. – Żadnych „O. Boże”.

Nie poruszył się. Patrzyła na jego zgięte plecy, na rękę zasłaniającą twarz. Barczysty, wydawał się tym bardziej bezradny, ale nie odważyła się go objąć. Powiedziała: – Po prostu myśl o swoim ciele jak o czymś odrębnym. Mężczyźni świetnie to potrafią.

Zapytał przez palce: – Rzeczywiście?

– A w ogóle pies z nimi dwojgiem tańcował. Zapomnijmy o nich.

– Viv!

– Daj spokój. Nigdy tego nie robiłeś? Przed Ann?

Zaległa cisza. Ken palił papierosa, zaciągał się. W końcu powiedział: – Ja tylko... wiesz, jeden raz...

– Nie?!

Potwierdził przytaknięciem. Przed hotelem na ulicy zrobił się korek. Viv słyszała klaksony, trzaskanie drzwiczek samochodów, gniewne okrzyki. Odgłosy przedwieczorne. Przez siatkowe firanki jeszcze się sączyło szare światło dzienne. Naprzeciwno, w kancelarii adwokackiej, przybytku nie zapowiadającym nic dobrego, światło jarzeniowe zgasło. Najwidoczniej urzędowanie się skończyło. Już prawie czas, pomyślała, żeby wyjść.

Ken głośno zaczerpnął tchu. – Pojechałem do Belgii, wiesz, wakacje na rowerze.

– Do Belgii?

– No, tam szosy są płaskie.

Nie mogła się nie uśmiechnąć. Chętnie by go potargała, ale powinna już wiedzieć, że on tego nie lubi. Dopatrywałby się protekcyjności.

– Tak czy owak, ta dziewczyna była Niemką. Myślałem: tym lepiej, bo nie mówię po niemiecku. To było na campingu i było straszne. – Zduślił niedopałek i podał jej popielniczkę. Za oknem klaksony nie ustawały. Nakryła się kocem, postawiła sobie popielniczkę na brzuchu. – Wciąż błyskały latarki i te wszystkie odgłosy...

– Zalecanki wielojęzyczne?

Potrząsnął głową. – Para w sąsiednim nanmiocie, Anglicy, kłóciła się o swoją matkę, czy oddać ją do domu starców, skoro ona siusia pod siebie.

Viv wybuchnęła śmiechem i potargała mu włosy. Nie zdołała się zmytygować.

– Więc niezbyt nastrojowo – podjął swoją opowieść. – Nigdy przedtem nie widziałem nagiej kobiety, moja mama pod tym względem...

Przytaknęła. – Wiem.

– Ani nawet częściowo nagiej. Z wyjątkiem Brendy.

– Też z bransoletką z brelokiem?

– Tak. Brenda... hm, pokazywała za pięć szylingów. To było dużo pieniędzy.

Umilkł. Naprzeciwno w kancelarii adwokackiej światło się zapaliło, najwidoczniej ktoś

wrócił po coś, czego zapomniał.

– Mów dalej – powiedziała.

– Więc umyłem samochód sąsiadowi, wpućowałem woskiem i dostałem pięć szylingów.

No, zapłaciłem jej, więc mi pokazała. W kotłowni. I wiesz...

– Co?

– Następnego dnia sąsiad rozbił samochód. Doszczętnie. Czułem się strasznie.

– Dlaczego?

Zawahał się. – Myślałem, że to gniew boży. Nie wiedziała, czy ma się roześmiać.

Patrzyła w okno. Naprzeciwko światło znów zgasło. Zapadał mrok, dzień uchodził. Zapytała:

– Co na to Ann?

– Na co?

– No, nigdy jej o tym nie opowiadałeś?

– Nie.

– Dlaczego? To cudowna historia.

– Nie mógłbym.

– Ale dlaczego?

– Ann jest moją żoną.

Teraz już nad sobą nie panowała. Śmiała się nieomal do łez. – Jesteś nadzwyczajny!

– Nie mów tak!

– Dlaczego?

Odwrócił się od niej. – Nie oglądasz mnie w probówce. Zaległo milczenie. Woda z kranu kapiała do umywalni; kran miał swoje życie.

– Przepraszam – powiedziała Viv łagodnie. Wstała z łóżka. Odwrócona tyłem, włożyła figi. a potem szybko sukienkę. Odwróciła się do Kena. – Wyglądam nieporządnie?

– Wyglądasz bardzo młodo.

Zapięła pasek przy sukience. – Nie musisz tego mówić.

– Czy nie mogę?

Nie odpowiedziała. Chciała, żeby już wstał. Wciągała rajstopy. Trudno robić to ponętnie. Niemożliwość właściwie. Trzeba było rano włożyć pończochy.

– Więc ty wierzysz w gniew boży? – zapytała po chwili, szcztokując włosy.

Nie poruszył się. – Nie wiem – odpowiedział. – Już w ogóle nic nie wiem.

Przeczesała włosy palcami i potrząsnęła głową, żeby się kręciły. Czuła się tak, jakby siedziała na scenie w zupełnej ciszy. Przerwała tę ciszę.

– No. nie martw się.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Szerokim machnięciem ręki wskazała kapiący kran, ciemniejące okno. jego ubranie.

– Ten pokój z pewnością nigdy nie widział seksu tak wartościowego.

Wpatrywał się w nią. Już nie mogła widzieć jego twarzy wyraźnie.

– Wartościowego?

– Czy to nie tramę określenie?

– Trafne? – Wpatrywał się w nią nadal, leżąc nieruchomo.

*

Ann krajała wątróbkę na drewnianej desce. W pierwszych latach małżeństwa prosiła Kena, żeby ją w tym wyręczał; nie cierpiała dotykać oślizłego bezkostnego mięsa. Poza tym lubiła opiekuńczość Kena i to, że uśmiechał się na widok jej obrzydzenia. Ale ostatecznie wzięła się w garść: po trzydzieście piski i lamenty nie są już tak czarujące. Czy też może Ken przestał się ofiarowywać. Dawniej usłużnie krążył wokół niej w kuchni, jak gdyby w pokojach powietrze bez niej stawało się nie do oddychania. Ale czyż nie byłaby głupia, gdyby się spodziewała, że to przetrwa czternaście lat ich małżeństwa – najpierw w wynajętym mieszkaniu, potem we własnym domu – te kilka tysięcy posiłków.

Godzina siódma. Zabrział sygnał czasu w radiu. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że radio, odkąd wróciła, jest włączone, a ona nie słyszała ani słowa. Spojrzała przez okno na ogród. Był mniejszy niż ogród Viv i wybrukowany. Ken uznał, że nie da się utrzymać tak dużego trawnika. Pod murkiem w równych odstępach – jak strażnicy – stały skrzynki białe, grzeczne. Rośliny w nich, zwiędłe, majaczyły w wieczornym mroku. Kwiecień się zaczął zimny, z porywistym wiatrem. Na murku wznosiła się krata, pomysł Kena, ale nie bardzo zasłaniała pranie pani Maguire – lekko kołyszące się majtki dziecięce i ogromne kalesony pana Maguire.

Ann pomyślała: goły jakiś i szanujący się jest mój ogród. Poczula, że się rumieni ze wstydu: no bo czyż sama nie pomagała Kenowi tak to zagospodarować, usuwając gruz, kładąc płyty?

Poczula się zmęczona i stara, i palce miała krwawe od wątróbki. Cały ten dzień wydawał się bardzo długi. Dziwne, o ile bardziej praca w biurze wyczerpuje, jeżeli myślą przebywa się poza biurem. Usłyszała trzask drzwi frontowych. Ken zatrzymał się w hallu, odchrząknął. Zawsze chrząkał, gdy przeglądał pocztę. Dopiero teraz uświadomiła to sobie.

Wszedł do kuchni za jej plecami.

– Hej – powiedział. Zwykle mówił „cześć”, nigdy .. hej”. Czy może ona dotychczas nie zauważyła. Może ostatnio uszło jej uwagi jeszcze coś. co powinna teraz jak błonę filmową przewinać i obejrzeć swymi piekącymi oczami? Nowe słowa, nowe chrząkanie...

Na pół się odwróciła. Ken miał w ręce torbę z ekwipunkiem sportowym.

– Przepraszam, że tak późno – powiedział. – Pływałem. Znowu zajęła się wątróbką.

– Nie musisz się tłumaczyć, wiesz. Cisza.

Nóż był ostry, płat wątróbki się oddzielił, czerwony, pod nożem miękki jak masło.

– Właściwie – zapytała – gdzie byłeś?

– No. pływałem! Patrz!

Podszedł do niej. chwycił ją za wolną rękę i przesunął jej dłonią po swoich mokrych włosach. Odciągnęła rękę, pokazując mu zakrwawione palce.

– Brrr! – otrząsnął się.

– Przepraszam.

– Ja przepraszam.

Dokończyła krajanie wątróbki. Odkręciła krany, trochę zimnej wody, trochę gorącej, i zaczęła myć ręce.

– Ann... Myła ręce.

Powiedział: – Co do kliniki. Coś muszę ci powiedzieć.

– Nie!

Spojrzał zdumiony. – Co nie?

– Nie mów mi – powiedziała z pośpiechem. Patrzył na nią.

– Jak to?

– Wolę, żebyś tego nie ujmował w słowa.

– Ale...

– Tobie może by ulżyło... – powiedziała łagodniej i odwróciła się, żeby mówić do zlewozmywaka. – Ale ja nie chcę wiedzieć.

Długa chwila ciszy. Odchrząknął. – Skąd ty... ?

– Domyśliłam się. Nie zapominaj, że od bardzo dawna cię znam.

– Ale...

– Proszę cię. – Odwróciła się szybko do niego. Patrzył na nią, zdumiony.

– Czy cię to nie obchodzi? – zapytał.

– Oczywiście, że obchodzi. A jak ci się zdaje?

Usiadł przy stole i przeczesał włosy palcami. Stanęły mu na jeża. – O Boże.

– Ale ta sprawa jest ważniejsza niż to, co ja czuję – powiedziała. – I to, co ty czujesz. Czy nie rozumiesz?

Siedział wpatrzony we flaszeczkę z oliwą.

– I ostatecznie – dodała – to się niedługo skończy. Cisza.

– Prawda? – powtórzyła. Przytaknął.

Odwróciła się z powrotem do zlewozmywaka i splukała deskę po wątróbce. Potem umyła nóż.

– Tylko przyrzeknij mi jedno – powiedziała. Patrzyła w okno na ich mały ogród. Oczywiście ten ogródek kochała. – Jeżeli to się uda – powiedziała – nie chcę, żebyś się czuł jak pies, który spodziewa się bicia. – Wytarła nóż ścierką. – Ja cię nie zbiję. – Podeszła do zestawu szafek, otworzyła szufladę. – Ale proszę cię, nie mów, że jesteś mi bardzo wdzięczny. – Położyła nóż przy innych w szufladzie.

*

Ollie zamknął Książkę Adresową Kelly’ego. Miał dziwne wrażenie, że od ucha do ucha rozbrzmiewa mu jakieś echo, rozpychając czaszkę.

Ellie przechodziła koło jego biurka. Przystanęła. – Znalazł pan to, czego pan szukał? – zapytała wskazując książkę.

Skinął głową powoli i wstał. – Idziesz na obiad?

*

– Hej! – rozplómięta twarz Ellie przeleciała obok niego. Pchnął mocniej. Ellie siedziała na dziecięcej karuzeli. Jej utlenione włosy się rozwiewały. – Hej, dosyć już! – Wyciągnęła nogę w długim bucie. Ze skrzypieniem karuzela zwalniała.

Ellie, zdyszana, zeskoczyła.

– Kiedyś to pan musiał być istnym tyranem.

Przytaknął. – Byłem. Obrywałem małym dziewczynkom skrzydełka.

– No, moich niech pan nie dotyka – powiedziała obciążając mini. – Mam tylko jedną parę.

Nie uśmiechnął się. Patrzyła na niego z ciekawością, gdy z terenu zabaw szli ulicą na plac. Tego dnia było ciepło: pozółkłe kamienne kolumny stały w wodnistym blasku słońca. Skreślił z nią do cocktail baru. Usiedli przy stoliku na zewnątrz.

Kelner podał im cocktaile. Zajrzała do swojej szklanki i oświadczyła: – Lubię, jak w tym jest sałatka owocowa. – Wyjęła pływającą w szklance wiśnię i zjadła.

– Smakuje.

Pociągnęła łyk i skrzywiła się. – Takie właśnie paskudztwo mama mi dawała na migdałki.

Po chwili ciszy Ollie zapytał: – Jesteś ze szczęśliwej rodziny, prawda?

Wzruszyła ramionami i przytaknęła.

– To można poznać – powiedział.

– Po czym?

– Umiesz ufać ludziom.

Uniosła brwi, ale nie rozwinął tego tematu. Wskazał jej szklankę. – Zamówię ci coś innego.

Podniosła szklankę. – Chcę być grzeszna i wyrafinowana.

– Nie bądź!

– Co? – Wybałuszyła oczy.

– Zostań taka, jaka jesteś.

Patrzyła na niego ze zdumieniem. Wypił swój cocktail, ona ssała liść mięty. Na placu grupa demonstrantów zaczęła coś wrzeszczeć. Wskazał ich ruchem głowy.

– Czy to uliczny teatr czy właśnie się wysiusiali?

– Jak to?

– Taki tylko żart z Covent Garden. Uśmiechnęła się. – Pan chyba się rozweselił. Powiedział po chwili: – Wyłącznie dzięki tobie.

*

W pokoju nauczycielskim wyciągano swoje drugie śniadania. Harold otworzył puszkę Tizera. Syknęła. Wlepił w nią oczy i zapytał: – No, dlaczego ja to kupiłem?

Madeleine, patrząc przez okno na wodnisty blask słońca, powiedziała: – Prawie czuje się wiosnę.

W pokoju szumiało od nedorzecznych monologów po ciężkiej pracy przez całe przedpołudnie. Harold rozsiadł się za swoim „Guardianem”.

– Nigdy nie zgadniecie, kto przejmuje pierwsze skrzypce.

– Kto?

– Shane.

– Shane?

Pan Masterman, o którym nie dałoby się powiedzieć, że nomen omen. drzemał w swoim kącie. Pani Hasnain, która była nowa, coś sobie notowała. Adam, który uczył gier i zabaw, zapalił skręta. W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi.

Harold zawołał: – Odejdź!

Cisza i znów pukanie.

– Nie! – powiedział Harold.

W końcu z jękiem wstał i otworzył drzwi.

– Och! – wykrzyknął – przepraszam panią, myślałem, że to któryś dzieciak. – Stała przed nim kobieta o sympatycznej twarzy jakich wiele, teraz wyrażającej zaniepokojenie. Usta umalowane szminką bladoróżową, brązowe włosy uczesane bardzo starannie, zakiet kostiumu zapięty na wszystkie guziki. Nienaganna w kuchni, pełna zahamowań w łóżku czytelniczka Catherine Cookson. Ładne nogi. na pewno nikt jej tego nigdy nie mówi, i smętnie praktyczne półbuciki. Czyja to może być matka? Zawsze Harold zgadywał i zawsze się mylił. – Proszę, niech pani wejdzie – powiedział.

Rozejrzała się.

– Ja do pani Vivien Meadows.

Potrząsnął głową. – Musiała skoczyć do domu. Bo coś tam z gazownią.

– Ach, tak.

– Pani pociecha jest w jej klasie?

– Nie – odpowiedziała. – Jestem jej siostrą. Wybałuszył oczy. – Do licha!

Stała, niezdecydowana. Wskazał telefon.

– Niech pani do niej zadzwoni. Na pewno już dojechała. Owszem, pomyślał, to możliwe. Niższa oczywiście, nie tak ładna, nie ten styl. Ale usta miłe jak usta Viv, nic dziwnego, że zauważyłem kolor szminki. Typowy okaz swego gatunku, mogłaby siedzieć tutaj w pokoju nauczycielskim przez lata całe i nikt by jej nie spostrzegł, ale też komuś, kto by jednak zatrzymał na niej oko, sprawiłaby przyjemną niespodziankę. Dwoje dzieci – jakiś Bruce i jakaś Sally – które nie mają ani jednej plomby w mlecznych zębach i w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia piszą liściki dziękczynne.

Harold, patrząc na Ann przy telefonie, pomyślał z kolei o swoich dzieciach i westchnął.

*

Ken stał przy oknie. Viv, wyciągnięta na dywanie twarzą w dół, podnosiła się i opuszczała na rękach. Dzisiaj to był pokój sąsiadujący z tym, który już im się wydawał ich zwykłym.

– Tylko hotel – wysapała – mógł wpaść na pomysł, żeby kupić dywan musztardowo-kasztanowy.

Zawiązując krawat. Ken widział przez okno sklepy.

Dorabianie kluczy, Przekłuwanie uszu. Przypomniała mu się Viv szesnastolatka, gdy dała sobie przekłuć uszy. Aż wzdrygnął się na myśl o tym barbarzyństwie. Odwrócił się od okna i powiedział tonem usilnie lekkim: – Kiedyś widziałem napis: *Przekłuwanie uszu na poczekaniu.*

Viv ze śmiechem opadła na dywan.

– To już raczej nie pozostawiało wyboru, no nie? – Patrzył na nią leżącą, bladą i smukłą. Była w czerwonych koronkowych figach, dzisiaj po raz pierwszy bez stanika. – Gimnastykuj się dalej – powiedział głośniejsz.

Uśluhała.

– Ile tego się robi?

– Trzydzieści.

– Rany boskie. – Podnosiła się i opuszczała na rękach dysząc. Odwrócił się do okna. – Zaczynam czuć się inaczej, z pewnością. Ciało sprawniejsze.

Wpatrywał się w zakurzoną okienną szybę.

– Ja też odczuwam moje ciało inaczej.

– Jak?

Po chwili odpowiedział: – Jest żywe.

*

Telefon dzwonił i dzwonił w pustym pokoju dziecinnym Viv. Ostatecznie przestał dzwonić.

Viv włożyła dzinsy i pulower, jeszcze zasapana. Usiadła na podłodze, opierając się o łóżko. Ken nie ruszył się od okna.

– Tak spokojnie tutaj. – Westchnęła, przymknęła oczy. – Nie ma telefonów, żadnych hałasów. Jak gdybyśmy byli w hermetycznej bańce. Żadnych komplikacji. W domu taki chaos, wrzaski, dziewczynki chodzą w skarpetkach nie do pary, bo ja nigdy ich nie sortuję.

Ken odwrócił się od okna. – Rzeczywiście wyglądają bardzo niechlujnie.

– Co wygląda? – Otworzyła oczy.

– Dziewczynki.

– Nie masz prawa tego mówić. Nie jesteśmy małżeństwem. Cisza. Gdzieś w hotelu trzasnęły drzwi.

– Oczywiście nie jesteśmy – powiedział Ken w końcu. – To było głupie.

Wstała niezgrabnie z podłogi i podbiegła do niego. – Ken.

– Położyła mu rękę na ramieniu; odsunął się raptownie.

– Nie mam żadnych praw – burknął. – W ogóle.

– Daj spokój. – Znow wyciągnęła rękę; odtrącił ją.

– Ty naprawdę potrafisz zranić człowieka – powiedział.

– Spokój, co? W przyjemnej hermetycznej bańce? Bez komplikacji! – Głos mu się podnosił, aż jego samego raziło to, że wrzeszczy. – No więc posłuchaj, Vivien Mądralo Meadows, uczona w college’u, masz się za taką inteligentną, ale ja ci powiem. To jest cholernie skomplikowane! – Ryknął do niej.

– To jest cholerny zupełny chaos!

Patrzyli sobie w oczy, przerażeni. Nagle chwycił ją w objęcia i namiętnie pocałował. Uchyliła twarz, ale szarpnięciem odwrócił jej głowę, drugą ręką podciągając pulower. Pchnął ją w stronę łóżka. Zatoczyła się, przytrzymała go i na wznak upadła na koce.

*

Ann siedziała na ławce naprzeciwko domu Viv. Niebo było ciemne, szare od chmur, jak gdyby słońce, kapryśne przez cały ten dzień, ostatecznie się zniechęciło do świata, który oświetlało.

Co więcej, zaczął się deszcz. Ann dygotała. Wreszcie ukazał się samochód Viv, zatrzymał się przed domem. Viv wysiadła zupełnie tak jak każda inna matka z córeczkami. Ann usłyszała ich podniesione głosy – dziewczynki nie chciały dźwigać zakupów. Viv była w nowym różowym dresie. Weszła za dziewczynkami do domu. Jak można coś jej powiedzieć przy dzieciach?

Ale Viv po chwili wyszła już bez nich, żeby zabrać ostatnie torby z samochodu. Nieskazitelna nauczycielka, gospodyni domowa, matka. Jakże nieskazitelnie wydawała się sterana. Biorąc torby, zobaczyła Ann. Zatrzasnęła drzwiczki samochodu i przebiegła przez jezdnię, przeskoczyła niski murek otaczający plac z huśtawkami.

– Ann! – wykrztusiła zdyszana. – Jak miło, że tu jesteś. Chodź do domu, deszcz pada.

Ann się nie poruszyła. – Próbowałam telefonować. – Wskazała dres. – Nigdy ciebie nie widziałam tak na sportowo.

– Staram się dbać o kondycję. – Viv się uśmiechnęła, jeszcze łapiąc dech. – Chodźmy.

Ann potrząsnęła głową. Wahała się tylko przez chwilę. – Chciałam ci powiedzieć, że wiem, co się dzieje. – Te słowa, które raz po raz powtarzała sobie od rana, zabrzmiały rozstrzygająco i rześko jak w dialogu na scenie.

Viv osłupiała. Po chwili podeszła i usiadła ciężko obok niej.

– Nie chcę o tym mówić – powiedziała Ann. – Chciałam tylko zapytać na wypadek, gdybym się do tego wtrąciła... czy Ollie wie? – Odwróciła się.

Viv wolno potrząsnęła głową, włosy jej się zaiskrzyły kropelkami deszczu. Ann popatrzyła na jej uda w różowych spodniach dresu upstrzonych teraz mokrymi plamkami. Wstała.

– Muszę już iść.

Viv zerwała się z ławki. – Ale...

Ann uśmiechnęła się i wskazała dres. – To nie jest twój kolor – powiedziała dobrotliwie.

Ollie spojrzał na zegarek. Wpół do siódmej. Na biurku leżały rozrzucone kartki jego artykułu o nadużywaniu leków. Przez całe popołudnie usiłował zabrać się do zredagowania go. Ale to pismo maszynowe wydawało się nużąco gęste, wydawało się jakimś szyfrem, którego już się nie chce rozszyfrować. Zaniepokojony tym, powiedział sobie, że to tylko skutek tych trzech cocktaili w czasie przerwy. Proste, czyż nie?

Złożył maszynopis i równy plik zostawił na biurku. Trzeba wracać do domu. Zdenerwował się, nagle sobie uświadamiając, że lęka się otworzyć własne drzwi frontowe. Co ona robi? Przygotowuje kolację dla dziewczynek, jest w tych swoich dobrze znanych dzinsach? Jak się zdobyć na taką rozmowę?

Zatrzymał się przy centralce telefonicznej. Ellie odwróciła głowę do niego.

– Kto na tapecie dziś wieczorem? – zapytał.

– *Lubiący się bawić księgowy.* – Zrobiła minę. – Spotkanie w tej winiarni, tam, gdzie

mnie pan raz zaprosił.

Pomyślał: mogę pogawędzić z Ellie, mogę pożartować. Mogę się wydawać normalny. Zapytał: – Po czym go poznasz? Będzie miał goździk w butonierce?

Potrząsnęła głową. – Ma stłuczone okulary, sklezione taśmą.

Parsknął śmiechem. Pomyślał: no, mogę się śmiać. Wcale nie widać, że coś jest nie w porządku.

Odwrócił się, żeby odejść. Zapytała: – Dobrze się pan czuje?

– Doskonale – odpowiedział.

*

Zamknął za sobą drzwi frontowe i postawił teczkę. Rozpadało się na dobre; był przemoknięty. Przez chwilę nasłuchiwał bacznie, jak zwierzę wyczuwające niebezpieczeństwo. Z góry dolatywały głosy dziewczynek, chyba raz one wyjątkowo bawią się w swoim pokoju. Zza drzwi słyszał szcęknięcie naczyń.

Wszedł. Viv w różowym dresie stała przy zlewozmywaku i zmywała. Odwróciła się do niego, uśmiechnięta.

Stojąc przy drzwiach powiedział bezbarwnie: – Nie byłeś w tej klinice, prawda?

– Co? – zapytała.

– Przecież słyszałaś.

Ścisnęła w ręce gąbkę. – O co ci chodzi?

– Po prostu sprawdzam fakty.

– Jakie fakty?

Zniżył głos: – Jesteś kłamliwą dziwką.

– Ollie!

– Na Harley Street nie ma numeru trzysta ileś. Sprawdziłem w Kellym.

– Ale...

– Powinnaś była staranniej swoją gadkę uprawdopodobnić. Wtedy może bym uwierzył w ten cały sprzęt „zrób to sama”.

Ruszyła ku niemu, ale zatrzymała się przy stole. – Ollie... – powiedziała.

– Rzeczywiście zrobiłaś to sama. Po swojemu. Od czterech cholernych tygodni tym się zajmujesz.

– Słuchaj...

– Pieprzysz się z nim, prawda?

– Nie – powiedziała. – Ja...

– Pieprzysz się z nim.

Zaległa cisza. Słysząc było, jak za oknami deszcz stuka w beton. Całym sercem Ollie pragnął, żeby ona zaprzeczyła.

W końcu powiedziała cicho: – Nie ujmuj tego w taki sposób.

Milcząc spojrział na nią. Policzki miała różowe. Żałował, że nie został w redakcji. Żałował, że nie może cofnąć się w czasie; wróciłby do domu i po prostu nie zapytałby jej o nic. Serce w nim się skurczyło, zziębnięte, skołatane.

Usłyszał swój głos: – Więc jak to ująć? – Przybrał akcent niby to paryski: – Uprawialiście *l'amour!* – Nie!

Zawahał się.

– Nie?

– Nie. – Urwała. – To znaczy...

– Co? – zapytał. – To znaczy, że tak. – Mówił cicho. – Jestem głupcem, prawda?

– Nie!

– Bezsprzecznie głupcem.

– Ollie, proszę cię, spróbuj zrozumieć.

– Uciecha? – zapytał. – Była?

– Proszę cię.

– Podniecająco?

– Ollie!

– Dobry on był? Dobry w tym?

– Słuchaj...

– Ręczę, że nie wierzył swojemu szczęściu. Po tych wszystkich latach podkochiwania się w tobie.

– On się we mnie nie podkochiwał.

– Nie wygłupiaj się. Zauważyłaś to, i owszem.

– Jest mężem mojej siostry!

– Właśnie!

– Jest członkiem rodziny! – Jeszcze stała przy stole, mocno trzymała się krawędzi. Odszedł do okna. Patrzył na ulicę i na placyk zabaw, i na nieruchome huśtawki w deszczu.

Nie odwracając się zapytał: – Czy on wie, że ja wiem?

– Nie rozmawialiśmy o tym. – My? Och, jak ładnie! Już para?

– Nie!

Przesunął palcem po brudnej framudze okna. – Cholera! Ależ on musi się śmiać!

– Nie śmieje się.

– Kutasek.

– Jest strasznie zgryziony – powiedziała.

– Śmieje się z biednego starego OHvera, rogakza. Uwięzionego tutaj, kiedy on z jego żoną...

– To nie jest tak!

– Nawet stawiałaś mu drinki w zeszłą niedzielę. Kloaka.

– Ollie, powinieneś zrozumieć...

– Gdzie wy to robicie? Nie, nie mów mi.

– W hotelu.

– Jakże uroczo plugawie. – Wytarł brudny palec o spodnie i odwrócił się do niej. Osunęła się na krzesło przy stole.

– Nie – wymamrotała – on nie...

– Kto płaci?

– On.

– Kreatura.

– Ollie – powiedziała – to nie pomaga.

– Wszystkie te kręactwa o klinice...

– Przecież...

– Kłamstwa, kłamstwa. – Nie zdołał spojrzeć na nią. Odwrócił się z powrotem do okna. – Ja tu ci służę podporą, mówię, że postępujesz szlachetnie, a ty po prostu dajesz mi tak bredzić dalej, ty kurewko...

– Nie! Ollie...

Rozszlochała się. Jego osobista szyba okienna się zamglila.

– Biedna Viv – powiedział głosem zachrypniętym. – Ty nie mozesz tego znieść.

– Ja tylko usiłuję mieć dziecko.

– Co? Niepokalane Poczucie?

– Nie! – wykrzyknęła – to jest reprodukcja.

– Ja nazywam to cudzołóstwem.

Wytań nos rękawem, odwrócił się i zgarnął z kredensu kluczyki do samochodu. Nie patrząc na nią wyszedł z domu.

– Ollie! – zawołała. Otworzyła drzwi frontowe. Ale on już w samochodzie gmerał przy stacyjce.

*

Ellie siedziała w winiarni i popijała sok pomarańczowy – prawdziwy z kawałkami pomarańczy. Przy sąsiednim stoliku siedział mężczyzna w okularach, ale całych i w szyldkretowej oprawie. Telefon komórkowy stał przed nim. Redaktor Meadows pouczył ją o takich – chodzą z *homo* i ze *spiritystkani* i mają plakietki pod spodem i na wszystko oczy otwarte. Tak czy owak. ten rozmawiał z dziewczyną o fantastycznym profilu i wydekoltowaną z tyłu. Skąd się bierze opalenizna w kwietniu?

Znów pociągnęła łyżeczek soku pomarańczowego. Żałowała, że jest niepaląca. Gdyby paliła, wydawałaby się zajęta. Spis trunków przeczytała już ze dwadzieścia razy.

Ktoś przepchnął się między krzesłami i stanął przy jej stoliku. Podniosła wzrok. To był Ollie. Oddychał ciężko. Twarz miał mokrą. Włosy też.

– Chodź – powiedział.

– Ale pan nie ma okularów.

Nie uśmiechnął się. Wyglądał strasznie. Wziął ją za rękę.

– Chodź!

Wstała oszołomiona. Wyprowadził ją z winiarni. Po drodze krzesła się chygotały, gdy je mijali.

*

Ann jest w swoim ogródku. Ściemniło się, ale gdy podnosi wzrok, widzi niebo niesamowicie różowe, tak różowe, że oczy ją boją. Krata na murku urosła i grzechocze. Pod

murkiem ktoś ukrywa się za skrzynkami, które teraz są jak wielkie umy na łądygach. Za jedną z nich w mroku miga spódnica Viv, ale już Viv przebiega za inną.

– No, Annie, zobacz, co ja mam! – Jest znowu małą dziewczynką i trzyma oburącz plastikową torbę. – No, Annie! – woła przymilnie.

Ann nie chce zobaczyć. Gniewa się, ale nie wie, o co. Dopiero po chwili sobie przypomina. Viv schowała Dzidzię Angełę, a potem zakopała ją pod którąś z tych urn.

– Zobacz, co ja mam dla ciebie! – I Viv piszczy urągliwie:

– Kogel mogel tchórz!

Ann nie chce zobaczyć. W jej ogrodzie zrobiło się tak czarno i ciasno. Krata na murku jest taka wysoka, grzechocze tak głośno.

Viv zza jeszcze innej umy wyciąga rękę z torbą, lśniąca w czarnym mroku. Ale nie jest dobrze: tam nie może być lalki, o wiele ta torba za mała. Zresztą czyż Dzidzia Angela nie została zakopana?

Viv podbiega i ciągnie Ann za rękaw.

– Zamknij się! – Ann słyszy swój wrzask z bardzo daleka. Krtań ją boli. – Zamknij się! Nienawidzę ciebie!

Viv okłada Ann pięściami. Ann ją odpycha. Viv strasznie urosła, taka duża, silna.

– Nienawidzę ciebie! – wrzeszczy Ann i ściska jej rękę, a ta ręka jest o wiele za bardzo owłosiona...

Więc Ann otworzyła oczy i naturalnie to był Ken. – Kochanie – zapytał – źle się czujesz?

Milczała, spocona i bez tchu. Leżała w łóżku wśród mroku. Wreszcie słabo powiedziała:
– Przepraszam.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Był następny wieczór. Ollie zszedł na dół, otworzył lodówkę i wyjął puszkę piwa. Viv z oczami zamkniętymi leżała na kanapie. Nastawiła adapter, sonatę Beethovena – jedną z tych poważnych płyt Ollie’ego z czasów przeduniwersyteckich. Nigdy dotąd nie chciała tego słuchać. Na kredensie Bertie drapał się po swoim kółku. Ileż mil tak przewędrował od wczoraj. W jego małym trocinowym światku nic się nie zmieniło.

Ollie podniósł puszkę w stronę Viv. – Chcesz piwa?

Potrząsnęła głową. – Śpią? – zapytała.

Przytaknął. – Czytałem im tę należycie wychowawczą epopeję, którą kupiłaś. O tym samotnym ojcu z jednym dzieckiem białym i drugim czarnym. – Westchnął i usiadł w fotelu. – Czasami, rozrzewniony, wspominam książki z Biblioteczki Biedronki. Peter i Jane i ich przemili rodzice, jakby w ogóle nie wiedzieli, co to jest seks.

– I co to są problemy – szepnęła.

– Właśnie. – Zaczął popijać piwo z puszki. – Mama w fartuchu, tata z fajką. Odnoszę dziwne wrażenie, że mama nigdy nie pieprzyła się ze swoim szwagrem.

Viv skwitowała to słabym uśmiechem.

– Chcesz się założyć?

– Nie chcę wiedzieć.

– A wiesz, co mówią o Słynnych Pięcioraczkach?

– Nie wiem!

Zaległa cisza. Tylko płynęły dźwięki fortepianu. Ollie pomyślał: na pewno wyglądamy na błogo spokojnych.

Viv zapytała: – Czy ja podkopuję twoje poczucie pewności jutra?

– Ostatnio tak jakby.

Otworzyła oczy, usiadła. – Och, Ollie...

Łyknął piwa. – Jednak wciąż jeszcze mogę to wykorzystać w tej powieści, do której jakoś się nie zabieram. – Po chwili zapytał: – Czy Ann wie?

Znów zamknęła oczy i położyła się. Patrzył na nią. Z zamkniętymi oczami skinęła głową – A więc wspólna sprawa was trojga?

Potrząsnęła głową. – Nie musisz popadać w paranoję. – Znów otworzyła oczy. Usiadła. – Czy nie rozumiesz, że nic z tego wszystkiego, co teraz, nie jest ważne? Kiedy to się skończy, zupełnie o tym zapomnimy.

Wychylił puszkę do dna i postawił na podłodze. Westchnął.

– Potrafisz być bardzo głupia.

Oczy jej się rozszerzyły. – Co przez to rozumiesz?

– No, Viv. Czy to ma się ciągnąć? Jakie są dalsze plany?

– Jeszcze ich nie ma.

– Za bardzo zajęci poczynaniem?

– Nie! – Policzki jej się zaróżowiły. Odgarnęła ręką włosy.

– Ale... no, nie ma sensu o czymkolwiek decydować do przyszłego miesiąca, kiedy znów będę płodna.

– Więc będziecie ciągnąć ten romans...

– To nie jest romans!

– Wykradać się do jakiegoś hotelu.

Podniosła głos: – Chcesz, żebyśmy to robili tutaj?

– Nie bądź niesmaczna!

Patrzyli na siebie. Muzyka ucichła; stereo pstryknęło. Skrzypiąco w kółko i w kółko chomik się wdrapywał. Już łagodniej Viv powiedziała: – Słuchaj, to z pewnością najbardziej altniistyczny seks na Wyspach Brytyjskich.

Ollie z westchnieniem rozparł się w fotelu.

– Och, droga Viv, jesteście wszystkie takie same, wy radykałki. Rozpaczliwie jednotorowe. Im niezłomniejsze wasze przekonania, tym uboższa wasza wyobraźnia.

– Co to znaczy? – Wpatrywała się w niego.

Wyjaśnił: – Twoja siostra od początku życia jest o ciebie zazdrosna.

– Nieprawda!

– Bo jesteś ładniejsza, bystrzejsza...

– Nie...

– I m o ż e s z mieć dzieci. – Umilkł, odwracając wzrok. – I jej mąż zawsze chciał ciebie.

Milczała. W pokoju było cicho. Chomika wędrowanie po kółku znudziło. Po długiej chwili powtórzyła: – Nieprawda.

Pokiwał głową. – A ty to rozgrywałaś, czyż nie, Vivvy? No?

– Przybrał ton uniżony. – Jakoś nie pamiętało się, że należy włożyć kostium kąpielowy, kiedy się pływało w rzekach, ojej. trzpiotka.

– Nie bądź głupi. Bez kostiumu przyjemniej pływać.

– I sam sposób, w jaki się z nim kłócisz...

– On jest takim świętoszkiem.

Teraz Ollie miał oczy zamknięte. Uśmiechał się, chociaż czuł do siebie obrzydzenie.

– Nie najgorsza forma flirtu. Drażnisz go, podniecasz. Bardzo zmysłowa gra.

– To śmieszne!

Nagle Ollie otworzył oczy i wyprostował się w fotelu. – On jest niewinnym prostaczkiem. Viv. Jest jak wosk w twoich rękach.

– Nie bądź głupi! – westchnęła. – Miałam nadzieję, że będziesz bardziej... wielkoduszny. Ty z tymi swoimi pojęciami o przebudowie społeczeństwa i wolności małżeńskiej i w ogóle. Ale wystarczy skrobnąć tę fasadę i wiesz, czym jesteś?

Jeszcze się uśmiechał. – Powiedz mi.

– Zwyczajnym zazdrosnym samcem, który myśli tylko o swojej samczej dumie i swojej samczej godności.

Uniósł brwi. – Wystarczy skrobnąć fasadę – powiedział powoli – i oto ty, flądra.

Ogromny jest krok od podejrzenia do działania. Z chwilą podjęcia działania przechodzi się do innego pokoju i zamyka się za sobą drzwi. W tym pokoju umeblowanie jest obce. I nie

ma odwrotu.

Viv snuła takie rozważania w następnym poniedziałek. Były już ferie wielkanocne, dziewczynki w ogrodzie kłóciły się o stary traktor ze sztucznego tworzywa, który obie uważały za niemądrą zabawkę dla maluchów, dopóki jedna z nich nie ściągnęła go z półki. Jakże normalne to się wydawało. Okienne parapety wypełniały tace z nasionami i sadzonkami, tak samo jak co rok – krzepkie sadzonki kapusty rozkładały dłonie, do zielonych nitek bławatków jeszcze przywierały łuski nasion. W radiu ktoś. kto tam telefonował, buczał swoje racje jak w normalny poniedziałek. Viv zastanowiła się. dlaczego ci telefonujący radiosłuchacze zawsze wydają się tacy jękliwi i zawsze dzwonią z Ashford. Zastanowiła się również nad tym. że piersi ją bołą i od tygodnia czuje lekkie mdłości, i dokładnie kiedy miała ostatni okres.

Ale właśnie – ogromna jest różnica pomiędzy niespokojnym zastanawianiem się a faktycznym pójściem do apteki po to. co trzeba, żeby sprawdzić. Musiałaby o to poprosić, usłyszeć swój głos wypowiadający te słowa, zapłacić prawdziwymi banknotami funtowymi (nie, wypisałaby czek) i przynieść to do domu.

Wkrótce potem położyła reklamówkę na stole. Dla równowagi ducha kupiła też taką prozę życiową jak proszek do mycia wanny i pasta do zębów. Była poza domem tylko kwadrans na Holloway Road. W czasie jej nieobecności dziewczynki weszły do domu i ulokowały się przed telewizorem. Teraz oglądały program o fizyce atomowej i dalej się kłóciły. Wydawało się, że wszystko pozostaje tak jak było, a przecież ten pokój się zmienił wskutek jej działania i na stole teraz leżała ta reklamówka.

Zanim w telewizji zaczął się program rzeczywiście dla dzieci, Viv stwierdziła, że jest w ciąży.

Wtorek rano. Ken wyglądał przez okno na podwórze warsztatów. Patrząc na stosy desek i dźwig, myślał: czy już czas zatelefonować? Wstydził się zadawać to pytanie nawet samemu sobie. Już na pewno on (o n) jest w redakcji. Ale może nie. bo chory albo dzisiaj pisze w domu? Zżymał się: takie myśli są doprawdy poniżej godności. Zupełnie jakby był... no. lepiej tego nie określać.

Z tupotem przepychając się. weszli Bob i Al w zakurzonych kombinezonach.

– ... przyjemna ciziunia – mówił Al.

– Gdzie ją uraczyłeś? – Bob uśmiechał się od ucha do ucha.

– W ciężarówce mojego taty.

Ken chrząknął i wyciągnął rękę po ich karty. Al wytarł nos rękawem kombinezonu.

– Słowo daję. Kenney – powiedział. – Ten mój wściekle zmysłowy seks doprowadza je do szaleństwa.

Ken zignorował to. Było mu gorąco. Usiłował się skoncentrować na kartach. Podnosząc wzrok, zapytał: – Czternaście długości dwa na cztery? Czy to na Forsythe Road?

Al przytaknął.

– Chyba trochę za dużo – powiedział Ken. Zobaczył, jak ci dwaj trącają się łokciami, po czym dalej wodził po pozycjach długopisem. – Piasek i cement... odfajkował i znów podniósł wzrok. – Dwanaście galonów utrwalcza? Aż tyle poszło?

– Ken. do licha! – powiedział Al. Ken znów chrząknął.

– Chcę tylko mieć zapisy w porządku. Wszystko jak należy. Bob się zdumiał. – Nie patrz nam na ręce.

– Zrozumcie, chłopcy – powiedział Ken – jest mnóstwo pomniejszych strat. Nie mam wam za złe, uważacie. Ale trochę tu, trochę tam...

– Trochę na boku. – Bob się uśmiechał.

Ken zatrzymał długopis w powietrzu. Nagle jego koszula stała się za ciasna.

– Gdzie to się było w czwartek po południu? – zapytał go Bob. chytrze łypiąc okiem.

Ken wzruszył ramionami. W gardle mu zaschło, spuścił wzrok na papiery, ale widział, jak Bob przykłada palec do nosa.

– Spokojna głowa – powiedział Bob. – Nic złego...

– Słuchajcie – Ken wskazał swój zegarek. – Lepiej się pośpieszcie.

Po ich odejściu zapalił papierosa. Ręce mu się trzęsły. Spojrzał na zegarek. Wpół do jedenastej. Nakręcił numer.

Bogu dzięki, Viv odebrała. Odchrząknął znów i zaczął: – Chciałem tylko zapytać, czy jeszcze... no wiesz.

– Czy trzeba dalej? Świetnie. – Głos Viv brzmiał słabo i trzaskliwie. – Suzi weźmie je do teatru Jednorożca, więc mamy całe popołudnie.

Położył słuchawkę i siedział, wpatrzony w podwórze. Rozmawiali głosami zniżonymi jak spiskowcy. Pomyślał: kiedy Ann mi powiedziała, że musi pojechać do Swindon, zobaczyć ten nowy komputer, nie pomyślałem: to dobrze dla ciebie, to ciekawe i pouczające, i przejedziesz się. Pomyślałem: może nie będę czuł się tak paskudnie, kiedy ciebie nie będzie w Londynie.

Zdusił obrzydliwego papierosa.

*

Tym razem mieli swój pierwszy pokój. Siedzieli przy sobie na łóżku. Ken dał Viv papierową torbę.

– Kupiłem to dla nas – powiedział.

Zajrzała do torby i krzywiąc się, potrząsnęła głową: – Dziękuję, nie.

– Myślałem, że lubisz roladę z jabłkami.

– Nie dzisiaj – zwróciła mu torbę. – Ale ty jedz.

– Nie, dziękuję.

Siedzieli w milczeniu. Potem ona wyciągnęła rękę i zaczęła głaskać go po kolanie. Nie poruszył się.

– To jest ten najgorszy etap, prawda? – zapytała łagodnie. Przytaknął.

– Słuchaj, ja zacznę – powiedziała. Pochyliła się, zdjęła mu marynarkę. – Ja jedno posunięcie, ty drugie.

Nadal się nie poruszał.

Po chwili wstała, zdjęła z siebie koszulkę polo i dzinsy. Stała w różowej koronkowej kombinacji. Odwrócił szybko wzrok.

– To ładne – powiedział.

– Ollie mi kupił. Zachnął się. – Och!

Usiadła przy nim. Po chwili westchnęła i zapytała: – Czyż nie wolno nam tego zrealizować?

Nie odpowiedział. Usłyszał szelest koronki, gdy założyła nogę na nogę. I mucha brzęczała objijając się o szybę okna. Ukrył twarz w rękach.

– Odwagi, kotku – głos Viv brzmiał teraz inaczej. – Wolałby pan którąś z tamtych panienek?

Potrząsnął głową i powiedział w dłonie: – Wolałbym ciebie.

– To jest odpowiedź! – Potargała mu włosy. – Zawsze trudny jest ten pierwszy raz, prawda? Przepraszam, czwarty, piąty raz.

– Zaczęła rozpinąć mu koszulę. – My jednak chlubimy się tym, że nasz lokal prowadzimy z sercem. – Rzuciła jego koszulę na krzesło i pochyliła się, żeby mu ściągnąć buty. – A już szczególnie dla takich miłych przyzwoitych panów jak pan. W dobrym gatunku to obuwie. – Odrzuciła buty i ściągnęła mu skarpetki.

– Pan to pewnie jest dyrektorem, czy się mylę? I w dodatku ładnie zbudowany i powiedziałabym, utrzymuje pan się w formie.

– Poglaskała go po torsie. – Mmm... głowę daję, że z pana tytan na boisku rugby i niezły tytan na innych polach także. Nie zdziwiłabym się... – Wstał i zaczął zdejmować spodnie. – Hmm.. owszem, tak myślałam. Nie jest pan taki nieśmiały, na jakiego pan wygląda.

– Viv!

– Co?

Objął ją i krzyknął: – Przestań!

*

– Miałeś dobry pomysł – powiedziała Ann, gdy kelner prowadził ich do stolika. Ollie wybrał grecką restaurację niedaleko Charlotte Street, do której często przychodził na obiad. Rozejrzała się po bardzo ponurych krajobrazach śródziemnomorskich na ścianach. – Takie to autentyczne. Kiedy z Kenem pojechaliliśmy na Korfu, były tylko Watney'e wszędzie: akcenty prosto z Birmingham.

Ollie się roześmiał. – I jedzenie jest tu cieplejsze.

– Ach, z pewnością. Tam podawali prawie zimną *moussaka*. Usiedli. Ann była w miękiej wełnianej bluzce w abstrakcyjny jaskrawy deseń. Jej wyszczotkowane brązowe włosy lśniły jak kasztan. Gdyby zmrużył oczy, mogłoby mu się wydawać, że to jakaś nieznajoma. Po raz pierwszy zauważył nikłe zmarszczki na jej czole i w kącikach ust. Powiedział: – Chyba nigdy w życiu nie jedliśmy we dwoje.

– Tak – uśmiechnęła się. Ona często się uśmiecha, pomyślał, i to bardzo sympatycznie, ale czy kiedykolwiek się śmieje?

Czytała jadłospis. Pomyślał: określa się ludzi na pierwszy rzut oka, a potem już niezmiennie tak się ich widzi. Poznał Ann, gdy z uniwersytetu Keele przyjechał z Viv na weekend. Jedli u Ann obiad, Viv upuściła rondel, Ann za to przepraszała. I pozostała w jego oczach raz na zawsze tą, która zajmuje się przygotowaniem posiłków i wszelkie błędy

przypisuje sobie, tą dziewczyną o spokojnej, bladej, szerokiej twarzy matrony. Spojrzał na nią znowu, teraz trzydziestopięcioletnią, i ze zdumieniem stwierdził: wydaje się młodsza, chociaż bardziej zmęczona niż przed laty, i chyba bardziej interesująca.

Ann zapytała: – Prawda, że na razie niewiele możemy zrobić?

Przytaknął. – Czekamy w kulisach. – Wskazał jadłospis. – Co będziemy pili?

– Zamów butelkę wina. Żyjmy niebezpiecznie. Uśmiechnął się i pomyślał: bez Viv w pobliżu ona wygląda ładniej. Viv jest jak skrzypce wirtuoza; dopiero gdy te skrzypce cichną, słysząc akompaniament fortepianowy, melodię Ann dosyć miłą.

– Ollie, dlaczego się uśmiechasz?

Nie mógł jej powiedzieć, dlaczego, więc tylko powtórzył: – Niebezpiecznie?

Przytaknęła. – Uczę się. – Popatrzyła, jak ludzie wchodzi do restauracji i siadają. – To Viv jest w tym mistrzynią. Ja spałam, a ona chyłkiem wracała do domu i wszystko mi opowiadała. Kiedyś poderwał ją jakiś kelner Maltańczyk i wróciła z szyją pogryzioną jego pocałunkami. Była wtedy pora upałów. Następnego dnia tatuś się dziwił: w czerwcu nosisz szalik?

Ollie śmiał się. – Mówiła mi o tym.

Ann zjadła oliwkę. – Ken nigdy nie gryzie mnie w szyję.

– Zazdrościłaś?

– Nie. – Zawahała się. Wyjęła z ust pestkę, położyła na spodku. – Tak. Och, nie chciałam, żeby mnie gryzli kelnerzy z Malty, ale... – wzruszyła ramionami. – Nie chodziło mi tylko o chłopców, chodziło o to ryzyko. O to niebezpieczeństwo. – Wzięła jeszcze jedną oliwkę. – O tę uciechę. Kelner przyniósł wino. Napełnił kieliszki.

– Zawsze – Ann się uśmiechnęła – kiedy miałyśmy na podwieczorek frytki, ona swoje pałaszowała od razu, a ja swoje oszczędzałam do ostatniej chwili. Po to, żeby później widziała, jak jem, i żeby mi zazdrościła. Ale już smakowały inaczej.

– Dlaczego?

– Były zimne.

Ollie wybuchnął śmiechem.

– Och, Viv zawsze żyła łąpczywie. – Wskazał jadłospis. – No, weź frytki, żeby nadrobić stracony czas.

Ann nie spojrzała na jadłospis, tylko zapytała: – Przejmujesz się?

– Tą całą sprawą? – Umilkł. – Nie – powiedział po chwili i znów umilkł.

Spuściła wzrok na jadłospis.

– Owszem – przyznał.

Pokiwała głową. – Dla ciebie to jest gorsze. Bo niczego na tym nie zyskasz.

Zapytał: – A ty się przejmujesz?

– Myślałam, że nie, ale...

– Ale co?

Wzruszyła ramionami. – To jest niemądre.

– Co?

– Po prostu... Widziałam ich wczoraj. Wolalabym nie widzieć. Ollie zdrętwiał. –

Wczoraj?

– Szłam z dworca Paddington na przystanek autobusowy. Zobaczyłam, jak wychodzili ze swojego... no... – Wypiła trochę wina. – Nie widzieli mnie.

Na chwilę Ollie zaniemówił. Czuł w głowie mrowienie, nieomal rozsadzające mu czaszkę.

Pomyślał: Ty szmato! Kłamałaś, że z tym skończyłaś.

*

Ellie wzięła sobie wolny dzień. Siedziała w swoim wynajętym pokoju i pod ręcznikiem wdychała Friar's Balsam. Myślała: zawsze można poznać, że łapie choroba, kiedy się zaczyna tęsknić do rodziny. Wdychała głęboko. Tęskniła nawet do braciszka, więc przypuszczała, że to pewnie grypa.

Nikt nie mówił, jak pustelniczo może być w Londynie. Nawet za oknem zrobiło się cicho. Ten pokój był nad szeregiem sklepów na Crouch End. Ale teraz, po południu, przechodziły tam tylko od czasu do czasu mamusie pchające spacerówki. A w Covent Garden, myślała Ellie, oni albo jeżdżą sportowymi golfami, ale każdy ma już pasażerkę do towarzystwa, albo to są grubasy z Ohio i pytają o ulice, o których nigdy nie słyszałam.

Wydawało jej się, że słyszy dzwonek, ale może tylko dzwoniło jej w uchu pod ręcznikiem. Dzwonek zabrzmiał znowu już dwa razy. Zdjęła ręcznik z głowy, włożyła szlafrok i podbiegła do okna. Otworzyła je i wyjrzała.

Na dole stał redaktor Meadows. Czekał. Jej głupie serce załomotało i zauważyła dopiero teraz, że jemu włosy rzedną na ciemieniu. Nigdy dotąd nie widziała go z wysoka, zawsze wznosił się nad nią.

– Idę! – zawołała. Ale najpierw podbiegła do lustra. Twarz miała różową i wilgotną, oczy jak świnka. Za późno. Zbiegła po schodach na dół i wpuściła go.

– Musiałem cię zobaczyć – powiedział.

– W porządku – powiedziała. – To tylko przeziębienie. Objął ją.

– Będą strześcić języki. – Spróbowała się roześmiać.

– Co?

– Jeżeli pan też zacznie kichać.

– Ellie... – urwał. Wyglądał strasznie.

Poprowadziła go na górę do swojego pokoju. Taki był ten pokój obnażony, z bielizną namoczoną w miednicy i nie wyrzuconym opakowaniem po zupie Jedna Porcja. Żeby odwrócić jego uwagę, wskazała kolekcję kotów szklanych i porcelanowych na parapecie kominka.

– Widzi pan – powiedziała – naprawdę jestem miłośniczką kotów.

Nie odpowiedział. Ociężale usiadł na łóżku. Więc zapytała: – Co się stało?

Nie zaraz odpowiedział zduszonym głosem: – Czuję się bardzo samotny.

– Proszę, napijmy się herbaty. – Podeszła do czajnika.

– Nie, dziękuję. Właśnie zjadłem obiad.

– Jakiej narodowości? – To było jedno z ich zwykłych pytań.

– Greckiej.

Sprzątnęła miseczkę inhalacyjną i usiadła przy nim. – Pan nie mówi tego poważnie.

– Czego?

– Że pan jest samotny. – Wycelowała palec w egzemplarz „Metropolii”. – Zawsze znajdzie się jakaś serdeczna, niepaląca lesbijka.

Uśmiechnął się blado. – Nie powinienem był – powiedział – chodzić z tobą po knajpach, prawda?

– Nie, ale...

– Nie powinienem.

– Ale co myśmy robili? Dwa obiady. Raz w kinie. Jestem tylko ramieniem, żeby się na nim wyplakać.

– Nie jesteś.

– Jestem.

Odwrócił się do niej i zaczął ją głaskać po wilgotnych włosach, odgarniać je od twarzy. Zaprotestowała delikatnie. – Nie.

Nie głaskał dalej, podkreślił jedno pasemko na palcu, zatknął jej za ucho. Szepnęła: – Pan jest żonaty. Ma pan dwie śliczne córeczki.

– Czy pamiętasz, co ci powiedziałem? – zapytał. – O zaufaniu. Przytaknęła. Pamiętała każde słowo, które on jej powiedział.

– O tym, że potrafisz ludziom ufać? Bo ty wierzysz ludziom, prawda?

Wzruszyła ramionami.

– Toteż chcę być tutaj. – Dotknął jej twarzy. – A nie powinienem.

– Nie powinien pan – potwierdziła.

Wstał i podszedł do drzwi. Tak raptownie, że omal nie spadła z łóżka.

– Co pan robi? – zapytała. Wstała i pociągnęła go za rękę. – Mógłby pan przynajmniej powiedzieć, dlaczego. – Spojrzał, zdumiony. Patrzyła na niego spode łba. – Wpada pan tutaj! – podniosła zachrypnięty głos do krakania. – Nawet pan nie ma w sobie dość przyzwoitości, żeby mi powiedzieć, dlaczego, i od razu się pan stąd zwija.

Odsunął się i oparł o framugę drzwi. A ją gardło bolało, serce jej łomotało. Patrzyła na niego spode łba.

– Czy nie rozumiesz? – Głos miał teraz cichy. Odwróciła się od niego: nie zniósłaby widoku jego twarzy. Powiedział: – Muszę wyjść, zanim zrobię coś głupiego.

Wyszedł i prawie zbiegł na dół.

Zamknęła drzwi, podeszła do łóżka i usiadła. Śmieszne, wybuchnęła płaczem. Na pewno mam gorączkę.

I powiedziała sobie: nie bądź wariatką. Wstała, nalała wody do czajnika. Bo ten rozcieńczony balsam wystygł, a musiała jeszcze powdychać. Podniosła butelkę z balsamem. W drżącej ręce przepis na butelce zatańczył jej przed oczami, ale po chwili przeczytała – tak, dwie łyżki stołowe. Wyjęła ze zlewu miednicę z przepierką i wyplukała miseczkę.

Wodę w czajniku miała już zagotowaną, gdy usłyszała pukanie. Otworzyła drzwi. On wziął ją w objęcia, przywarła do niego. On też płakał. Zataczając się, chwiejnie weszli do

pokoju.

*

Była Niedziela Wielkanocna, nagle upalna. Muchy brzęczały na kompoście Viv; krzewy szeleściły, gdy Ollie ukrywał wśród gałęzi wielkanocne jajka. Ann, siedząc na klatce królików, patrzyła na niego. Wydawał się nieobecny duchem. W czasie obiadu w środę myślała, że to jej wina, bo ona nigdy nie działa na ludzi pobudzająco, i że przy Viv by brylował. Ale dzisiaj zauważyła, że jest tak samo spięty. Przysiadł, żeby wetknąć srebrne jajeczko w szczelinę w murze. Patrząc na to, zastanowiła się z bólem, czy Ken będzie kiedykolwiek ukrywał tak jajka wielkanocne dla ich dziecka. Jeżeli będą mieli dziecko.

Ollie wyprostował się i szybko spojrzał w stronę okna kuchni. Zawsze go podziwiała: przystojny, smukły, i ten jego nieledwie kobiecy wdzięk. Ujmujący męczyzna. Przeciwnieństwo Kena. Przypomniała sobie, jak przed laty, gdy Ollie i Viv wprowadzili się do tego domu i zaproponowała, że im uszyje zasłony do sypialni, Ollie poszedł zmierzyć okno, po czym wrócił i powiedział: *Nie mam całówki. Siedem na trzynaście książek Penguin.* Przypomniała sobie osłupienie Kena.

Było bardzo gorąco, prawie jak przed burzą. I duszno. Nawet dziewczynki przycichły.

Ann ruszyła na pomoc Viv, która dryfowała po kuchni tak, jakby u steru zasnęła. Na podwieczorek miał przyjść ojciec ze swoją narzeczoną. Ken, Bogu dzięki, był jeszcze na ulicy, majstrował przy samochodzie.

– Co mogę zrobić? – zapytała Ann. Nie widziała się z Viv od tamtego dnia różowego dresu, więc z ulgą zobaczyła, że dziewczynki są blisko, siedzą we frontowej części pokoju dziennego, skąd nie mogą widzieć, gdzie Ollie ukrywa jajka.

– Niewiele jest do roboty – odpowiedziała Viv. – Tatuś chce, żeby to było bez pompy.

Tutaj bez pompy nietrudno – zażartowałyby Ann, ale kiedy indziej. Usiadła z dziewczynkami i otworzyła rocznik „Beezeza”. Oglądając karykatury jednak miała przed oczami Kena i Viv, jak fragment filmu uparcie wyświetlany. Raz po raz szli we dwoje z hotelu do samochodu. Ken zaparkował na żółtej linii i wlepili mu mandat. Na żółtej linii! Zupełnie jak nie Ken. Przez chwilę to bolało najbardziej.

– Jeszcze kawałek? – zapytała Vera. Przyniosła *Sachertorte*, specjał wiedeński. Siedzieli już przy podwieczorku.

– Nie, dziękuję – powiedziała Ann. – Zaczynam okropnie tyć.

– Nonsens. – Vera zwróciła się do Kena. – Mężczyźni chcą, żeby kobiety wyglądały jak kobiety, nieprawdaż, Kenneth?

– Tak – odpowiedział Ken – ale ona powinna uważać na wagę. Ann upomniała go wzrokiem i powiedziała: – Z przyjemnością zjem jeszcze.

Vera odkrajała kawałek dla niej – bardzo zadbana wysoka kobieta o twarzy z rodzaju tych, na których odbiło się cierpienie. Miała w sobie spokój, co imponowało Ann. Ojciec, na odwrót, stał się figlarny jak uczeń.

– Dużo o pani słyszałam – zwróciła się Vera do Viv. – Mogę mówić po imieniu?

– Oczywiście. – Viv potrząsnęła głową w stronę podsuwanego jej tortu. Nic nie jadła.

– I te wasze córeczki – ciągnęła Vera – ogromnie jestem rada, że kupujemy mieszkanie tu niedaleko. Mam nadzieję, że dobrze się poznamy. Rodzina to taka cenna wartość.

Zapanowało milczenie. Ollie kichnął.

Vera poradziła Viv: – Lecz męża olejkami kamforowymi.

– To jego katar – powiedziała Viv.

– Co proszę?

– On nie lubi, jak się przy nim robi szum. Ollie potwierdził: – To mój katar.

Znów zapanowało milczenie. Ann spojrzała za okno. W ogrodzie dziewczynki z plastikowymi torbami szukały wielkanocnych jajek.

Douglas odchrząknął. – Mamy śliczne mieszkanie. Spodziewam się, że przyjdziecie zobaczyć. Naturalnie, ty także – zaprosił Ann. – Oboje uznaliśmy: lepiej pozbyć się przeszłości. – Znów odchrząknął. – Zacząć wszystko od nowa. – Podsunął swój talerzyk po następny kawałek tortu. – No, po pierwsze, ja chcę być rozpieszczany. Już czas na to. w dodatku. Po tylu latach piezzonego bobu.

– Mój ty złoty – powiedziała Vera.

Popatrzyli na siebie z taką nagą miłością, że Ann musiała się odwrócić. Znów miała przed sobą ogród w blasku słońca.

– Znalazły już jajka? – zapytał Douglas.

Przytaknęła. – Wspinają się na murek, więc pewnie będą je liczyć.

– Piękne dziewczęta – powiedziała Vera. Zwróciła się do Kena: – Wiesz, Kenneth, ja zawsze kochałam dzieci. Chciałam mieć swoje... ale mój pierwszy mąż... to nie było możliwe. Taka wielka radość została mi odmówiona.

– Vee... – powiedział Douglas.

– Ja im tylko mówię, że rozumiem – wyjaśniła Vera. – Skoro jesteście rodziną, powinniśmy być przed sobą otwarci, nie sądzisz?

Znów zapanowało milczenie. Ken oddzierał strzępki srebrnego papieru – opakowanie jednego z wielkanocnych jajek. Ollie znów kichnął.

– Czy to nie grypa? – zapytał Douglas.

– Czuję się świetnie – odpowiedział Ollie.

– To ta zmiana pogody – włączył się Ken. – Ni stąd ni zowąd jest lato. – Darł ten papier i ze strzępków robił kulki.

Ann powiedziała ostro: – Wolałabym, żebyś się tak nie bawił. Viv wstała i przyniosła czajnik. – Komu jeszcze herbaty? Ann zapytała ojca: – Więc gdzie będzie weselne przyjęcie?

– W którymś z eleganckich hoteli, chyba. Masz jakąś propozycję?

– Poradźcie się Viv – rzucił nagle Ollie. Douglas się zdziwił: – Dlaczego?

Ollie odpowiedział: – Viv zna się na hotelach. Douglas zapytał Viv: – Rzeczywiście?

– Nie! – odpowiedziała.

Nikt się nie odezwał. Vera wodziła wzrokiem po ich twarzach. Po chwili Viv podeszła do drzwi ogrodu i zamknęła je. Odwróciła się raptownie.

– Coś wam powiem – oznajmiła. – Jestem w ciąży.

Ręka Kena znieruchomiała nad srebrnymi strzępkami. Ann prawie wstrzymała oddech.

Pierwsza przemówiła Vera. – Co za cudowna nowina!

Ojciec powiedział: – No, no.

Vera zapytała Ollie'ego: – Dlaczego nie mówiłeś? Ja tu gawędzę o głupstwach...

– Nie wiedziałem – palnął Ollie.

Ann zerwała się, uściskała Viv. Przez chwilę Viv nie reagowała, ale w końcu ją objęła.

W ciszy zabrzmiał głos Ollie'ego: – Od kiedy wiesz? Odpowiedziała we włosy Ann: – Od tygodnia.

– Od tygodnia? – zapytał Ken.

Viv delikatnie odepchnęła Ann i podeszła do stołu. Usiadła. Ken się nie poruszył: wpatrywał się w nią.

Ojciec pochylił się nad stołem i mrugnął do Ollie'ego. – Raczej wstrząś, co?

Ollie zwrócił się do Viv: – Ładnie z twojej strony, że mnie poinformowałaś.

I znowu cisza.

Ann, stojąc przy zlewozmywaku, patrzyła na wszystkich, na ten żywy obraz wielkanocnego podwieczorku. To była jakaś zastygła chwila. Potem nagle rozległ się trzask zapalki, gdy Ken zapalił papierosa.

Viv zwróciła się do Ollie'ego: – Chciałam najpierw tobie powiedzieć, ale to przecież sprawa rodzinna. Należało poczekać, aż wszyscy się zbierzemy. Bo to dotyczy nas wszystkich.

Ojciec rozejrzał się wokół stołu. – Czyżbym coś przegapił?

Viv zwróciła się do Ann: – Ty im powiedz.

– Ja? – zapytała Ann.

– To jest twoja sprawa tak samo jak moja.

Ann poczuła falę ciepła zalewającą jej twarz. Spróbowała się odezwać – bez skutku. Jeszcze raz zaczęła: – Nie rozmyślałaś się?

– Nie – powiedziała Viv z powagą i odwróciła się do ojca. – Ja nie zatrzymam tego dziecka.

Douglas wybałuszył oczy. – Jak to? Vera zapytała: – Nie urodzisz?

– Urodzę... – Viv urwała. Spojrzała na Ann.

Ann odchrząknęła. – Ale ona da to dziecko mnie i Kenowi. Douglas w girlandzie dymu z papierosa spojrzął na Viv. – Cóż to znowu?

Vera spojrzała na Ollie'ego. – Czy... ?

– Tak – odpowiedział Ollie. – Ja wiem o tym.

Douglas zapytał bardzo głośno: – Czy przypadkiem nie prima aprilis dzisiaj?

Ollie powiedział: – To nie jest moje dziecko.

– To Kena – powiedziała Viv.

Ann stała przy zlewozmywaku. Z zapartym tchem, w zawieszaniu pomiędzy radością i lękiem, czujna jak zwierzę.

Ojciec przeniósł wzrok z jednej twarzy na drugą i ostatecznie zapytał: – Co wyście wszyscy umyślili?

– Jestem sztucznie zapłodniona – powiedziała Viv. Ollie gwałtownie się odwrócił. Ken

siedział nieruchomo.

– Co? – zapytał Douglas.

– Więc to jest dziecko Kennetha? – zapytała Vera. Viv przytaknęła. – Kena i moje.

– Czytałam o tym w prasie – powiedziała Vera. Douglas zapytał Kena: – Odpłatnie czy jak?

– Tatusiu! – wykrzyknęła Viv. – Ja to robię z miłości.

Ken odpowiedział Douglasowi: – Oczywiście będzie należyta rekompensata...

– Z miłości, tatusiu – powtórzyła Viv dobitnie. – To jest coś, czego może nie rozumiesz.

Od strony ogrodu załaskotało. Wszyscy zdrętwieli. Rosie i Daisy dobijały się do domu. Za szybą drzwi unosiły się ich głowy z włosami rozwianymi, gdy one tam podskakiwały. Wydawały się duchami z odległej przeszłości – ile czasu minęło, odkąd przeszły od sąsiadów przez murek?

Viv wstała i otworzyła im drzwi.

*

W ogrodzie było bardzo gorąco. Viv zatrzymała się, wdychała zapach bzów. Kiście lila zwisały zza murku, jak gdyby jej się przyglądały – wonne i obojętne. Jakiż spokój. Obejrzała się na dom. Patrząc tam przez okno, można by myśleć, że to normalne zebranie rodzinne. Ollie zmywał, dziewczynki się śmiały. Z ich śmiechem dolatywał gruby głos ojca. Powoli zaczęła wyrzucać odpadki kuchenne na kompost.

Gdy się odwróciła, stał za nią Ken. Zahaczyła tę kwadratową męską twarz, zarumienioną teraz, jego ręce bezradnie zwieszono przy bokach.

Powiedział cicho: – Coś muszę wiedzieć.

– Co?

– W śróde, kiedyśmy... wiesz... – obejrzał się na dom – chyba wiedziałaś, że jesteś w ciąży.

Przytaknęła.

Zapytał: – Więc po co?

Spuściła wzrok. Pojemnik na kompost był zbudowany z cegieł. W jednej ze szpar lśniło sreberko. Jajko, którego dziewczynki nie znalazły. Wyciągnęła je ze szpary i dała Kenowi. Wzruszyła ramionami, usiłując być niedbała. – Przypuszczam – odpowiedziała – że po prostu chciałam. – Odwróciła się od niego. On stał z tym jajkiem w garści. – A ty nie chciałeś? – zapytała i pobiegła do domu.

*

Vera siedziała na kanapie pomiędzy dziewczynkami. Unosząc rękę, pokazywała im swój pierścionek.

– A te małe to brylanciki – mówiła – klejnoty miłości.

Rosie dotknęła pierścionka. – Są odpowiednie?

– Kosztowały dostatecznie dużo. – Douglas stał przy kominku. Miał ciemne rumieńce i głos teraz bardzo donośny. Spojrzał na wchodzącą Viv.

– Nie słuchajcie dziadka – powiedziała Vera – ona nie ma romantyczności w sercu. – Spojrzała na Douglasa i uśmiechnęła się.

Rosie zapytała: – Mamusiu, dlaczego ty nie masz odpowiedniego pierścionka? Dlaczego nie miałaś odpowiedniej sukni do ślubu?

Viv postawiła puste wiaderko, w którym wyniosła odpadki.

– Według mnie miałam odpowiednią.

– Kaftan jakiś cholerny – powiedział ojciec.

Daisy oznajmiła: – Ciocia Vera chce, żebyśmy były jej druhami.

Vera przytaknęła. – Wyobrażam je sobie w bardzo jasnozielonych sukienkach jak młodziutkie liski.

– Listki – poprawił ją dobitnie Douglas.

Viv sięgnęła do kredensu po swoją torebkę. – Biegnijcie – poleciła dziewczynkom – kupić sobie chrupki.

– Dopiero co zjadły podwieczerek – powiedział ojciec. Dziewczynki chwyciły pieniądze i wybiegły do sieni. Viv zawołała za nimi: – Zjedzcie chrupki przy huśtawkach, inaczej będziecie musiały pozmywać.

Odwróciła się. Ken właśnie przyszedł z ogrodu. Skierował się do zlewozmywaka. – Pomóc ci? – zapytał Ollie'ego.

Ollie potrząsnął głową. – Za dużo kucharek.

Troki fartucha rozwiązały mu się z tyłu. Viv zapragnęła je zawiązać, ale wiedziała, że nie może. Poprosiła ojca: – Nie mów nikomu. Jeszcze nic nie zdecydowaliśmy, nie rozmawialiśmy nawet. Tylko chciałam, żebyście wiedzieli.

Vera uśmiechnęła się do Viv. – Tak się cieszę.

– Naprawdę?

– To taki piękny postęp.

Viv patrzyła na tę Austriaczkę. Poczula się większa i lżejsza. Poczula, że po raz pierwszy się do niej uśmiecha.

– Naprawdę? – powtórzyła. Podeszła i usiadła obok na kanapie. Ojciec jeszcze stał przy kominku. Bawił się klockami Lego.

Odwrócił się i surowo powiedział do Very: – Vee, przecież ona żartuje. – I po chwili, gdy zaległo milczenie: – W kiepskim guście, ale...

– Nie żartuję – przerwała mu Viv.

– Rzeczywiście to niesmaczne – powiedział.

Ann zabrała głos. – Ona do tego podchodzi poważnie, tatusiu. My wszyscy też. – Przestała nawet udawać, że wyciera naczynia, i usiadła przy stole.

Douglas wybałuszył oczy na Viv. – To dziecko Kennetha?

– Jego.

– A jak twój mąż...

– Nie jest moje – powiedział Ollie. Już odwrócił się od zlewozmywaka i stał tam w fartuchu Mothercare zaplamionym niebiesko po starciu śladów flamastra.

– Przepraszam – powiedział Douglas – ale skąd wiesz?

– Nie jest moje.

Czerwona twarz ojca jeszcze bardziej poczerwieniała. Zwrócił się do Kena: – Ty młokosie, jak mogłeś?

– Tato! – zawołała Viv.

– Moja rodzona córka! – ciągnął. – To jak kazirodztwo.

– Nie mów głupstw – powiedziała Viv. – Nie jesteśmy spokrewnieni.

– Młódko, wobec mnie nie zadzieraj nosa tylko dlatego, że byłaś w college’u... – Urwał, sapiąc.

Ann podeszła bliżej i powiedziała dobitnie: – Tato! Zechciej posłuchać. Już jest po wszystkim, już załatwione. I wszystko odbyło się zupełnie przyzwoicie.

– Zupełnie – powiedział Ollie.

– W klinice – powiedziała Ann.

– W klinice – powiedział Ollie. – I, szczerze mówiąc, uważam, że raczej nie wypada wnikać w ten właśnie aspekt.

Zaległa cisza. Vera trzymała Viv za rękę. Nikt się nie poruszył. Nagle Douglas powiedział: – Wam wszystkim, niech to diabli, brak piątej klepki.

Viv zwróciła się do Very: – Ty chyba rozumiesz.

Vera przytaknęła. – Rozumiem.

Viv zwróciła się do ojca. Duży, stał nad nią. – Vera powiedziała, że to piękne.

– Ach! – Żachnął się. – Tylko jest jedna różnica.

– Jaka?

– Jesteś moją córką, nie jej.

Viv poczuła, jak Vera obok niej sztywnieje. Podniosła wzrok na ojca.

– Słuchaj, tatusiu. Ja kocham Ann. Ona była pokrzywdzona i ty najlepiej powinieneś o tym wiedzieć. – Zaległa cisza. Viv nabrała tchu. – Robię to z miłości. My wszyscy z miłości. Mówisz, że to obrzydliwe. Czy wiesz, co ja uważam za obrzydliwe? – zapytała. Ojciec nie odpowiedział. – Nie wiesz? To, że zawsze – mówiła coraz głośniejszym głosem – mnie kochałeś bardziej niż Ann. To straszna krzywda dla dziecka. – Rękę oślizłą od potu wysunęła z dłoni Very i podniosła wzrok na czerwoną twarz ojca. – Bóg świadkiem, nie jestem doskonała... miałam skrobanki, zdradzałam Ollie’ego.. często... i okropnie kłamię. Jestem apodyktyczna i zmienna i, ach, i w ogóle Bóg wie jaka. – Zdyszana zwróciła się do Very: – Pewnie interesuje cię ta scena, oto życie rodzinne. – I znów natarczywie mówiła do ojca: – Ale nic z tego nie jest naprawdę tak niegodziwe, jak wyrabianie w dziecku przekonania, że mu się nic nie udaje. Tego nawet nie nazywają przestępstwem, a przecież żaden wyrok więzienny za to nie byłby dostatecznie długi. – Urwała bez tchu, po czym syknęła: – No, czy to nie jest obrzydliwe?

Nikt się nie odezwał. Z placyku zabaw po drugiej stronie ulicy dolatywały słabo okrzyki dzieci. Ulicą przejechał samochód. Po chwili Ollie zaczął klaskać.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

– Ja serio – powiedział.

Vera ją upomniała: – Tak nie można mówić do swojego ojca.

- Musiałam – powiedziała Viv. Spinała się w sobie, żeby serce jej przestało łomotać.
- Przecież nic dziwnego – ciągnęła Vera – że faworyzował raczej ciebie niż Ann, skoro...
- Vera! – ryknął ojciec.

Wszyscy ze zdumieniem spojrzeli na niego. Viv zapytała Verę: – Co chciałaś powiedzieć? Ojciec wrzasnął: – Zamknij się, głupia! Vera się rozplakała. Siedziała zgarbiona, z głową zwieszoną nad kolanami, i łkała.

– Widzisz, do czego doprowadziłaś – powiedział ojciec. Viv objęła ramieniem rozdygotaną Verę. Ann podeszła szybko, podając chustkę do nosa. Gotowa pocieszać, usiadła na poręczu kanapy.

Rozległ się dzwonek. Dopiero po długiej chwili Viv skinęła głową w stronę Ollie'ego. Ollie wyszedł z pokoju. Słychać było, jak idzie przez sień i otwiera drzwi frontowe. Doleciały głosy, wkroczyła Irene.

Potknęła się o matę. – Jejku! – powiedziała wesoło.

Za nią szedł Frank. Życzliwy, potulny, z włosami jak biała blacha falista.

Uśmiechnął się i ukłonił pani domu.

Irenę na widok swego byłego męża uniosła brwi. – Cześć, Doug.

– Cześć – odpowiedział Douglas.

Viv prędko dokonała prezentacji: – Mamo, to jest Vera. narzeczona tatusia.

Irenę spojrziała na Verę, która wycierała nos. – Wydaje się uszczęśliwiona tym narzeczeństwem.

– Mamo!

– Pardon – powiedziała Irene. – Myśmy oblewali. Doug. to jest Frank. Jego jest mój salon. – Irene pracowała w zakładzie fryzjerskim.

– Cześć, Frank – powiedział Douglas.

– Miło mi poznać. – Frank podszedł z ręką wyciągniętą. Douglas ją uściskał.

Viv zwróciła się do matki: – Myślałam, że wyjeżdżasz do...

– Wenecji – Irene przytaknęła. – My tylko wpadliśmy na chwileczkę, prawda? Żeby przynieść to. – Położyła na stole dwa duże jajka wielkanocne. – Dla dziewczynek. Gdzie one są?

– Poszły do sklepiku – odpowiedziała Viv.

– I żeby pokazać moją kreację – powiedziała matka, okręcając się przed nimi. Była to sukienka w wielkie czerwone maki.

– Śliczna. – Viv ruszyła po czajnik. – Napijcie się herbaty. Frank, proszę, usiądź.

Matka zrobiła minę. – Czy nie możemy napić się czegoś bardziej świątecznego?

– Możemy, oczywiście. – Ollie podszedł do lodówki, wyjął butelkę białego wina.

Frank się roześmiał. – Ona mi się za bardzo zaleje, żeby wsiąść do samolotu.

– No, żyje się tylko raz – powiedziała Irene.

Frank wyciągnął paczkę cygaretek i poczęstował Kena, który potrząsnął głową, a potem Douglasa.

– Nie, dziękuję – powiedział Douglas.

– Pozwolicie, że ja zapalę? – zapytał Frank. Viv przyniosła kieliszki.

Irenę, z ciekawością patrząc na Verę, usiadła przy niej na kanapie. Vera uprzejmie przesunęła się trochę.

– A więc dokąd – zapytała Irenę – on zabierze panią w podróż poślubną? Na South End?

– Na Kretę – powiedział Douglas bardzo głośno. Vera spojrzała na niego zdumiona. – Dokąd?

– Na Kretę – powtórzył. – No, dlaczego nie?

Irenę spojrzała na niego zainteresowana. – Zmieniłeś się.

– Sama powiedziałaś: żyje się tylko raz.

Viv przeniosła wzrok z matki – drobnej, o oczach jak paciorki, całej jak ptak upierzony kwieściami – na ojca. chyba większego niż kiedykolwiek przedtem, gdy tak z twarzą rozplamioną stał przy kominku. Zastanowiła się, co Vera w nim widzi. Austriaczka siedziała na kanapie nieruchomo, godnie i patrzyła kolejno na nich wszystkich. Była w postarzącej, ale dosyć pięknej brązowej sukni jedwabnej. Siedząca obok niej matka wyglądała krzykliwie. Viv pomyślała: komu w tym pokoju ja rzeczywiście ufam? Podawała kieliszki z winem; zapach wina przyprawiał ją o mdłości.

Frank pochylił się w stronę Very i zagaił towarzyską rozmowę:

– Pani była w Wenecji?

– Pewnie, że była – powiedziała Irenę. Zwróciła się do Very.

– Bo jest z Wiednia, prawda?

– Tam jest bardzo uroczo – powiedziała Vera.

– W Wiedniu? – zapytał Frank.

– W Wenecji – powiedziała Vera.

– Podobno – powiedział Frank.

Irenę upiła trochę wina. – Zobaczycie Wenecję i umrzeć. Viv podała kieliszek ojcu. – Rzym.

– Czyżby? – zapytał Frank.

– Viv przytaknęła: – Zobaczycie Rzym i umrzeć. Ollie, mijając ją, szepnął: – To Neapol. – I usiadł.

– Nie Neapol – głośno powiedziała Viv.

Matka zachichotała. – No, tak czy siak. nie South End. Vera rozejrzała się zdezorientowana. – Gdzie jest South End? Viv uśmiechnęła się. – Zupełnie blisko Krety.

– Co proszę? – zapytała Vera.

Zaległo milczenie. Ollie zaczął nucić pod nosem i skubać strzępiący się szew swoich dzinsów. Viv spojrzała na niego i zmarszczyła brwi. Ken popijał wino. stojąc przy suszarce.

Irenę odwróciła się do Very. – Wspaniały ciuch, ten pani.

– Dziękuję – powiedziała Vera.

Douglas przytaknął. – Sama sobie uszyła – wskazał Verę kieliszkiem. – Jest zawodowa.

– Mmm... mmm – Irenę z lubością szczypnęła brązowy jedwab. – I te śliczne wąskie ramionka. Więc płacą pani za szycie?

– Oczywiście – powiedział Douglas.

– Krawcowa z prawdziwego zdarzenia – powiedziała Irenę. Popatrzyła na Verę. – Oj.

uszyje pani coś dla mnie?

– Słuchaj... – zaczął Douglas.

– Mówię poważnie – powiedziała Irene. – Przecież widać, że ma iskrę do igły. aż mnie zwala z nóg.

Vera się uśmiechnęła. – Ja z miłą chęcią. Douglas powiedział: – Vera, nie...

– Och. cicho ty. – Irene spojrzała na niego spode łba. Po chwili podniosła kieliszek. – Wzniesmy toast.

Vera podniosła swój kieliszek. – Zdrowie Vivien – powiedziała.

Irene się zdziwiła. – Viv? Dlaczego?

Viv powiedziała z pośpiechem: – Nie, zdrowie wszystkich. Nalała sobie trochę soku pomarańczowego. Podniosła kieliszek. – Bóg świadkiem, że zdrowia psychicznego potrzebujemy.

*

Goście wyszli. Ollie wielkimi krokami chodził po pokoju. Zlał resztki wina z kieliszków w swój kieliszek, wypił i spojrzał na Viv. – Dlaczego nie powiedziałaś swojej mamie?

– Przecież nie przy Franku.

– Będzie jej przykro.

– Jest twarda.

– Twarda to jesteś ty.

Podszedł do stołu i zgarnął w dłoń srebrne kulki Kena. Wrzucił je do puszek na śmieci, zapchanej papierem z paczek, i zaczął wycierać stół.

– Jesteś w swoim żywiole, prawda? – zapytał.

– Jak to? – Viv z zamkniętymi oczami leżała na kanapie.

– Posługujesz się ludźmi.

– Nie posługuję się. Służę. Zrozum, jestem w ciąży.

– Nazywasz to służeniem? Ja to nazywam bawieniem się w Boga.

Usiadła. Była blada, ale pomyślał, że nie będzie się tym przejmował. – Nas wszystkich masz teraz na sznurkach.

– Nie bądź śmieszny. – Wstała i podeszła do niego. – Nie dokuczaj mi teraz – szepnęła mu we włosy. – Chodź, pójdźmy na górę. To już całe tygodnie.

– Nie. – Odsunął się od niej. Spojrzał na stół. Nic nie zostało do wycierania.

– Już możemy – powiedziała. – Ja zaszałam.

– Nie!

– Ollie. – Stała przy drugim końcu czystego stołu. – Kocham cię. Nie posługuję się tobą.

– Czy tak właśnie mówisz Kenowi? Potrząsnęła głową. – To był tylko seks.

– A tamci?

– Wiedziałeś o nich – powiedziała.

– Posługiwałaś się ludźmi, żebyśmy się pobrali.

– A ty nigdy się nie posługujesz?

– Nie! – podniósł głos do jakiegoś niemądrego pisku. Nie cierpiał siebie. Nie cierpiał jej.

A ona nawet się uśmiechała.

– Potrafimy dawać sobie radę – powiedziała.

– To twoja specjalność, czyż nie?

– Co?

– Dawanie sobie rady! – wypluł te słowa i wymaszerował z pokoju, trzaskając drzwiami.

Z twarzą płonąca, ze łzami w oczach, wbiegł po schodach na górę. Częstka rozsądku mu powiedziała: takie zejścia ze sceny stają się śmieszne. Inna częstka zapytała go: czy to nie ty masz coś do ukrycia?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Po obiedzie Ken zatrzymał się, żeby kupić wino. Całe przedpołudnie przepracował w terenie, bo jeden z tych jego opojów zachorował z przepicia, a nikt inny nie umiał bodaj z grubsza wykonać tej pracy. Co nie znaczy, że Ken w głębi ducha nie cieszył się, że to robi. Otwierając drzwi sklepu z alkoholem zobaczył, że mu jeszcze został brud na rękach.

Ollie i Viv mieli przyjść wieczorem na ROZMOWĘ. W sklepie Ken przyjrzał się butelkom. Rodzice Ollie'ego byli pierwszymi i jak dotąd ostatnimi znanymi mu ludźmi posiadającymi piwnicę win. Poza tym kwitła u nich glicynia i łążyły dwa labradory, którym paskudnie pachniało z pysków. Sam Ollie oczywiście wiedział o winach dostatecznie dużo. by udawać, że nic nie wie, i zawsze przesadnie chwalił każde, jakim Ken go częstował.

Stojąc przy półkach Ken nie wiedział, co wybrać. Wiele przemawiało za Frascati – winem, które Ollie podał w Wielkanocną Niedzielę. Może jednak lepiej kupić Chablis? Dwa razy droższe, ale pal diabli. Przypomniawszy sobie hotel w Salcombe: Viv opalona w plażowej sukience w czerwone groszki, jej nagie ramiona. Ollie znad karty win uśmiechający się do kelnera jak gdyby był częstym gościem od lat. *Weźmiemy sobie strasznie tutaj przepłacane Chablis*. I ten kelner, niech go licho, uśmiechający się do Ollie'ego.

Ken wrócił do samochodu z dwiema butelkami Chablis. Spojrzał na drugą stronę ulicy, na sklep zoologiczny akurat naprzeciwko tego sklepu z alkoholem. Ostatnim razem, gdy tam oglądał rybki – och, zanim to zaczęło się dziać – czuł się człowiekiem w średnim wieku, czuł się znużony, ale nie zużyty.

Jak może spojrzeć w oczy komukolwiek z nich? Z Chablis czy bez Chablis?

Otworzył drzwiczki samochodu i nagle znieruchomiał. Ludzie chodzili po sklepach niefrasobliwie. Niebo nadal było szare. Puskę do śmieci nadal zapychały kartony McDonalda. Ale pojął teraz, że nic nigdy nie będzie takie samo jak dawniej. Oczywiście, ale jakie dziwne są zrządzania losu. Dopiero teraz to go uderzyło. Viv poczęła jego dziecko. Musiał się oprzeć o samochód, tak zakręciło mu się w głowie.

*

Ann rozstawiła salaterki z fistaszkami i rozejrzała się po saloniku. Denerwowało ją, że zdobyła się na pójście do fryzjera. Nie bądź głupia, upominała siebie. Nie panikuj.

Ken właśnie wrócił z pracy. Był w kuchni, mył ręce. Przypomniawszy sobie *Macbetha* w teatrze telewizji, jak lady Macbeth wciąż myła ręce. Co ona sama usiłuje usunąć?

Zamiast zastanawiać się nad sobą, zapytała Kena: – Co tak zmywasz?

– Paskudztwo do konserwacji drewna. Nie schodzi. Uśmiechnęła się. – Przynajmniej nie zbutwiejesz.

Nie odpowiedział. Stała za nim i położyła mu dłonie na ramionach. Wzdrygnął się i sięgnął po szczotkę do szorowania.

Powiedziała: – Ken, proszę, nie.

– Co nie?

– Zawsze mnie odpychasz.
Nie odwrócił się, tylko podniósł ręce.
– Jestem brudny – powiedział.

*

– Co się stało? – Ann ze zdumieniem patrzyła na Viv, na jej powieki czerwone i spuchnięte, na łzę spływającą po policzku.

Viv wytarła nos. – Tylko katar. – Wskazała męża. – Od niego. Ann zaczęła znów oddychać normalnie. – Wejdźcie, usiądźcie – powiedziała. – Czy na pewno dobrze się czujesz?

– Doskonale.

Ollie powiedział: – Teraz musimy wszyscy bardzo dbać o nią.

Ann spojrzała na niego bacznie. Usiedli. Viv rozglądała się ciekawie, jak gdyby weszła do tego domu po raz pierwszy. Co teraz widzi i czyimi oczami? Ze ściśniętym sercem Ann zdała sobie sprawę, że Viv nigdy już nie będzie po prostu jej siostrą. Ken przyniósł wino. Viv zainteresowała się swoimi paznokciami. Ann patrzyła na pochyloną głowę Viv, na kręcące się włosy podpięte klamerkami w kształcie motylków.

Ollie powiedział: – Ach. Chablis.

Ken usiadł i odchrząknął. – Więc musimy zdecydować, komu i co powiedzieć.

Cisza. Viv znowu wytarła nos, po czym podniosła głowę.

– Powiedzmy prawdę. – Zgniotła kleenex w kulkę i wrzuciła do kosza na śmieci.

Ken zapytał: – Czy to roztropnie?

Ann zapytała: – Co powiemy dziewczynkom?

– To, że będę miała dziecko i dam je tobie.

Ollie, sięgając po garść fistaszków, znieruchomiał. – Ale że czyje to dziecko?

– Moje i ...

– Twoje i czyje? – nalegał.

– Wszystko powiemy.

– Czyżby? – zapytał. Zjadł całą garść fistaszków od razu i spojrzał na nią.

– Jesteśmy zwolennikami mówienia prawdy – powiedziała.

– My?

Zaległa cisza. Wszyscy czworo patrzyli na akwarium. Rybki migały świetlicie to tu, to tam, jakby ktoś machał jakimś pędzlem. Viv wyciągnęła papierosa i zapaliła. Ann poruszyła się w fotelu. Viv napotkała jej spojrzenie i zdusiła papierosa w popielnicze.

– Przepraszam – bąknęła.

– Nie przepraszaj – powiedziała Ann.

Szeroko otwierając czerwone oczy, Viv popatrzyła na nich troje i zapytała: – Dlaczego mielibyśmy cokolwiek ukrywać?

Ollie patrzył na szklany stolik z mosiężnymi krawędziami. Patrzył na reprodukcje tancerek Degasa oprawione w ramki, a potem na fornirowany regał Kena – na to wszystko tak dobrze znane, a przecież dzisiaj całkowicie nieznane. Pomyślał: nic z tego nie dzieje się

rzeczywiście.

Wlepił wzrok w akwarium, ale tylko wspomniął jedwabistość ud Ellie. Wspomniął, jak siedział wczoraj w jej pokoju, a ona nastawiała adapter poważna, dziecięco prostolinijna. I jak później dotykał kącików jej ust językiem.

*

Nowe mieszkanie Very i Douglasa było w dużym domu czynszowym niedaleko Highgate. Ta kamienica, z odrobiną krajobrazu od frontu i wymyślnym murarstwem edwardiańskim, może przypominała Verze minione wiedeńskie splendory.

Teraz Vera stała niewygodnie na chodniku, gdy z ciężarówki przedsiębiorstwa przewozowego tragarz wynosił stół.

– Och, niech pan uważa – powiedziała. – To bardzo łamliwe.

– Pani słucha – powiedział – ja będę robić swoje, pani niech robi swoje.

Wskazała: – Tu się zarysowało.

Zignorował ją, niosąc stół do sieni.

Odwróciła się do Viv. – Niektórzy mężczyźni to tacy brutale.

Viv się roześmiała. – Ale popatrz, jakie on ma bicepsy.

– Co?

– Nieważne – Viv, jak nieraz, zatęskniła do matki. – Zostaw ich, dadzą sobie radę bez ciebie – powiedziała. – Chodź do mnie na herbatę.

W drodze spotkały Ann załatwiająca zakupy. Poszły do domu Viv we trzy. Dzień był szary, bezwietrzny. Gdyby Viv wtedy wiedziała, co się stanie, uważałyby tę spokojną szarość za ciszę przed burzą. Ale ponieważ nie wiedziała, ten dzień wydawał jej się poniekąd nadzwyczajny, jak zawsze dzień nawet cudzej przeprowadzki.

Vera usiadła z westchnieniem. Tak dbała o swoją powierzchowność, że ktoś postronny musiałby dobrze się jej przyjrzeć, zanim zauważyłby, że jest wyczerpana. Viv podeszła do czajnika, ale Ann ją wyręczyła.

– Pozwól, że ja.

– Nie jestem inwalidką – powiedziała Viv.

– Jeszcze masz mdłości?

– Trochę.

– Żałuję, że nie mogę mieć mdłości za ciebie.

We dwie przygotowały herbatę. Gdy już usiadły przy stoliku, Vera powiedziała: – Wasz ojciec taki wybuchowy.

– Przeprowadzki szkodzą na ciśnienie – powiedziała Viv.

– Wrzeszczy tu, wrzeszczy tam – dodała Vera. Viv zapytała: – Czy na ciebie także?

Vera popijała herbatę. Nie zaraz odpowiedziała: – Wszyscy mężczyźni wrzeszczą. Bo nie są w kontakcie ze swoimi uczuciami, tutaj. – Położyła rękę na sercu.

– W niedzielę – zapytała Viv – dlaczego tak się rozgniewał?

– Co, proszę? – zapytała Vera.

– Kiedy byliście tutaj. O co rozgniewał się na ciebie? Vera popijała herbatę. – Och –

odpowiedziała po chwili – to nic nie było.

– Ale doprowadził cię do płaczu – nastawała Viv – przy wszystkich.

Vera powiedziała: – To była moja wina.

Viv westchnęła. – Potrafi być strasznie gwałtowny.

– Nie! – Marszcząc brwi, Vera potrząsnęła głową. Ann przytaknęła: – Potrafi.

– Wy nic nie rozumiecie.

– Rozumiemy – powiedziała Ann – znamy go, jesteśmy jego córkami.

Nagle Vera wybuchnęła płaczem. Patrzyły na nią zdumione i przerażone.

– Chciałam... – zaczęła Ann – co ja takiego... ?

Vera pogrzebała w torebce, wyciągnęła chustkę do nosa. Ann podeszła i usiadła przy niej.

– Nie mogę powiedzieć – chlipnęła Vera.

– Ale powiedz nam – poprosiła Viv.

Vera podniosła głowę, spuchniętą twarz. – To nie moja sprawa – powiedziała. – Ja tu wchodzę do tej rodziny. Jestem poboczna. Chcę należeć, uczestniczyć w tym wszystkim, a tu...

– Należysz – powiedziała Ann.

– Te wszystkie bariery. – Vera trzęsła się od szlochów. – Te wszystkie sekrety.

– Masz na myśli to dziecko? – zapytała Viv.

– Nie – zaprzeczyła Vera – nie dziecko.

– Więc co? – zapytała Ann.

Vera – zwracając się najpierw do niej, a potem do Viv, odpowiedziała: – Was.

– Nas? – zdziwiła się Viv. – Przecież jesteś tu mile widziana. Cieszymy się.

– Nie! – wykrzyknęła Vera.

– Naprawdę! – wykrzyknęła Viv.

Vera wytarła nos. Viv i Ann siedziały patrząc na nią. Włożyła chustkę do torebki, zamknęła torebkę z pstryknięciem. Potem powiedziała: – On źle zrobił.

– Kto? – zapytała Viv – co źle?

– Źle, że nie wyjawił przez te wszystkie lata.

– O kim mówisz? – zapytała Viv.

– O waszym ojcu.

– Czego nie wyjawił? – zapytała Ann. Viv wyjąkała:

– Tobie?

Vera popatrzyła na jedną i na drugą.

– Wam obu.

Zaległo milczenie. Przerwała Ann. – Powinnaś nam powiedzieć. Proszę, powiedz.

Vera otworzyła usta i zamknęła. Popatrzyła na jedną i na drugą znowu, jak gdyby się decydując. W końcu palnęła:

– Nie jesteście prawdziwymi siostrami.

Minęła chwila. Viv zapytała zdławionym głosem: – Jak to? Vera nie odpowiedziała. Tylko patrzyła na nie z takim wyrazem twarzy, jakby ją coś bardzo bolało.

– Mów – powiedziała Ann.

– Matkę macie wspólną. – Vera zwróciła się do Ann. – Douglas nie jest twoim ojcem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ann stoi w domu towarowym. Myśli: Ja wciąż kupuję? Dlaczego ja wciąż kupuję?

Te paczki oszałamiają ją i przygnębiają. Światło jest za jasne, aż głowa ją boli. Na półkach tyle butelek ze zwyczajną wodą z kranu. To ją śmieszy, lepiej jednak się nie śmiać. Gdyby parsknęła śmiechem, wszyscy by na nią spojrzeli. Całą planetę przecież zamulają takie plastikowe butelki, puste, już bez wody. W czym kryje się obłąd?

Trzeba iść dalej. Mr Men na słoikach jogurtu złośliwie łypie okiem. A ona jest przerażona, bo nie może się zdecydować, co kupić. Ale gdyby się do tego przyznała, wpadłaby w jeszcze większą panikę. Lepiej nic nie mówić nawet do siebie. Zresztą już wkrótce będzie można wypowiadać się głośno. W swoim tamtym śnie myślała, że wie, czego szuka. Trudno się otrząsnąć z tamtego snu. Od tygodni tamten sen wciąż jak smak w ustach pozostaje u źródła myśli. Oto są wciśnięte w głąb półek torby z robotą na drutach, nie dokończonymi śpioszkami i kaftanikami z włóczki. Jakież duży, rozbrzmiewający echem jest ten supersam! Jakież niemądre to kwilenie! Nie domyśliła się, czego szuka. Ale już wie, że na to nie zasłużyła.

Jakiś mężczyzna ją mija, ma około sześćdziesięciu lat. Odwraca się od niej, żeby popatrzeć na mięso – kotlety pokrajane w poprzek kości, czerwone i wilgotne. Gdzieś przebywa mężczyzna chyba sześćdziesięcioletni, który jest jej ojcem. Nagle podłoga się rusza, sunie pod jej nogami jak te gumowe chodniki na lotniskach, aż się chce zejść na bok. Równe jest takie piłowanie – kości, nerwów, tkanek. Ktoś poczuł ból, ale z drugiej strony kto to może powiedzieć?

Teraz ona czuje się nieważka i wywłaszczona i czeka, jakby chirurgicznie usunięto jej wszystkie wnętrzności. I ogarnia ją ogromne, ogromne zmęczenie. Ale powinna załatwić sprawunki, pamiętać, że jeszcze się nadaje.

*

– Czym mogę służyć? – zapytał fryzjer.

– Jest pani Irenę Smith? – zapytała Ann.

Ten młody człowiek zajrzał do książki. – Pani umówiona? Ann potrząsnęła głową.

– Ona ma wolne okienko o trzeciej – powiedział.

– To moja matka.

Roześmiał się. – Przepraszam, jestem nowy.

– Skorzystam z tego okienka o trzeciej – powiedziała Ann.

*

Ann siedziała przed lustrem. W pelerynce na ramionach czuła się jak pacjentka, którą czeka operacja. Nie była w tym zakładzie fryzjerskim już od roku. Zmieniono wystrój, sprowadzono ku ozdobie palmy w donicach i meble z wikliny. Matka i Frank stali za nią.

– ... wyskoczył z tą kwestią w Wenecji – mówiła matka. – Powiedział: *VAT możemy*

placić razem.

– Co? – Ann patrzyła na matkę w lustrze.

– On – matka wskazała Franka – przyjął mnie do spółki. Nie jesteś dumna ze swojej mamusi?

Ann milczała. Matka ściągnęła usta – ależ ta szminka karmazynowa! – i dotknęła jej włosów.

– Więc co to ma być?

– Po prostu zrób coś – powiedziała Ann.

– Ale co? – Matka uniosła brwi.

– Zetnij je. Wszystko jedno co.

Irenę się uśmiechnęła. – Wreszcie od niej to słyszę. Zdajesz się na mamę.

– Chcę mieć utlenione pasemka.

– Świetnie.

– I trwałą.

– Nie można i tego i tego naraz – powiedziała matka. – Fatalne dla włosów.

– A co mi tam! Niech moje włosy diabli porwą.

– Annie!

– Zatem – powiedział Frank – mamy wolną rękę.

Irenę dwoma palcami ujęła pasmo włosów Ann, podniosła i puściła.

– Zawsze odporne – powiedziała. – Kiedy była mała, wciąż się kłóciłyśmy o jej warkoczy. Aż któregoś dnia już nie wytrzymałam i obciąłam je nożyczkami do kurczaka, ciach, ciach. Pamiętasz, Annie?

Frank parsknął śmiechem. – Ann, jeszcze ufasz – zapytał – matce takiej okrutnej?

– Nienawidziłam ich – powiedziała Ann.

– Ich?

– Moich warkoczy.

Matka przechyliła jej głowę z boku na bok. – Według mnie – orzekła – tu trzeba ściąć i tu. Tak, żeby stały warstwami.

– Ona ma ładną budowę czaszki – powiedział Frank. – Po swojej mamie, no nie?

– Nie – powiedziała Ann.

– Masz, masz. tylko pod tymi włosami nie widać.

– Zawsze ci powtarzałam, Annie – powiedziała matka – masz ten potencjał, zawsze powtarzałam. Tylko musisz go z siebie wydobyć.

Teraz Frank dotknął głowy Ann. – Lekka trwała tutaj, moim skromnym zdaniem. Mocniej będą stały.

– Róbcie, co chcecie – powiedziała Ann.

Frank zwrócił się do Irenę: – Gdyby to one wszystkie – westchnął – były takie zgodne.

– Muszę już wyjść – powiedział Ollie wykręcając rękę, żeby spojrzeć na zegarek. To było trudne, bo Daisy przyciskała mu dłoń do bristolu. Obrysowywała jego palce. – Zawsze wychodzisz – prychnęła.

Viv strzeliła w Ollie'ego spojrzeniem. Też została unieruchomiona przez swoją latorośl.

Rosie obrysowywała jej dłoń.

- Zawsze krzyczysz – dodała Daisy.
- Ja? – zapytał Ollie.
- Ty i mama. – Rysowała dalej. – Masz brudne paznokcie.
- Przepraszam – powiedział. – Właściwie po co to?
- Do naszej kolekcji.
- No dobrze. Ale się pospiesz.
- Dokąd idziesz? – zapytała Viv.

Rosie się wtrąciła: – I przez ciebie mama wymiotuje.

- Co? – zapytał Ollie.
- Słyszałyśmy ją.

Obie dziewczynki zaprezentowały odnośne odgłosy. Rosie ponadto bekała, bo nauczyła się bekać na zawołanie.

- Uciszcie się! – wrzasnęła Viv.

Mokre włosy opadały Ann na twarz. Matka zaczęła je ścinać.

- W zeszłym tygodniu widziałam się z Verą – powiedziała Ann.
- Ach, tak?
- Rozmawialiśmy.

Matka przewróciła oczami. – Przez myśl by mi nie przeszło, że on poleci na taką jak ona.

- Dlaczego?
- Zawsze mówił, że nie lubi kobiet myszowatych. – Przechyliła Ann głowę. – Już jest lepiej. – I dalej ścinała, ciach, ciach.
- Jednakowoż znasz ojca.
- Nie, nie znam.
- Przekorny stary satyr. Kiedy sobie coś ubzdura....
- On nie jest moim ojcem – powiedziała Ann. Matka oniemiała. Nożyczki zwisły jej z ręki.

- Jak mogłaś mi nie powiedzieć? – zapytała Ann. – Przez te wszystkie lata?

Irenę odchrząknęła. Usta jej drżały. Ann nigdy dotąd nie widziała takiego wyrazu jej twarzy. Patrzyła w te okrągłe niebieskie oczy w lustrze.

– Twój ojciec i ja – powiedziała matka – to znaczy, Douglas i ja... zdecydowaliśmy, że co się stało, to się nie odstanie.

- Rozejrzała się. – Nie mogę mówić tutaj.
- Więc byłaś w ciąży ze mną, kiedy za niego wyszłaś?

Przytaknęła. – Zawsze był taki przyzwoity, ten Dougie. Powiedział: *A czy kto musi wiedzieć?* Powiedział: *Wychowam je... to znaczy ciebie... tak jakby było moje.*

- Ale nie zrobił tego.
- Czego?

– Nie wychowywał mnie tak, jakbym była jego. – Ann patrzyła na odbicie matki w lustrze. – Nigdy.

*

Dziewczynki wybiegły na dwór. Ollie stał w sieni trzymając teczkę.

Viv spytała: – Powiemy im, że to twoje dziecko?

– Żeby myślały, że oddajesz moje?

– Oddam.

– Zaczną mieć koszmarne sny o pakowaniu walizek.

– A czy to ważne, kto jest ojcem – zapytała – ty czy Ken?

– Kiedyś ono będzie musiało wiedzieć. Miejmy nadzieję – Ollie podszedł do drzwi – że przyjmie to lepiej niż Annie. Zapytała: – Wychodzisz?

– Tak. Muszę coś przejrzeć w redakcji.

– Rozumiem.

– Wróć... – zaczął. Dokończyła: – Za dwie godziny.

Spojrzała mu w oczy. Otworzył drzwi i wyszedł. A ona wróciła do kuchni. Stała przy stole patrząc na rysunki dwóch upiornych dłoni.

Ann przyjrzała się sobie w lustrze. Przeobrażenie, inaczej nie sposób tego określić. Włosy krótkie, pierzaste, miejscami rozjaśnione. Wygląda jak nowa – jest nową osobą, z którą ona, Ann, musi się zaznajomić. Wygląda o wiele ładniej.

Wstała i podeszła do kasy. Były tylko dwie klientki. Już przedtem wypisała czek. Dała go matce, dołożyła trzy banknoty jednofuntowe.

– Annie! – zaprotestowała Irene i odsunęła te pieniądze.

– Fryzura bardzo ładna.

– Ty fujaro.

Ann zostawiła banknoty. Gdy odwróciła się chcąc wyjść, Irene chwyciła ją za rękaw.

– Nie idź – powiedziała. – Słuchaj, jeszcze chwila i zamykamy. Zostań, będziemy mogły porozmawiać.

Ann potrząsnęła głową. W szatni zobaczyła, że jeszcze jest w pelerynce. Ściągnęła ją, włożyła płaszcz i wyszła *

Ann stała na przystanku autobusowym. Dmuchał zimny wiatr. W ogonku czekały matki z dziećmi obładowane sobotnimi zakupami. Przed Ann stał mały chłopiec, jedząc frytki z pudełka Kentucky. Zagapił się na nią i poczęstował ją frytką. Niepewnie, z uśmiechem przyjęła poczęstunek. Ale chłopczyk dostał od matki, która to zobaczyła, klapsa w rękę.

Na niebie chmury ciemniały, zbierało się na deszcz. Ann marzyła bez szalika. Nie opodal przystanku jaśniał w blasku reflektorów salon wystawowy mosiężnych łóżek; napisy przyklejone do szyby zachęcały: OSTATECZNA OBNIŻKA. Czekala. Patrzyła na głowę tego chłopczyka stojącego przed nią. Był ostrzyżony. Puch włosów ledwie przysłaniał „ładną budowę” jego młodziutkiej czaszki.

Czekala jak wszyscy inni na autobus, żeby dojechać do domu, do swoich oświetlonych pokoi, a jednak zamiast wsiąść, gdy autobus się zatrzymał, odeszła na bok i po chwili wahania ruszyła z powrotem do zakładu fryzjerskiego.

*

– Och, z nim było mnóstwo śmiechu – opowiadała matka. Jej głos już złagodniał. – Nad kinem Gaumont dawali podwieczorki i można było potańczyć. Chodziłam tam z koleżankami z tych składów towarowych, a on z każdą się pokręcił, ale zawsze wracał do mnie. – Dotknęła swego policzka. – Nazywał mnie Płatek Róży z powodu mojej cery.

Światła w zakładzie już się nie pały. Ludzie przechodzili ulicą, nie wiedząc, że te dwie kobiety siedzą w fotelach fryzjerskich i popijają z zakładowych kubków likier, który Irenę przywiozła z Wenecji.

– Jak on wyglądał? – zapytała Ann tonem nadal chłodnym.

– Śliczne włosy. Sprężyste. Gęsta czupryna.

– Jakiego koloru?

– Oporne jednak, jak twoje. Kasztanowate. – Irenę podniosła butelkę, żeby dolać. – Sambucca. Tylko że podobno trzeba do tego wrzucić ziarnko kawy i zapalić. Taki włoski obyczaj. – Westchnęła. – Budzą się we mnie wspomnienia.

– Kochałaś go?

Spojrzała na córkę. – Och, złotko – powiedziała. – Myślisz, że nie kochałam?

Po chwili Ann zapytała: – A z zawodu czym się zajmował?

– Zabawkami. Był przedstawicielem... no, jak się ta firma nazywa, ty wiesz.

– Nie wiem – powiedziała Ann. I potrząsnęła głową, gdy matka chciała dolać jej likieru. – Nic nie wiem.

– Więc jakiejś tam firmy. W każdym razie nakręcał te głupie kaczuszki i puszczał je, żeby chodziły po podłodze. – Palcami pokazała na półce owo chodzenie. Jej spiczaste, pokryte czerwoną emalią paznokcie maszerowały przy ułożonych rzędem grzebykach.

– Czy wiedział o mnie? – zapytała Ann.

Irenę potrząsnęła głową. – Zmienił pracę, Archie. I wyjechał na północ.

– Dokąd?

– Do Stockport.

– I w jakiej firmie pracował?

– W... ojej – Irenę zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć.

– Nie pamiętasz?

– Cobbs. Właśnie. Bracia Cobbs. Myślałam, żeby się z nim zabrać, ale on ani słowa o tym nie mówił, tylko tamtego dnia rano, kiedy wyjeżdżał, przyniósł mi głupią gumową małpkę. Więc wiedziałam, że i tak nic by z tego nie wyszło.

– Dlaczego?

– Nie wyszłoby. Po prostu. On był jak dziecko, Annie.

– Więc nie wie o moim istnieniu. A ty nie wiesz o nim.

– Trzydzieści pięć lat, złotko – powiedziała Irenę. – Mógłby już nie żyć.

– Żyje.

– No to pewnie ma już wnuki.

Milczały. Odgłosy ulicy wydawały się stłumione, jak gdyby dolatywały z daleka. Ann przesunęła ręką po krawędzi fryzjerskiego stolika na kółkach i w końcu podniosła wzrok.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– To był pomysł Douga. Rozumiesz, Doug wiedział, że jestem przy nadziei, kiedy mi się oświadczył, ale bardzo zacie się do tego odnosił. To znaczy, w tamtych czasach było inaczej niż teraz. Zrobiłby się skandal. A on zdecydował, że bierze cię na siebie.

– Tak naprawdę to nie – mruknęła Ann.

– Co nie?

– Nie wziął mnie na siebie. – Odwróciła się znów do stolika na kółkach i potarła chrom palcem. – Nienawidził mnie, nie wiedziałam dlaczego. A ty mi nie powiedziałaś.

*

Przez cały tydzień Viv próbowała porozmawiać z Ann, ale Ann się uchylała. Owszem, mówiła, rozmawiała z matką, ale nie chce znów tego wszystkiego roztrząsać. Nie, lepiej niech Viv nie przychodzi. Na razie.

Od dzieciństwa Ann potrafiła to robić – zwijać się w kącie i zamykać się przed światem, a przy tym być nadzwyczaj uprzejma. Od dzieciństwa też Viv stosowała wówczas wobec niej wszelkie swoje sposoby, poczynając od dokuczania i na metodzie wstrząsowej kończąc, wiedziała więc z doświadczenia, że nic nie wskóra, tylko zdenerwuje ją jeszcze bardziej. No cóż, trzeba poczekać.

Zresztą Viv miała własne problemy. Bezlitośnie mały staje się Londyn dla tych, którym coś idzie niedobrze. Jak gdyby jakaś niewidzialna ręka pchała ich w najbardziej niepożądanym kierunku. Zaczaj się już semestr letni i w ten czwartek po szkole pojechała do Covent Garden, żeby odebrać plakaty z drukami. Chyba przez przypadek zaparkowała samochód na pewnej szczególnej ulicy niedaleko redakcji Ollie'ego.

Można rozpoznać, czy dwoje siedzących przy kawiarnianym stoliku ludzi jest parą kochanków, już po samym sposobie, w jaki siedzą. Gdy siedzą przytuleni, to oczywiście łatwe. Ale też i gdy siedzą naprzeciw siebie, sprawa nie ulega wątpliwości. Poza tym, że patrzą sobie w oczy, przybierają takie pozy, jakby nawzajem byli swoimi odbiciami w lustrze. Ollie siedział tak samo jak ta blondynka naprzeciw niego – podpierając głowę jedną ręką, drugą ręką trzymając na stoliku. Z mniejszej odległości Viv zobaczyłaby, że ich palce jednak niezupełnie się stykają. W słońcu popołudnia stały przed nimi filiżanki z herbatą i patera z ciastkami.

Po wstrząsie zaraz nastąpiła inna reakcja. Viv dziękowała Bogu, że jest bez dziewczynek, więc one nie muszą widzieć teraz swojego ojca, ani ona nie musi idąc z nimi ulicą gawędzić wesoło, jakby wszystko było w idealnym porządku.

Dopiero po kilku dniach Ann zdobyła się na odwagę i zatelefonowała do Biura Informacji. Nie z domu. Nie wiadomo dlaczego w pogodnej normalności biura wydawało się to poniekąd łatwiejsze.

Ale nic to jej nie dało. Nie było takiej firmy jak Bracia Cobbs w Stockport. Jeżeli kiedyś istniała, dawno już nie istnieje. Cienki głosik dziewczyny z British Telecom usiłował być pomocny.

– Może Cobbets, spółka akcyjna z ograniczoną odpowiedzialnością? – pytał. – Elektrycy? Czy może Cobbs, Hawling i Colefax, kancelaria adwokacka?

Trzydzieści pięć lat temu, nic dziwnego. Ann podziękowała i położyła słuchawkę. Przynajmniej już wiedziała, dlaczego tak długo brakowało jej odwagi.

*

– Czy ja ci mówiłem – zapytał Derek – jak mi się podobają te włosy?

– Dziękuję – powiedziała Ann. Siedzieli w jego sanktuarium. On ostatnio wydawał się jeszcze bardziej szary niż kiedykolwiek przedtem. Rano ręce mu się trzęsły, aż dziewczyny, gdy im podawał pliki papierów, wymieniały kpiące spojrzenia.

– Nie wiem, Annie, co bym zrobił bez ciebie – powiedział. – Ty nie jesteś taka jak tamte. Na ciebie można liczyć.

– Nie mów tak.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Po prostu nie mów. – Umilkła, po czym dodała: – Proszę, nie licz na mnie.

Zawahał się. – Coś cię trapi? Potrząsnęła głową.

Przesunął ołówki na biurku i ułożył je przy swoim trofeum, zdobytym za grę w golfa. – Annie, może nie czas pytać o to, ale...

– Ale co?

– No, wiem, że ty zupełnie słusznie dajesz mi odprawę, ale tak się zastanawiam, co... – zakaszlał i ułożył długopisy – no, czy ty we mnie widzisz tylko jakiegoś patriarchę?

Patrzyła na niego. – Oczywiście, że nie – powiedziała o wiele głośniejszym głosem niż zamierzała.

Każdy uważa się za tchórze pod takim czy innym względem. Ken nie stawiał się na kolację u Viv i Ollie'ego, ale w ataku na okopy, jak zostało to wówczas zaznaczone, byłby pierwszy. Ann pamiętała, że gdy wróciła po tamtej kolacji do domu, złamana deska do prasowania, czajnik i kredens kuchenny były już naprawione, a on nawet się tym nie pochwalił i nie dopuścił do podziękowań za te reperacje.

Jej własne tchórzostwo ją przerażało. Przez cały weekend odkładała podjęcie decyzji, wieczorem w niedzielę czuła się krucha jak szkło. Kena zbywała monosylabami, zniecierpliwiona, rozczarowana sobą jak dyrektorka szkoły uczennicą, której opieszałość raczej martwi ją niż gniewa.

W poniedziałek się zdecydowała. Douglas pracował w Dyrekcji Gazowni. Wyszła z pracy wcześniej i czekała tam na ulicy niczym smutny tajniak.

Douglas pokazał się zaraz po wpół do piątej. Ruszyła za tymi dobrze znanymi plecami. Wszedł do sklepu z zieleniną.

Stanął w ogonku przy ladzie, wyciągnął z kieszeni plastikową torbę. Podeszła. – Cześć – powiedziała.

– No, no! – Odwrócił się. – Przyłapałaś mnie na gorącym uczynku.

– Jakim?

– Na gospodarności – zniżył głos. – Uczę się, rozumiesz.

– Przechylając głowę, przyjrzał się jej. – Coś zrobiłaś.

– Co?

– Wyglądasz inaczej.

- To moje włosy – powiedziała.
- Ach, tak. Bardzo ci ładnie. – Wskazał sterty owoców.
- Poradzisz mi, które kupić.
- Nie. Chcę porozmawiać.

*

Siedzieli w kawiarni naprzeciwko tego sklepu z zieleniną. Na talerzyku przed Ann leżała nietknięta słodka bułka. Kawiarnik, barczysty Włoch, kłócił się z kelnerką, być może jego córką. Kłócił się tak głośno, że przez chwilę Ann nie słyszała Douglasa.

Ale Douglas powtórzył: – Przykro mi.

- Trochę za późno – powiedziała.
- Myśleliśmy, że to będzie lepsze, matka i ja...
- To, że będziesz udawał mojego ojca?
- Byłem twoim ojcem – powiedział. – Ja cię wychowałem. Faktycznie takie ojcostwo się liczy.
- Tak uważasz? – Myślała, że może przetrzymać jego wzrok, ale prawie od razu spuściła oczy na stolik. To był fornir w szachownicę.

– Posłuchaj, Annie. Będziesz wychowywała nie swoje dziecko. Będziesz się podawała za jego matkę.

Potrząsnęła głową. – Powiem mu prawdę.

– Czy aby na pewno? – Douglas uśmiechnął się półgębkiem, co omal nie doprowadziło jej do szału.

- Powiem mu!
- Kiedy?
- Wtedy, gdy dostatecznie podrośnie.

Milczał przez moment, podrapał się w siwiejące faworyty, spojrzał na nią i zapytał: – Myślisz, że to je uszczęśliwi?

- Jak to?
- Ciebie uszczęśliwi wyjawienie prawdy, bo taka już jesteś zasadnicza. Ale musisz mieć na względzie to dziecko.
- Ty miałeś na względzie tylko obawę przed skandalem.
- Ann!
- Właśnie!

– Nie mów tak – powiedział. – Proszę. – Podsunął jej talerzyk z bułką. Potrząsnęła głową. – Myślisz, że tobie ta prawda służy? – Nie odpowiedziała. Zaczaj znowu: – Słuchaj, mieliśmy nasze wzloty i upadki, ale kto ich nie ma?

– Tak to nazywasz? – Wzloty i upadki. Zawsze wyróżniałaś Viv, zawsze byłaś dla niej miłszy. – Podniosła głos. – Dla niej zrobiłaś fotelik, pamiętam, chociaż ja chciałam go mieć. A ona prawie nigdy w nim nie siadała. I jej pozwalałaś chodzić za kosiarką, mnie nigdy, a ja byłam starsza. I zawsze na mnie krzyczałaś. – Umilkła, żeby zaczerpnąć tchu.

– Annie...

– I przez te wszystkie lata nie rozumiałam, dlaczego. Nienawidziłeś mnie, bo nie byłam twoja.

– Nie – powiedział. Westchnął patrząc na stolik. Swojej herbaty nie tknął. Nagle spojrzął jej prosto w oczy. – Nie, kochałem cię. Zawsze uważałem cię za swoją. A jeżeli byłem miłszy dla Viv, to dlatego, że...

– Ze... ?

– Ona mnie cieszyła.

Po długiej chwili Ann zapytała: – A ja nie?

– Życie nie jest sprawiedliwe, i to niezależnie od takiego czy innego pochodzenia. Do niektórych się uśmiecha, bo... niosą uśmiech ludziom wokoło.

– Co we mnie było niedobrego?

– Nic. – Pochylił się i położył rękę na jej ramieniu. – Dajmy spokój, kochanie. Zostawmy przeszłość za nami.

– Ja nie mogę zapomnieć.

– Zapomnij o Archiem. Nie jest twoim tatą.

– Jest.

– W gruncie rzeczy nie. – Uścisnął jej ramię. Nie poruszyła się. Powiedział: – Nie dał ci niczego. Nawet bury.

W sklepie z zieleniną Douglas kupił pęk chryzantem i dał je Ann. Z kwiatami wróciła do domu.

Kena jeszcze nie było. Weszła do kuchni. Dom wydawał się bardzo cichy, za częściowo rozebraną ścianą kuchni stał szkielet przybudówki, już chyba na zawsze nie wykończonej.

Wyjęła chryzantemy z mokrego papieru, znalazła wazon. Czowała obrzydzenie do samej siebie.

Napełniła wazon wodą i nagle się rozmyśliła. Ostatecznie wyrzuciła te kwiaty, wepchnęła je do wahadłowej puszki na śmieci. Ich niemądre strzępiaste główki zaczepiły się o krawędź puszki, więc jeszcze mocniej wepchnęła je w głąb.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Był trzeci tydzień letniego semestru. Po lekcjach Viv i Harold czekali w pokoju nauczycielskim. Miała się odbyć rozmowa z Alanem, ich dyrektorem. Viv spojrzała na zegarek, a potem w okno. Niebo jaśniało niebieskie, jej samochód stał na pustym parkingu. Pręty szkolnego ogrodzenia migotały w upale.

– Wolałabym, żeby już przyszedł – powiedziała.

Harold mruknął domyślnie. – Spiesz ci się do jakichś podnieceń?

– Mhm. – Przymknęła oczy.

– Czyli?

– Do mojej kapusty. Roześmiał się.

– Ale najpierw – dodała – muszę wstąpić po dzieci.

– Dziwna jesteś. – Pochylił się i poklepał ją po kolanie. – Na pół syrena, na pół matka.

Chyba mi się nadajesz na specjalny temat lekcji.

Zapytała: – Jak się czuje Louise?

Westchnął. – Jesteś kobietą. Powiedz mi, Viv, o co właściwie wam chodzi?

– To cię gnębi?

– Wiecznie niezadowolone – mówił popijając herbatę. – Sęk w tym, rozumiesz, że Louise... chce mieć jeszcze jedno dziecko.

– Jeszcze jedno?

Przytaknął. – Akurat teraz, kiedy stajemy na nogi. Znowu fanaberia.

Drzwi się otworzyły i wszedł Alan. – Przepraszam, że się spóźniłem – powiedział i usiadł. Popatrzył na nich oboje. – Chcę ustalić datę zebrania w sprawie planu. Trzeba koordynować program jesienny. I kto z was weźmie szóstą A?

Harold jęknął.

Alan zapytał: – Już to uzgodniliście?

Harold odpowiedział: – Poruszałem to zagadnienie, ale...

– Ale co? – zapytał Alan.

Harold wskazał Viv. – Ta pani się wykręca.

Viv poczuła, że się rumieni. – Przykro mi – wyjąkała. – To nie znaczy, że ja...

Harold ze śmiechem zwrócił się do Alana: – Ona chyba planuje ucieczkę.

Zaległa cisza. Po chwili Alan zapytał: – Chcesz złożyć wymówienie?

– Nie – odpowiedziała szybko. – Oczywiście, że nie. Ja tylko... Ktoś zapukał do drzwi. Przerwali rozmowę.

– Kto tam? – zawołał Alan.

Drzwi się otworzyły. Na progu stał Ken.

*

Dzieci to przewrotne stworzenia, obdarzone szóstym zmysłem. Kiedy się ma swoją ważną robotę, snują się w pobliżu przez cały dzień i jęczą, że im nudno. Ale kiedy się ich

potrzebuje jako normalnej podpory, nabierają twórczego życia i pędzą dokądś, już pochłonięte taką właśnie długą pomysłową zabawą, jakiej się pragnie dla nich w każdym innym czasie, tylko nie w tej właśnie chwili.

O tym myślała Viv, idąc alejką między ogródkami działkowymi.

– Nie zabłoćcie nóg! – wołała bezradnie, gdy Rosie i Daisy odbiegły. Chociaż w nocy padał ulewny deszcz, takiej przestrogi w normalnych okolicznościach by im nie udzieliła, ale była zanadto wzburzona, żeby je puścić bez krzyku. Przy niej Ken człapał po miękkim poboczu alei. W garniturze, a jakże. Lekko przechylając głowę, widziała jego ciemne spodnie. Pragnęła obecności dziewczyny.

Znowu powtórzył: – Przepraszam, że tak wtargnąłem.

– Powiedziałaś ci: wybawiłeś mnie z kłopotliwej sytuacji. Zapytał: – Możemy wejść do chatki?

Poszukała klucza. Słońce przygrzewało, ale uznała, że dowodem zażyłości wydawałoby się zdjęcie puloweru. Otworzyła drzwi i weszła. Pociemniało, gdy Ken stanął w drzwiach.

– Dlaczego nie chcesz mnie widzieć? – zapytał.

– Chcę.

– Musiałem się z tobą zobaczyć.

– No, jestem. – Usiadła na wywróconym wiadrze i zdjęła pantofle.

Patrzył, jak wkłada gumowe buty. Podszedł o krok, zamykając drzwi za sobą. Znieruchomiała.

– Unikasz mnie – powiedział zniżonym głosem. Podniosła wzrok. – Musimy spotkać się wszyscy, żeby zdecydować, co mówić ludziom, kiedy moja ciąża będzie widoczna.

Przesunął palcem po wążach. Potem odwrócił się. Zaczął oglądać paczki na półkach. – W Wielką Niedzielę powiedziałaś... – Urwał. – Powiedziałaś, że byłaś już przedtem niewierna.

– Uważaj!

– Jak to?

Wskazała paczkę, którą trzymał. – Przynęta na ślimaki. Potem są takie lśniące stosy **ich** martwych, istny ogrodniczy Sąd Ostateczny.

Położył tę paczkę z powrotem. Nadal stał odwrócony tyłem.

– Dlaczego to powiedziałaś?

– Bo to prawda.

– Usiłowałaś przez to powiedzieć im, że jestem, no... jak każdy z tamtych?

– Nie jesteś jak każdy z tamtych – sprostowała pogodnie.

– Jesteś ojcem mojego dziecka.

Chciała, żeby dał jej spokój. W chatce było ciasno i tak gorąco. Serce jej waliło. Może po prostu wziąć motykę i wyjść.

– Bawiłaś się tylko – mruknął odwrócony do niej plecami. Stał przy oknie, nad głową miał aureolę z pajęczyn, które wisały na szybach.

– Co? – zapytała.

– Z tamtymi mężczyznami.

– Ken... to nie zdarzało się często.

– Więc dlaczego?

– Dlatego, że Ollie i ja... – z wysiłkiem szukała właściwych słów – jesteśmy zwolennikami przygód. Życie jest krótkie, trzeba je przeżywać, poznawać. Ty może nie rozumiesz...

– Nie rozumiem? Bo żyję w małżeństwie takim nudnym, ciasnym...

– Nie! – ucięła. – Wierność... – Mignął jej widok tych dwojga siedzących w ulicznej kawiarni. Powiedziała: – Wierność nie ma nic wspólnego z ocieraniem się ciała o ciało po ciemku.

– Nie bądź wulgarna. – Aż się wzdrygnął, pajęczyny na szybie chwiały się.

– To jest uczciwe.

– Ty i twoja uczciwość – powiedział. – Tylko zabawa dla ciebie, jak to wszystko. – Odwrócił się do niej. – Bawisz się ludźmi, wykorzystujesz...

– Ładna mi zabawa, kiedy co dzień rano wymiotuję? – podniosła głos. – Muszę kłamać moim dzieciom, a potem zrobię się brzuchata i będę musiała zrezygnować z pracy, i mówić ludziom Bóg wie co, i dźwigać dziecko, które nigdy nie będzie moje? Ładna mi zabawa! – umilkła oddychając ciężko.

Nie odrywała wzroku od jego twarzy. Jeszcze popatrzył na nią i po chwili znów się odwrócił. – Bawiłaś się ze mną – powiedział do zawołanego okna.

– Nie słuchałeś – stwierdziła. – Jesteś zupełnie taki jak Ollie.

– Ty z tym swoim striptease'em.

Zawahała się. – Żartowałam wtedy – powiedziała.

– Otóż to.

Spróbowała zapanować na głosem. – Seks ma być przyjemnością.

– Zwłaszcza kiedy się go uprawia niepotrzebnie. Już wiedziałaś, że zaszałaś.

Spuściła wzrok na swoje gumowe buty, na zaschnięte na nich błoto z zeszłego tygodnia. – Przepraszam.

– Tylko ocieranie się ciała o ciało w ciemnościach – powiedział. – Wykorzystałaś mnie.

– Mężczyźni też wykorzystują Zaległa cisza. Po długiej chwili powiedział: – Nie chcę, żebyś mówiła ludziom.

– O czym? – Spojrzała na jego plecy.

Stał z głową spuszczoną. – O tym, że ty jesteś jego matką. Zaczepnęła tchu. – Jak to?

– Ann i ja będziemy mówić, że adoptowaliśmy. – Zapalił papierosa, zdmuchnął płomyk zapalki. – Nie chcę, żeby ludzie wiedzieli, że matka mojego dziecka to dziwka.

Serce jej się zatłukło o żebra. Przez chwilę wierzyła, że to na pewno sen. Oboje są oplatani jak Śpiąca Królewna pajęczyną w tej izdebce, teraz zamglonej dymem. Wystarczy potrząsnąć głową, mgła się rozwieje i będzie wiadomo, że to wcale się nie stało, a ona na świeżym powietrzu zacznie okopywać ptasie ziele. I on nie mówi tym cichym głosem.

– Mam cię we krwi. Viv. – Przecież nie mówi tego naprawdę. – Jesteś częścią mnie, jesteś całym mną. Budzę się rano i pragnę cię aż do bólu. czuję smak ciebie w ustach, czuję gładkość twojej skóry.

– Przestań!

– Jesteś wszędzie, gdziekolwiek oddycham. To się pogarsza, Viv, staram się trzymać z daleka, staram się udawać przed sobą, że tak się nie dzieje.

– Nie dzieje się tak!

– Wczoraj zaparkowałem samochód przed twoją szkołą. Musiałem. Siedziałem tam i widziałem twój samochód. Patrzyłem na szkołę, na te wszystkie okna i... wiesz? Byłem szczęśliwy, po raz pierwszy od tygodni, bo wiedziałem, że za którymś z tych okien ty...

– Ken...

– Jestem chory, Viv. Jestem chory na ciebie. Chrząknęła. Serce tłukło jej się w piersi jak kamień, zapierało dech. Powiedziała cicho: – Nie wolno ci tego mówić.

– Viv, chcę ciebie.

Zduślił raptownie papierosa i przysiadł przed nią, siedzącą na tym wywróconym wiadrze. Chwyił ją za ramiona, aż palce go zabołały. Wiadro zakołysało się i upadło, gdy podniósł ją na nogi. Pocałował ją, przycisnął do pólki. Wieża z doniczek się przesunęła. W tej samej chwili doleciały z daleka głosy jej dziewczynek. Odepchnęła go.

Nagle zrezygnował. Stał jakiś zwiotczały. Nie mogła znieść jego widoku. Podniósł rękę, ukrył twarz w zgięciu łokcia, jak gdyby czekał na eksplozję.

Szybko wyszła z chatki, żeby dziewczynki niczego się nie domyśliły.

*

Przy łuskaniu bobu trzeba się koncentrować. Wydaje się to pracą bezmyślną, ale jeśli głowę coś zaprzęta, te duże kupki bobu i strąków mogą się ze sobą pomieszać.

Viv wyciągała bób z kubelka na odpadki do kompostu, gdy Ollie wrócił. Lekko pocałował ją w kark. – Przepraszam, że tak późno. Musiałem pojechać do Archiwów szukać pewnych materiałów.

Nie odwróciła się. – Ostatnio robisz to bardzo dokładnie – powiedziała, wybierając bób spośród strąków.

– Co?

– Szukasz materiałów.

Po chwili milczenia Ollie wyszedł do ogrodu, żeby przywitać się z dziewczynkami.

*

Był złocisty zachód słońca. Ann stała w swoim brukowanym małym ogrodzie. Kwiatki geranium, które Ken zasadził w skrzynkach, płonęły krwiscie czerwono. Gdyby zmrużyła oczy jak dawniej w dzieciństwie, widziałyby czerwone rozmazane kleksy.

W sąsiedztwie dzieci Maguire wrzeszczały na siebie i zgrzytał ich trzykołowy rowerek ciągnięty po betonie. Przez otwarte okno dolatywał śmiech z ich telewizora.

Poprzedniej nocy znów śnił jej się ten ogród. Denerwująco to się powtórzyło. Ale tym razem zobaczyła we śnie przybudówkę już zupełnie wykończoną, o wiele wyższą niż się spodziewała, i z szybami mlecznymi. I ogród był pusty tym razem – bez białych urn. Ona waliła w mleczną szybę, nie mogła się dostać do domu. Ani nawet zajrzeć przez to nieprzezroczyście okno. Za szybą ktoś stał – słyszała czyjś oddech – ale nie słyszał jej, czy

może nie chciał słyszeć. Waliła w szybę i waliła. Gdy się obudziła, to oczywiście oddychał jej mąż śpiący przy niej.

W ścieku zaszumiała spuszczonego woda. Ann odwróciła się do kuchennych drzwi. Dopiero teraz zauważyła wystawione przy progu buty Kena. Podniosła je. Na podeszwach były warstwy błota.

Postawiła je z powrotem przed drzwiami i weszła do kuchni. Zawołała: – Byłeś dziś w terenie?

Z saloniku Ken krzyknął: – Nie! Mówiłem ci! Siedziałem jak przykuty w tym błogosławionym biurze! Sprawdziłem te wszystkie cholerne karty, dlatego wróciłem tak późno! Mam już kręćka, Annie!

– Biedny Ken – powiedziała.

– Co? – zawołał.

– Biedny Ken! – wrzasnęła.

Spojrzała znów na te buty. Widziała tylko ich nosy sterczące zza drzwi.

– ... nie można ufać – mówił z saloniku Ken. – Tam ktoś szachruje... te kłamstwa... ta nieuczciwość...

Zaniknęła drzwi kuchni starannie i znowu zabrała się do gotowania.

*

Londyn jest tak zabudowany, że prawie nie ma gdzie oglądać zachodu słońca. Gdy słońce się zniża, zasłaniają je szczyty dachów, nieraz na parę godzin przed ostatecznym jego opadnięciem. Tymczasem i jeszcze potem o cichym zmierzchaniu przynajmniej widać świetlistość nieba.

Viv wrzuciła strąki i wszystkie inne odpadki do zbiornika kompostu. Zatrzymała się na trawniku, bosa w tej trawie mokrej od rosy. Wokoło wznosiły się domy. Z otwartych okien słyszała muzykę *reggae*. Niebo w górze znaczyły smugi, między którymi zanikały wstęgi błękitu. Przy oknie kuchni Ollie zmywał. Z podwiniętymi rękawami koszuli wyglądał na dobrego męża. Pomyślała – nie pierwszy raz zresztą – że normalny wydaje się ich dom i normalne wydają się wszystkie inne okna nieprzeniknionych siedzib innych ludzi.

Weszła do kuchni, wstawiła pusty kubek do szafki.

Ollie zapytał: – Więc ona przestała chodzić do szkoły?

– Tracey? Tak.

– Niemądra smarkata. Tak cholernie nieodpowiedzialna. Viv zamknęła szafkę. – Przynajmniej może się tłumaczyć swoją młodością. – Ollie milczał. Położyła na stole plik zeszytów i usiadła. – Nie jest dorosłym mężczyzną – powiedziała – Ja jednak mam oczy.

– Ja też – odparowała.

Obejrzała się na jego plecy. Odwrócił się do niej. – A cóż to znowu znaczy?

– Nie jestem głupia – powiedziała. Spojrzała na zeszyty. *Sharon Thompson, Leroy Marks...* te imiona i nazwiska tańczyły. Odchrząknęła. – Mam ci podać objawy?

Przy zlewozmywaku Ollie znieruchomiał.

Zaczerpnęła powietrza i zaczęła recytować starannie, jak gdyby powtarzała wyuczony

tekst: – Nadgorliwość w wyjaśnianiu, gdzie byłeś. Nadwylewność wobec dziewczynek. Fałsz wobec mnie. Wywołany poczuciem winy zapal w łóżku...

– Nieodwzajemniony – powiedział.

– Nic dziwnego. – Umilkła i po chwili podjęła: – Nadskrupulatność w opróżnianiu kieszeni spodni. Nagłe przyswojenie sobie modnych szlagierów. Przewlekane przerwy obiadowe w nieskończoność, a potem galop do sklepu z zabawkami, żeby uspokoić sumienie i kupowanie najwymyślniejszych cudów, tylko że bez baterii, bo o tym zapominasz.

– Przepraszam – powiedział. – Kupię im baterie jutro. Przełożyła zeszyty, wyrównała plik. Westchnęła. – Nigdy nie było tak, jak jest teraz. Zawsze o takich sprawach rozmawialiśmy ze sobą otwarcie. Jakbyśmy grali w coś. W co nie umie grać nikt poza nami. My oboje nierozłącznie. I w dodatku – usiłowała mówić lekkim tonem – to zawsze był materiał do tej powieści, którą wciąż zamierzasz napisać.

– Wtedy, gdy nie będę musiał zarabiać na nasze utrzymanie – powiedział Ollie.

– Na połowę naszego utrzymania.

– Na połowę.

Odwrocił się do zlewozmywaka. Pomyślała: widocznie mi sądzone rozmawiać z mężczyznami stojącymi do mnie tyłem.

– Tym razem jednak – powiedziała – to raczej nie mały nietakt...

– Oszczędź nam tej pedanterii z pokoju nauczycielskiego.

– ... jeśli chodzi o czas, chyba niezbyt dobrze wybrana chwila. Ollie nie odpowiedział. Wydawało jej się, że wiecznie stoi przy zlewozmywaku na tle okiennego parapetu z wybujałym geranium i królującą tam butelką Czarodziejskiego Płynu. I że to wszystko jest jakieś teatralne, jak gdyby wcale jej nie dotyczyło.

– Ollie i Ellie – powiedziała w zadumie. – To brzmi trochę komicznie, kabaretowo.

– Nic na to nie poradzę.

– Taka jest miłość, prawda? Nagła, ślepa, nieobliczalna.

– Viv! – Cisnął szczotkę do zmywania w zlew. Mydliny uniosły się.

– Dotychczas byliśmy zawsze uczciwi – powiedziała ze smutkiem.

– Och, czyżby?

– Tak.

– Ty – zauważył – nie byłeś uczciwa co do Kena.

– To zupełnie inna sprawa.

– Skłamałaś. Skłamałaś mi, że nie chodzisz z nim do łóżka.

– Musiałam skłamać.

– Dlaczego?

– Bo to nie była gra – wyjaśniła – to było poważne.

– Właśnie.

– Nie. Poważne, bo związane z dzieckiem.

– Tak poważne, że nie zdołałaś sobie odmówić dalszych amorów, nawet kiedy wiedziałaś, że już zaszłaś.

– Ollie!

– Potajemne randki na działce. – Odwrócił się do niej. – Dziewczynki mi powiedziały. Ken tam był dzisiaj, prawda?

Nagle się uśmiechnęła. – Więc o to chodzi? – Zerwała się od stołu i podeszła do niego.

– O co?

– Odplącasz się pięknym za nadobne. – Spróbowała go objąć, ale odsunął się i zostawił ją przy zlewozmywaku.

Stał przy lodówce. – Dość już tego manipulowania – powiedział stanowczo.

– Czego?

– To ma być zdobycz naszych czasów, no nie? Dla kobiet. To się nazywa „pani swego losu”. To się nazywa „kobieta silna i niezależna”. Już nie wolno mówić o was, że się szarogęście, że jesteście tępo uparte z gruntu egoistki...

– Egoizm? Urodzenie dziecka dla mojej siostry?

– Krzyczycie, żeście takie nieszczęsne, zdane na łaskę waszych łon, uciskana słaba pleć, ale dalej robicie to samo, co przed wiekami, i tak samo przebiegle.

– Gdzie ta przebiegłość?

– Dalej powołujecie się na swoją kobiecość, na swoje łona – klepnął się w fartuch na brzuchu. – Ale teraz jest różnica, już my. biedacy, nie możemy się wam odszczekiwać.

– Ty mnie możesz. Zawsze rozmawialiśmy.

– Tak! – wrzasnął. – Bo nie potrafimy nic innego.

– Bredzisz.

– Rozmów mam po dziurki w nosie – powiedział. – Rozmowa to namiastka uczuć.

– Namiastka?

– Wiem z własnego doświadczenia, kochanie.

– Nie mów do mnie „kochanie”.

Ona znów siedziała, on stał, oboje bliscy płaczu.

– Jestem teraz pustym naczyniem napełnionym teoriami. Głównie twoimi. Nie wiem, jak żyć.

– Oszczędź nam tych bzdur z kiepskich filmów.

– Dopasuję się do twojego kulturysty.

– Co?

– On jest prawdziwym mężczyzną, prawda? – Ollie przymrużył oko.

Nie mogła znieść takiego wyrazu jego twarzy. Odwróciła się od niego. – Nie bądź głupi – powiedziała.

– Zawsze tego chciałaś, więc teraz to masz. Tak zwany powrót do źródeł.

– Nie zaczynaj z tym znowu – ostrzegła.

– Wszystkie te radykalne dyrdymały są powierzchowne. – Wypluwał słowa, twarz miał szpetną. – Pod pokrywką jesteś konwencjonalną dziewczyną z proletariatu, taką, która chce mieć *macho*, mężczyznę z jajami, żeby jej naprawiał kanalizację i pieprzył ją bez opamiętania. Od lat obserwowałem ciebie i Kena, no i teraz go masz, je ci z ręki.

– Zamknij się – wrzasnęła, już szlochając.

– I wszyscy podziwiają w dodatku, jaka jesteś bezinteresowna...

– Odczep się ode mnie.

Zerwała się, gotowa uderzyć go w twarz, ale ją odepchnął. Zatoczyła się na kredens.

– Ollie! – krzyknęła i zasłoniła ręką brzuch.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ann wyjmowała zakupy z torby. Otwierając kuchenną szafkę, usłyszała trzaśnięcie drzwi frontowych. Zawahała się, po czym dalej robiła swoje, wiktuały układała w szafce, teraz jednak bardzo starannie. Ze smutkiem pomyślała, że przez tyle lat ten odgłos zawsze ją cieszył. I że Ken, jeżeli wrócił z pracy pierwszy, na pewno też był rad, kiedy ona wchodziła do domu.

Ken przystanął w drzwiach kuchni. – Wpadłem tylko się przebrać – powiedział. – Gram dzisiaj w strzałki.

Podniosła się z klęczek przy szafce. Obciągnęła spódnice. Pomyślała, że kiedy na sercu ciężko, chciałoby się całą siebie zasłaniać – nogi, wszystko. Machnęła ręką w stronę szkieletowatej przybudówki.

– Budowlani w tych czasach – powiedziała – są tacy nieodpowiedzialni.

Zmarszczył brwi. – Przecież ja to buduję.

– Nie można im ufać – powiedziała.

– Co?

– Po prostu znikają. – Nie cierpiała siebie za ten lekki ton. Zdobyła się na półuśmiech. – Nie robią nic od tygodni.

– Przepraszam, Annie. Zabiorę się do tego w sobotę.

– Już nie jest tak jak dawniej – dorzuciła. – Kiedyś budowlani byli w stu procentach rzetelni, naprawdę szczerze złoto.

– Słuchaj, przyrzekam ci.

– Przyrzeczenia, przyrzeczenia. – Przeszła obok niego w drzwiach. Odsunął się na bok. Za drzwiami odwróciła się, przybrała ton niedbały: – Przyrzekam dokończyć przybudówkę, przyrzekam, że będę kochać i pieścić...

Zostawiła go, weszła do saloniku. Chciała, żeby przyszedł za nią, a jednak bała się tego. Gdy przyszedł, wzięła stamtąd swój sprawunek w reklamówce Selfridge'a i ruszyła w stronę schodów. Zszedł jej z drogi. Wesoło wskazując reklamówkę, powiedziała jowialnie: – Ostatnio wariujemy.

Uniosła rękę z tą torbą. – Mogę wydawać swoje pieniądze na co chcę.

– Oczywiście. Ja tylko...

– Przecież zarabiam na swoje utrzymanie.

– Mogę to zobaczyć? – zapytał.

Wyciągnęła z reklamówki żółtą sukienkę jedwabną, z cienkimi ramiączkami zamiast rękawów.

– Ho, ho – powiedział – nie będzie ci w tym trochę za chłodno?

Popatrzyła na niego. – Dziękuję.

– Poważnie, jest bardzo ładna... – Urwał. Włożyła sukienkę z powrotem do reklamówki. – Dokąd się tak galowo wybierasz?

– Nie dzisiaj. Jutro.

– Z kim?

Już stojąc na schodach, przymknęła oczy. – Z wysokim brunetem – odpowiedziała rozmarzona – który nie będzie pytał, czy mi w tym nie za chłodno. Powie: ach, masz ramiona jak z atlasu i ręce miękkie jak puszek, i kark delikatny jak u dziecka.

Po chwili milczenia zaczął: – Annie...

– Ja też potrafię żyć w świecie fantazji – powiedziała.

– Słuchaj... – urwał.

– Czego słuchaj?

– Słuchaj, kochana, wiem, że to wszystko jest denerwujące, twój tata i w ogóle...

– Myślisz, że samo to? – Patrzyła na niego.

Ze spuszczoną głową szurnął nogą, przydeptał odgięty brzeg dywanu w hallu. Podniósł wzrok. – Tak naprawdę z k i m jutro się wypuszczasz?

– Z dziewczynami z pracy.

– Aha – powiedział. – Ja i tak bym nie mógł. Klub Młodzieżowy.

Zapytała: – Myślisz, że nadal dorastasz do tego zadania?

– Do jakiego zadania?

– Do czuwania nad moralnością kwiatu naszej młodzieży?

Wpatrywał się w nią. Milczeli. Już chciała powiedzieć: *Powiesz tę sukienkę i wracani na dół*, ale pojęła, że on idzie na górę nie za nią – po prostu chce się przebrać. Sypialnia będzie za mała dla nich dwojga. Jakież to smutne.

Zawiesiła reklamówkę na poręczy schodów i poszła do kuchni. Słyszała, jak dom skrzypi, gdy Ken wchodził po schodach. W kuchni zawsze znajdzie się jakieś zajęcie. Można szorować, szorować, wycierać, wycierać, gotować, gotować.

Prawie nie było gdzie stanąć w ciasnej toalecie. A już z pewnością nie było dość miejsca, żeby się wystroić, ale Ann. chociaż raz po raz zderzały się łokciami, zdołała włożyć swoją żółtą sukienkę. Janinę, przebierając się po mistrzowsku, wyszła z kłębowiska jak rozchichotany motyl.

Zatknięte nad umywalnią, jaskrawiły się pocztówki z zeszłorocznych urlopów: grecki osiołek od Frances: hiszpańska plaża z parasolami jak grzyby od Córy, która potem zaszła w ciężę z jakimś mechanikiem naprawiającym motocykle i przestała pracować: krzywa wieża w Pizie od Janinę, opatrzona czyimiś pieprznymi domysłami wypisanymi długopisem. Dzisiaj Ann była jedną z tych dziewczyn. Czuła się lekkomyślna: ścisnęło ją w żołądku jak podnieconą nastolatkę – co nie znaczy, żeby będąc nastolatką miewała dużo wrażeń, to było specjalnością Viv. ale takie uczucie przecież znała.

Popatrzyła na swoje nierówne prążkowane włosy, na duże klipsy w uszach, nadające jej pikanterii. Przychyliła się do lustra i obrysowała wargi czerwonym ołówkiem. Pierwszy raz w życiu chciała się upić. Pomyślała: nigdy dotąd nie przyszło mi to na myśl. nawet po utracie moich dzieci.

Wróciły do biura. Derek właśnie miał wyjść. Uniósł brwi. – Wielki Boże, toż to Audrey Hepburn.

Janinę zakpiła: – Spasuj, dziadku.

Z kolei przyjrzał się Ann w tej żółtej sukience. – Wyglądasz...

– Seksy – powiedziała Janinę.

– Ślicznie – powiedział.

– Będzie dziś szalała z nami.

Zwrócił się do Ann: – Jaki cel to uświęci?

– A bo ja wiem – Ann się uśmiechnęła. Poprawiła zsuwające się ramiączko. Naprawdę nie wiedziała.

Trish szturchnęła Janinę. – Włożyłaś te nowe figi, które dzisiaj kupiłaś?

Janinę powiedziała, że tak i wyjaśniła Derekowi: – Nazywają się N.

– N?

– Włóż Nas, zdejmij Nas.

Wszyscy się śmiali. Derek powiedział: – No. pora, żeby stary ramol poczłapał swoją znojną drogą.

– Słusznie – przytaknęła Janinę. – To wieczór młodych poniżej trzydziestu lat.

– Trzydziestu sześciu – poprawiła ją Ann.

– Przepraszam panią, pani Fletcher. – I już nie tak dwornie Janinę zwróciła się do Dereka:

– Pospiesz się, szefie, to zdążysz na „Pytania Ogrodników” w telewizji.

Derek zatrzymał się przy drzwiach. – Ann, pozamykasz, prawda?

– Oczywiście.

Ann nie cierpiała siebie za swoje nowe twarde serce, za to, że nie jest jej Dereka żal. Wyszedł. Janinę zapytała: – Jesteś moją współlokatorką?

– Tak – odpowiedziała Ann.

– I z całą pewnością niezamężna.

Ann uśmiechnęła się. – Z całą pewnością.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Ann odebrała. – Halo. Viv? – Coś w piersi ją zakłuło. – Nie, nie mogę. Niestety. Właśnie się wybieram na zabawę. Co? Słuchaj, jeszcze o tym porozmawiamy.

– Kiedy? – zapytała Viv.

– Wkrótce – odpowiedziała Ann. Żołądek ją bolał, serce ją bolało. Viv mówiła. Ann odpowiadała: – Mam być szczerą? Nie, nie mogę ci ufać. Ani tobie, ani mojemu mężowi. Nie mogę ufać nikomu. W tej mojej cholernie kłamliwej rodzinie. Muszę już iść.

– Położyła słuchawkę. Dziewczyny nie słyszały. Zbierały swoje rzeczy przed wyjściem.

Janinę podeszła do niej. – Nos do góry. Ann posłusznie zadarła nos. Janinę wyjęła perfumy i opryskała jej szyję.

Wszystko się kręciło, muzyka dudniła. Większość z pierwszej dziesiątki przebojów Ann знаła, chociaż niektóre z tych melodii tylko dolatywały do niej z radioodbiorników samochodowych w korku na jezdni. Światła teraz błyskały nad nią i pod nią również, bo pod matową taflą parkietu były żarówki. To sprawiało, że czuła się rozchwiana, jak gdyby tańczyła pod wodą.

Ciała wokoło podskakiwały. Pociła się, w żołądku już jej nie ścisnęło. Mężczyzna tańczący naprzeciw niej podrygiwał z boku na bok, ręce jego pracowały jak tłoki.

Przekrzykiwał muzykę.

– Więc skąd jesteś?

Odkrzyknęła: – Znikąd! – rozejrzała się. Trish i Janinę gdzieś się zapodziały w tym tłumie.

– Co? – wrzasnął. – Co powiedziałaś?

Zawahala się chwiejąc. – Ze Stockport! – odwrzasnęła.

*

Ann myśli: ja się upiłam, siedzę w samochodzie obcego mężczyzny. Widzi popielniczkę pełną niedopałków i na podłodze dwa mandaty, i puste opakowanie Benson and Hedges. Odwraca twarz od jego twarzy, on oddycha jej prosto w usta.

Ten wieczór był tak długi, że teraz zapach jego wody po goleniu wydaje się dobrze znany. Ted mu na imię, tyle ona wie o nim. Chyba młodszy od niej i ma dołki w policzkach. Mamusi jedynak na hulance; on też w gruncie rzeczy nie chce być tutaj.

Zaparkował samochód przy Leicester Square. Przechodnie ocierają się o karoserię. Ona trzyma mu rękę na brzuchu; pod koszulą jest zdumiewająco twardy. W głowie jej się kręci. Lepiej, żeby ją całował, żeby się nie poczuli do obowiązku rozmawiania ze sobą.

Jego usta mają smak papierosów. Jego język wsuwa się za jej zęby i bada jak dentysta. A ona sobie powtarza: kocham cię, kocham cię, i nagle zaczyna chichotać przygryzając mu język.

On odsuwa się zaniepokojony. Gdyby nie siedział tutaj i tak sobie nie poczynał, prawdopodobnie byłby miłym człowiekiem. Pyta: – Co takiego śmiesznego?

– Nic.

Ucisząc go ustami, Ann kładzie sobie jego rękę na piersi. On chrząka. Głupie to, ale jej święte ciało się budzi.

*

Nawet Viv czasami zmieniała prześcieradła. Robiła to teraz, pochylona nad łóżkiem, gdy usłyszała dzwonek. Dziewczynki pobiegły, otworzyły drzwi frontowe. Rozległy się kroki na schodach i do sypialni weszła matka.

– Mam z tobą na pieńku – oznajmiła, zamykając drzwi za sobą. Miała fryzurę wyzywająco świeżą. – Dlaczego mnie nie powiedziałaś o tym dziecku?

Viv usiadła na łóżku. – Przepraszam cię.

– Dlaczego trzymałaś to w sekrecie?

– Jeśli chodzi o sekrety, chyba wszyscy jesteśmy w tym dobrzy. Tyś zachowywała swój przez bite trzydzieści pięć lat.

– Nie bądź taka sarkastyczna.

Irenę zjrzała do łazienki. Machinalnie wyjęła z umywalni kolczyki Viv i sztuczną krostę Rosie. Zmarszczyła brwi patrząc na ten mały krążek plasteliny, włożyła go do mydelniczki.

– Powiedziałaś ojcu i jego przyjaciółce. Teraz wiesz, od kogo się dowiedziałam. To Vera przysłała do salonu dziś rano, żeby wziąć miarę na suknię dla mnie na ten ich cholerny ślub, i

myślała, że ja wiem. Nigdy w życiu nie czułam się tak upokorzona.

– Przykro mi – powiedziała Viv. – Jeszcze nie wszystkim potrafię o tym mówić.

– A to czemu?

– Bo nie wiem, co powiedzieć. – Złapała się za głowę. – Jakoś nikt z nas czworga nie chce porozmawiać o tym.

– A to czemu?

– Ann strasznie się denerwuje... wiesz – podniosła wzrok – Kenem.

– Kenem? – zapytała matka.

Viv przez palce znów patrzyła na dywanową wykładzinę podłogi. Leżały tam wdeptane spinki do włosów i kostka Lego.

– On jakby jest we mnie zakochany. Dlatego, że urodzę jego dziecko.

– Och, nie dlatego. Zauważyłam to już przed laty. Viv spojrzała na matkę. – Naprawdę?

Irenę położyła kolczyki na komodzie.

– Nie mów mi, że nigdy nie widziałas, jak on na ciebie patrzy. Zupełnie jak jakiś zakichany spaniel. A niby co sprawiło, że kupił dom tylko o cztery ulice od waszego? – W lustrze matka spojrzała Viv w oczy. Viv spuściła wzrok na wykładzinę. – Może myślisz, że jestem głupia, ale stara Rennie raczej niczego nie przegapia. – I po chwili ciszy Irenę zapytała: – Co z Oliem?

– Myślał, że to zdierzy, chyba jednak się załamuje. Strasznie się pokłóciliśmy w zeszłym tygodniu.

– Do licha. – Irenę podeszła i usiadła przy niej na materacu. Viv pomyślała: od lat ona nie była tu. w sypialni.

Nagle jej łóżko małżeńskie wydawało się wyeksploatowane. Materac przy głowach był poplamiony – białawe wżarte plamy mleka ciekącego z jej piersi przed laty. Odwróciła od nich wzrok i powiedziała do czerwonych sandałów – niebotycznych szpilek matki: – Więc nie mówiłam nikomu, nawet tobie.

– Cóż za gromada półgłówków. Czworo dorosłych ludzi z lepszym wykształceniem niż moje kiedykolwiek w życiu, i proszę, coście sobie narobili!

– Rozumiesz, mówiliśmy, że żadnych planów, dopóki nie będę w ciąży, a teraz, kiedy jestem...

Viv zwiotczała, oparła się na ramieniu matki. Było pulchne i wonne. Już zapomniała, jaka matka jest drobna. Poczwała się duża, koścista i bezradna.

– No – powiedziała Irenę – przynajmniej to cię sprowadza z powrotem do twojego matczyska. – Pochyliła się i poszukała w torebce chustki do nosa. Żadna z nich chustki przy sobie nie miała.

Viv, na pół się śmiejąc, otarła oczy. – Czy to było głupie?

– Owszem. Ale nic ci się nie stanie. Jesteś twarda tak jak ja. To o twoją siostrę się martwię.

– O nią?

– Ma bzika na punkcie obarczenia się dzieckiem, a i bez tego ten nudny mąż... Powinna wyrwać się trochę, pokorzystać z życia.

– Tak myślisz?

– Też to przechodziłam, nie zapominaj. Duszące małżeństwo z duszącym facetem. I tylko spójrz na mnie teraz. Nigdy nie byłam szczęśliwsza. – Matka wstała. – Nie ty jedna tutaj opowiadasz się za wyzwoleniem kobiet Viv wstała także, wycierając nos rękawem.

– No, już – powiedziała matka. Wzięła czyste prześcieradło. – Ja ci pomogę.

– Opowiadaniem się za wyzwoleniem kobiet? Uśmiechnęła się szeroko. We dwie rozciągnęły to prześcieradło. Uniosło się i opadło łagodnie.

Teraz przykryte tą białą łóżko wydawało się większe i bardzo puste. Podetkały skraje prześcieradła pod materac.

*

Ken stał w biurze, rozdygotany. Przed chwilą warknął na Archie'ego, magazyniera, tylko dlatego, że Archie opowiadał mu średnio niesmaczny dowcip o dwóch prostytutkach i korkociągu. Biedak wyszedł speszony jego reakcją.

Nie jestem sobą, pomyślał Ken. Ale nietrafnie swój stan określił. Wiedział o tym już w chwili, gdy tak pomyślał. Przecież czuł się sobą bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Czuł się odarty ze skorupy, obnażony – jago jaźń drżała. Hałasy go przerażały, wśród samochodów na jezdni prawie tracił orientację, wchodząc do sklepów zapominał, co ma kupić – on, Kenneth. No i była muzyka. Zawsze muzykę kochał, zbierał dużo płyt. Ale ostatnio muzyka zapadała mu w samo serce, rozlewała się ciepło jak miód i nagle przeszywała go najnieznośniejszym bólem. Gdy w ten poranek włączył radio w samochodzie, dźwięki skrzypiec kłuły od wewnątrz w oczodoły.

Byle co go wzruszało. Na podwórzu słoneczny blask, w którym lśniły sterty rur. I topola za składem... Siedział tu przez lata całe i nigdy nie zauważył, że ta topola, ilekroć dmuchnie wiatr, rozpada się w płasające srebrzyste fragmenty.

To piękne drzewo przyciąga wzrok, czeka na zachwyty. A jednak oni – jak mogą? – w tym zielonym cieniu śmieją się rubasznie z korkociągów.

Pomyślał: nie jestem sobą, wpadam w obłąd. I doprawdy obłądnie podniósł słuchawkę telefonu i nakręcił numer Viv. Teraz, w połowie dnia pracy, gdy wiadomo, że nikogo tam nie ma. Obłądnie, żeby tylko usłyszeć sygnał w jej domu, w idiotyczny sposób poczuć się bliżej niej, skoro to on sprawił, że telefon dzwoni w jej pokoju dziennym.

Położył słuchawkę na biurku i słuchał już słabiej dolatującego sygnału. Mógł sobie wyobrazić jej pokój, jej rozpanoszony bałagan. Może kubek po jej kawie stoi blisko telefonu.

Zapalił znów papierosa i przy leżącej na biurku słuchawce, tak mu drogiej, spróbował zajmować się dalej swoją papierkową robotą.

*

– Latryna jaszczurek. Mniej więcej taki smak mam w ustach – powiedziała Janinę popijając kawę. Poprzedniej nocy znów się bawiła w tym samym nocnym lokalu, w którym była z Ann przed tygodniem. Pasowała Ann na powiernicę, opowiadała jej o niedociągnięciach świeżo poznanych mężczyzn, o napadach złości Simone, swojej córki, o

hipochondrii swojej matki.

Trzy miesiące przedtem głosy cichły, gdy Ann wchodziła do biura, i nikt przy niej nie dowcipkował. Nie mają pojęcia, myślała Ann, ile od tamtego czasu się zmieniło. Pewnie im się wydaje, że powodem zmiany może być nowa, modnie krótka fryzura, nieznajomy mężczyzna na parkiecie trzymający kobietę pieszczotliwie za pośladki.

Janinę przekreśliła się z krzesłem obrotowym i wlepiła oczy w druk komputera. To dlatego, że Derek wysunął głowę zza drzwi swego gabinetu.

– Hmm... Annie – skinął. – Zechcesz tu wstąpić na chwilę? Ann weszła tam. Przez cały ten poranek był u Dereka pan Fowler, dyrektor – ponury jegomość z wojskowym wąsem. Derek zamknął drzwi za nią i poprowadził ją do krzesła.

– Ann, napomykałem ci niedawno, że może będzie dla ciebie wiadomość? – Kropelki potu lśniły mu na czole. – No, więc pan Fowler właśnie to potwierdził.

Ann skierowała wzrok na pana Fowlera, który zaczął: – Pani Fletcher, chciałbym tylko panią wysondować... – wyciągnął z kieszeni fajkę i woreczek z tytoniem. – Trzymaliśmy to w tajemnicy do teraz, ale pani powinna dowiedzieć się pierwsza.

Przez chwilę zdezorientowana Ann się zastanowiła: który z moich sekretów oni usłyszeli?

Pan Fowler nabijał fajkę tytoniem. Mężczyzna z fajką, jest czy nie jest dyrektorem naczelnym, zawsze bywa uważnie słuchany. Może sobie nadawać bardzo zwolnione tempo, aż słuchacze będą drzeć z niepewności. W końcu pan Fowler oznajmił: – Derek dostał przeniesienie do zarządu, wobec czego jego stanowisko wakuje.

Ann ze zdumieniem spojrzała na Dereka. – Odchodzisz stąd?

Derek chrząknął. – To... no, z powodów osobistych.

Pan Fowler powiedział: – Chcemy, Ann... jeśli mi wolno tak mówić... żeby pani wiedziała, jak wysoko cenię panią i jej zdolności. Derek oczywiście to zaświadcza. Ma pani tęgą głowę, ale też i coś ponadto, ten szczególny dryg...

– Tony, sprawiasz, że ona się rumieni – powiedział Derek.

– Zawsze wypatrujemy kobiet odpowiednich na stanowiska kierownicze – ciągnął pan Fowler. – Nawet nieźle, to fakt, zapisaliśmy się pod tym względem. W zeszłym roku daliśmy awans dwom paniom. – Umilkł i zapalił fajkę.

Derek parsknął śmiechem. – Obecnie obie są na urlopie macierzyńskim.

Poprzez gęsty dym pan Fowler powiedział: – Mamy nadzieję, że wrócą. Wszelako w pani wypadku... – Urwał raptownie, zmarszczył brwi i opuścił wzrok na zwęgloną zapalkę. – Tak czy owak, pogwarzyliśmy sobie z Derekiem i wpadłem tu dzisiaj, żeby... no... krótko mówiąc, chcemy, żeby pani rozważyła sprawę objęcia kierownictwa tej filii.

*

Ken siedział w samochodzie. Musiał pojechać na Ridgeway Avenue sprawdzić, jak tam postępuje uszczelnianie. To powtarzał mu ten stary Ken. Ten stary, niecały, nieżywy.

Musiał zrobić swoje, wiedział, ale pojedzie okrężną drogą, tak by minąć tę szkolną bramę. I tylko zwolni tam, tylko popatrzy.

Gdy już jechał, przyszło mu na myśl uderzające słowo: cudzołóstwo. Brzmiało tak

szpetnie; usunął je z myśli. Zresztą to słowo nie oddaje istoty sprawy. Gdyby oddawało, któż mógłby taki swój postępek znieść?

Słońce rozplomieniło okna szkoły. Raziło go w oczy. Nudny nowoczesny budynek jaśniał płomiennym blaskiem jej.

– To jest duże zobowiązanie – powiedział Derek.

Ann przytaknęła. Dym fajki przyprawiał ją o mdłości. W dymnej mgle pan Fowler zapytał: – Może chce pani jeszcze to przemyśleć?

Potrząsnęła głową. Czuła, jak w niej wzbiera dobrze już znana rozpaczliwa lekkomyślność. Czemużby nie podjąć się tego? W niczym innym nie ma nadziei. Byłam głupia, kiedy wierzyłam, że nadzieja jest.

Odpowiedziała panu Fowlerowi czyli Tony'emu. – Nic! Przyjmę to.

– Naprawdę? – zapytał Derek. – Jesteś pewna?

– Tak.

Wstali wszyscy troje i uścisnęli sobie ręce.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Był to najupalniejszy czerwiec od wielu lat. Na jezdniach asfalt się wybrzuszał; dzieci marszczyły go popychając sandałkami. Na pełnej spalin głównej ulicy kobiety się chroniły w beżowy chłód Marksa i Spencera. Rośliny wędły na spękanych klombach; policjant pocił się w samej koszuli. Ludzie jak zawsze narzekali. W szkole Viv biuściaste uczennice szóstej klasy leżały na trawie jak morświny, po czym na lekcje przychodziły bardzo czerwone.

Tymczasem w tych dwóch domach pootwierane okna czekały na przeciagi, blask słońca zalewał pokoje od frontu przed południem i pokoje od tyłu po południu, wszyscy robili swoje, jedli truskawki, ale nikt nie wszczynał rozmowy. Nikt – bo czym by się ta rozmowa skończyła? Zawsze łatwiej złapać się za sprawy poboczne, a spraw pobocznych było mnóstwo. Po dwóch tygodniach spotkań z panem Fowlerem Ann objęła kierownicze stanowisko i zaczęła przynosić wieczorami pracę do domu. Zenith, firma, w której pracował Ken, chociaż podupadała wskutek kryzysu i stagnacji, nie szczędziła mu obowiązków. Poza tym Ken zniknął na długie godziny obiadowe nie wiadomo gdzie, i miał swój Klub Młodzieżowy, jakkolwiek jego żona wyraziła wątpliwość, czy jest zdolny do czuwania nad moralnością młodzieży. Sprawiał wrażenie szalenie zaabsorbowanego i ku przerażeniu Ann zgolił wąsy. Z łysą twarzą wydawał się nieopancerzony. Viv, nadal przyhamowana mdłościami, zajmowała się egzaminowaniem w szkole, swoją łaknącą wody działką i starszą córeczką, która cierpiała nie tylko na astmę, ale i na katar sienny bardziej tego lata niż zwykle, jak gdyby oprócz pyłków szkodziło jej coś niepokojącego w powietrzu. Każde z nich czworga przygasło w poczuciu winy – można by powiedzieć, że stanęło przed odsłoniętym nie chcianym lustrem i wolało nie patrzeć w swoje odbicie. A przez ten cały czas dziecko bezlitośnie rosło, nieświadome wzburzenia, jakie powoduje. Ono leżało w różanej ciszy.

Najbardziej winny czuł się, być może, Ollie. Pewnego dnia, gdy wrócił z pracy, jego dzieci ostrzelały go paf paf paf paf z niewidzialnych karabinów maszynowych. Od razu uciekł wtedy na górę.

Zawieszał wiśnie na uszach nie córeczkom, tylko Ellie. Wracając z nią z przerwy obiadowej do redakcji, zdejmował jej te wiśnie i zjadał.

Kiedyś spotkał ich Diz. – Ollie, jesteś jakiś płomiennie przesycony – zauważył.

– To po prostu słońce – wyjaśnił Ollie. – Spójrz. – Rozpiął koszulę, pokazał swoją opaleniznę. – Mam czerwone V.

– Jak na plaży w Blackpool – powiedział Diz.

– Ostrożnie z tym – powiedziała Ellie i odeszła do szatni. Diz przewrócił oczami. – W życiu nie widziałem takiej łuny seksualnej.

– Może przestań mnie zamęczać tymi pseudodowcipnymi docinkami.

– Przeszanę – powiedział Diz po chwili – ale dopiero kiedy ty przestaniesz się spóźniać, przedłużać do dwóch godzin przerwę obiadową i wydawać fortunę na telefony do żony. Masz tutaj swoje zadanie. To nie jest centrala telefoniczna, nawet jeżeli się przelatuje telefonistkę.

– Psst! – Ollie popatrzył wokoło.

– I lepiej przyłóż się do tych recenzji teatralnych. Ostatni dzwonek.

*

Diz miał rację. Praca Ollie’ego na tym wszystkim ucierpiała. Ollie utracił tę szczęśliwą łatwość ujmowania myśli w słowa, na której zbudował swą dziennikarską karierę. Niespokojny w domu, już nie był pewny siebie na tyle, żeby pisząc spodziewać się, że będzie dobrze czytany. Skoro on sam postępuje tak okropnie, jakże mogą jego słowa być warte bodaj papieru, na którym je wystukuje? Słowa, słowa – wrzasnął kiedyś do Viv. Właściwie co słowa znaczą? Są tylko żonglerką, sztuczką ręki. Viv stała tam mając w sobie coś obcego, a on nie mógł spojrzeć jej w oczy. Jeszcze gorzej niż z jego pracą było oczywiście z jego małżeństwem. Przechodziło złą passę, jak spróbował to określić na swój użytek, banalnie, a więc uspokajająco, ale bez przekonania. Z drugiej strony, gdyby przyznał nawet w głębi ducha, że jego małżeństwo się rozpada, za bardzo by cierpiał i – co więcej – musiałby coś zrobić. Stare drzwi zamknąć, przejść do jakiegoś nowego pokoju, skąd nie będzie powrotu. Na razie żył jak gruźlik, który mówi sobie, że po prostu ma lekki kaszel, dopóki pewnego dnia nie zacznie płuć krwią i już nie zdoła się wykręcić od nazwania swojej choroby. Na razie spędzał coraz więcej czasu z Ellie, leżąc na jej łóżku w te parne wieczory, podczas gdy ona wcierała mu krem w opaleniznę i koła serce. Wiedział, że zasługuje na zastrzelenie z kaemów swoich córek.

*

Dopiero na początku lipca Ann zdecydowała się przejść koło domu Viv. Ostatnio wracała z pracy dłuższą drogą, żeby ominąć tę ulicę. Nie powiedziała Viv o swoim awansie, chociaż nie wątpiła, że Ken jej powiedział w czasie tych długich *tete a tete* tak często trzymających go poza domem – tych schadzek zwanych dla zamydlenia oczu „kłopotami z remontem na Homsey Road” albo uniwersalnym „przesileniem w pracy”. Gdy Ken opowiadał o swoim dniu, Ann drętwiała. Żadna żona nie wie, dopóki sama tego nie doświadczy, jak strasznie jest stwierdzić, że mąż potrafi kłamać.

Ale dłużej Ann już nie mogła wytrzymać, więc któregoś wieczoru poszła tamtędy. Niezależnie od wszystkiego innego, bardzo tęskniła do siostrzenic.

Tak jak się spodziewała, bawiły się na ulicy. Serce jej zabiło żywiej. Oderwały się od gromadki rozbawionych dzieci i podbiegły.

– Ciociu Ann! – wykrzyknęła Rosie. Wzięła ją za rękę i zaczęła ciągnąć w stronę domu. – Dostałam trytona.

– Mama jest?

– Pojechała do sklepów.

Ann stanęła w pokoju dziennym. Zrobiło jej się słabo, taką poczuła ulgę i takie rozczarowanie. Dziewczynki poprowadziły ją do trytona. W pokoju był jeszcze większy bałagan niż zwykle. Na kracie wśród wiszących kartek przypięty był program zajęć. Zmywanie. Nakarmienie królików i przy tym imiona: Rosie, Daisy i Mama.

Wskazując to zapytała: – A tata nie? Czy to sprawiedliwe?

- Tatuś wciąż gdzieś chodzi.
- Co? – ze zdumieniem spojrzała na Rosie.
- Ze swoją dziewczyną.
- Z dziewczyną?

Daisy powiedziała: – Zabrali nas do McDonalda. Ona pachniała.

- Czym?
- Perfumą. – Daisy zawyła: – Uch, Ellie Pachnielli.

Obie dziewczynki zaczęły skandować: – Ellie Pachnielli.

Nazajutrz Ann zadzwoniła do redakcji „Metropolii”. Ollie jednak powiedział jej niewiele. Wie, że zachowuje się fatalnie, ale Viv go nie chce. nigdy nie chciała, aż w końcu dopięła swego, on czuje się zbyt czyny. Był wojowniczy i chyba pijany.

Telefon do Viv wydawał się bardzo trudny. Gardząc sobą, Ann odkładała to na następny tydzień. O wiele łatwiej kierować filią spółki budowlanej niż nakręcić ten dobrze znany numer.

- Nie wiedziałam o Olliem – powiedziała Ann w końcu. – Tak mi przykro.
- Przyjdź na obiad – powiedziała Viv. – Musimy porozmawiać.
- Poradzisz sobie? Może zjedzmy obiad u mnie.
- Poradzę sobie, oczywiście – powiedziała Viv.

Ann położyła słuchawkę, umówiły się na sobotę. Ken miał w sobotę trenować drużynę Klubu Młodzieżowego. Nie musiał wiedzieć. Czasami myślała o tym obcym mężczyźnie w samochodzie i zastanawiała się, dlaczego poczucie winy, zamiast dręczyć, tylko lekko ją podszczypuje.

Ollie teraz zaczął nierzadko spędzać u Ellie noce i stał się prawie gościem we własnym domu. Jeszcze nie dzwonił do drzwi frontowych, ale już z wahaniem wyciągał z kieszeni klucz. Gdy następuje przełom, niektórzy ludzie stawiają mu czoło, a inni uciekają – trzeba tylko przełomu, żeby człowiek pokazał się taki, jaki jest. Na uniwersytecie w chwilach krytycznych Ollie sięgał po narkotyki, rzucając się w zaostrzoną bezpamiętność. Nie w mgławicę, jak myśli każdy, kto narkotyków nigdy nie zażywał – właśnie w ostrzejszą jasność. Ollie wiedział, że jest słaby, ale to mu nie poprawiało samopoczucia.

Skończyły się jego soboty w domu, gdzie po prostu wałkonił się – określenie dziewczynek – czytał „Detektywa”, przynosił rzeczy z pralni chemicznej, usiłował naprawiać zabawki. Teraz wolał zabierać córki do miasta. Dom wiedział o Ellie, oficjalnym jednak powodem nieobecności tatusia była powieść, do której on zbiera materiały. To wytłumaczenie dziewczynki przyjmowały ze zdumiewającą *sang froid* młodości.

W tę sobotę zawitał. Rosie i Daisy podskakiwały przy nim jak szczeniaki.

– Zabierz nas do Hamleya – powiedziały. – Obiecałeś. – Zawsze przejawiały interesowność, a ostatnio – wskutek albo okoliczności, albo rozwoju naturalnego – zrobiły się jeszcze gorsze.

– Myślałem o Parku Safari. – Patrzył na Viv, która stała nad sokowirówką. Na stole leżały dwa nakrycia.

- Byłyśmy tam poprzednim razem – zaskomlały.

– Ale tym razem przekupimy jakąś małpę, żeby dała się powozić na masce. – Wziął z wyciągniętej ręki Viv kluczyki do samochodu. Dziewczynki wybiegły. Spojrzał na stół, unosząc brwi. – A to czemu ma służyć?

Viv włączyła sokowirówkę. Zafurkotała. Ollie czekał.

– Co?

– Nasz Kenneth przyjdzie na obiad?

Viv zwlekała z odpowiedzią. Blask słońca ukośnie wpadał przez okno. Twarz miała bladą i połyskliwą.

– Chciałbyś – powiedziała. – Dla spokoju twojego biednego sumienia.

– Więc kto ma przyjść?

– Ollie – oparła się o kuchenny zestaw – już nie muszę ci mówić, kto. To już nie twoja sprawa. Moja zupa ogórkowa z papryką należy do mnie i mogę nią częstować, kogo chcę.

– Słuchaj, ja ...

– Ann przyjdzie.

– Ann?

Wlała różowy płyn do dwóch miseczek i zaczęła siekać pietruszkę. Nie podnosiła wzroku.

– Może byś wolał, żebym miała cudzołozne małe *dejeneur a deux*, ale ja rzeczywiście będę jadła z moją siostrą. – Słowa też siekała; pomyślał, że zapewne takim właśnie tonem ona karci błądzące czwartoklasistki. – Jeszcze jedno – ciągnęła, ocierając nóż o deskę i wysypując pietruszkę do miseczek – czy będziesz dziś nocował w domu? Gdzie zamierzasz złożyć swoją skolataną głowę? Tu, w gabinecie, czy w twoim gniazdku miłości na tym cudownie *soigne* obszarze zwanym Crouch End?

– Zamknij się!

Westchnęła. Twarz jej świeciła w słonecznym blasku.

– Może odnajdujesz tam siebie, może mi się odplacasz czy może cierpisz na męską menopauzę, ale jest coś. co chciałabym ci uświadomić.

– Co takiego?

– Życie musi iść dalej. Nie mówię o tym – wskazała swój brzuch. – To idzie dalej bez względu na wszystkie nasze wygłupy. Tylko że... – zawiesiła głos, rzeczowa, jakby przygotowała sobie przemówienie. Poczul się jeszcze bardziej winny. – Tylko że kiedy ty w mieście znajdujesz prawdziwą miłość, są dziewczynki, którymi trzeba się opiekować, rzeczy, które trzeba uprać, chomiki, które trzeba oporządzić, samochód, który trzeba dać do przeglądu, mleczarz, któremu trzeba zapłacić, dentysta, do którego trzeba pójść...

– Romanse, które trzeba kontynuować!

– Och, przestań! – syknęła. – Idź na swój jarmark cudów, baw się z tą twoją niemądrą przyjaciółką. Jesteś po prostu dzieckiem.

Z kółkiem kluczyków na palcu zatrzymał się przy drzwiach.

– Mężczyzną rzeczywiście nie jestem – powiedział dramatycznie. – Już ty się o to postarałaś.

Włożył kluczyki do kieszeni i odszedł do swoich małp.

*

W dziesięć minut później rozległ się dzwonek. Przez jedną szaloną chwilę Viv myślała, że to Ollie wraca przeobrażony w gentlemana, który przychodzi z kwiatami i na nowo będzie się do niej zalecać. Ale to była jej matka.

– Mizerna jesteś – zauważyła. – Nie tak wyglądałaś z tamtymi.

– Wiem – powiedziała Viv.

– Jednakże to jest inne, prawda? – Ireńę rozejrzała się. – Gdzie są wszyscy?

– Hm. właśnie wyszli. Po zakupy – skłamała Viv.

– Chciałam tylko zobaczyć, jak się czujesz. Muszę zaraz pędzić z powrotem. Jestem zajęta po same uszy.

– W zakładzie?

Raz po raz Viv przekładała nogę na nogę, pragnąc żeby matka wyszła. Była godzina pierwsza.

– No proszę, proszę – Ireńę patrzyła na stół. Uśmiechnęła się.

– A nie mówiłam ci, że będzie dobrze?

– Z czym?

– Wiedziałam, że masz miękkie serce.

– Co masz na myśli?

– No, ciebie i Ollie’ego. Zwykle ty o tym nie pamiętasz.

– O czym? – zapytała Viv.

– O waszej rocznicy ślubu.

Chwila ciszy. Viv uprzytomniła sobie, że to dzisiaj. – Ach – powiedziała.

– Czternaście lat – powiedziała matka. Uszczypnęła ją w policzek. – Więc pod tym drelichem bije serce.

– Dwa serca, dla ścisłości.

Matka się roześmiała. – Co z dziewczynkami?

– Co ma być?

– Och, jest i mały gamirunek – matka wsunęła do ust oliwkę.

– Będzie oblewanie dziś wieczorem? Może ja je wezmę, żebyś nie miała ich na głowie?

– Nie, doprawdy...

– Dobrze, jak chcesz.

– Ja nie chciałam...

– Nieczęsto się zdarza taka propozycja – powiedziała Ireńę.

– Z mojej strony, w każdym razie. Prawdopodobnie wyjdzie też od Very. To się nazywa podlizywaniem swojej pasierbicy. Vera weźmie dziewczynki i napcha je tym... jakimś tam...

– *Sachertorte*.

– On przez nią dostanie zawału. – Ireńę umilkła. – Jednakże jest chyba szczęśliwy. – Wstała, żeby wyjść. – Mężczyźni – powiedziała. Jej przyjaciel Frank był gejem. – Każdy chce tylko tortu czekoladowego i żeby nie było żadnych pytań.

Ann przyszła w kilka minut po wyjściu matki. Viv ostatnio widywała ją rzadko, ale przecież nie spodziewała się zobaczyć w niej aż takiej zmiany. Ann z utlenionymi krótkimi

włosami była poważna i swobodna.

Wyjęła z plastikowej torby roladę owocową. – Mam nadzieję, że dobra. Od dawna nie robię ciast. Nie zawracam sobie głowy wypiekami.

Viv odkorkowała wino i napełniła kieliszki.

– Dzięki – powiedziała Ann. Odnosiły się do siebie tak uprzejmie, jakby bardzo niedawno się poznały.

Viv usiadła. – Jak w pracy?

– Nawał nieprzerwany. Przynoszę papiery do domu.

– To straszne.

– Nie.

– Co nie?

– Nie przynosiłabym do domu, gdyby to było straszne.

– Ano tak.

Ann powiedziała: – Lubię fakty i liczby. Popijały wino. Viv marzyła o papierosie. Miała papierosy na wszelki wypadek, ale nie chciała ich wyciągać przy siostrze.

– Jak się czujesz? – zapytała Ann.

– Świetnie.

Pomilczały chwilę. Viv wstała, żeby przynieść chleb. Odwracając się od kredensu, zapytała: – Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Chcę.

– Jestem zmęczona, obolała, czuję się okropnie. Dopiero w zeszłym tygodniu przestałam wymiotować. Zawsze uważałam, że baby stają się żałosne, kiedy opowiadają o swoich ciężach.

– Byłaś u doktora?

Viv potrząsnęła głową. – Nie miałam czasu.

– Nie bądź niemądra.

– Słuchaj – powiedziała Viv – to jest moja sprawa.

– Twoja? – zapytała Ann.

Viv spojrzała na nią. – No chyba. Tym bardziej moja, że przyjąłś w biurze awans.

– Czy nie rozumiesz, dlaczego? – zapytała Ann bardzo głośno. Viv milczała.

– Usiądźże – powiedziała Ann. – Przygotowałeś ten pyszny obiad.

Viv podeszła do stołu i usiadła. Ann patrzyła na nią. Zanurzyły łyżki w zupie.

– To tylko dowód – powiedziała Viv. – Na nic nie można liczyć.

– Ja dawniej myślałam, że można – powiedziała Ann.

– Ja też.

Ann zawahała się i położyła łyżkę. – Dawniej myślałam, że mogę liczyć na Kena.

Viv podniosła wzrok, spojrzała jej w oczy. – Nie widuję się z nim.

– Chciałabym móc ci wierzyć. Chciałabym móc wierzyć w cokolwiek.

– To prawda! Rozmawiałam z nim parę razy przez telefon i na tym koniec.

Ann naderwała kromkę chleba.

– W takim razie dziwne, że on jest wciąż poza domem.

– Przerazająco dziwne, ale to nie ma nic wspólnego ze mną – powiedziała Viv. – Ja jestem zajęta mdłościami.

Sekundy tykały. Ponadto dolatywał tylko szelest z klatki, gdzie chomik przewracał się w śnie z boku na bok. Ann spojrzała tam. Miała taki wyraz twarzy – czoło zmarszczone, oczy chmurne – jak przed laty, gdy była mała i walczyła ze swoją nieufnością. Świat ją oszukiwał: Viv czyniła to kiedyś dla uciechy, rodzice oszukiwali ją poważnie. Wstrząśnięta rewelacją o swoim ojcu, Ann powiedziała siostrze: „zabrali mi moje dzieciństwo”.

– Uwierz mi – nastawała Viv – Bóg świadkiem, nam wszystkim się zabałagało. Przynajmniej możemy trochę to uporządkować.

Siedziały nieruchomo naprzeciw siebie, butelka wina stała pomiędzy nimi. I nagle Ann się rozchmurzyła. Jak gdyby czarodziejsko rysy jej stopniały, uśmiechnęła się. I parsknęła śmiechem.

Po drugiej stronie stołu Viv także się roześmiała, popiskując histerycznie. Śmiały się obie, dopóki nie poczuły w sobie pustki. Potem siedziały zwiotczale, jeszcze wstrząsane szczątkowymi szlochami. Viv pochyliła się nad stołem, wzięła kieliszek Ann i znów napełniła go winem. – Więc bądź już cicho – powiedziała. – I chłapnij sobie.

*

Tej nocy szalała burza. Nazajutrz ulice były świeżo wymyte, śmieci zostały splukane. Przed domem Viv stojące wzdłuż jezdni samochody się iskrzyły. Viv i dziewczynki wyszły z kiosku z gazetami. Wszystkie trzy lizały lody na patykach. Viv czuła się dobrze, jak nigdy w ciągu ubiegłych tygodni.

Idąc pod górę w stronę Highgate, spotkały Douglasa i Verę, którzy oglądali wystawy sklepów przy Holloway Road.

– Tatusiu! – zawołała Viv – właśnie szłam do was. Mam pomysł.

– Jeszcze jeden z tych twoich wariackich?

Wrzuciła patyk po lodach w ściek. – Wesele w przyszłym miesiącu. Czy nie za późno, żeby je odwołać? Ojciec wybałuszył oczy. – Co takiego?

– Żeby odwołać w hotelu. Niech się odbędzie u mnie.

– U ciebie? – zapytała Vera, opalona na brąz i przerażona. Viv przytaknęła. – Ja chcę wam wyprawić wesele.

– No, no – powiedział ojciec – to byłoby miłe.

– Tylko czy ty byś sobie poradziła? – zapytała Vera. – I co z Olliem?

Viv przestąpiła z nogi na nogę. – Och, jemu też będzie się to podobało.

*

Najjaśniej Viv zawsze myślała na działce. Wiatr hulający po tej otwartej przestrzeni rozwiewał wszelkie wątpliwości. Jej domowy zamęt się kurczył. Już zatrzymując z chrupnięciem żużlu samochód na działkowym parkingu, czuła się prostsza i lżejsza.

Bez żadnych wątpliwości tamtego palącego dnia powiedziała Kenowi w chatce, że można to zrobić. I bez żadnych wątpliwości innego dnia przed tygodniami, gdy siedziała na ziemi i

niósł się z fabryki zapach zupy, czuła się zdolna do wszystkiego.

To właśnie w ten wtorek po szkole ostatecznie zdecydowała, że już czas powiedzieć dziewczynkom. Z Ann wszystko się wyjaśniło, więc nie ma sensu dłużej zwlekać. Podlewając rzędy roślin, podniosła wąż i patrzyła na łuk roziskrzonego pyłu wodnego, mgiełkę na tle nieba. Raptem ktoś pociągnął ją za spódnicę.

– Nudno mi – powiedziała Daisy.

– Nie bądź głuptas.

– Jedźmy do Parku Safari.

– Byłyście tam niedawno. Może pobaw się waszymi misiami.

– One śpią.

– Moje misie nigdy nie spały. – Skończyła podlewać. Powlokła wąż z powrotem do kranu, patrząc jak woda z wylotu ścieka w ziemię, i zakręciła kran. Dziewczynki snuły się przy drzwiach chatki.

Zaczęła: – Mam wam coś do powiedzenia.

– Ja chcę chrupki.

– Słuchajcie. Spodziewam się bobaska.

– Prawdziwego? – zapytała Rosie.

– Mam nadzieję, że tak. – Przykucnęła. One stały przed nią. – Zawsze staram się mówić wam prawdę, traktować was jak dorosłe. Więc słuchajcie uważnie. – Odczekała chwilę. Daisy zdrapała sobie grudkę błota zaschniętą na kolanie. – Wiecie, że ciocia Ann nie może mieć dzieci i że to ją martwi? – Słuchały z twarzami bez wyrazu. – No, więc ja dam jej tego bobasa.

– Kiedy? – zapytała Rosie. – Dzisiaj?

– Wtedy, gdy się urodzi. Żeby ciocia miała dziecko do wychowywania. Będzie się nim cieszyła tak, ja ja cieszę się wami.

– Ale ty na nas ciągle krzyczysz – powiedziała Daisy.

Viv puściła to mimo uszu. – Powinnyście zrozumieć, że damy cioci tego bobaska, ale będziemy go często widywać. Bobasek będzie należał do rodziny. Do jednej dużej rodziny. Czyż to nie cudownie?

Wpatrywały się w nią. Daisy szurała nogą po grządce.

– Gdzie będzie mieszkać? – zapytała Rosie.

– U wujostwa.

– W ich domu?

– Tak.

– Jemu też będą kazali myć ręce przed podwieczorkiem – powiedziała Rosie.

– I to słusznie, w dodatku – powiedziała Viv.

– Są strasznie surowi.

– Słuchajcie – powiedziała Viv – wszystko będzie wspaniale. Tylko jeszcze nikomu nie mówcie. Nikomu. Miejmy nasz sekret. Ciocia Ann i ja zdecydowałyśmy się w sobotę, kiedy byłyście w Parku Safari.

Daisy jęknęła. – Ja chcę teraz jechać do Parku Safari.

– Och, przestań – powiedziała Viv.

– Jeśli pojedziemy do domu – zapytała Daisy – kupisz nam lody Cometto?

Z westchnieniem Viv wstała mozolnie z przysiadu. A oni wszyscy czworo tak bardzo się niepokoiło na myśl o tym właśnie momencie. Przypomniała sobie, jak Ollie dawniej cytował: *Dorośli to zdegenerowane dzieci. Czy rzeczywiście? Czasami dorośli przejawiają większą wrażliwość. Zwinęła wąż i zastanowiła się nad *sang froid* młodości.*

*

Był ostatni dzień letniego semestru. W pokoju nauczycielskim nieliczni jeszcze się pakowali. Madeleine zdjęła kartkę z tablicy ogłoszeń.

– Nikt nie chce mojego robota do mlecznych cocktaili. – Zdjęła jeszcze jedną kartkę. – Nikt nie chce moich kociąt.

Harold powiedział: – Spróbujesz we wrześniu.

– Wtedy będą już mieli własne kocięta.

– Ach – westchnął Harold – te trąby powietrzne wakacyjnych romansów.

Madeleine roześmiała się i podeszła do drzwi.

– Pogodziłaś się z Dave'em? – zapytała ją Viv. Madeleine przytaknęła. – Wyruszamy do Konwalii na wakacje wędrownie.

– Nazrywajcie tam konwalii – powiedział Harold.

– Rymy prosto z drwalni – przyczyniła się asonansem Viv.

– Kłopot z wakacjami polega na tym – powiedział Harold – że trzeba po nich mieć wakacje, żeby dojść do siebie.

Madeleine go zapytała: – Jedziesz znów na ten parking przyczep?

– Proszę cię. To jest wywczasowisko. Tak. I znów będę kleksem na horyzoncie.

– Do widzenia – powiedziała Madeleine – w przyszłym roku szkolnym.

Wyszła. Harold i Viv zostali sami. Harold był gotów wyjść, ale Viv wyraźnie na coś czekała.

– Ty jeszcze nie wiesz – zapytał – dokąd pojedziesz?

– Nie wiem.

– To właśnie mi się w tobie podoba.

– Co? – zapytała.

– Impulsywność. Chciałbym żyć tak jak ty, nigdy nie planować...

– Ależ ja planuję!

Położył swoją torbę z książkami. – Czy aby na pewno dobrze się czujesz?

– Dobrze.

– Martwię się o ciebie.

– Wiem.

– Gdzie się podziała ta dawna Viv? Jest mi potrzebna.

– Do czego?

– Do uczenia mnie sprośnych wierszyków. Sprawiam zawód facetom w pubie.

Nagle go uściskała.

- Hmm... – mruknął.
- Co?
- Coś zacisnęło mi ręce na tobie. Wyrwała mu się niezręcznie.
- Nie, to przyjemne – powiedział. – Pod dotknięciem taka kobieca.
- Lubisz grube? – zapytała, starając się, żeby to zabrzmiało swawolnie.
- Nie mam dużego wyboru.

Westchnął i sięgnął po swoją torbę. Na jego mocnej szerokiej twarzy widać było zmęczenie. Powiedziała: – Mnóstwo dla mnie znaczyłeś w tym semestrze.

- Zawsze do usług.
- Zawahała się. – Zrobisz coś dla mnie?
- Za co?
- Za nietraktowanie ciebie jak znajomego – powiedziała poważnie.
- Zmarszczył brwi. – O czym ty mówisz?
- O niczym.

Nagle znów go uściskała, do diabła z jej brzuchem! W tej samej chwili drzwi się otworzyły i wszedł Alan.

- Hej! – powiedział Harold – znów przyłapani. – Puścił Viv.
- To tylko pertraktacje służbowe. – Pocałował Viv w policzek.
- Uważaj na siebie – powiedział i wyszedł.

Alan usiadł. Viv podeszła do szarki bufetowej i zajrzała na półki. – Nie ma mleka.

- Nieważne – klepnął miejsce przy sobie. – Powiedziałaś, że chcesz pogawędzić.

– Nie pogawędzić. Porozmawiać. – Stała przy pokłutej pluskiewkami ścianie, na której wisiał rozkład lekcji. Szkoda, pomyślała, że trzeba powiedzieć właśnie Alanowi. Lubiła go o wiele mniej niż Harolda. Był młodszy i szczęśliwszy. Miał bródkę jazzmana i ambicję przydającą mu pompatyczności.

Powiedział: – Chyba wiem, o czym. Zdrętwiała. – Skąd?

- Te sprawy przeciekają, Viv.
- Jakie sprawy?
- To, co wyczyniasz. – Przesunął palcem po szczęce. – Były skargi.
- W związku z czym?
- Słuchaj, Viv. Jesteś fantastyczną nauczycielką i masz wyjątkowy kontakt z młodzieżą.

Ale dlatego możesz być niebezpieczna.

- Co?

Znów klepnął to krzesło. Ruszyła się i usiadła na poręczu kanapy.

- Bo ciebie słuchają – powiedział. – Ufają ci.
- O co chodzi?

– Przepraszam, że mówię o tym teraz, ale może przemyśl to sobie w czasie wakacji. Chodzi o twoją... no, polityczną i feministyczną propagandę. Zwłaszcza wśród dziewcząt. Jak się okazuje, one wracają do domu i deklamują te wszystkie bzdury o wykorzystywaniu kobiet i... – wzdrygnął się – o samczym faszyzmie. Słuchaj Viv, jestem jak najbardziej za tym, żeby młodzieży dawać wybór opcji, ale ty nie masz prawa, zwłaszcza że one przeważnie to nie

orły, które czeka kariera zawodowa. Nie chcę, żebyśmy wyprodukowali hordę wywrotowych malkontentek.

Viv powiedziała: – Ale ja nie o tym miałam z tobą porozmawiać.

– Nie?

– Miałam cię zawiadomić, że jestem w ciąży.

Popatrzył na nią zdumiony, a potem parsknął śmiechem. – Ty w ciąży?

– Nie mówiłam nikomu. Proszę, nie śmieję się.

Nadal jednak chichotał. – Przyszło mi na myśl, że jesteś raczej pulchna, ale...

– Ale co?

– Ty?

– Już mam dzieci – powiedziała rzeško. Bardziej rzeško niż się czuła.

– Wiem, ale zawsze mówiłaś, że ta faza już skończona, że poświęcasz się swojemu zawodowi, należysz do naszej drużyny, kobiety mogą wybierać i tak dalej. W istocie właśnie to wszystko, co mówisz uczennicom.

– Wiem.

– No – powiedział – chyba wypada pogratulować.

– Poniekąd.

Uniósł brwi. – Jak to?

Poruszyła się na poręczy kanapy. Swego czasu powiedziała Kenowi: *ja cudownie kłamię*. Utkwiła wzrok w przetartym dywanie. Kiedyś wykopała kartofle ojcu i wsadziła je w ziemię z powrotem, tylko że na odwrót. Nazajutrz leżały przy zwiędłych liściach, a ona ojcu wyjaśniła z pełnym przekonaniem, sama w swoje kłamstwo wierząc, że oczywiście chłopcy z sąsiedztwa przeleźli przez płot i to zrobili. Nic łatwiejszego.

– Zawiadamiam cię oficjalnie, Alan, że będzie potrzebne zastępstwo.

– Kiedy?

– W grudniu. – Spróbowała się uśmiechnąć. – Powiem mu, żeby się urodziło w Boże Narodzenie. Wtedy nie spowoduję zbyt długiej przerwy.

– Zastępstwo? – zapytał.

– Bo przecież wrócę.

– Na pewno? – zapytał. – A co z dzieckiem?

Patrzyła na dywan. – Mam coś do uporządkowania w czasie tych wakacji – powiedziała.

– Są problemy.

– Medyczne?

– Domowe.

– Ach.

Zaczerpnęła tchu. – Ojcem nie jest Ollie.

Po raz pierwszy w ciągu czterech lat znajomości z Alanem zobaczyła, jak on się rumieni. A więc prawie się opłaciło. Najpierw czubki uszu mu się zaróżowiły, po czym ten różowy świt się rozszerzył i zmienił w lunę.

– Czy to znaczy?...

– Nie jego dziecko – powiedziała splotniałemu dywanowi w pokoju nauczycielskim. To

nie kłamstwo, to prawda, tyle że nie cała.

Alan znów przesunął palcem po szczęce. – Wybacz niedyskrecję... – zaczął i umilkł.

– Co? – wpatrywała się w niego. – Co?

– Czy to przypadkiem nie... – urwał, po czym zapytał dobitnie – dziecko Harolda?

Wybuchnęła śmiechem. Zachwiała się na poręczy kanapy, tracąc równowagę. Alan, jeszcze bardziej zarumieniony, przyglądał się swoim paznokciom.

W końcu wysapała: – Jak na takiego przekonanego o swej prawości faryzeusza masz bardzo brudne myśli.

*

Ollie w żadnym razie nie powinien był pójść do toalety. Czy też Viv w żadnym razie nie powinna była pójść na gimnastykę. Gdyby oni to sobie darowali, Ellie w żadnym razie by się nie dowiedziała. A jednak.

Viv pod wpływem Kena usiłowała zachowywać dobrą formę, więc zapisała się na ćwiczenia gimnastyczne dla szykownych pań w Covent Garden, gdzie owe panie, przyodziane w obcisłe, połyskliwe, różowe i szmaragdowe trykoty, były z różnych powodów smuklejsze niż ona. Któregoś dnia nie miała u kogo na ten czas zostawić dziewczynkę, więc podrzuciła je Ollie’emu do redakcji, żeby je zabrał na obiad.

Tylko że przedtem Ollie poszedł do łazienki i ponieważ one leżały raczej samotnie na gumowanej wykładzinie „Metropolii”, ssając flamastry i wpatrując się w korekty komunikatów Tai Ch’i, które im dał jako papier do rysowania, Ellie przyszła dotrzymać im towarzystwa. – Proszę, weźcie sobie Polo – poczęstowała je.

Wzięły po jednym na teraz i po jednym na później. Daisy z pełną buzią powiedziała: – Nasza mama mówi, że to niedobre na zęby.

– Jedziecie w jakieś ładne strony na wakacje? – zapytała Ellie grzecznie. Nie miała pojęcia, dokąd one jadą, nikt jej niczego nie mówił.

– Na wyspę Wright – odpowiedziała Rosie.

– Och, to miło.

– Jedziemy z mamą i ciotką Ann – powiedziała Daisy – bo tata pisze książkę.

Ellie już chciała zapytać: naprawdę? Ale się powstrzymała. Mogła być młoda, szybko jednak się uczyła.

– Chcę lakierować paznokcie – powiedziała Daisy, mniej lojalna niż jej siostra – tak jak ty.

– Nie możesz – powiedziała Ellie – dopóki nie będziesz dorosłą panią.

– Kiedy się jest dorosłą panią, można także mieć dziecko – powiedziała Daisy. – Ty spodziewasz się dziecka?

– Mam nadzieję, że nie. – Ellie parsknęła śmiechem. Daisy, gaduła, oznajmiła: – Mama się spodziewa.

Rosie ją trzepnęła, ona zawyła. Ollie przyszedł z toalety. Ellie szybko wstała i odeszła.

*

Ann wróciła do domu. Klapnęła w fotel, przymknęła oczy. Urlop już za tydzień. Czula się wyprana z energii, ale satysfakcjonująco. Chociaż martwiła się o Dereka – został przeniesiony na własną prośbę i podobno jego małżeństwo się rozpada – biuro przewrotnie wydawało jej się miejscem weselszym bez niego. Teraz to była konfederacja kobiet, dużo serdeczności i kpin.

Myślała o tym i o kolacji, której jeszcze nie chciało jej się przygotować, i o tygodniu na wyspie Wright, z którego obaj mężowie już się wymówili argumentem, że siostry powinny spędzić trochę czasu same ze sobą. To wszystko kontemplowała, gdy drzwi frontowe skrzypnęły i wszedł Ken. – Zamknij oczy – powiedział.

– Już są zamknięte.

– Więc ich nie otwieraj.

Usłyszała, jak on zawraca do hallu. Wziął tam coś – szalik. Owiązał jej głowę, żeby nie widziała.

– Ejże!

– Chodź – powiedział biorąc ją za rękę. Poczula jego dłoń, dużą i suchą. Wstała. Wyprowadził ją z domu pieczołowicie, żeby na oślep o nic się nie obijała. Na nagrzanym chodniku owionęło ją wieczorne powietrze ze spalinami. Nagle jej się przypomniało, jak w dzieciństwie udawała, że kuleje. Rodzice i Viv szli prędzej, a ona utykała za nimi. Przechodnie na ulicy zatrzymywali się i patrzyli ze smutkiem na nią, a potem na tę jej rodzinę, rozjątrzoną, ponaglącą ją niemiłosiernie. Teraz sobie uprzytomniła, że bardzo rzadko wychodzili we czworo, a nawet – tak. z pewnością zdarzyło się to tylko raz. Ale żywo tamten raz pamiętała: to łaknienie litości w siarczystym niesprawiedliwym świecie. Zapachniało ligustrem kwitnącym za płotem sąsiadów, gdy Ken posadził ją w samochodzie. Po raz pierwszy zadała sobie pytanie: czyja byłam miła? *Są ludzie*, powiedział Douglas, *którzy sprawiają, że świat się do nich uśmiecha*. A ci inni?

– Co ty kombinujesz? – zapytała Kena.

– Poczekaj, to zobaczysz.

Jechali może piętnaście minut. Gdy skręcał na rogach ulic, niewidoma, traciła równowagę, opierała się o niego. Okno samochodu było otwarte. W pewnej chwili napłynął falą zapach gotowania curry, w innej chwili zapach smażących się frytek. I wciąż czuła spaliny. Nie widząc, słyszy się lepiej – okrzyki, ryczące radio. Gdy się zatrzymali, chyba przy czerwonych światłach, usłyszała wyraźnie głos jakiegoś dziecka: – Patrz, patrz na tę panią!

Ken milczał.

W końcu gdzieś dojechali. Ken wysiadł z samochodu, przeszedł na jej stronę, usłyszała, jak otwiera drzwiczki. Wziął ją za rękę, dłoń miał teraz gorętszą. Wysiadła, obciągając spódnicę. Zdjął jej szalik z głowy.

Z początku nie wiedziała, na co patrzeć. Na ten betonowy nieużytek? Może to skład jakiś opuszczony pod gołym niebem, coś takiego z żółtym zielskiem wyrwijającym się przez szczeliny w betonie, który otacza wysokie ogrodzenie z drutów. Spojrzała w prawo – zobaczyła jaśniejące plakatami targowisko używanych samochodów, spojrzała w lewo – zobaczyła piwiarnię.

Powiedziała: – Nie trzymaj mnie w niepewności.

Wysoko podniósł jej głowę, jednym palcem podpierając podbródek. Na drucie była tablica:

DO WYNAJĘCIA

Siedzieli w tej pobliskiej piwiarni.

– Więc to robiłeś – powiedziała.

– Tak. To wygląda strasznie, ale parcela będzie cudowna. Pół akra, a najbliższy ośrodek ogrodniczy jest daleko po tamtej stronie Północnego Ronda. I wszędzie tutaj są wille, rezydencje.

– Ani słowem mi nie napomknąłeś.

– Chciałem się upewnić, że nie jestem głupi. – Patrzył na nią, wydawał się bardzo podniecony.

– Przez tyle tygodni? – zapytała. Wolą mu nie mówić, że w zeszły poniedziałek, rozpaczliwie ciekawa, sprawdziła licznik w jego samochodzie i wyliczyła, że on wtedy, gdy rzekomo siedzi w biurze, przejeżdża 22 mile dziennie.

– Och, dużo jeździłem – powiedział. – Nie będę ciebie nudzić opowiadaniem o dawnych terenach kolejowych, pobojuwiskach po składach drewna i zbankrutowanych hurtowniach urządzeń sanitarnych.

Roześmiała się. – Wprost nie wierzę w to tutaj.

– Nasz własny ośrodek ogrodniczy. Annie. To może wypalić. Wiem, że tak. Mogłabyś być moim doradcą finansowym. – Umilkł. – Czas, żebym się wyrwał z tych remontów. Wiem o tym.

Potwierdziła.

– Nagle stuknąłem się w głowę: no, do diabła, dlaczego nie? Dość długo już się nudzę. Pomyślałem: może bym tak przestał jęczeć i rzeczywiście robił coś.

Patrzyła na tego nowego Kena o błyszczących oczach. Pomyślała: zmienił się. Coś jej zaświtało: pod czyim wpływem? Ale odsunęła tę myśl.

Ken czekał. – No – zapytał – i co powiesz?

Odpowiedziała powoli: – Moglibyśmy dostać subwencję. Chyba. I pożyczkę niskoprocentową. I jest dom na zabezpieczenie.

Uniósł brwi.

Zapytała: – Ale dlaczego teraz?

Spojrzał w swoją szklankę i zdusił papierosa.

– No, w tej sytuacji... ty masz to stanowisko, no, wydaje mi się, że może nie chcesz tego dziecka... – odchrząknął. – Naprawdę rozumiem, dlaczego. – Zawahał się. – Mógłbym przynajmniej zrobić coś... na nowy początek. Postarać się, żebyś była ze mnie dumna.

Pochyliła się ku niemu. – Nie musisz tego robić.

– Nie muszę?

Zastanowiła się. Nie mogłaby mu odpowiedzieć szczerze. Już łatwiej mówić o marzach i trzydziestoletnich dzierżawach, toteż o tym zaczęli rozmawiać.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – Ellie stała przed Olliem, wściekła.

– Nie mogłem.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że ona spodziewa się dziecka?

Usiadł na łóżku. – Był ważny powód, daję ci słowo.

– Myślisz, że co ja jestem? Jakiś kłaczek? Jakiś twój skok w bok? – Z nosem czerwonym od słońca, patrzyła na niego spode łba. Wprost osłabł z litości. – Tak robią dranie w moich stronach, ale przynajmniej mówią to uczciwie.

– Ellie...

– Zawsze mówisz, jaki jesteś z czystym czołem i takie tam trele morele, ale jesteś cwańszy niż oni wszyscy.

– Nie jest tak, jak myślisz! – powiedział nieomal uczniowskim dyszkantem.

– Tobie się zdaje, że nie chciałam zapytać? Przez te wszystkie miesiące zamykasz mnie w tej klitce i mogę ci kłaść rękę na czole i ukajać twoje kłopoty. Tobie się zdaje, że nie marzyłam, żeby zapytać o ciebie i twoją żonę i twoich przyjaciół, chociaż mnie nigdy nie wolno ich poznać? – Urwała, bo tchu jej zabrakło. Patrzył na jej biedny łuszczący się nos. – Ja jestem ludzką osobą, Ollie. Może nie rozumiem połowy waszego fiu bǳiu magazynu, ale jestem ludzką osobą i zasługuję na porządne traktowanie.

– Tak – powiedział. – Wiem.

Jemu też brakowało tchu. Gdyby mógł, wsunąłby się pod kołdrę, cały aż po ciemność. Patrzył na Ellie. Teraz płakała, tusz spływał jej z rzes na policzki już w czarnych smugach. Tuż za nią wisiała perkalowa zasłona z falbanką przykrywająca jej patelnie i gamki. Lamówka tego perkalu w kratkę była ozdobiona haftem angielskim. Po prostu cierpiał teraz patrząc na to.

– Chcesz tu przychodzić i bawić się w domy – mówiła Ellie. – A wiesz dlaczego? Bo ty nie możesz spojrzeć w oczy swojemu prawdziwemu życiu i swojej żonie w ciąży... To ci dopiero czas, żeby od niej odskakiwać!

– Ty nie rozumiesz.

– Za głupia jestem?

– Nie. Nie jest tak, jak myślisz.

– Myśleć nie mogę? – zapytała. – Nie wolno mi.

– Nic.

– Nie wolno.

– Słuchaj – powiedział – nie jest tak.

– Jest!

– Nie jest! Słuchaj, to nie jest moje dziecko.

– Co? – Usiadła na stołku przy zlewie.

– Ona nosi to dziecko dla swojej siostry. Zagapiła się na niego. – Powiedz jeszcze raz.

– To wszystko było uzgodnione. Została no... zapłodniona przez mojego szwagra. Kiedy urodzi to dziecko, da je swojej siostrze.

Ku jego zgrozie Ellie zaczęła się uśmiechać. – Wymyśl inną historyjkę.

– Wiem, że to się wydaje dziwaczne, ale to prawda.

– Ty rzeczywiście myślisz, że się urwałam z choinki?

– Nie! – wrzasnął.
– Uważasz mnie za idiotkę, wiedziałam, ale żeby aż tak...
– Posłuchaj!
– Och, zamknij się! Po dziurki w nosie mam twoich kłamstw. Kłamiesz żonie, kłamiesz mnie, nie wiesz, czy przychodzisz, czy wychodzisz...
– To jest prawda!
– Ja szukam kogoś porządnego, żeby był ze mną uczciwy!
– To prawda, to o mojej żonie.
– Zachowaj te bujdy dla swojej pleple fidrygalskiej „Metropolii”. No, wynoś się! – Podeszła do kominka i zrzuciła niebieskiego porcelanowego kota, prezent od niego, na podłogę. Dywan był miękki, więc kot się nie stłukł. Podeptała tę niebieską porcelanę. – Wynoś się! – wrzasnęła. Jeszcze raz podeptała.
Ollie musiał się odwrócić, bo poniżej jej godności było zrobienie mu takiej sceny. Żałował, że ten cholerny kot się nie daje. – Posłuchaj... – zaczął.
– Och, milcz!
Wstał i spróbował ją objąć, ale odepchnęła go, zdumiewająco silnie, aż się zatoczył.
Zrezygnowała z tłuczenia. Wzięła z krzesła jego koszulę i smyrnęła w niego. Chybiła. Rękawy jak skrzydła stuliły się na dywanie.
– Ja ci ją nawet prasowałam! – zakrakała.

*

Zawsze z pobytom u ciotki, a już szczególnie u ciotki podstarzałej, łączy się poczucie bezpieczeństwa. Ann i Viv na wyspie Wright gościły u swojej ciotki Dot. Ta niezamężna siostra ich matki mieszkała od zamierzchłych dla nich czasów w parterowym domku niezupełnie z widokiem na Freshwater Bay. Była już stara, krótkowzroczna, niczego nieciekawa. Ani razu w ciągu tego tygodnia nie zapytała o ich mężów, których nigdy zanadto nie lubiła. Dziewczynki dobrotliwie tolerowała i dała im nieodpowiednio dziecinne prezenty – plastikową składankę oraz „Bambi”, kieliszek do jajek – które kupiła na misyjnej giełdzie staroci. Rzadko wychodziła z domu, więc one swobodnie we cztery włóczyły się po wiejskich drogach między pokrytymi kurzem żywopłotami, nadeptując przejechane ropuchy płaskie jak tektura. Zrywały wczesne jeżyny, gramoliły się na śliskie głązy nad morzem, gdzie wydawało się, że nieprzerwanie jest przyływ. Po raz pierwszy od miesiący Viv czuła się zdrowa i silna. Ze strachem myślała o powrocie do Londynu.

Ale, oczywiście, wróciła. Przyjechały po południu. Gdy wyładowały rzeczy z samochodu, Belle, sąsiadka, zauważyła: – Viv, wyglądasz urodziwie.

W domu Viv zapytała Ann: – Nie wiesz, co dla niej znaczy „urodziwie”?

Ann wiedziała. – Grubo. – I zapytała: – Powiesz jej?

– Że jestem w ciąży, tak. Nic więcej. Zaczekamy, aż ono się urodzi. Musimy spotkać się we czworo, ustalić wersję.

Dziewczynki pobiegły na huśtawki. Viv zaczęła opróżniać ich torby plażowe. Poleciały kamyki, trzeszczące suche wodorosty, plastikowa butelka i sporo piasku. Krzywiąc się, Viv

wyrzuciła butelkę.

– Myśmy też zbierały kamyki – powiedziała Ann.

– Nie byliśmy wtedy matkami. – Viv się uśmiechnęła. – Zobaczysz, jak to jest mieć w szufladach w kuchni pełno kamyków do przedziurkowania kiedyś i nawleczenia też kiedyś, żeby były z nich naszyjniki, i potykać się na schodach o stare kasztany pod chodnikiem, i dostawać mnóstwo wzruszających prezencików zrobionych w szkole, klejonych z opakowań Chrupek Ryżowych i rozklejających się, ale przecież nie sposób je wyrzucać do śmieci...

– Wprost nie mogę się tego doczekać – powiedziała Ann. Viv ociężale usiadła. – Wcale nie chciałam tu wrócić.

– To wszystko przeze mnie.

– Nie.

– Robisz to dla mnie i co teraz pomiędzy tobą i Olliem...

– To była moja decyzja – powiedziała Viv. – Szkoda, że on jest niezdecydowany.

– Chyba tylko ty jedna potrafisz się decydować.

– O co mu chodzi? – Viv westchnęła.

– Sam nie wie.

– A czy wie którekolwiek z nas?

Ann wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. – Ty wiesz i ja wiem. o co nam chodzi. – Podeszła do telefonu. – Muszę być w biurze.

– Dzisiaj?

– Zadzwońię po taksówkę.

– Perła biznesu – powiedziała Viv.

Nakręcając numer Ann zdjęła z szyi naszyjnik z muszelek i zsunęła z nóg plastikowe sandały. Ze słuchawką przy uchu, sięgnęła po swoją torbę, wyciągnęła pantofle na wysokich obcasach. Viv wstała i włożyła siostrze naszyjnik z muszelek z powrotem na szyję. – Nie bądź perłą zanadto – powiedziała.

Ann uśmiechnęła się. Nagle Viv usiadła. Ann rzuciła słuchawkę na widelki. – Co ci jest? – zapytała niespokojnie.

Viv przyłożyła sobie jej rękę do brzucha.

– Skutek morskogo powietrza – szepnęła.

Czas na chwilę przystanął. Dziecko się poruszyło.

*

W dziesięć minut po wyjściu Ann dały się słyszeć kroki na schodach. Wpychając rzeczy do pralki, Viv znieruchomiała. To był Ollie. Rozczochrany, kaprawy. – Cześć – powiedział.

– Dlaczego nie jesteś w pracy?

– Podlewałem rośliny. Pociągnęła nosem. – Nażłopałeś się.

– A ty byś nie piła?

– Gdzie spałeś? – zapytała.

– W gabinecie. – Rozejrzał się. – Gdzie dziewczynki? Wskazała okno. – Na dworze, ze swoją ferajną.

– Tylko się z nimi przywitam i już mnie nie ma. – Podeszedł do drzwi, zatrzymał się na progu. – Czy mogę... zakładam, że nie masz nic przeciwko temu, żebym dzisiaj też spał w gabinecie. I żebym zobaczył się z małymi?

– Oczywiście, że nie. Tęsknią do ciebie.

Popatrzył na kratę, na rozkład zajęć na kołku. Pomyślała z lękiem, że szybko jej najbliższy przyjaciel staje się jej wrogiem i że ani on, ani ona nie zdołają tego zahamować. I jak zmniejsza się zakres bezpiecznych tematów – coraz mniej mogą sobie powiedzieć. A przedtem zawsze rozmawiali. *Rozmowy, rozmowy*, on wrzasnął tamtego dnia.

– To dobrze. – Ollie odchrząknął. – Ellie wyjechała i...

– Och, rozumiem – powiedziała cierpko. – Za trudno być zdanym na siebie.

Trzaskając drzwiami Ollie wyszedł z domu. Usiadła beznadziejnie na stercie prania. Nie powinna była tak mówić.

Po chwili złapała oddech, gdy dziecko w niej znów się poruszyło.

*

Viv śniła się plaża. Jest odpływ, piasek, taki płaski w słońcu, rozciąga się w nieskończoność, w wiekiistość do horyzontu. Ona siedzi na piasku i usiłuje zakopać jakieś niemowlę. Wzburzona, nabiera piasek garściami, ale równie prędko te dołki napelniają się wodą. Niemowlę przy niej leży nieruchomo. Nie przejęte niczym, nawet tym, że jest upačkane błotem. Nie piaskiem, właśnie błotem, a ona nie rozumie, dlaczego.

Rozważając to, Viv nagle się obudziła. Twarz miała mokrą od łez. Ze zdziwieniem i ciekawością przesunęła palcami po policzkach.

Jakiś ruch był w ciemnościach. Wyciągnęła rękę. To Daisy wgramoliła się do jej łóżka.

Viv mocno objęła ramieniem swoją córkę.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Nadszedł koniec sierpnia, dzień ślubu Douglasa i Very. Teraz odbywało się wesele. W domu panował tłok, goście schylali głowy pod obwisłymi serpentynami Viv. Już ogólnie wiadano i, co więcej, widziano, że ona jest brzemienna; nie poza tym. Jak na wszystkich weselach wynurzały się z mroków niepamięci twarze, rozlegały się okrzyki rozpoznania. Był wuj Phil, brat Douglasa, tęższy jakiś niż dawniej. Była siostra Ollie'ego. Caroline. błyszcząco czarnowłosa, jak z obrazu Johna Sloan, bardzo angielska ze swymi dużymi rękami i nogami. Część towarzystwa wyległa do ogrodu. Lawirując w ciżbie, Rosie i Daisy podjadały co się dało i z pozostawionych bezpiecznie kieliszków spijały resztki szampana. Obie w sukienkach koloru młodzieńskich listków, tak jak chciała Vera. Daisy szarfa się rozwiązała.

Ann napełniła kieliszek jakiemuś ponuremu olbrzymowi. Ruchem głowy wskazał jej państwa młodych.

– Poznali się w naszym klubie, wie pani – powiedział. – Od razu wiedziałem, że ich do siebie ciągnie na tym naszym wieczorku z domowym winem i serem.

Przyłączył się jego kolega. – Ale to nie jest klub samotnych serc, niech pani nie myśli. To dla ludzi mających zainteresowania Ten ponury zauważył: – Ona to przystojna kobieta.

Ann popatrzyła na Verę w kremowym kostiumie z kwiatkami w butonierce.

– Tak – potwierdziła.

– Więc pani jest tą starszą Douga. Przytaknęła. Popatrzył na Irenę stojącą nie opodal, jedzącą pizzę. – Ale więcej wzięła pani z mamusi. Znow przytaknęła.

– Przepraszam – powiedziała i z butelką szampana poszła dalej.

Wuj Phil podszedł do Ollie'ego i szturchnął go – Więc się uwinąłeś?

– Co?

Phil wskazał Viv. Ollie uśmiechnął się półgębkiem.

*

Viv częstowała gości pasztecikami. Ciotka Ree nadgryzła pasztecik i powiedziała zniżonym głosem: – Pewnie tym razem chcesz chłopczyka.

– Wszystko mi jedno – powiedziała Viv. – Proszę, niech ciocia weźmie jeszcze. To dzieło Ann.

Tak się denerwowała, że sukienka przyłgnęła jej do pleców. Od czasu do czasu spoglądała na Ollie'ego albo na Kena, którego nie widziała od wielu tygodni, albo na swoje dziewczynki, błagając je w duchu o dyskrecję. Teraz, kiedy wydawała to przyjęcie, pragnęła, żeby już się skończyło.

Przeszła obok Ann. Uśmiechnęły się do siebie konfidencjonalnie.

– W porządku? – zapytała Ann szeptem.

– Wiszę na włosku – odpowiedziała Viv. Ann pokrzepiająco uniosła kciuki i ruszyła dalej między gości.

*

Caroline zagaiła rozmowę z wujem Philem. – Jestem siostrą Oliyera. Poznaliśmy się na ich weselu. Pamięta pan?

– Jak mógłbym zapomnieć – powiedział z galanterią. – Więc jak się pani trzyma?

– Pracuję w Brukseli.

– Przyjechała pani specjalnie na to?

Potrząsnęła głową. – Mam kłopoty z mieszkaniem. Muszę znaleźć nowego lokatora.

Ollie, podchodząc, zainteresował się tym. – Nowego lokatora? – powtórzył pytająco.

*

Ciocia Dot siedziała przy Verze. Zapytała: – Była pani kiedyś w Ventnor?

– W Ventnor? – Vera nie wiedziała, gdzie to jest.

Ale akurat nawinęła się Rosie, która nadal polowała na smakołyki. Ciocia Dot machinalnie pogłaskała ją po głowie.

– One cały dzień bawiły się na plaży, prawda, kiciuniu? Rosie powiedziała: – Nie mogę znaleźć moich kamyków.

*

Irenę zablądziła w okolice swego byłego męża. Przystanęła przed nim, uniosła brwi. – Wyglądasz jak kot, który dobrał się do śmietany.

Douglas odpowiedział: – Bo się dobrałem.

Ollie skręcił w stronę przechodzącej Ann. – Można by sadzić rzodkiewki – szepnął przysłaniając usta ręką – w tych kłamstwach, które wciąż powtarzam.

*

Jesteśmy jak balet, pomyślała Viv, tańczymy z gracją, nie wpadamy na siebie. W głowie jej się trochę kręciło. Powinam przestać pić, bo przecież dziecko. Czuliła się za dziecko dodatkowo odpowiedzialna. W tłoku napotkała wzrok Kena. On był w jasnym garniturze, w którym nigdy dotąd go nie widziała. Jakiś błady. Odwrócił się.

Caroline zawiązywała szarfę Daisy. – Ja w waszym wieku – powiedziała – byłam na pensji.

– Chcę być na pensji.

– Nie widywałam się z rodzicami.

Viv przechodziła, zatrzymała się. Caroline wciągnęła ją do rozmowy. – Właśnie mówię, że my najpierw pod opieką niani Roberts, a potem w internatach, nigdy nie widywałyśmy się z rodzicami.

– Szczęśliwe dranie – powiedziała Daisy.

– Ollie – dokończyła Caroline – uważał, że rodzice się nas pozbyli.

– Naprawdę? – Viv to zaciekawiło.

– Co za sens mieć dzieci? – mówił. – Żeby się ich pozbywać?

– Caroline wzięła kawałek pizzy. – Ale tak się w tamtych czasach robiło, czyż nie?

*

Douglas poklepał Ollie'ego po plecach. – Rzeczywiście wyprawiliście nam wesele.

– To dzięki Viv i Ann.

– Tutaj o wiele lepiej niż w hotelu.

– Och, Viv lubi być u steru – powiedział Ollie bełkotliwie.

*

Viv, stojąc przy zlewozmywaku, opryskała się wodą. Słabo jej było z wysiłku. Muślin sukienki oblepiał ją jak błona. Suszarkę zapełniały puste talerze po pizzy. Ken nie odezwał się do niej ani słowem i, co gorsza, Ollie także poza sporadycznymi *Gdzie są serwetki?* Patrzyła na swojego męża. Jest wysoki, zawsze można wypatrzyć go wśród tłumu. Czy ktokolwiek domyśla się, że nie wszystko jest w porządku? Ollie stał w ogrodzie. Nad jego głową zwisły gruszki z gruszy za płotem sąsiadów. Z tymi gruszkami symbolizował zrównoważoną niepewność. Przypomniała sobie, jak w zeszłym roku we czworo zrywali je pod osłoną ciemności i jak on powiedział, że mają smak wiórów z jego szkolnych godzin stolarki. Uciechą było – niedoskonałą – ich małżeństwo. Ale uciechą. Viv odeszła od zlewozmywaka i uśmiechnęła się do najbliższego nieznajomego gościa. W tym roku nikt z nich czworga nawet nie zrywał gruszek.

Irenę trąciła łokciem Verę. – To specjalnie tak? – zapytała pół żartem.

– Co, proszę?

Irenę podniosła rękę: jej sukienka pod pachą trzasnęła. Frank stał niedaleko. Irenę zwróciła się do niego: – Uszyła mi kreację i popatrz.

Vera powiedziała: – Mówiłam, że za obcisła. Frank ryknął śmiechem. – Ja też mówiłem.

Viv znalazła się przy Kenie. – Jeszcze szampana? Potrząsnął głową.

– Jak tam z twoim ośrodkiem ogrodniczym? Po chwili powiedział: – Wyglądasz...

– Grubo.

– Pięknie. – I odszedł.

*

Douglas, teraz sentymentalny, siedział na klatce królików. Ollie usiadł przy nim.

– To jest najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

– Napij się jeszcze. – Ollie napełnił mu kieliszek.

– Pamiętasz wasze wesele? Jak ten mały cudak grał na czymś...

– Na sitarze.

– Aż później pierze leciało.

Ollie przytaknął. – Znasz moich rodziców. Podeszła do nich Caroline.

– Myślę, że już oswoili się z Viv. Na starość są bardziej tolerancyjni.

– Ona była zrywna. – Douglas się uśmiechnął. – Zawsze gotowa rozrabiać.

– Mnie to mówisz – burknął Ollie.

Rosie podeszła do cioci Doli W objęciach trzymała królika. – Bertie umarł – oznajmiła. – Ten jest nowy.

Ollie szepnął do Caroline: – Siostrzyczko, rzeczywiście szukasz lokatora?

– A bo co?

*

Niebo pociemniało. Gdzieś w dali pomrukiwała burza. Goście podnosili głowy.

Douglas siedział sam na klatce królików. Już zdjął krawat, rozpiął koszulę. Ann usiadła przy nim. – Wszystkiego najlepszego, Doug.

– No – powiedział – nazywaj mnie tatą. Przynajmniej dzisiaj.

– Więc tato.

Pogłaskał ją po kolanie. Kapnęła ciężka kropla deszczu. Pod nimi króliki wierciły się niespokojnie.

Ten ponury, którego nazwiska nikomu nie udało się dosłyszeć, trochę się rozpozgodził. Klepnął ciotkę Ree w ramię i wskazał panią młodą.

– Dla takiej chyba warto było się rozwieść – powiedział.

Wuj Phil przykucnął przed Daisy i potargał jej włosy. – Cieszysz się, że będziesz miała siostrzyczkę albo braciszka? – zapytał.

Ann była w pobliżu. Zamarła.

Daisy odpowiedziała: – Tak.

Po chwili wuj Phil odszedł. Ann pochyliła się nad dziewczynką. – Brawo – szepnęła.

Coraz gęściej kapwały krople deszczu. Niebo groziło. Goście szemrając wchodzili do domu. Irenę muskała chusteczką oczy pełne łez.

– Co ci to, kaczuszeko? – Jej przyjaciel Frank objął ją ramieniem.

– Te śluby – wyszłochała.

Krople plaskały na klatkę królików. W ogrodzie opustoszało, ale Ken jeszcze się ociągał przy zbiorniku kompostu. Ollie podszedł do niego. – Wiele wody upłynęło – powiedział.

– Tak.

Był pijany. – Porozmawiajmy chwilkę – zaproponował. Ken spróbował odejść.

– Nie opuszczaj mnie – poprosił Ollie, opierając się o obmurowanie zbiornika. Deszcz padał już ulewny. W ogrodzie było pusto. – Jak powiedział mi mój naczelny... porozmawiajmy.

– Tak powiedział?

– Kreatura.

– Lepiej wejdźmy pod dach – zauważył Ken.

– Może znajdzie się dla mnie wolna posada w tym usuwaniu grzyba? – zapytał Ollie. – Jak myślisz?

– Myślę, że powinniśmy wejść do domu. – Ken moknął.

– Gapią się na nas.

*

W pokoju dziennym było tak ciemno, że Viv zapaliła reflektory. Deszcz zalewał okna. Błysnęło, reflektory mrugnęły. Huknął grzmot, jakby niebo pękało.

Viv stanęła na krześle. – Proszę państwa. Proszę o ciszę.

– Przerwał jej następny grzmot. Jej audytorium ucichło.

– No, zaczynamy z hukiem – powiedział Douglas. Wuj Phil ryknął: – Jednego huku mało ci było?

– Cicho! – krzyknęła Viv. Podniosła swój kieliszek. – Zdrowie taty i Very.

Wszyscy wypili toast na cześć państwa młodych. Vera pokroiła tort. Za oknami chlustała taka tropikalna ulewa, jaka raczej ożywia, niż przygnębia. Nad płotem ogrodu gruszki podrygiwały w podmuchach wiatru.

Vera odchrząknęła. – Chcę tylko powiedzieć... – Urwała. Jeszcze raz zaczęła, już wyraźniej: – Chcę tylko podziękować Viv i Ann za ten cudowny dzień...

Zaszemrano potwierdzająco.

– Wiem, że jest zwyczaj, żeby pan młody przemówił – ciągnęła – ale...

Douglas dotknął jej ramienia. – Przemawiaj, jak ci się podoba, Vee. Jesteśmy tu w domu wyzwolonym.

– Ja tylko chcę... musicie wybaczyć mój angielski, ale czuję wielkie wzruszenie. – Denerwowała się, była jednak zdeterminowana. Douglas potakiwał łaskawie. – Ten uroczy dom. Ta rodzina. To wszystko jest bardzo drogocenne. Miałam tylko jedenaście lat, kiedy moi rodzice ukryli mnie na wsi pod Wiedniem u jednej życzliwej rodziny. Więc przeżyłam dwa dzieciostwa...

– Dzieciństwa – poprawiła ją Viv.

– Dzieciństwa, tak. A moją własną rodzinę straciłam co do jednego. Ojca, matkę, moją ciotkę Helgę taką piękną, taką pełną życia... i jej dwa dzidzusię. Nie ma ich.

Wszyscy słuchali uważnie tej niespodziewanej przemowy. Viv popatrzyła na męża stojącego w drugim końcu pokoju. Marszczył brwi, włosy miał mokre. Napotkał jej spojrzenie i odwrócił wzrok. Pomyślała: przez cały czas tego wesela staram się nie patrzeć ludziom w oczy. I pomyślała: jaka trzeźwa wydaje się Vera w porównaniu z nimi wszystkimi.

Vera ciągnęła swoje.

– Zostałam jedna jedyna. Nieraz uważałam, że nie powinnam żyć. Ale pokochała mnie moja nowa rodzina i przekonałam się, że życie musi iść dalej i że jest najdrogocenniejsze. I że rodzina, każda rodzina to cudowna rzecz i trzeba ją miłować. – Patrzyła na tort z lukrem splekanym pod jej nożem. – Teraz podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Viv. – To cudownie mieć ludzi, którzy cię kochają, cokolwiek robisz, nawet jeżeli nieraz nie rozumieją. – Powiodła wzrokiem po wszystkich z twarzy na twarz. – Więc tylko chcę powiedzieć... przepraszam, zajmuję wam tyle czasu... że jestem bardzo szczęśliwa, bo znowu jestem częścią czegoś, i to takich miłych ludzi. I mam nadzieję, że możemy wypić jeszcze dużo więcej butelek szampana wszyscy razem.

Usiadła. Zaległa cisza, a potem huknął grzmot. Kilka osób z wahaniem zaczęło klaskać, reszta się przyłączyła.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

To mieszkanie nadal wyglądało tak, jakby Ollie dopiero co się wprowadził. A przecież zajmował mieszkanie siostry już od sześciu tygodni. Jego bałaganiarstwo miało charakter kawalersko prowizoryczny. Walizki nie rozpakował, kosz na śmieci przepelniały puszki po piwie.

Ta kamienica stała niedaleko Albert Hall, w okolicy, którą Ollie zawsze uważał za nudną i za bardzo wyściełaną. Szybko stwierdził, że inni lokatorzy to albo Arabowie, albo dziewczyny dobrze wychowane jak jego siostra, wyposażone w mieszkania przez swoich tatusiów i emablowane przez młodzieńców rżącym śmiechem, aż mu ciarki chodziły po skórze. Mieszkał w ciągłym półmroku, nie rozsuwając zasłon, mówiąc sobie, że cierpienie przynajmniej pomoże wykuć arcydzieło. Jego maszyna do pisania czekała na stole wśród rozrzuconych notatek. Nigdy dotąd nie był tak samotny.

Można stracić orientację, przez ile godzin ciągnie się dzień, kiedy człowiek nie jest u siebie w domu. Ollie zaczął nawet grać na fortepianie – Caroline, utalentowana pianistka, miała w saloniku starego rodzinnego Bechsteina.

Właśnie do połowy dograł *Jeźdźców burzy*, gdy rozległo się pukanie i weszła Caroline.

– Cześć, siostrze – powiedział okręcając się na taborecie. Caroline postawiła walizkę na podłodze. – Od wieków nie słyszałam, jak to grasz.

– Od wieków nie grałem. Dlatego mój repertuar taki staroświecki.

– Straszny byłeś w latach sześćdziesiątych – powiedziała. – Pachniałeś bardzo starym dywanem i ciągle się uśmiechałeś. Pewnie przez te narkotyki.

Okręcał się powoli. – Zwyczajnie znajdowałem wtedy więcej powodów, żeby się uśmiechać.

– Jak ci leci? Mogę tu przenocować?

– To jest twoje mieszkanie – powiedział.

– Nie spodziewasz się nikogo?

– Nie. – Dalej się okręcał. Chociaż może przyjść jedna. To blondynka, Finka, i ma opalone długie uda. Nic nie mówi, tylko z niemym uwielbieniem wpatruje się we mnie. Nie wymaga niczego prócz mojej przygasłej, ale jeszcze tętniącej słabo męskości.

Caroline się uśmiechnęła jak szóstoklasistka, która zastała w swoim pokoju kolegę z młodszej klasy.

– Chcesz, żebym zaparzyła herbatę?

– Nie zostało ani trochę.

– Jesteś beznadziejny. Więc kawę.

Weszła do kuchni. Usłyszał prychnięcie ostentacyjnie głośne.

– Przepraszam – zawołał. – Zabrakło worków na śmieci.

– Nie w tym rzecz – powiedziała wracając do saloniku. Pokazała mu trzy puste butelki po whisky.

Przytaknął. – Uczę się być alkoholiczkiem. Nowe życiowe doświadczenie.

Westchnęła i poszła z powrotem do kuchni. Cicho grając na fortepianie, pomyślał, że gdyby Caroline nie była jego siostrą, nie miałby z nią nic a nic wspólnego. To taka rozsądna paniusia w średnim wieku, chwilami wydaje się drugą Ann, tyle że bardziej uprzywilejowaną.

Przyniosła dwa kubki kawy. – Jeszcze nigdy nie widziałam takiej masy pudełek z garmażerii – powiedziała. – Uważałam cię za mężczyznę podobno emancypowanego. A ty chyba nie umiesz nawet ugotować jajka.

– Słuchaj, Caro, powinnaś coś wiedzieć o mojej żonie.

– Co?

– Mieliśmy być małżeństwem na równych prawach. Ale mowy nie ma o równych prawach z Viv.

– Dlaczego?

– Ona chce... chciała rządzić wszystkim. Gotowaniem, seksem, życiem. I rządziła. Nie było żadnej emancypacji. Tylko używaliśmy takich wyrazów. – Jednym palcem zagrał grę od końca od początku, pełen litości nad sobą.

– Ollie, czy mogę być szczerą?

– Nie cierpię, kiedy ludzie tak mnie pytają.

– To dobrze, że się jej pozbyłeś. Ona sztydziła z nas. Miała fatalny wpływ na ciebie. Zawsze byłeś słaby, a już przy niej...

– Przestań.

– Co?

– Nie mów tak o niej.

– Dlaczego? Ty zawsze mówiłeś...

– Mnie wolno – powiedział. – Kocham ją.

– Nadal?

Odkręcił się z taboretom do siostry. – Jednej rzeczy w Viv nie rozumiesz. Nikt z was nigdy nie rozumiał. Ty i nasi rodzice ze swoim kseresem i drętwą mową, i Marcus, kiedy tkwi tam w Hong Kongu na swojej nudnej jałowej posiadzie i poucza, jak uniknąć zapłacenia podatku i jakie kupić stereo. Nikt z was nie pojmuje tego w Viv. Ona żyje.

– Więc my to nieboszczycy?

– Nie. Ja tylko mówię, że ona żyje.

Lekceważąc kawę, wstał z taboretu, poszedł do kuchni i otworzył puszkę piwa. Było eksportowe potrójne. Właśnie to, które mężczyźni z okolicy jego domu, nie tak kulturalni jak on, pili w sionkach splajtowanych sklepów. Pijąc takie piwo, nadawał fałszywie swojej degrengoladzie rodowód uliczny i ponadto upijał się szybciej.

Wrócił do saloniku. Caroline powiedziała: – Możesz sztydzić z naszej rodziny, ale kiedy masz kłopoty, ta rodzina jest przy tobie.

Wypiła kawę, wyniosła oba kubki do kuchni. Zszedł jej z drogi.

– I raczej nie odmówiłeś przyjęcia zapisu w testamencie cioci-babci Flo.

– Był dla mnie.

– Wiesz, co kupię za mój? – Podciągnęła kuchenną żaluzję. Zamrugał w blasku słońca. – Gofa kabrioletlimuzynę. W Brukseli to po prostu szął.

Powiedział: – Ja kupię sobie czas. – Wskazał przez otwarte drzwi maszynę do pisania.

– Dlaczego odszedłeś z „Metropolii”? – zapytała. – Nie mów, że stałeś się torysem.

Potrząsnął głową. – Po prostu straciłem wiarę. – Przytknął puszkę do usł – Zdecydowałem się wniknąć w siebie.

– Boże – powiedziała siostra i westchnęła. – Nic, tylko kaftan bezpieczeństwa.

Viv zatrzymała się przy kiosku z gazetami. Zobaczyła kartkę „Na sprzedaż”. Wyjęła z torebki długopis, zanotowała szczegóły.

Jeszcze słońce świeciło. Kioskarz, pan Gupta, stał w drzwiach. Zniknął na chwilę i wrócił. Wręczył jej plik magazynów „New Society”.

– Pani mąż już ich nie odbiera.

Wzięła te magazyny. – Może od dzisiaj niech pan je skreśli – powiedziała i serce jej się ścisnęło. Bolesnie rozstrzygające wydają się takie sprawy. A ostatecznie to zwykle odwołanie zamówienia.

Żeby już o tym nie myśleć, wskazała trzy małe dziewczynki, które pan Gupta usiłował zagonić na zaplecze kiosku.

– Nie wszystkie pana, prawda?

– Dwie są mojego szwagra. Mieszkają na górze.

– Nigdy się panu nie myli, która jest czyja? Uśmiechnął się grzecznie. No, bo oczywiście uznał to za żart.

Gdy odchodziła od kiosku, majestatyczna teraz w zaawansowanej ciąży, pomyślała: może w Indiach radzą sobie z tymi sprawami lepiej.

*

Tylko te, które były brzemiennie, wiedzą, że ciąża czyni z nich własność publiczną. Obce dzieci głaszczą je po brzuchach i wypytyują; kobiety zwierzają się im, opowiadając krepująco dokładnie swoje przeżycia przy porodzie z żylakami i wzdęciem. Odpłciowione ich ciała już nie należą do nich, są pojazdami reprodukcyjnymi, które w klinikach prowadzi się na pełny gaz najchętniej wtedy, gdy patrzy dwudziestu studentów.

Dawniej Viv, w odróżnieniu od większości kobiet, napawała się tym wszystkim, pewnie dlatego, że – jak Ollie jej tłumaczył – zawsze chciała być pępkiem świata. Tym razem jednak czuła się w ciąży nieswojo. Czuła się poniekąd oszustką. Wobec Belli, na przykład, sąsiadki, która przeszła ginekologiczne koleje losu bardziej ponure niż Ann, a przecież miała pięcioro dzieci, teraz już dorosłych. Bella lubiła porównywać notowania i zawsze była sąsiadką czujną, co budziło nieufność.

Więc i teraz, gdy Viv przysła do domu z wózkiem niemowlęcym – samochodu i dziewczynek nie było, Ollie zabrał je na całe popołudnie – Bella oczywiście ją wypatrzyła. – Przygotowujemy się? – zapytała. – Długo to jeszcze?

– Sześć tygodni – odpowiedziała Viv, rzeško wtaczając wózek do hallu. Zamknęła za sobą drzwi.

Ale tak jak jej matka mawiała a propos porodu: *łatwiej wchodzi niż wychodzi*, trudniejszą sprawą było wytaszczenie tego wózka z domu, żeby go dostarczyć do Ann. O szóstej, gdy już

się ściemniło i samochód został zwrócony, Viv ukradkiem jak włamywacz wyszła z wózkiem przykrytym kocem. Rozejrzała się po pustej ulicy, wepchnęła wózek na tylne siedzenie samochodu, zatrzasnęła drzwiczki.

Wyprostowała się, zasapana Plecy ją bolały. Właśnie w takich chwilach, przy oddawaniu siostrze praktycznych usług, łąpał ją ból. Dzień za dniem mogła bytować w tym powolnym rytmie krowiego przeżuwania, jaki narzuca ciąża, i w ogóle nie myśleć. Ale taszczenie wózków... prawdziwa mordęga, prawdziwy pot. Przypomniała sobie, że w przyszłym tygodniu ma pójść z Ann do Mathercare. Żeby tam stanąć w jasnych światłach i kupować opakowane w celofan miękkie białe pieluszki dla nowego ludzkiego stworzenia, które kopie ją uporczywie i którego dla dobra wszystkich nie wolno jej nigdy uznać za swoje.

*

– Budę nasuwa się tak. Popatrz. – Viv demonstrowała zalety wózka w kuchni Ann. – Rzeczy po Daisy wszystkie dawno oddałam – tłumaczyła.

– Ale, Viv...

– No, to prezent ode mnie. Był szalenie tani. Z ogłoszenia w kiosku; kiedy tam przyszłam, ktoś już chciał go kupić, ale ich uraczyłam pewną historyjką...

– Ale, Viv, jest stary.

– Ma niecałe dwa lata.

– Ale myśmy mieli kupić, Ken i ja...

– Te nowe kosztują fortunę. Przecież nie warto na kilka miesięcy.

– Ale... to znaczy... – Ann urwała zakłopotana i grzeczna, jak gdyby Viv była sąsiadką, która wpadła nie w porę. – To znaczy, myśmy chcieli nowy.

– Dlaczego?

Ann dotknęła uchwyty wózka. Spojrzała na Viv, zarumieniona. – To będzie nowe dziecko.

– Moje dzieci też były nowe.

– Ale to... będzie szczególne.

– Wszystkie dzieci są szczególne – ucieła Viv.

Zaległa cisza. Nie wiedziały, ani jedna ani druga, co powiedzieć. Gdyby nie fakt, że to moja siostra, pomyślała Viv, cóż na Boga miałybyśmy ze sobą wspólnego? Tym stwierdzeniem dawniej by się nie przejęła. Teraz poczuła nieledwie panikę.

Z sercem ściśniętym popatrzyła na przybudówkę, którą Ken ukończył w lecie. Dla dziecka, żeby miało gdzie się bawić. Rozsuwane drzwi prowadziły do ogrodu, aluminiowe z podwójnymi szybami. Zawsze uważała, że tego rodzaju drzwi świadczą o guście beznadziejnie podmiejskim – akurat w stylu Ann i Kena. No i rzeczywiście takie właśnie sobie zrobili.

Zniecierpliwiona weszła do saloniku. Nagle strasznie jej brakowało Ollie'ego. On zawsze żartował z uparcie zarabianych dóbr konsumpcyjnych Ann i Kena – z tego, że odkurzają samochód i spisują alfabetycznie swoje kasety wideo. Ollie jest snobem tak jak ona. I też jak ona buntował się przeciwko swojemu pochodzeniu, chociaż – nie tak jak ona – pochodzi z

wyższych sfer.

I też jak ona uważał się za wolnego duchem, owszem... ale kto jest wolny duchem, kiedy już doszło do tej podbramkowej sytuacji? O ileż byłaby spokojniejsza, gdyby mogła mu powiedzieć, jak się czuje. Tylko od kogoś, kto ją rozumie, chciałaby usłyszeć, że jest niemądra.

Ale czy niemądra?

Weszła Ann. Viv oglądała książki stojące na dwóch niedużych półkach – romanse w papierowych okładkach i „Cuda kulinarne z siekaniny”. Jakiś demon jej podszeptął komentarz: – Ten dom – niezamierzenie podniosła głos – przypomina mi naszych rodziców. Oni też nigdy nie mieli książek.

Ann znieruchomiała. Po chwili podeszła do okna. Za oknem było ciemno i mgliście. Zasunęła zasłony. Odwróciła się, w tym momencie podobna do Very sprzed tygodni przed ślubem. Miała ten sam wyraz napiętej godności na twarzy. Zamiast odciąć się Viv. powiedziała tylko: – Dziękuję za wózek. To ładnie z twojej strony.

Przeszły do hallu i stanęły przy drzwiach frontowych. Viv bawiła się kluczykami samochodu. Już miała wyjść, gdy Ann powiedziała: – Nie jest tak, jak u rodziców. Nie jest tak, jak u ciebie. – Otworzyła drzwi. – Jest właśnie tak, jak ma być u nas.

Viv wyszła na ulicę, między latarnie w czapach mgły.

*

Ken wrócił później tego wieczora. W butach zabłoconych, w humorze wspaniałym. – Aż dziwne, że po dniu pracy tak chętnie jeszcze sobie flaki wypruwam, kiedy buduję dla siebie.

– Ściągnął z nóg buty. – To moje własne błoto. – Położył na stoliku w hallu plik rysunków. – Czy pojmujesz, że w historii budownictwa dzieje się coś nadzwyczajnego?

– Co? – zapytała Ann.

– Wszystko idzie ściśle według planu. Wnosząc buty do kuchni, zatrzymał się.

Weszła za nim, pełna obawy. W osłupieniu patrzył na wózek.

– Viv nam go dała – wyjaśniła.

– Viv? – zapytał ostro. – Kiedy ona tu była?

– Niedawno.

– Próbuje nas obdarowywać?

– Ken... – Położyła mu rękę na ramieniu. Odsunął się. Pomyślała: ta moja cholerna siostra. Podeszedł do drzwi od ogrodu i rzucił zabłocone buty gdzieś za próg. Ken, zwykle taki schludny. (Ach tak, zwykle też nie dostawał mandatów, bo nie parkował w miejscach niedozwolonych).

– Myślisz, że nas nie stać na kupienie wózka? – zapytał.

– Usiądźże.

– Co ona wyprawia? Co kombinuje? – Był bardzo wzburzony.

– Nie bądź dawnym Kenem – powiedziała. – Nie psuj wszystkiego.

Stał w skarpetkach, już milcząc.

Spróbowała znowu. – Ona tylko chce pomóc. Słuchaj, zadzwoń do niej.

– Co? – Wybałuszył oczy i twarz mu poczerwieniała.
– Pogawędź z nią. Podziękuj za wózek. Nie odpowiedział.
– Więc zadzwoń do Ollie’ego.
– Do Ollie’ego?
– Ollie ma złą passę. Byłoby mu przyjemnie. To oczyściłoby atmosferę. On cierpi.
– Teraz, kiedy siedzi w tej garsonierze w Kensington i pisze powieść?
– Cierpi, oczywiście. – Ostatnio Ann myślała o Olliem z większą sympatią. Może zachowywał się głupio, ale jakoś go rozumiała.

Ken patrzył na swoje skarpetki. Na dużym palcu była dziura.

– Ta jego ciotka, pamiętasz, jak uszczelniałem u niej i nie mogła sobie przypomnieć, kim jestem. Nawet chciała mi dać na piwo.

Ann uśmiechnęła się. – Szkoda, że nie wziąłeś. Byliśmy wtedy bez grosza.

Przez sekundę nie wiedziała, czy Ken się uśmiechnie. Równie dobrze mógłby się nasrożyć. W małżeństwie bywają takie chwile.

Ale tym razem Ken uśmiechnął się przelotnie.

*

Al stał przy oknie. Z ulicy dolatywały stukoty wysokich obcasów kobiet, które miały dokąd pójść!

Ollie zastanowił się i po chwili pisał na maszynie dalej. *Myślał o swojej żonie wymagającej tak dużo i o swojej kochance wymagającej tak mało. Znów nalał sobie whisky.*

Zadzwoił telefon. Ollie wstał, ale zanim zdążył odebrać, telefon przestał dzwonić.

Ken dał za wygraną.

*

... urodziła się maleńka dziewczynka. Wielka radość zapanowała na dworze. Nikt przy tym nie zauważył. Że wkroczyła Czarna Wróżka. Dopiero gdy w muzykę i śmiech wdarł się jej rechot, wszyscy zamarli pełni grozy – Viv przerwała czytanie. Rosie oczy się kleiły, Daisy ssała kciuk. Na podłodze leżały misie. One znów je zabandażowały.

Czarna Wróżka wrzasnęła – czytała dalej Viv. Przyrzekliście, więc jutro ja tu wrócę po tę waszą córeczkę. Zabiorę ją do mojej wysokiej baszty w borze i będę trzymać pod kluczem....

Obie dziewczynki już zasnęły. Viv zamknęła książkę.

*

Nazajutrz wieczorem Viv w starym szlafroku Ollie’ego poprawiała wypracowania. Miała katar, wycierała nos. Kości ją bolały.

Przed kominkiem stał kominek elektryczny, ale nie warto było go włączać dla jednej osoby. Przy zeszytach na stole stała puszka z sałatką ziemniaczaną. Od czasu do czasu Viv sięgała do puszki widelcem i machinalnie jadła.

Usłyszała dzwonek. Ze stęknieniem wstała. Poczłapała w kapciach do drzwi.

– Ken!

– Cześć – powiedział. – Przyszło mi na myśl, żeby...

– Wejdz. Jest jak w chłodni.

Wszedł do pokoju dziennego, zapalając papierosa. Ręka mu drżała, ale Viv powiedziała sobie, że to z zimna.

– Gdzie Ann? – zapytała.

– Na jakimś bankiecie.

Roześmiała się. – Niedługo zrobią z niej rotariankę. Ken milczał. Stał nad kominkiem elektrycznym, plecami do niej.

– Chcesz piwa? – zapytała – Proszę.

Przyniosła puszkę z lodówki. Poczuli się bardzo rozmowni. Znalazła dla niego szklanekę i zagaiła: – Jak oni tam będą sobie radzić bez niej?

– Właśnie.

– Powiedzą jej oczywiście: kobiety nigdy nie zagrzewają miejsca. Za dużo z nimi komplikacji.

Ken przytaknął.

– Na mężczyznach też nie można polegać. – Podała mu szklanekę.

– Słuchaj, Viv...

– Jak się posuwają prace budowlane?

– Świetnie. Słuchaj... Podsunęła mu puszkę z sałatką.

– Zjedz trochę tego. Dam ci drugi widelec, bo jestem zakatarzona.

– Nie, dziękuję.

Usiadła przy stole. Nabrała sporo sałatki na widelec dla siebie.

– Jedna z potajemnych wielkich przyjemności samotnego życia.

– Zjadła. – Podoba ci się wyprawka, którą kupiliśmy z Ann? Zaciągnął się jeszcze raz dymem papierosa i wyrzucił niedopałek na palenisko kominka. – Muszę z tobą porozmawiać.

– Więc rozmawiamy. O Ann i o dziecku.

– Nie. Chcę porozmawiać o mnie.

Uśmiechnęła się. Dłonie miała lepkie. – Fatalny pomysł.

– Muszę.

– Słuchaj, uzgodniliśmy, że...

Krzyknął: – Dosyć mam uzgadniania ze wszystkimi!

Krzyknął tak głośno, że odruchowo spojrzęła na schody. Podeszedł do drzwi sieni i zamknął je. Nie wrócił przed kominek. Stał przy zlewozmywaku. To był zły znak: ludzie zawsze stawali przy jej zlewozmywaku, kiedy mieli powiedzieć coś, czego nie chciała słyszeć. Zapragnęła mieć gorączkę i żeby to wszystko było gorączkową halucynacją. Potem mogłaby się ocknąć i wiedziałyby, że on w ogóle nic jej nie powiedział.

– Przez całe życie – zaczął – byłem dorosły. I dobrze się zachowywałem. Byłem najstarszym małym chłopcem na świecie.

Byłem małym starcem. Opiekowałem się matką i wkuwałem, żeby dostać się do gimnazjum. Pragnąłem być ich chlubą, bo nie mieli nic oprócz mnie. Jeżeli takie życie mnie nudziło, to oni tego nie zauważali, bo byli moimi rodzicami.

Przytaknęła. – Wiem! – Odprężyła się trochę: może będzie tylko snuł refleksje.

– Potem spotkałem Ann – powiedział. – I uznałem, że muszę się nią zaopiekować, sprawić, żeby poczuła się kochana. Bo wasz ojciec... no, wiesz...

– Wiem.

– Nigdy nie kochał jej naprawdę. Czy też ona tak mówiła. Wtedy oczywiście nie wiedziałem dlaczego i ona też nie wiedziała – Urwał, wypił trochę piwa. – Musiałem być dorosły dla niej, chciałem być dorosły, potrafiłem. Chciałem jej zbudować dom, opiekować się nią, dać jej dzieci... – Urwał.

Czekała.

– I ciężko pracowałem, pomimo że mojej pracy nie znosiłem. Robiłem to dla Ann. I nie narzekałem, sam sobie się nie przyznawałem, że... no, chyba po prostu myślałem pod kątem jej. pod kątem nas obojga. – Umilkł, pchnął brudną patelnię niżej w wodę. – I jeżeli czegoś mi w tym wszystkim brakowało przy Ann i w ogóle, no to nie ujmowałem tego w słowa. Do niedawna. – Przyjrzał się zatopionym talerzom. – Przy tobie nagle poczułem się prawdziwym sobą. Znow zamilkł i spojrzał na nią. Nigdy dotąd nie widziała jego twarzy tak obnażonej – nawet w ich pokoju hotelowym. Powiedziała: – Obecność dziecka nie rozwiąże wszystkiego dla ciebie i Ann, nie sprawi, że będziecie rzeczywiście szczęśliwi. To możesz sprawić tylko ty. – Zaczepnęła tchu i odsunęła na bok pustą puszkę po sałatce. – Wy oboje jesteście jak ognisko przygotowane, ale nie zapalone, bo szkoda by było opału, bo najpierw trzeba izolować dom. Żaden dom nigdy nie jest porządnie izolowany. – Zatoczyła krąg ręką. – Ten z pewnością nie jest. Ale Ollie i ja mieliśmy wspaniałe buchające płomienie. – Wstała krzywiąc się. plecy ją bolały. – Więc idź już.

Patrzył w zlewozmywak. Ostatecznie powiedział: – Chcę zostać.

– Ken...

Podniósł wzrok. – Staralem się, trzymałem się z daleka, czyż nie? Przez te wszystkie tygodnie! Zabroniłem sobie telefonować do ciebie. I... to znaczy, no... ta posada Ann. Dużo się nauczyłem. Jestem z jej sukcesów zadowolony, a jeszcze rok temu byłoby inaczej.

– Ponieważ byłeś *macho*.

– Nie! Tylko odpowiedzialny. – Po chwili dodał: – Żyjemy ze sobą bardzo dobrze. Tylko że...

– Dalej nie mów.

Ale powiedział zniżonym głosem: – Tak bardzo pragnę ciebie.

Położyła widelec. – Doskonale – powiedziała nagle – we dwoje uciekniemy i będę miała to dziecko z tobą. Opuścimy Ann, ja ten dom sprzedam, a dziewczynki zostawię Ollie'emu.

– Nie! – Zagapił się na nią.

Łagodnie zapytała: – Więc tego nie pragniesz? Potrząsnął głową.

– Ale pragniesz mnie. No to pospólkujmy. Gapił się na nią. Podeszła i wzięła go za rękę.

– Wiem, że tu inaczej niż w nastrojowym hotelu, i ten mój pas ciężowy, ale pomimo to...

– Pociągnęła go w stronę kanapy.

– I trochę marmolady się rozmazało... – Pogmerała wśród poduszek, odrzuciła stare gazety niedzielne i różne zabawki, aż znalazła tę kleistą plamę. – Uch! I jestem strasznie

gruba, i mi się skóra porozciągała, chcesz zobaczyć? – Zaczęła odplątywać sznur na szlafroku Ollie’ego – i ten katar piekielny, i mam Rosie dać lekarstwo za... – spojrzała na zegarek – ... pół godziny.

– Chwyliła go i szarpnęła tak, że opadł na kanapę. – Ojej!

– siedziała na plastikowej ciężarówce; wydobyła ją spod siebie i odrzuciła – i będę musiała *post coitum* poprawiać te wypracowania, ale proszę bardzo, poswawolmy.

Ken już się wyrwał. Podeszedł do zlewozmywaka i stanął tam z głową spuszczoną, opierając się o suszarkę.

*

Ann kazała usunąć przepierzenie pomiędzy jej małym gabinetem a resztą biura; w ten sposób było bardziej towarzysko. Miała łączność ze wszystkim, co się działo. Poza tym lubiła widzieć co dzień inne kolory fatalasek dziewczyn na tle nudnych żółtawych ścian.

Zniknęły trofea golfowe Dereka. Ich miejsce zajmowały rośliny albo kupione, albo będące prezentem od Viv – młode pędy z bujnej kolekcji na parapecie okiennym. Ann kupiła też trzy reprodukcje Van Gogha – krzesło, słoneczniki i łóżko – które wzruszyły ją swoją prostotą. Miała oczy, cokolwiek o niej myślała jej siostra. Okazało się jednak, że są minusy tej koncepcji otwartej przestrzeni. Dochodziła godzina pierwsza, gdy Ann ku swemu zdumieniu dostała wiadomość, którą doręczyła jej Trish. Był to kwit z pralni chemicznej. Zabazgrany na odwrocie: *Do pani dyrektor. Pokornie upraszam o chwilę pani cennego czasu. Czekam przy okienku 3.*

Ann spojrzała na drugi koniec biura. Za okienkiem 3 zobaczyła twarz swego męża.

Ken, gdy Trish go wprowadziła, podeszedł do biurka Ann i stanął z głową zwieszoną.

– Widzę, że ma pani wypełniony rozkład zajęć, zapewne obiad z kimś z Klubu Rotary. Jak słyszałem, była pani wczoraj na jakiejś szalenie ważnej imprezie, a ja jestem tylko szarym człowiekiem pracującym. Może jednak mógłbym wybłągać od pani odrobinę jej czasu?

Ann się zarumieniła. One wszystkie w biurze patrzyły na nich. Zobaczyła, że Janinę chichocze.

– Prędko – syknęła – wyjdźmy stąd.

Deszcz lał, ale Ann to nie przeszkadzało. Siedząc w samochodzie zaparkowanym na bocznej ulicy naprzeciwko mostu kolejowego, jedli Big Maca. Ken miał butelkę szampana. Pili z kubków plastikowych. Deszcz bębnił o dach samochodu.

– Chciałem pojechać z tobą na piknik.

– Mnie i tak dobrze – powiedziała szczerze, oblizując palce. Dał jej parę kawałków korniszona ze swojej porcji.

Gdy zjedli, włączył silnik.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

– Psst.

Podjechał pod jakiś hotel. Nowoczesny, z chryzantemami w skrzynkach i z flagami wielu państw.

– Co to ma być? – zapytała – To się nazywa długa przerwa obiadowa – odpowiedział.

- Dla dyrektorów. – Wysiadł z samochodu, z ukłonem otworzył drzwiczki od jej strony.
- Nie możemy! – wykrzyknęła.
- Możemy.

*

Rzeczywiście po raz pierwszy w ciągu piętnastu lat małżeństwa on nie mógł sprostać okazji. Szamotali się i objali nagimi kończynami.

W końcu, uznając klęskę, opadli bezradnie na prześcieradła.

- Naprawdę kocham cię – powiedziała zdyszana.
- Niemożliwe.
- Kocham.

*

My, mężczyźni, przydajemy się tylko do celów rozmnażania – powiedział Al. – Poza tym jesteśmy zbędni.

Ollie zmarszczył brwi, przeczytał to ponownie i wykreślił rzędem iksów. Przecież piszę powieść, pomyślał, a nie pracę dyplomową.

Zaczął znowu: *Al wpadł do pokoju trzaskając drzwiami. „Ty już mnie nie chcesz!” – wrzasnął.*

*

Ann usiadła w pokoju dziennym i dała Viv reklamówkę.

– Coś, co zrobiłam – powiedziała.

Viv rozchyliła tę torbę i zaczęła wyciągać wełnianą dzianinę w wielobarwne paski.

– Do licha – powiedziała – śliczne, ale czy nie będzie trochę za duże?

– To nie dla dziecka, głuptasie – powiedziała Ann. Przyłożyła paski do jej piersi. – To dla ciebie.

Był to ogromny sweter.

– Twoje niesamowite kolory – zaznaczyła Ann.

*

Niosąc swoje książki do samochodu, Viv usłyszała czyjeś szybkie kroki. Harold dogonił ją, zabrał książki z jej rąk.

– Tak właśnie robił Ollie, kiedy go poznałam – powiedziała. Harold skomentował to znacząco: – Wtedy jeszcze był gentlemanem.

Przy drzwiczkach samochodu zatrzymała się. Na przystanku autobusowym przed bramą szkoły czekała gromada młodzieży, z boku stały szóstoklasistki: Yvonne, Eilleen i inne. Rozmawiały z bardzo brzuchatą Tracey, która od dawna już nie chodziła do szkoły, a dzisiaj przyszła na ten przystanek, żeby z nimi pogawędzić.

– Tracey – zauważył Harold – znów się popisuje. – Mówił poważnie. – Dziewczeta obecnie nie wiedzą, co to wstyd.

Viv po chwili otworzyła drzwiczki. Harold położył jej książki na przednim siedzeniu, ale przerzuciła je na tylne.

– Usiądź tu na chwilę, Harry – powiedziała siadając za kierownicą – Proszę.

Zdumiony wsiadł do samochodu. Nie wiedziała, od czego zacząć. Szukając natchnienia, zapatrzyła się w mur Bloku Nauk Ścisłych – cegły koloru musztardy.

– Co do Ollie’ego. On wcale nie jest wobec mnie taką szmatą.

– Och, nie jest?

– Bardzo chciałam ci to wyjaśnić. Jesteś moim przyjacielem.

Blask słońca padał na te szkaradne musztardowe cegły; wkrótce, o godzinie czwartej, miało się ściemnić. Powiedziała: – Nie tylko Ollie miał romans.

– Nie?

– Ja też. Stąd to dziecko – poklepała się po brzuchu. – Dam je mojemu kochankowi i jego żonie Harold rozdziawił usta. – Nie wierzę.

– Nie mów nikomu – szepnęła. – Ale właśnie dlatego na przyszły semestr wrócę.

– A dziecko?

– Nie pytaj. Chciałam tylko, żebyś wiedział, że Ollie niezupełnie zawinił.

Harold jeszcze się w nią wpatrywał. Po długiej chwili odzyskał kontenans. – Ty rozwiązałaś ładaco – powiedział.

– Nie jestem taka! – machinalnie zaprotestowała. Ale zaraz pojęła i uśmiechnęła się. – Dobrze, jestem.

Chwycił ją za ramię. – Chodź, przemkniemy się na tyły szopy z rowerami!

– Harry!

– Przez te wszystkie lata siedziałem w pokoju nauczycielskim i tylko się śliniłem. Cóż za strata czasu!

– Ty jesteś moim przyjacielem!

– Nie chcę być! – wykrzyknął.

– O Boże.

Popatrzyli sobie w oczy. I oboje się rozchichotali.

*

– Ollie? Cześć, mówi Ken. Tak, dawnośmy się nie widzieli. Słuchaj, chcę tylko zapytać, czy miałbyś ochotę pokopać znowu piłkę. Tak. Brak nam ciebie. Tak, i na parę piwek później. Co? Piwek, mówię. Dobrze, świetnie, w porządku.

Oddychając z ulgą, Ken położył słuchawkę.

*

Ollie położył słuchawkę i przeciągnął dłonią po swoich nie umytych włosach. Na stole Caroline leżały rozrzucone kartki. Pracował nad powieścią przez całą noc, aż do wczesnych godzin tego poranka.

Za oknem były kościelne dzwony. Wszedł do kuchni i znalazł resztkę soku pomarańczowego. Pijąc włączył radio. Transmitowano niedzielne nabożeństwo.

I odpuść nam nasze winy – doleciał szmer głosów niczym wiatr poprzez milę sitowia przy ujściu rzeki – jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

Wyłączył radio.

Krzewy przy szatni chyliły się to w jedną, to w drugą stronę. Było zimno. Diz w szortach podskakiwał. Spojrzał na zegarek. – On nie przyjdzie.

– Mówił, że przyjdzie – powiedział Ken.

– Nie przyjdzie. Chodźcie. – Gdy biegli na boisko, Diz przypomniał sobie. – Wiesz, gdzie wylądowała ta telefonistka, którą on przelatywał?

– Nie wiem – odpowiedział Ken w biegu.

– Pracuje teraz w „Woman’s Own” – Diz chichocząc wbiegł na trawę.

*

Ollie sprzątnął ze stołu i nakrył do podwieczorku dla swoich córek. Umył głowę, w jeden z worków na śmieci wepchnął swoją brudną bieliznę, a w drugi brzękające dowody swego spożycia alkoholu.

We troje byli w Muzeum Przyrodniczym, co skróciło listę i tak już nielicznych miejsc, do których mógł zabrać dziewczynki w deszczowe niedzielne popołudnie. Lista się skończy i co wtedy? Co, na Boga, robią ojcowie zamieszkali, powiedzmy, w Nuneaton? I – bardziej na temat – jak ja mogę to wszystko znieść?

– Podobało wam się? – zapytał dziewczynki, nalewając im trochę Tizera. W domu to było niedozwolone.

– Owszem, miło tam – powiedziała Daisy.

– Mnie się podobał wieloryb – powiedziała Rosie.

– Kiedy ja byłem mały – podtrzymał rozmowę Ollie – jeszcze nie mieli tych guziczków do naciskania ani filmów i w ogóle. Teraz jest o wiele zabawniej.

– Tak – powiedziała Rosie.

Podsunał jej paterę z ciastkami. – Weź jeszcze.

– Zjadłam dość, dziękuję.

Ogarnięty paniką, pomyślał: skończą się ciastka i co dalej? Aż w gardle go ścisnęło. Przesunął paterę do Daisy.

Potrząsnęła głową. – Za dużo kremu. Niezdrowe dla ciebie.

– Daisy! – wykrzyknęła Rosie.

Zrobiło się cicho. Ollie spojrział na zegarek.

– Przyjdzie o szóstej – poinformowała Rosie.

Znów cisza. Ollie pomyślał: powinienem był kupić kwiaty na ten stół. A potem: ale dzieci nie zauważają kwiatów. Daisy się wierciła. Rosie patrzyła na nią ze zmarszczonymi brwiami. Dzisiaj wyraźnie była starszą siostrą. Jakoś go to smuciło.

Co jeszcze mogłyby tu robić? Już im pokazał szkolne fotografie Caroline z koleżankami i usiłował podać zapomniane imiona niektórych z tych pensjonarek, ale one słuchały tylko ***

chwile i zaczęły się niecierpliwić. Znalazł łamigłówkę z obrazem Moneta, ale gdy ten obraz ułożyły, brakowało trzech fragmentów, co było – zgoła nieproporcjonalnie do swego

znaczenia – bardzo przygnębiające. Jego córki zainteresowały się tylko windą, lokatorzy jednak nie wiadomo dlaczego wyrażali oziębłą obawę o to, że nie będą mogli się dostać na swoje piętra.

Nagle coś sobie przypomniał. Zerwał się i przyniósł zimne ognie. Dał im po paczce.

– Ale to dopiero jutro – powiedziała Rosie. – Nie przyjdiesz do nas na przyjęcie?

Szukając zapalek, potrząsnął głową. – Nie ma to jak dobre zimne ognie – powiedział ochotczo, wreszcie zapalając zapalstkę.

– Kto będzie puszczał rakiety? – zapytała Rosie.

– Mama – odpowiedział. – Nie słyszałaś o równych prawach? Daisy sprostowała: – Wujaszek Ken będzie puszczał.

Te cholerne zimne ognie ani rusz nie chciały się zapalić.

– Ach, tak – powiedział tylko.

Ostatecznie się zapaliły. Chociaż gdy zimny ogień Rosie zajaśniał, ogień Daisy prawie już dogasał. Z biegiem lat zimne ognie, najwidoczniej tak jak wiele innych rzeczy, straciły swoją dawną moc i trwałość.

– Więc on przyjdzie? – zapytał.

Dziewczynki stały sztywno, trzymając roziskrzone pałeczki. Ujął je za ręce, rozruszał.

– Przecież możecie machać lepiej – powiedział niezamierzenie szorstko.

– Traktuj mnie jak raczej pocziwego, ale dalekiego wuja – powiedział Ollie. Resztki podwieczorku wniósł do kuchni i podciągnął żaluzje. Na ulicy dziewczynki, już siedząc w samochodzie, wypróbowywały reflektory i boczne światła. – Mówiłaś im, jakim jestem łajdakiem?

– Nie bądź niemądry. – Viv stała przy piecyku. Odwróciła głowę, żeby obejrzeć ten piecyk, skrzywiła się i przeszła do lodówki. Oparła się, ogromna w luźnej szacie plemiennej, którą kupili na Portobello Road dawno temu, w latach sześćdziesiątych, na długo przed jej pierwszą ciążą. – Przyjdiesz jutro na fajerwerki?

Łypnął okiem: – Żeby zobaczyć Kena i jego wielkie rakiety?

– Ollie!

Przydeptując pedał otwartej puszdki na śmieci, zdrapywał krem z talerzyków.

– Słuchaj – powiedziała Viv – to możesz robić, kiedy ja stąd pójdę.

– Pozwól mi stanwić o mojej działalności na uchodźstwie. – Wyrzucił nadgryzioną kromkę chleba z dżemem. – Ach, to muzeum – powiedział. – Gdzie są wypchane borsuki? Gdzie bezpieczny spokój mojego dzieciństwa? Teraz wszędzie tam elektroniczne guziki i brzęczyki, jakiś pałac obłąkanego Cezara Darwina, jakieś Las Vegas ekologiczne... – urwał, żeby odetchnąć.

– One ciebie nie uważają za wuja.

– Tylko wsadzić wszystko w komputer i wyskoczy znaczenie życia. – Urwał dysząc. – Ale to już twoja specjalność, prawda? Znaczenie życia.

– Usiądź. – Okrągłym gestem wskazała tę kuchnię. – A życie tutaj jakiego jest rodzaju?

– Mojego.

– Wcale nie – powiedziała.

– Skąd wiesz? Nie masz na to monopolu. – Spode łba popatrzył na rzędy cekinów zdobiących jej szatę na piersiach; gdzieniegdzie były tylko nitki. Przeszarżałe stały się te ciuchy etniczne! – Chociaż ty – wycelował w nią pustą butelką po Tizerze – lubisz myśleć, że masz. Klucz do życia macie wy, kobiety, prawda? Wszystko to jest pomiędzy waszymi nogami. Popatrz na siebie, aż od tego pękasz, nic dziwnego, żeś taka rozanielona. Jesteś u władzy.

– Nie czuję się u władzy nad tobą.

Nie mógł już patrzeć na nią. Odwrócił się i ponuro patrzył na ulicę i swój mrugający światłami samochód.

– Taka cholerna niesprawiedliwość. Pieprzysz się ze swoim szwagrem, nosisz jego dziecko w łonie, a my rzeczywiście musimy cię nazywać świętą! – Podniósł drżący głos. – To mną wszyscy pogardzają: odszedł od swojej brzemienną żony, a ja nawet nie mogę powiedzieć, dlaczego, bo trzeba tę cholerną sprawę trzymać w sekrecie.

– Nie musisz ode mnie odchodzić – powiedziała rozwścieczająco spokojnie. – Nie odrywaj się. Powinieneś być grać dzisiaj w rugby.

– Z Kenem?

– Nie ma nic między nami!

Odwrócił się i niemo wskazał czarną wyhaftowaną wypukłość jej brzucha.

– Gniewasz się na Kena czy na mnie?

– Moje motywacje to nie twoja rzecz. – Podeszedł do kredensu, wyciągnął butelkę szkockiej.

– Nie pij tyle – powiedziała.

– Moja wątroba to nie twoja rzecz. – Spojrzał na nią podejrzliwie. – Jak się z nim ugodziłaś?

– Nijak. – Spojrzała na zegarek.

– Co się dzieje?

– Nic. Przyjdź do domu i zobacz. Tutaj to nie dom. Co robisz całymi dniami?

– Moja sprawa – odpowiedział.

– Wiem, że potrzebujesz trochę przestrzeni...

– Przestań wszystko wiedzieć.

– Ja tylko usiłuję pomóc – powiedziała.

– Stokrotne dzięki.

Westchnęła i poszła do saloniku. Przesunęła wzrokiem po maszynie do pisania odstawionej na biblioteczkę. – Jak powieść?

– Zostaw to! To moje!

Wzruszyła ramionami, wzięła kurtki dziewczynek i wyszła.

Wszelkie świętowanie, nawet skromne uczczenie spisku prochowego 5 listopada, budzi w sercu żal, gdy rodzina jest rozbita. Viv siedziała w kuchni, nie pijąc swojego soku pomarańczowego, i patrzyła na mglistą postać Kena zgarbionego w ogrodzie. Ken puszczał fajerwerki. Snop iskier oświetlił tę postać, krępa, gdy się wyprostowała.

Na palenisku kominka pełgał ogień. Powinno być przytulnie. Razem z nią siedzieli jej matka i siostra, i Frank. Drzwi do ogrodu były otwarte, dolatywały świsty i grzeczne „ach!”

dziewczynek, które stały na trawie, wyraźnie zziębnięte.

Viv wstała, żeby przynieść kielbaski z piecyka. Ann zatrzymała ją. – Ja to zrobię.

– Właśnie – powiedziała Irene. – Ty siadaj. – Popatrzyła na Viv. – Chodzisz na wykłady?

– Tak. Zwolnienie biorę dopiero od pierwszego. Pogryzając kielbaskę, matka wyjaśniła: –

Nie pytam o szkołę.

fujaro. Tylko o te wykłady przedporodowe.

– Ona nie chce. – Ann podała kielbaski Frankowi. Viv powiedziała: – Znam je na pamięć.

– Trzeba ćwiczyć oddech i tak dalej – upomniała matka.

– Staralam się ją namówić – powiedziała Ann.

– Wiem wszystko o oddychaniu – oświadczyła Viv. – Zresztą trzymam się w formie.

– W formie okrągłej. – Frank lubił stawiać kropkę nad „i”, tak żeby nikt już nie miał co dopowiedzieć.

Ken wszedł po następne fajerwerki, ale znalazł w pudełku tylko jeden. Wyciągnął go i przeczytał: *Wybuch migotliwą eksplozją różnobarwnych gwiazd. Zapalić papier i cofnąć się.*

– Uśmiechnięty, ze smugą sadzy na nosie, wyglądał pociągająco. Viv zawsze wołała Kena w roboczym ubraniu niż w garniturze. Jak Ollie mówił? *Twoje ciagoty do brutalności.* Podała Kenowi kieliszek napełniony winem.

– Bądź jednak ostrożny – poprosiła go Ann.

– To mi sprawia przyjemność – odpowiedział i wyszedł do ogrodu.

– Będzie przemiłym tatusiem – powiedziała Irene. – Odpowiedzialnym, nie takim jak poniektórzy...

– Reenie! – ostrzegł Frank.

Nastąpiła cisza. Na palenisku drewno prychnęło. Irene zwróciła się do Viv: – To dziewczynka?

– Co?

– Nosisz je wysoko. Tak jak tamte dwie. Już matki wiedzą. Viv jej docięła: – Tyś nie cierpiała być matką.

Irene skwitowała to szerokim uśmiechem i odwróciła się do Ann. – Nie wiesz, w co się pakujesz.

Ann uśmiechnęła się. – Wiem.

Z ogrodu znów doleciał świst i trzask. Za domem rozległ się huk. gdzieś daleko pies zaczął szczekać.

– Rzyganie, skrzeczenie, nieprzespane całe noce – ciągnęła Irene. – Jednakowoż przynajmniej ominie cię ta najgorsza część...

– Mamo! – powiedziała Viv.

– Jak się mówi, łatwiej wchodzi niż wychodzą.

Znowu usłyszeli huk, ale tym razem to huknęły zatrzaszkowane drzwi. Ollie wszedł i stanął pośrodku pokoju dziennego. Chwiał się.

– Czy wolno mi dołączyć do rodzinnego oblewania?

– Oczywiście – odpowiedziała Viv.

– Gdzie moje dziewczęta?

Ken właśnie wrócił z ogrodu. Z nienagannie uprzejmym wyrazem twarzy patrzył na Ollie'ego. Viv pomyślała: jak z cicha pęk przechodzi berło z rąk do rąk.

– Skończyliśmy puszczać fajerwerki – powiedział.

– Chcę zobaczyć moje córki.

Ken odpowiedział: – Przeszły przez płot do ogrodu sąsiadów.

– Więc spóźniłem się na wesołe gry i zabawy. Viv powiedziała: – Są jeszcze zimne ognie.

– Nie, dziękuję.

– Powinieneś być przyjsć wcześniej – powiedziała.

– Nieuniknienie coś mnie zatrzymało. – Ollie mówił starannie.

– Butelka... i musiałem brać udział w toczącym się dialogu. Ann podeszła do niego z półmiskiem. – Weź kiełbaskę. Ollie wziął kiełbaskę i spojrzał na Kena. – Tyś to przyniósł.

Strasznie małe.

– Usiądź wreszcie – powiedziała Viv.

– Będę robił, co mi się podoba w moim własnym domu.

– Miał twarz czerwoną i nabrzmiałą, marynarkę zapiętą krzywo. Zasmuciło Viv to, że on, chociaż pijany, na pewno wie, jak głupio wygląda. – Wszyscy nagle jesteście bardzo małowólni. Czy zanim przyszedłem, omawialiście moje uchybienia?

– Napij się soku pomarańczowego. – Viv podała mu karton z sokiem.

– Nie bądź taka łaskawa.

– Ollie... – zaczęła Ann.

– Jest moją żoną. Mogę mówić do niej jak...

– Nie możesz – powiedziała Ann.

– Przepraszam. Zapomniałem, że ona teraz jest własnością publiczną. Jej ciało należy do was pod waszymi indywidualnymi względami. To zupełnie jakbym żył z... – poszukał określenia – z jakąś ginekologiczną Joanną d'Arc.

– Nie żyjesz ze mną – powiedziała Viv. – A szkoda. Ann wstała. – Słuchajcie, czy my....

– Nie – przerwał jej Ollie. – Zostańcie i popatrzcie na prawdziwe fajerwerki.

– Jesteś pijany – powiedziała Viv.

Spojrzał na ogród. – Przynajmniej mogę zapalić ognisko. Fajerwerki bez ogniska są żałosne. – Podeszedł szybko do półek, wziął jedną z tekturowych teczek.

– Ollie! – Viv z trudem wstała.

– *Marks i odpowiedzialność osobista* – przeczytał. – Ależ niezyciowym byłem pisarczykiem. – Wyciągnął z teczki plik papieru, skręcił go i wrzucił w ogień na palenisku kominka.

– To twoja praca dyplomowa – powiedziała Viv. Chwytał jeszcze jakąś aktówkę.

– Twoje eseje! – wykrzyknęła.

– Pamiętasz nas? Papużki nierozłączki! Ramię w ramię wędrowaliśmy po betonowej krainie cudów na Uniwersytecie Keele.

Umilkł raptownie. Ręce mu głupio zwisły u boków. Wszyscy wlepiali w niego oczy. Z ulicy dolatywał huk za hukiem, jak gdyby otwarto ogień armatni.

Irenę zabrała głos pierwsza.

– Chłopy stuknięte. – Wskazała Viv. – Zaczyna się w niej nowe życie i patrz, jak zabagniasz swoje własne. Tyle ajajaj z powodu odrobiny seksu. – Ogień wypluł rozżarzoną drzazgę na dywanik przy kominku. Zadeptała żar swym spiczastym czarnym botkiem. – Kto jak kto, ale ja to znam. Mało sobie bigosu narobiłam z tobą? – zwróciła się do Ann. – Archie’ego nie zdołałaś wytropić, prawda?

– Nie zdołałam – odpowiedziała Ann.

– To już przeszłość. Chociaż nie aż taka, żeby z niej ułożyć piosenkę do tańca. Spójrzcie tylko: ja i Frank szczęśliwi jak dwa gołąbki, a wiecie dlaczego? Dlatego, że jesteśmy przyjaciółmi, wyłącznie dlatego. Wszystkie te brednie o równości, jakie tam i z powrotem powtarzacie, to tylko przelewanie z pustego w próżne. Ale niech coś się rypnie, wy znowu jesteście w średniowieczu.

Frank uniósł brwi, pełen podziwu, i zapalił cygaretkę. Ken odchrząknął. Ollie, stojąc przy półkach z książkami, przyłożył głowę do swoich *Penguin Modern Classics*.

– Prawie nie mam odwagi tu przychodzić – mówiła Irene.

– I Bóg jeden wie, jak to działa na te smarkule. W dodatku, one muszą trzymać to w sekrecie.

– Nawet bardzo się cieszą, że mają taki sekret – powiedziała Viv.

– Wariactwo, cały ten pomysł. – Irene zwróciła się do Viv:

– Od razu cię przestrzegałam. A najgorsze jeszcze przed tobą.

– Umilkła. Gdzieś daleko pies szczekał nadal. Spojrzała znowu na Viv. – W chwili, kiedy zobaczysz to dziecko...

– Nie! – powiedziała Viv.

– Znam ciebie. Jestem twoją matką. I przecież cię widzę z twoimi dziećmi. Tylko weźmiesz to dziecko w objęcia i już go nie dasz.

– Dam! – wykrzyknęła Viv.

Irene zwróciła się do siedzącej nieruchomo Ann. – Przyjmij radę ode mnie. Nie składaj wymówienia, dopóki to dziecko nie będzie u was w domu. Masz posadę palce lizać, szkoda byłoby znowu stracić wszystko.

Ann powiedziała do dywanika przed kominkiem: – Ja jej ufam.

– Wychodzę – oznajmił Ollie raptownie i wyszedł, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać. Drzwi frontowe trzasnęły.

Potem zapanowało milczenie. Frank spojrzał na zegarek. Viv wstała i podeszła do drzwi ogrodowych. – Dziewczynki powinny iść spać.

Ann wstała. – Ja je zawołam.

– Nie. Ja...

– Pozwól mi! – Ann powiedziała to tak ostro, że wszyscy, zdumieni, spojrzeli na nią. Wyszła do ogrodu.

Viv. usiłując się uśmiechnąć, odwróciła się do Kena: – Mówiłam ci, że mamy tu dobre płomienie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Jej czas nadchodzi. Z niejaką bojaźnią ludzie mówią o kobiecie, która ma wkrótce wyjść z ich zasięgu, żeby w zamkniętym niebezpiecznym pokoju urodzić. Ollie nazwał Viv własnością publiczną i poniekąd jest to prawda odnosząca się do każdej brzemiennej – ludzie ją dotykają i zbierają się wokół niej, wiedząc, że ona żyje podwójnie, obdarzona mocą dzięki temu drugiemu życiu, jakie nosi w sobie. Jednocześnie staje się do głębi prywatna, coraz bardziej swoja własna z biegiem tygodni, gdy wycofuje się ze świata, zaokrąglona i dostojna. Świat zachowuje dystans, bo tylko ta jedna kobieta w swoim czasie, który nadejdzie, będzie wiedziała, co to jest cierpieć.

Może dlatego oni się utemperowali. Jakikolwiek był powód, Ollie i Ken zaczęli patrzeć na siebie okiem do pewnego stopnia łaskawszym. Ken zdobył się na odwagę, żeby odwiedzić Ollie'ego. Chociaż, gdy w połowie drogi przez Park Lane utknął w korku, omal nie zawrócił. Przed Hotelem Dorchester dwie Arabki o twarzach zasłoniętych wsiadły pod eskortą do daimlera. Siedział w samochodzie, dłonie miał wilgotne, patrzył na świat nadziany pieniędzmi i obcy. Co na Boga powiedzieć Ollie'emu?

Powiedział mu, że jest bardzo ładny, to znaczy ten salonik – z fortepianem, z oszkloną biblioteką i plakatem zapraszającym na jakąś wystawę porcelany.

– Ale masz gust – wojowniczo powiedział na to Ollie, wyraźnie zaskoczony wizytą szwagra.

– Co słyhać u twojej siostry? – zapytał Ken. – Jeszcze się widuje z tym bankierem?

– Ken, on jest żonaty! – zakpił Ollie z udaną zgrozą – Jednakże, czy to kiedy sprawia różnicę? – Nastąpiła chwila ciszy. Zapytał: – Wypijesz coś?

– Świetnie. – Ken przytaknął. – No pewnie. – Rozejrzył się znowu. W mieszkaniu była Sodoma i Gomora, na poczesnym miejscu stały postawione przez Ollie'ego szkolne fotografie jego córek w owalnych ramkach. Nigdy dotąd nie widział ich uczesanych tak porządnie. Odwrócił od nich wzrok i spróbował wydawać się wyrobiony towarzyszko.

– Jakich tu masz sąsiadów?

Ollie wrócił z kuchni z dwiema puszkami piwa i szklankami.

– Przeniosłem się z jednego obszaru wielorasowego na drugi, który różni się tylko tym, że tutaj nikt nie rozmawia z nikim. Nie chcesz usiąść?

Ken wolał stać. Odchrząknął. – Hmm... coś musimy załatwić.

– Pogrzebał w kieszeni. – Noszę to przy sobie od tygodni, ale jakoś nigdy nie wiem, czy jest właściwa po temu chwila. – Wyjął czek. – I nie wiem, czy to coś da...

Ollie wziął czek i zapatrzył się w ten papierek.

– Proszę cię – powiedział Ken. – Dzięki temu przynajmniej ja poczuję się lepiej. To nie jest rekompensata, ale...

– Nie chcę twoich pieniędzy!

– Proszę cię...

– Usiłujesz mnie spłacić? – zapytał Ollie.

- Nie, ja...
- Pieniądze za to, że przelatywałeś moją żonę?
- Nie!
- Ile setek za jeden numer? Czy ona była tyle warta?
- Nie! – wrzasnął Ken.
- Dzięki tysiącrotnie.
- To nie tak.

Ollie znów parsknął tym szpetnym, piskliwym śmiechem.

- Czy może kupujesz to dziecko? Chcesz, żeby nas wszystkich zamknęli?
- Nie! Ja tylko... o Boże! – Ken przestępował z nogi na nogę i usiadł na kanapie. To poszło zupełnie źle. Powinien był na Park Lane zawrócić. Powiedział: – Ja tylko proszę o trochę... – poszukał słowa – godności.

- Niestety, stary ptaszku. Nie zostało mi godności na zbyciu.
- Ollie zgniótł czek i wrzucił do przepelnionego kosza na śmieci.
- Myślisz, że to rozwiązanie. Pieniądze niczego nie rozwiązują. Ken powiedział: – To dlatego, że zawsze je miałeś.

– Co?

Wskazał pokój. – Możesz uważać je za rzecz przesądzoną – wyjaśnił z goryczą. – Łatwo ci mówić, że pieniądze niczego nie rozwiązują. Stać cię nawet na oplakany stan domu.

Ollie milczał. Usiadł w fotelu, nagle zwiotczyły.

Ken zapalił papierosa. – I ty mówisz, że to ja jestem dumny – powiedział.

Ollie spojrzał na niego z ciekawością. – Jesteś bardzo bojowy – stwierdził. – Jakbym słyszał siebie. Co się stało?

Ken milczał. Patrzył na papiery wznoszące się z kosza jak piana zagotowanego mleka. Czy to jest sprzeciw? Maleńką cząstką siebie żałował, że ten czek w koszu nie jest rzeczywiście podarty, ale jednocześnie gardził sobą, że zwrócił na to uwagę. Ollie raczej nie rozłoży i nie wygładzi czeku później, pomyślał. Co za nudna pedanteria myśleć o tym w takiej chwili.

Ollie pytał: – Co się stało? Czyżby to mogła być miłość?

Cisza.

– Miłość? – powtórzył Ollie.

Ken nabrał tchu. – Jeżeli była – powiedział ostrożnie – to już się skończyła.

– Naprawdę?

Teraz milczał. W pokoju było tak cicho, że usłyszał słaby szum. To ta elektryczna maszyna do pisania na stole w pobliżu. Podniósł wzrok. Ollie wytrzymał jego spojrzenie. Po długiej, nieskończonej chwili zapytał: – Wypijesz jeszcze?

- Wskazał pustą puszkę.
- Nie, dziękuję – powiedział Ken. – Tak, proszę.

Ollie ruszył do kuchni. W drzwiach przystanął. Ken czekał, czujny. Ale Ollie już złagodniał. Spojrzał na dwie puste puszki w swojej ręce, a potem przez pokój na Kena.

– W szkole – powiedział – kobiety to były albo kurewki albo siostry facetów. Lata

minęły, zanim nauczyłem się traktować kobietę jak równą sobie. Viv, muszę jej przyznać, bardzo mi w tym pomogła. – Westchnął. Ken czekał przy szumiącej maszynie do pisania. – Cóż, kiedy w sytuacji podbramkowej... wiesz co?

– Co?

– Cała ta postępowość na nic. Jestem znów tak samo zacofany jak mój ojciec, a ty mojego ojca znasz.

Ken przytaknął.

Ollie uśmiechnął się ponuro.

– Gdybym miał syna, potrafiłbym go nauczyć zachowywać się przyzwoicie. Bo łatwiej uczyć innych niż siebie, prawda? Nie robiłbym takich błędów, jakie robili moi rodzice.

– Wszyscy rodzice robią błędy – powiedział Ken.

Ollie patrzył na niego. – Ty będziesz robił? – zapytał i poszedł do kuchni.

*

Gdy atmosfera trochę się oczyściła, Ken i Ollie umówili się na rugby w najbliższą niedzielę. Tymczasem ich żony musiały przeżyć wizytę położnej, czego obie się bały. Przewidywały mnóstwo urzędowych trudności i konieczność uników. A korpulentna pani Archer, ta położna, miała w sobie jakąś iskrę. Gdy owiązała rękę Viv, żeby jej zmierzyć ciśnienie, rozglądała się po pokoju. Czy rozrzucone gazety Viv i wybujale rośliny mogą coś zdradzić?

Viv już była na urlopie, Ann wzięła sobie wolne popołudnie, gotowa służyć moralnym wsparciem, i zajęła się teraz przygotowaniem kawy. Planowały, że Viv będzie rodzić w domu, ale okazało się to nie takie proste. Wsypując nescafe do filiżanek, Ann podsłuchiwała.

– Pani Meadows, już pani mówiłam. I doktor Stern mówił. Porody w domu stanowczo się teraz odradza – powiedziała położna.

Doleciał głos Viv: – Tylko dlatego, że to dla was większa fatyga.

Nalewając wrzątek, Ann się sprężyła.

– Nie – powiedziała pani Archer. – Są bardziej ryzykowne. W razie komplikacji...

Ann przestała mieszać neskę.

– Tak, tak – przerwała Viv niecierpliwie. – Wiem.

– Bo na przykład – powiedziała pani Archer. – Z tą pani ciążą mamy więcej kłopotów niż z tamtymi. Wysokie ciśnienie krwi, zmęczenie...

– Tamte przeszedłam lekko.

– To nie argument. Jesteśmy teraz... o ile?... o siedem lat starsze, a to znaczy...

– Jestem idealnie zdrowa – powiedziała Viv.

Ann nie miała odwagi do nich podejść. Spojrzała na butelkę z mlekiem.

– Nie rozumiem, dlaczego tak pani na tym zależy. Córeczki rodziła pani w szpitalu.

– To jest moje ciało – powiedziała Viv tym szczekliwym tonem feministki, którego Ann nie lubiła. – Nie dam sobą manipulować. Politykę szpitalną prowadzi się dla wygody lekarzy, mężczyzn.

– To pani ciało, ale czy postępuje pani odpowiedzialnie? Nie. Jest pani niegrzeczną

dziewczynką. Nie przychodziła pani na badania....

Ann już nie mogła się powstrzymać. – Viv, powinnaś.

Viv spojrzała na nią groźnie. Ann się odwróciła do suszarki. Co można zrobić? Nie czas teraz kłócić się z siostrą. Podniosła butelkę z mlekiem i powąchała. Skwaśniało to mleko.

Pani Archer jeszcze nie skończyła. – Nie chciała pani zapisać się do szpitala, więc będziemy mogli przyjąć panią tylko na ostry dyżur. – Umilkła. – W przypadku tej ciąży ja pani nie gwarantuję łatwego porodu.

Ann, wpatrzona w butelkę z mlekiem, zdretniała.

– Swoim niedbalstwem i lekkomyślnością pani się nie przyczynia...

– Nie zaniedbałam...

Pani Archer przerwała Viv. – Sama sobie będzie pani winna.

– Jej słowa doleciały do Ann wyraźniej, gdy odwróciła głowę:

– Może pani przemówi siostrze do rozumu?

Ann zawahała się. – Viv, pani Archer chyba ma rację.

Viv oświadczyła bardzo dobitnie: – Z tym dzieckiem jest inna sprawa.

– Viv! – Ann wlepiła w nią oczy.

Viv zamilkła. Po chwili powiedziała: – Chcę je urodzić w domu.

– Rzecz nie w tym, czego pani chce – powiedziała pani Archer.

Chcę, chcę. Ann spojrzała na te trzy filiżanki kawy, już stygnącej. Przez całe życie Viv brała to, czego chciała. I tak łatwo, w dodatku – nigdy nie wydawało się, że zagarnia. Niektórzy ludzie są tacy. Zycie się do nich uśmiecha, powiedział Douglas.

– Na pierwszym miejscu trzeba stawiać dziecko – dokończyła pani Archer. – Ja mam dopilnować, żeby poród odbył się szczęśliwie. Teraz potrzebny jest pani wypoczynek.

Po wyjściu położnej Ann upomniała Viv: – Jeżeli dalej będziesz się tak stawiała, zacznę coś podejrzewać.

Viv ze stęknieniem wstała z kanapy. – Ale szpital jest taki urzędowy, tyle osób zadaje pytania.

– Poradzimy sobie. Słuchaj. Urodzisz i przywieziesz je tutaj. Jak normalnie. Na dziesięć dni, dopóki ona będzie tu przychodzić... , a potem... – urwała. – Potem weźmiemy je do mnie.

– Nigdy dotąd nie sformułowała tego tak po prostu. Nogi miała jak z waty.

– To śmieszne. Ta konspiracja. Ludzie od wieków zrzekają się dzieci.

– Jest takie słowo, ale go nie pamiętam. O rodzicielkach z próbówki na zamówienie..

– Ale tu pieniądze nie wchodzą w grę. Nikt nie wie, czy ja przypadkiem nie romansowałam z Kenem.

Zrobiła się cisza. Viv miała włosy dłuższe ostatnio, ściągnięte z tyłu głowy gumką. Potrafiła nawet teraz wyglądać ponętnie. Patrząc w okno frontowe, widziała pytania czekające ich wszystkich. Ann patrzyła na jej profil: zadarty nos, pulchne usta.

– Tak, tak – powiedziała nerwowo. – Ale musimy poczekać, aż ono się urodzi. Bezpiecznie. Potem ludziom powiemy naszą wersję prawdy. I skoro bezpieczniej jest w szpitalu...

Telefon zadzwonił. Viv odebrała.

– Cześć, Suzi. Owszem. Jestem nadal tutaj, to jeszcze trzy tygodnie. – Przytaknęła. – Oczywiście, będę. Gdzie zbiórka?

– Znów skinęła głową. – Dobrze. Więc do niedzieli. Położyła słuchawkę. Ann patrzyła na nią ze zdumieniem.

– Przecież się tam nie wybierasz? – Wskazała plakat Marszu Protestacyjnego na kracie z kołkami. – Myślałam, że to jest dla naszego dobra.

– Oczywiście, że pomaszeruję – powiedziała Viv.

– W twoim stanie? Przecież pani Archer mówiła...

– Mój stan sprawi, że nas sfotografują.

Od godziny Ann panowała nad sobą. Teraz wrzasnęła: – Nie możesz narażać dziecka, żeby...

– Ann! – Viv spojrzała groźnie – to dziecko nie będzie miało przyszłości, jeżeli nie...

– Jakie jest twoje zdanie!

Viv przytaknęła, jej niemądry koński ogon podskoczył. – To dziecko, dopóki się nie urodzi, musi moje zdanie podzielać.

*

Przez cały tydzień Ollie pracoWął zapamiętane. Już nabrał rozpędu, jego powieść nieomal pisała się sama. Teraz, gdy to czytał ponownie, postacie oddychały swoją własną wolną wolą. Czuł, że zawładnęło nim coś tajemniczego i po raz pierwszy w życiu nie śmiał tego, co czuje, analizować. Ostatecznie, dokąd go kiedykolwiek wiodło analizowanie?

Postacie rozmawiały na stronicach, rozwijały akcję. Były jego. Czy tak właśnie kobieta brzemienna odnosi się do dziecka, które w niej rośnie? Te postacie go napełniały. Gdy szedł do supersamu, stawał się Alem. swoim bohaterem, jak lis lawirując między samochodami. Al miał włosy rude, znużoną inteligentną twarz i problemy z żoną. Gdy w mgiełce listopadowego deszczu chodził po Hyde Parku, widział tam bezlistne krzewy oczami Tilly. Stawał się tą zniechęconą żoną Ala, nieuchwytną, duchem nieobecną długonogą pięknoscią. Tymi dwojgiem nikt nie mógłby zawładnąć, bo on, Ollie, miał ich bezpiecznie w sobie.

W czwartkowy wieczór odebrał rekordowo dużo pomyłkowych telefonów – do jakiejś winiarni „Dzwoneczek”, której numer różnił się tylko o jedną cyfrę od jego numeru. Rozjątrzony, w końcu wyłączył telefon.

*

Viv powiedziała: – Myślałam, że coś się stało.

– Przepraszam – wycedził Ollie. – Trwam nadal. Wpuścił ją do mieszkania. Spojrzała na telefon. – Aha.

– Wyłączyłem. Moi czytelnicy wciąż mi się naprzykrzają. Viv usiadła ciężko na kanapie. Błada i ogromna, była w swoim wielkim sztucznym futrze lamparcim, którego on nie widział od zeszłorocznej zimy. Dochodziła północ.

– Kawy się napijesz? – zapytał.

Viv potrząsnęła głową. – Musimy załatwić pewne sprawy. Gdzie jest gwarancja obsługi

bojlera? Co ma mówić twoim rodzicom, bo wciąż telefonują? I w ogóle co my zrobimy?

Odpowiedział: – Nie wiem.

– Chcesz wrócić do domu? Nie odpowiedział.

Powtórzyła: – Chcesz? – i szeroko machnęła ręką. – Nic z tego tutaj nie jest realne.

– Nie mogę wrócić, dopóki... – Urwał.

To znaczyło: dopóki dziecko się nie urodzi. Zrozumiała; zawsze go rozumiała. Na tym polegał kłopot. Wydawało się, że w pokoju nie ma powietrza.

– I co potem? – zapytała.

– Miejmy jeszcze jedno dziecko. – Zagapiła się. Mówił poważnie, dopiero co wpadł na ten pomysł, ale nagle ujrzał w tym rozwiązanie. – Ty i ja miejmy...

– I udawajmy, że to wcale się nie stało? Wykreślmy to? – Nad lamparcimi cętkami sztucznego futra jej oczy były szeroko otwarte. – Przecież to rzeczywistość, na Boga. To się dzieje.

– Przestań mówić jak nauczycielka.

Zawahała się. – Myślisz, że ja to sobie uporządkowałam? Słuchaj, ja też mam w głowie galimatias. Nie dowierzam swojej motywacji. Grzęznę między uczuciami Kena i twoimi. I uczuciami Ann. I moimi. Wciąż jeszcze nie wiem, czy zdołam dać to dziecko. – Urwała, zdyszana. Światło lampy biurowej na stole było tylko jasną plamą w mroku. Ale gdy podniosła głowę, oczy jej migotały. – Bóg jeden wie, jak będę się czuła, jeżeli je dam – powiedziała. – Prawdopodobnie wam wszystkim zamienię życie w piekło. Może już nigdy nie zobaczę się z Ann. Może nie ścierpię jej widoku, kiedy będzie je trzymała w ramionach w swoim domu. – Umilkła. – Ale tak się dzieje – podjęła po chwili. – Nie możemy się od tego odwrócić. Ono nie jest postacią z twojej cholernej powieści.

Wstała z trudem i wzięła go za rękę. Już myślał, że wyprowadzi go z mieszkania, gdy wsunęła jego dłoń między fałdy futra i przycisnęła sobie do brzucha, wypukłego pod wełnianą sukienką, twardego, jakby to ciało było wykute z kamienia. Jego niechętnie palce natrafiły na guzek pępka.

Stali tak przez moment spleceni. Potem Viv odeszła.

W drzwiach powiedziała: – Chciałam tylko zobaczyć, czy nic ci się nie stało.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Nocą Ollie, siedząc w kałuży światła, uciekł w swoją powieść, nie – włączył się ochoczo. Ale Viv nie mogła uciec przed swoimi snami. Wzburzały ją i niepokoiły.

Tydzień kończył się wicherą. W noc sobotnią, wigilię Marszu Protestacyjnego, Viv rzucała się i przewracała w pościeli, gdy ponad nią luźne dachówki grzechotały i za oknami łoskotała, tocząc się po jezdni, pokrywa puszki na śmieci. Kiedy była tamta burza? Przed miesiącem? Wtedy śnił się jej rów na działce pod złowieszczym niebem i Rosie, przerażona hałasem, weszła do jej łóżka i mocno się przytuliła, i cały dom się trząsł, framugi trzeszczały, szyby pobrzękiwały, a nazajutrz Ann utraciła swoje dziecko.

Viv przewracała się w pościeli niezdarnie z wielkim kamieniem swego brzucha, usta miała zaschnięte, gorzki w nich smak. Osuwała się w koszmary jak gdyby były płynącą opieszale, głęboką rzeką. Śniło jej się, że jest zagubiona w tłumie, dusi się i chce uciec, bo gdy ten tłum się rozrzedzi, zostanie sama i będzie musiała stanąć na podwyższeniu, i powiedzieć coś ludziom – tylko co? Zapomniała, czego powinna była się nauczyć.

I oczywiście widzi, że jest naga. Żołądek ją boli, a tam Ollie wśród ludzi bełkocze do niej i wytyka ją palcem. Teraz ona zaczyna się bać. Mówi sobie, że to bombowce nadlatują, samolot za samolotem na czarnym niebie, ale dlaczego ten ból taki ostry?

*

W niedzielę przed południem wiatr jeszcze hulał. Ann usiłowała przybić z powrotem kratę ogrodzenia, która w nocy się urwała. Ken grał w rugby. Viv, pomimo protestów Ann, nie zrezygnowała z marszu *Precz z bombą atomową* i zabrała ze sobą dziewczynki.

Zziębniętymi, czerwonymi jak burak rękami Ann nieporadnie wbijała gwoździe. Czowała się wytracona z normalności. Tego dnia w sąsiedztwie okna pozostawały zasłonięte. Maguire'owie wyjechali do Irlandii, do umierającej matki pani Maguire. Bezruch na ich posesji wydawał się nienaturalny.

Wiatr nagłym deszczem zastukał w oszklone drzwi przybudówki. Nedorzecznie Ann poczuła się samotna. Ale nie mogła pójść do Viv – oczywiście, bo w tamtym domu także było teraz pusto.

*

Ollie wbiegł na boisko z innymi zawodnikami. Diz wskazał przemiatane wiatrem miejsca dla kibiców.

– Nasza zwykła publiczność – powiedział – dwa bezpieczne psy i jeden źle skierowany japoński turysta.

Kiedys stała tam Viv, drżąc z zimna w swoim dawnym niebieskim płaszczu. Ollie był dzisiaj ospały i zarazem zdenerwowany. Noc miał niedobrą; wichura nie dawała mu zasnąć, tęsknił do Viv wprost boleśnie. Postanowił pójść do niej wieczorem, a nuż to będzie prosta obopólna pociecha. Jeżeli z Viv cokolwiek może być proste.

Daleko za parkiem jazgotała syrena policyjna. Wiatr ziębił. Ollie podskakiwał, okładając się rękami dla rozgrzewki, usiłując wprawić się w nastrój. Jeden z tych dwóch psów zaszczeakał.

*

Irenę wstała z bólem głowy. Zwykle rozkoszowała się niedzielnym wylegiwaniem, ale w ten poranek jakoś nie mogła uleżeć.

Mieszkanie było przegrzane, a gdy otworzyła okno, zrobiło się za zimno. Przejrzała niedzielną gazetę, nie chciała jednak wiedzieć o Joan Collins już niczego więcej.

Za blokiem mieszkalnym naprzeciwko widziała Północne Rondo, jak zwykle pełne ruchu. Dokąd wszyscy jadą? Co robią w swoich samochodach o jedenastej w niedzielne przedpołudnie?

Znała większość lokatorów w tym bloku, mieszkała tutaj od lat, ale w niedzielę rano ich drzwi były zamknięte. Brakowało jej Franka, który zwykle spędzał niedziele przytulnie u niej. Niestety, musiał pojechać na północ, odwiedzić swoją matkę. Zastanowiła się: kiedy mi stuknie osiemdziesiątka, czy moje córki będą mnie bodaj rzadko odwiedzały?

Martwiła się o Viv. Gdyby była dobrą matką, zasługującą w wieku osiemdziesięciu lat na wizyty, to by tam pomagała teraz, zamiatałaby podłogi, zabawiałaby dziewczynki. Tak się przecież robi, jeżeli córka ma lada dzień rodziców, a zięć puścił ją kantem. Chociaż cały świat wie, że on wróci, ci dwoje nie mogą żyć bez siebie!

Jednym małym plusem tego wszystkiego jest możliwość telefonowania do Viv nie poczytywanego za natręctwo. Więc zatelefonuję, myślała Irenę, wproszę się do niej i porządnie jej nagderam. Nie widziała się z Viv od tygodni po tych fajerwerkach 5 listopada.

Wiatr zaczął deszczem w okno. Nie było przez to zimniej, ale zadrżała. Podniosła słuchawkę i nakręciła numer Viv.

Nikt tam nie odbierał. Zapewne Viv wyszła.

*

Chwila krytyczna rozbija plany, wymazuje godziny, które ją poprzedzają. Ale nieraz parę minut przed owym gwałtownym przesileniem pozostaje w pamięci kryształowo wyraźnie. Co wtedy robiliście? – ludzie pytają i każdy potrafi powiedzieć, co robił, gdy usłyszał o zastrzeleniu Kennedy'ego.

Ann zapamiętała sekundy przed dzwonkiem telefonu. Schodziła z drabiny. Ledwie telefon zaczął dzwonić, kiepsko przybita krata spadła z łoskotem za jej plecami.

Dopiero później Ollie, który w tym czasie na boisku walczył o piłkę, przypomniał sobie, że zauważył przedtem coś raczej niezwykłego. Do szatni podjechała taksówka. Normalnie parkowano tam swoje samochody – dlaczego raptem taksówka? Nie zdążył w pełni sformułować tego pytania, zanim podcięły go czyjeś zabłocone nogi. Był w miernej formie i długo nie trenując zapomniał, jaka to brutalna gra.

Potem zauważył za mgłą deszczu wbiegającą na boisko kobietę. Sam biegł spocony, zdyszany, i pomyślał, że ona tylko goni swojego psa.

To była Ann. Ślizgała się w błocie i przepychała wśród zawodników. Ken już ją zobaczył; robiąc uniki popędził ku niej.

I Ollie do niej przyklusował. Nie zdawał sobie sprawy, że deszcz leje, dopóki nie spojrzał na jej mokre włosy. Ale to na jej twarzy ze zdumieniem zatrzymał wzrok.

Z początku nic nie słyszał – jej słowa ulatywały z wiatrem. Stała w płaszczu rozpiętym i mówiła ruchem warg. Wyłowił: – ... szpitala.

– Co?! – wrzasnął.

– Wzięli ją do szpitala! – wrzasnęła Ann wniebogłosy. – Pospiesz się!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Wody odeszły, gdy Viv autokarem jechała na demonstrację. Dziewczynkami zaopiekowała się Suzi, która też zatelefonowała z tą wiadomością. W telefonie buczało, a potem zaległa cisza. Tyle tylko Ann mogła Ollie'emu i Kenowi powiedzieć.

Przez czas wydający się całym wiekiem nikt nie powiedział im trojgu nic konkretnego. W poczekalni, gdzie siedzieli, było duszno, pachniały środki dezynfekcyjne i wypalone papierosy. Ollie dowiedział się od pielęgniarki, że pani Meadows jest w porodówce i wszystko świetnie, ale on nie może tam wejść.

– Dlaczego? – zapytał – żona chce, żebyśmy byli przy niej.

– Nie teraz, panie Meadows.

– Co się dzieje?

– Proszę zostać w poczekalni.

– Zawsze przy niej byłem. – Podniósł głos. – To jest uzgodnione.

– Musimy poczekać na doktora Khana. – Ta pielęgniarka była niedużego wzrostu, ale bardzo stanowcza. Zmierzyła go spojrzeniem od stóp (jego zabłocone buty, upačkane kolana, szorty) do głów. – Proszę się uspokoić, panie Meadows.

*

W poczekalni Ken zapalił papierosa.

Ann zwróciła mu uwagę: – Ken, twoja noga.

Popatrzył na swoją łydkę, była zakrwawiona.

– Masz – Ann dała mu chustkę do nosa.

– Głupstwo – powiedział.

Ollie spacerował niespokojnie. Oprócz nich był w poczekalni tylko młody czarny chłopak. Siedział zamyślony, ze spuszczoną głową.

Ann w końcu przerwała milczenie. – Powinam była ją powstrzymać.

– To nie twoja wina – powiedział Ollie.

– Nigdy sobie nie wybaczę – powiedziała.

– Ann! – Ken wstał i podeszedł do drzwi. Spojrzał na zegarek. Potem odwrócił się do Ollie'ego. – Dwadzieścia minut. Może chodźmy tam i zapytajmy.

Ollie odpowiedział: – Kazali nam czekać tutaj. Ken otworzył drzwi. – Ja idę.

– Ty tu zostań – powiedział Ollie tak głośno, że ten czarny chłopak podniósł głowę.

*

Zegarek Kena pyknął godzinę. Wszyscy podskoczyli. Ollie spojrzał na swój zegarek i wyszedł z poczekalni.

Ken znów zapalił papierosa. – Czy nic jej nie będzie? – zapytał.

– Skąd mogę wiedzieć? – odpowiedziała Ann.

– Jest za wcześnie – powiedział – więc na pewno coś źle.

– Ojej, nie kracz!

Podszedł do okna i wyznał szybko: – Nie cierpię tych miejsc.

Pomyślała o innej poczekalni w innym szpitalu. Jak dawno temu? Prawie rok. I o tamtych razach przedtem. Nigdy nie pytała Kena, co wtedy robił, nigdy o tym nie rozmawiali.

Wstała, żeby go podtrzymać na duchu. Ale on właśnie ruszył do drzwi.

– Nie idź. – Położyła mu rękę na ramieniu. Wzdrygnął się. – Zostaw to jemu – powiedziała.

Po chwili wrócił Ollie.

– I co? – zapytali Ann i Ken jednocześnie.

– Nikogo nie mogę znaleźć – odpowiedział Ollie. – Te cholerne szpitale.

Wrócił na swoje krzesło. Ann przemknęło przez głowę, że to dziwne, ale w poczekalniach, chociaż jest dużo krzeseł, zawsze z powrotem siada się na krzesło, na którym siedziało się poprzednio.

Powiedziała: – Wszystko nie tak.

Ollie spojrzał na nią. – Dla ciebie? – zapytał kwaśno.

– Ollie!

Podszedł i usiadł przy niej. – Przepraszam.

– Przecież chodzi o Viv – powiedziała.

Skubnął zaschnięte błoto na swoim kolanie. Grudki spadły na dywan.

– Myśmy się pogodzili, wiesz. No, prawie. Ona przyszła i...

– urwał. Powiedziała: – Wiem.

Oboje patrzyli na dywan, lekko opylony ziemią. Powiedział: – Aż się skręcam, że ona tam jest sama. Przytaknęła. Podniosła wzrok i nieomal warknęła do Kena:

– Idź. przemyj sobie tę nogę!

– Dasz fajkę, bracie? – zapytał czarny chłopak.

Ken drgnął. – Oczywiście – wyciągnął z kieszeni paczkę.

– Dziękuję. – Chłopak wziął papierosa. Ostatniego. Ken schował paczkę tak, by chłopak nie zobaczył, że już pusta.

*

W pięć minut później usłyszeli grzechotanie i drzwi się otworzyły. Salowy pchał wózek z herbatą. Przechodząc przez poczekalnię, uśmiechnął się i zapytał: – Gdzie był ten mecz?

Ollie i Ken popatrzyli na swoje szorty z przerażeniem.

*

Z tykaniem sekund minuty mijały. Taka cisza, tak spokojnie. W szpitalach zwykle jest krzątanie, co się stało?

Ann usiłowała sobie przypomnieć w kolejności całe przedpołudnie. Przybijała kratę w ogrodzie, u sąsiadów było cicho, w jej domu też. Nerwowo kręciła się między ogrodem i kuchnią, nie mogła sobie miejsca znaleźć. Ta goła ziemia w skrzynkach Kena i za jedną skrzynką stosik cebulek żonkili, które zapomniała zasadzić. Wiatr dmuchał. To prawie

niezwykle, ale nie zdołała wyszukać nic na dłużej do roboty.

Patrzyła na Ollie'ego i na Kena. Obaj siedzieli zagapieni w swoje buty. Pomyślała: nie mają pojęcia, że wyglądają identycznie. – Powinnam zadzwonić do mamy – mruknęła.

– Prawda?

Ale się nie ruszyła. Żadne z nich nie odważyło się wyjść z poczekalni.

Doleciał odgłos kroków. Zjawiała się inna, wyższa pielęgniarka. Czy może to była siostra oddziałowa. Zwróciła się do nich dwóch. – Który z panów jest ojcem?

Znieruchomieli. Chyba tego nie zauważyła. Po chwili Ollie wstał. – Słucham – powiedział.

– Pan Meadows? Konieczne było cesarskie cięcie.

– Co?

– Położenie pośladkowe. Normalny zabieg w takich przypadkach.

– Muszę ją zobaczyć – powiedział.

Potrząsnęła głową. – Teraz leży na stole operacyjnym.

*

Przez następne dwadzieścia minut żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Ann nie zdawała sobie z tego sprawy – przypomniało jej się to później. I do końca życia miała to pamiętać, te bladezielone ściany, odrapane nad samą listwą, i wiszącą w ramce fotografię Great Vermouth, i widok z okna wieżowca na tle groźnie szarego nieba. W pewnej chwili wezwano czarnego chłopaka – jego przyjaciółka powiła, jak powiedziano, bliźnięta.

– Zostali sami we troje i milczeli.

Wreszcie znów dał się słyszeć stukot obcasów i do poczekalni weszła ta wysoka pielęgniarka czy też siostra oddziałowa.

– Panie Meadows!

– Co się stało?

Uśmiechnęła się. – Żona doskonale się czuje. Ma pan maluszka.

Zaległa cisza.

– Maluszka – powtórzył Ollie.

Przytaknęła. – Jeszcze nie może pan pójść do żony. ale czy chce pan zobaczyć syna?

Ollie przytaknął. Z tą pielęgniarką wyszedł z poczekalni, nie oglądając się za siebie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Wiele miesięcy minęło, odkąd Ann leżała w łóżku szpitalnym i patrzyła, jak zapalają się światłami okna budynku naprzeciwko. W głowie jej się kręciło, brzuch ją bolał. Jeden po drugim pokoje tam raptownie nabierały życia i te jasne okna zasłaniano. Niebieska luna telewizorów. Ann nie miała pojęcia, dlaczego leży w szpitalu, ale wiedziała, że urodzi dziecko.

Potem spała, a nazajutrz rano te wszystkie małe okna zobaczyła odsłonięte i w głowie jej się rozjaśniło, ale nadal brzuch ją bolał. W sali było widno, panowała krzątanina, pielęgniarka podeszła do jej łóżka i to właśnie wtedy ona zdała sobie sprawę, że nie ma dziecka, ma tylko ranę.

Teraz Viv tak leżała, głowę wtulała w poduszkę. Patrzyła na blok mieszkalny naprzeciwko. To był wieżowiec. Przylepiony do bocznej ściany mężczyzna w uprząży mył okna. Na tle wielkiego szarego nieba wydawał się wątyły jak owad. Viv wiedziała, że jest poniedziałek rano. Ktoś zabrał parawan, który stał przy jej łóżku; słyszała płacz noworodków, jednego nawet blisko. Brzuch ją bolał; gdy się poruszyła, ból był jak dźgnięcie nożem. Więc już się nie ruszała. Zamknęła oczy i wkrótce zasnęła.

Gdy się obudziła, ten noworodek jeszcze płakał i chociaż nie mogła zebrać myśli, wiedziała, że musi coś na to zaradzić. Odwróciła głowę, ale przy jej łóżku było pusto. Gdzie ten noworodek? To płacze inny, niewidoczny za sąsiednim łóżkiem.

Myślała, że dalej śni, bo w jakiś czas później – prawdopodobnie po paru tylko minutach, kto wie? – stała przy niej jakaś dziewczyna w szlafroku niesamowicie podobna do Tracey. – Jest wspaniały – oznajmiła.

– Tracey – zapytała Viv – skąd ty tutaj?

– Nie pamięta pani? – zapytała Tracey. – Rozmawialiśmy wczoraj przez całe wieki.

Oczywiście Tracey jest tu, bo urodziła córeczkę. Jakże głupio tak o tym zapomnieć. Tracey myśli, że zwariowałam.

– Właśnie tam byłam, widziałam go – powiedziała Tracey. Mówiła o synku Viv. Teraz Viv pojęła: ależ ze mnie idiotka.

– Widziałaś go? – zapytała.

– W inkubatorze – odpowiedziała Tracey. – Jest wspaniały.

– Naprawdę?

– Z pewnością pani się cieszy, że to chłopczyk. – Tracey miała szlafrok w kwitnące gałązki. Róże chyba. Drobne, różowe. Jeszcze mówiła. – Z pewnością pani mąż bardzo zadowolony. – Rękawy obszyte zieloną koronką. Szlafrok kupiony specjalnie na taką okazję.

– On kopie – powiedziała.

– Kopie?

– Istny mały Kenny Dalglish. Niedługo to będzie tyran dla swoich starszych sióstr. – Skąd ona może wiedzieć? W każdym razie, myślała Viv, ja bym sobie nigdy nie kupiła takiego szlafroka. – Jak pani mu da na imię?

– Nie wiem.

– Cieszę się, że ja nie mam faceta. Nigdy byśmy się nie zgodzili co do imienia.

Ilekoć Viv odetchnęła, igły wbijały się jej w skórę. Usiłowała oddychać płytko. – A ty jak swoją nazwiesz? – zapytała.

– Rebecca. Z tej książki, cośmy ją przerabiały. Viv powiedziała: – To była *Jane Eyre*.

– Och – Tracey się zastanowiła. – Racja, *Rebecce* widziałam w telewizorze.

*

Ann zwolniła się na poniedziałkowe popołudnie. Nie chciała jechać do szpitala prosto z biura, ani też nie chciała im w biurze powiedzieć, dokąd się wybiera. Chciała tam pojechać ze swojego domu razem z Kenem.

Pociła się i aż było jej mdło. tak się denerwowała. Obiadu nie zjadła Teraz, stojąc przed lustrem zawieszonym nad parapetem kominka, malowała usta.

Ken wszedł do pokoju. – Gzy on nie jest trochę za młody?

– zapytał.

– Co?

Wskazał jej szminkę. – Żeby ten kolor zrobił na nim wrażenie.

Oboje uśmiechnęli się drżąco. Wzięła torebkę, ruchem głowy wskazała zapakowane kwiaty z kwiaciarni, leżące na stoliku.

– Ty weź kwiaty.

*

Ollie siedział przy niej. Przyniósł jej kwiaty i. jak każdy inny szpitalny gość, nie wiedział, co z nimi zrobić. Leżały na jego kolanach. Był u fryzjera, ostrzyżenie go odmłodziło: wyglądał na świeżo upieczonego ojca.

– Spałaś? – zapytał.

– Tak. Dali mi jakąś tabletkę.

Wyciągnął z plastikowej torby .. Detektywa” i „Cosmopolitan”. – Czytała.

Spojrzała na te czasopisma. – Dzięki. Położył je na szafce przy łóżku. – Boli?

– Trochę.

– To od dziewczynek. – Wyciągnął dwie laurki: Rosie wykończoną starannie. Daisy tylko na pół pokredkowaną. Bo Daisy znudziło kredkowanie nieba.

– Ojej – powiedziała Viv – zupełnie jakbym była chora.

– Nie wiedziały, co mają napisać.

– Właśnie.

Zsunęła laurki na szafkę. Pochylił się i postawił je podparte.

– Czy chcesz czegoś? – zapytał.

– Papierosa.

– Nie możesz.

Wszędzie w tej sali siedzieli przy łóżkach mężczyźni. Pełno było kwiatów. Któryś z noworodków kwilił. Pomyślała: podobno każda matka rozpoznaje płacz swojego dziecka, ale

czy to możliwe, kiedy tyle ich płacze jednakowo?

– Chcę wrócić do domu – powiedziała. Ujął jej rękę. Siedzieli w milczeniu.

Nagle powiedziała z pośpiechem: – Tracey chyba zwariowała. Uważa, że to szalenie romantyczne, te bzdury o samotnej matce. Łatwiejsze życie, ona uważa, jeżeli jest się panią siebie; przez całą noc sama do tego płaczu i bekania, i mokrych pieluszek. Oczywiście Tracey ma rację. Komu potrzebni mężczyźni? Są tylko cholernym utrapieniem. Kobieta z odrobiną oleju w głowie woli być zdana na siebie. Głupia krowa.

Urwała bez tchu. Ollie pogłaskał ją po czole. – Kochanie.

Rozplakała się. Każdy szloch wbijał jej szpilki w brzuch.

Ollie nadal głaskał ją po czole, ale się sprężyła i odsunęła. Sięgnęła po swoją torebkę. Wygrzebała papierosy i zapalki. Nie powstrzymał jej. Co więcej, nawet wziął od niej te zapalki i podał jej ogień. Zaciągnęła się głęboko.

– Pani Meadows!

Pielęgniarka stanęła z ręką wyciągniętą. Viv zaciągnęła się jeszcze raz i skapitulowała.

*

Ken zaparkował samochód na bocznej ulicy nie opodal szpitala. Ann jeszcze raz przejrzała się w lusterku. Także coś – jakie, na Boga, ma znaczenie jej wygląd? Chciała na zawsze zostać w samochodzie. Ken chyba myśli, że straciła rozum.

Wysiedli i ruszyli do szpitala. Na rogu ulicy Ann zatrzymała się, chwyciła Kena za ramię. – Patrz.

Samochód Ollie'ego stał zaparkowany po drugiej stronie jezdni. Najwidoczniej Ollie był u Viv.

Zawrócili na tę boczną ulicę. Ken otworzył drzwiczki samochodu. Ann wsiadła. Siedzieli tam przy sobie i czekali. Ken wyciągnął rękę, żeby włączyć radio. Ale nie włączył. Siedzieli w ciszy.

*

– Jak on wygląda? – zapytała Viv.

– Wspaniale.

– Jak wyglądał wczoraj?

– Był bardzo rozgniewany.

– Naprawdę?

Ollie potwierdził. – Mnie to nie dziwi.

– Nie mogłeś go dotknąć ani nic?

Ollie potrząsnął głową. – Mówią, że sprawuje się bardzo dobrze. Jutro powinien wyjść z inkubatora.

Zapanowało milczenie. Potem Viv powiedziała: – Nie było tak, jak zaplanowaliśmy.

Ollie zawahał się. – Nic nie jest tak, jak się zaplanuje.

– Żałuję, że ciebie nie było.

– Nie chcieli mnie wpuścić.

– Chciałam, żebyś to ty nacierał mi plecy.

– Ja też chciałem.

Uśmiechnęła się. – Pamiętasz, jak było z Rosie? Czytałeś mi *Buszującego w zbożu*.

– To przy Daisy – powiedział. – Przy Rosie był *Dar Humboldta*.

– Do licha – powiedziała. – Aleśmy byli wtedy intelektualistami.

Znów zaległo milczenie. Któryś z noworodków zaczął płakać poważnie.

Zapytała: – Co robiłeś później?

– Zadzwoiłem do rodziców. Siedziałem w pubie.

– Sam?

Przytaknął. – Ann i Ken mnie zaprosili, ale...

– Nie. – I po chwili: – Dziewczynki były u Suzi?

– Tak. Nocowały u niej.

W głębi sali ktoś parsknął śmiechem. Viv spojrzała za okno. Niebo było niebieskie. Zrobiło się śliczne popołudnie. Powiedziała: – Nie myślałam, że to będzie chłopiec.

Ollie strzepnął dwoma palcami kwietny płatek, który opadł. Trzymał kwiaty na kolanach. – Ja też nie.

– Zabawne, prawda?

– Tak. – Zobaczył, że jedna z laurek się osunęła. Oparł ją z powrotem o szklanę.

Powiedziała: – Wciąż mnie pytają, jakie imię.

– Kto pyta?

– Kobiety tutaj.

– To nie ich sprawa.

Rzuciła szybko: – Zawsze mi się podobało Thomas. A tobie? Zmarszczył brwi, patrząc na swoje kolano. – Owszem. Jeszcze raz to wypowiedziała: – Thomas.

– Tom. – Skinął głową. – Ładnie.

– Proste imię – powiedziała. – Nie wygłup.

– Viv....

– Krzepkie i tak jakoś tupiące na schodach...

– Viv... – zaczaj znowu.

Powiedziała: – Zawsze chciałeś chłopca, prawda? Nie odpowiedział. Patrzył na swoje wilgotne kolano. Łodygi tych kwiatów były mokre.

– Nie chciałeś? – zapytała. Powiedział: – To nie jest mój syn.

– Nie jest.

Znów milczeli. Potem on zapytał: – Co masz zamiar zrobić? Ukryła twarz w poduszce. – Chcę już wrócić do domu.

Viv nie chciała widzieć Ann i Kena. Gdy Ollie wyszedł, przyszli do szpitala, do tej sali, ale ona się odwróciła i poprosiła, żeby sobie poszli.

Pielęgniarka ich wyprowadziła. Stanęli na korytarzu. Ann się trzęsła. Czuła się jak spoliczkowana. Przecież tylko chciała usiąść przy Viv i powiedzieć jej, że to o nią, o Viv się martwi. Dziecko nieważne. (Nieważne? Jednak powiedziałyby to z pełnym przekonaniem). Nigdy dotąd nie widziała Viv tak strasznej – bladej i zamkniętej.

– Jest trochę przygnębiona – wyjaśniła pielęgniarka. – Stan zupełnie normalny. – Wzięła od nich kwiaty. – Prześliczne! I tak ich dużo. Wstawię je dla niej do wazonu.

– Co mamy zrobić? – zapytała Ann.

– My to nazywamy chandrą po rozwiązaniu. Pani jest jej siostrą?

– Tak.

– Ma pani pysznego siostrzeńca. Chcą go państwo zobaczyć?

Ann wlepiała oczy w podłogę i niemo przytaknęła. Nie śmiała spojrzeć na Kena.

– To proszę – powiedziała pielęgniarka. – Można na niego popatrzeć przez szybę.

Przeszła przez korytarz i stanęła przy oknie sali noworodków, czekając na nich. Ann ruszyła ku niej, ale Ken się ociągał. Odwróciła się do niego.

Powiedział: – Viv jeszcze go nie widziała. – Twarz miał bez wyrazu.

– Chodź! Ty też go nie widziałeś.

Pielęgniarka patrzyła na nich ze zmarszczonymi brwiami. Ann się zarumieniła. Ken podszedł, stanął przy niej.

Były trzy noworodki w inkubatorach. Pielęgniarka wskazała, który to.

Ann zdołała powiedzieć tylko: – Jest bardzo mały.

Pielęgniarka pospieszyła z wyjaśnieniem: – Bo bardzo jeszcze nowiutki.

W basenie pływackim był oprócz Kena tylko jakiś wytrwały starsuszek w goglach. Ken przepłynął dwadzieścia długości, a potem stracił rachubę: pływał i pływał.

Gdy ociekając, zataczając się ze zmęczenia, w końcu wyszedł z wody. ratownik na jego widok z półuśmiechem uniośł brwi.

– Zdrowie szczęśliwego ojca – powiedziała Irenę i podniosła kieliszek. To było później tego wieczoru, przyniosła im butelkę szampana. – Nosy do góry, wy oboje. Myśleliście już o imieniu?

Ann powiedziała: – Myśleliśmy. Mark. Irenę uśmiechnęła się wszystkimi zębami.

– No, jeżeli on się wda w tego Marka, którego ja znałam, chłop będzie na schwał. – Zapytała Kena: – Czy jest podobny do ciebie?

– Jest tylko malusieńki – uprzedziła jego odpowiedź Ann.

I – W tobie, kiedy się urodziłaś – powiedziała matka – ja od razu widziałam wykapany obraz twojego ojca.

Nastąpiło niezręczne milczenie. Ken stał przy akwarium. Potarł szkło palcem. Potem podniósł wzrok i powiedział: – Viv nie chciała nas przyjąć. Nie wiem, co robi.

– Ma w głowie zamęt – powiedziała Ann.

Irenę pokiwała głową. – Mówiłam wam, że niech tylko ono się urodzi...

– Nie mów – przerwała Ann.

– Ja bym jej nie ufała – powiedziała Irenę. – Nigdy na niej nie polegałam, chociaż to moja córka.

Ken oświadczył nagle: – Nie ufam jej.

Po długiej chwili Irenę powiedziała: – No, pewnie.

– Też nie lubię bułek z kielbasą – powiedziała pielęgniarka, zabierając nietkniętą kolację Viv. Postawiła tacę na wózku i zaczęła przy łóżku Viv ustawiać parawan. Przyszedł salowy z fotelem na kółkach.

– Co się dzieje? – zapytała Viv.

Pielęgniarka się uśmiechnęła. – Tylko sprawdzę opatrunek. – Sprawdzając powiedziała: – Zabierzemy panią, żeby pani go zobaczyła. – Obciągnęła na Viv nocną koszulę. – Myśmy się w nim zakochali. To prawdziwa mała indywidualność.

Podsunęli fotel do łóżka. Viv ich powstrzymała. – Nie!

– Sprawiamy pani ból? – zapytała pielęgniarka. Viv potrząsnęła głową. – Nie chcę się stąd ruszać.

– Co?

– Nie chcę go widzieć.

Pielęgniarka i salowy popatrzyli na siebie. Potem pielęgniarka znów zwróciła się do Viv: – Kiepsko się pani czuje?

– Tak.

– Więc niech pani odpoczywa. – Podetkała na łóżku prześcieradła.

Viv wskazała parawan. – Może to zostać? Pielęgniarka zgodziła się, zdumiona. Zostawili Viv za parawanem.

*

Ann stała w małej sypialni z oknem wychodzącym na ogród. Ten pokój był pusty. Pomalowali go na kremowo i na tym koniec. Nie odważyli się zrobić nic więcej, tyle że ona powiesiła zasłony w deseń z rudych ptaków, niespecjalnie dziecinny.

Na dole Ken zmywał po kolacji. Ann usiadła na dywanie, oparła się plecami o ścianę. Przez okno widziała kwadrat londyńskiego nieba. Zbyt przykro by jej było zastanawiać się, czy ten pokój będzie kiedykolwiek używany. Więc tylko zastanawiała się nad swoją siostrą – co ona myśli, co ona czuje, na Boga? Przesuwała palcami po dywanie tam i z powrotem.

Z kuchni doleciał brzęk tłukącej się porcelany. Ken coś upuścił.

*

Północ minęła, salę zalegał mrok. Wszystkie spały, gdy Viv się obudziła. Z sali noworodków dobiegał płacz.

Żadna się nie poruszała. W gabinecie nocnej pielęgniarki było światło, ale pielęgniarki nie było. Ten płacz nie ucichł – słabe uparte zawodzenie jednostajne, jak gdyby piłowano drewno.

Viv odrzuciła kołdrę i zsunęła się z łóżka. Wzdrygnęła się. szwy ją bolały. Płacz nie ustawał. Ostrożnie dźwignęła się i usiadła, po czym wstała powoli zgięta we dwoje. Musiała oprzeć się o łóżko, bo w głowie jej się kręciło, jeszcze otępielej od snu. Śniły jej się długie wąskie korytarze i płaczące niemowlęta, czy też może to wcale nie był sen.

Piłowanie nie ustawało, ale brzmiało już inaczej niż płacz noworodków. Może to nie tam, tylko w jej otępielej głowie? Zgięta, pokuśtykała powoli do drzwi. Ból tamował jej oddech.

Wyszła na korytarz. Nie było nikogo. Pokuśtykała do dużej szyby i zajrzała tam.

*

Dni przetaczały się dziwnie w jakiejś otchłani. Przyszłość była pusta i czekała jak ta mała sypialnia. Nikt nie śmiał sypialni umeblować, przyszłości zapelnąć swoimi obrazami. Przyszłe miesiące rozciągały się w niewiadomą dal.

Więc oni nie mogli nic powiedzieć. Viv była blada, uprzejma dla wszystkich gości, nie wyłączając jej siostry. Dziecko zostało przeniesione do łóżeczka przy jej łóżku, dziewczynki przyszły, podotykały go czubkami palców i już zaraz przestając się nim interesować skomlały, żeby im dać wody z cytryną Viv. On, miłe niemowlętko, jak dotąd nie wykazywał podobieństwa do nikogo.

Ollie sypiał w domu, w gabinecie, i rzadko wychodził. W któryś wieczór Diz i kilku kolegów z gratulacjami zadzwonili do drzwi frontowych, ale Ollie się przyczaił i nie otworzył. Gdy dziewczynki były w szkole, siedział w mieszkaniu Caroline i usiłował dokończyć swoją powieść. Z jakiegoś powodu uważał, że to musi być skończone, zanim Viv wróci ze szpitala.

Ken i Ann chodzili po swoim domu milcząc. Rozmowy o błahostkach wydawały się zbyt blahe, a wszelkie poważne plany zbyt bolesne. Czyli niewiele zostawało do omawiania. Ken, teraz zatrudniony przez samego siebie, pracował całymi dniami na terenie własnej budowy pod chłostą wschodniego wiatru. Bmąc w błocie, powtarzał sobie z zapartym tchem: mam syna. Przerwę obiadową spędzał w pobliskiej piwiarni, gdzie palił za dużo i usiłował gawędzić ze swoimi robotnikami.

A Viv?

Jej nie można ufać, powiedziała matka. Viv dawała ludziom ślimaki zamiast jeżyn. *Ja cudownie kłamię*, pochwaliła się Kenowi. Skłamała rodzicom, że idzie na prywatkę do Sandy. swojej koleżanki, a wypuściła się gdzieś z kelnerem Maltańczykiem, który ją pogryzł w miłosnym zapale. Ale teraz była kobietą w depresji po urodzeniu dziecka. Śmieszne, wszyscy spodziewali się, że to będzie dziewczynka. Może to jej nie robiło żadnej różnicy, ale nikt nie śmiał zapytać. O tym, co ona zamyśla, mógł – ale niekoniecznie – świadczyć jedynie fakt, że zamiast karmić to dziecko piersią, karmiła je z butelki. Ann nie komentowała tego przy nikim oprócz Kena.

Viv miała wyjść ze szpitala w najbliższy wtorek. W poniedziałek, gdy Ollie był u niej, podeszła do łóżka jakaś kobieta w kostiumie z samodziału. Miała bloczek.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Pan Meadows? Dzień dobry. Jestem Brookes, szpitalna rejestratorka. Może państwo zechcą zarejestrować dziecko teraz... to państwu zaoszczędzi załatwiania w magistracie.

Nastąpiła chwila ciszy. Ollie spojrział na Viv, skubiącą palcami prześcieradło.

– Wybrali państwo imię? – zapytała rejestratorka. Viv powiedziała: – Jeszcze nie. Rejestratorka się uśmiechnęła. – Tak bywa.

– Albo Thomas, albo Mark – powiedziała Viv. Rejestratorka pośpiesznie poinformowała: – Mogą być oba.

– Zostawmy to na razie – burknęła Viv.

Rejestratorka popatrzyła na nią z ciekawością i przeszła do sąsiedniego łóżka.

Oni milczeli. W końcu Ollie powiedział: – Musisz się zdecydować.

– Wszyscy wciąż zadają pytania. – Viv się zdenerwowała. Teraz kobiety w sali przeważnie były nowe. Viv leżała już ponad tydzień: jej poszczególne bukiety kwiatów zwiędły, więc wszystkie zabrano.

Spojrzała na Ollie’ego. – Chcesz go, prawda?

– Mnie nie pytaj – odpowiedział. – Ja nie mogę ci pomóc.

*

Tamtego dnia Ann odkurzyła dom Viv. zamiotła w kuchni, wyrzuciła stare puszki Ollie’ego po piwie, wyszorowała kredens odpowiednim płynem i uprała prześcieradełko do niemowlęcego koszyka. Jeszcze dziesięć dni, taki był układ. Dopóki nie skończą się wizyty położnej, on ma pozostać tutaj. A potem... co?

Nie cierpiała kłamać, jednak skłamała dziewczynom w biurze, że jest chora i dlatego chwilowo osiągalna tylko telefonicznie u siostry. W istocie nigdy jeszcze tak nie kipiała energią, jak teraz. Wilgotna od swoich wysiłków chodziła z odkurzaczem, sprzątała i pucowała. Nerwy miała napięte jak druty. Jutro po południu o wpół do czwartej ona i Ollie przywiozą ich ze szpitala.

Niezdara. Szorując szafki kuchenne, stłukła filiżankę. Opróżniając kredens, przewróciła drewnianą miseczkę z solą. rozsypała sól na podłodze. Zamknęła oczy, przerzuciła garstkę soli przez ramię i wypowiedziała w myśli życzenie. Zawsze Ken się zdumiewał, jaka ona jest przesadna. *Myślałem, że ty jesteś ta logiczna*, powiedział jej kiedyś. Oburzyła się – pamięta, wchodzili wtedy po schodach do swojego mieszkania – i odpowiedziała mu: *czyli nuda*. Zaprotestował, zarzucił jej, że jest zazdrosna o Viv, ona jednak wiedziała, że to nie takie proste. Prawie, ale niezupełnie. Ken nigdy nie miał siostry; nie rozumie.

Oczyściła miotłą chodnik na schodach: trzy kondygnacje, kurz leciał z góry na dół. *Jedyna moja gimnastyka*, słowa Viv. *to seks i schody*. Miała ręce szare od paprochów. *Zobaczysz*, słowa Viv. *jak to jest potykać się na schodach o stare kasztany pod chodnikiem*. *Talerze z płatkami kukurydzianymi pod kanapą*. *Zobaczysz*. Jak długo trzeba na to czekać? Wiecznie?

Viv pozwoliła Ann go potrzymać. Od niechcenia tylko raz w szpitalu podała go jej. Ale też by to zrobiła, gdyby Ann była tylko ciotką. I Ken go trzymał przez chwilę.

Miękkie małe usteczka. Paznokietki. Doskonały. Tyle lat temu moja córka była tak samo doskonała – poza tym, że nigdy się nie poruszyła.

Ann przyłożyła palec do tej małej dłoni, mając nadzieję, że on zaciśnie piąstkę. Zaciśnął, zaciśnął piąstkę na jej palcu. Poczowała falę cudownego ciepła.

Może Viv nie rozmawiała z nią w szpitalu, bo jest dyskretna: ktoś mógłby usłyszeć. W domu wszystko będzie inaczej.

Ale Viv z natury nie była dyskretna.

Ann wytrząsnęła worek odkurzacza na śmietniczkę. Sporo tego piachu i kurzu osiadło na

podłódze.

– Niech to szlag! – powiedziała głośno, sama siebie zdumiewając.

*

Viv pakowała swoje rzeczy do dwóch plastikowych toreb. Ubrana, siedziała na łóżku. Jej syn leżał w łóżeczku i spokojnie na nią patrzył. Żadna z jej córek nie miała takich ciemnych włosów, takiej buzi idealnie owalnej z maleńkim spiczastym podbródkiem. Żadna z nich w swoich pierwszych dniach nie była taka drobniutka.

– Zje pani obiad?

Viv drgnęła. Pielęgniarka stanęła przy niej.

– Nie, dziękuję.

– Przyjadą po panią dopiero o wpół do czwartej.

– Tak.

Pielęgniarka odeszła. Ledwie wyszła z sali, Viv wzięła szal, w którym miała zabrać dziecko.

Nie jestem zupełnie sobą, mówią ludzie, gdy wydaje im się, że zwariują. Viv czuła się kimś innym podnosząc dziecko, szczerze owijając je szalem. Ta prawdziwa Vivien Meadows nie byłaby tak okrutna, nie skazałaby męża i siostry na to, by zastali jej łóżko puste. Czyż mogłaby prawdziwa Viv tak ich zdenerwować?

Mięśnie jej zwiotczały, brakowało tchu. Niosąc dziecko i torby, zatrzymała się przy leżącej na ostatnim łóżku dziewczynie, którą polubiła.

– Kiedy mój mąż przyjedzie – powiedziała – proszę mu powiedzieć, że pojechałam do domu wcześniej.

*

Kierowca taksówki rzeczywiście usiłował Viv pomóc z tymi torbami. Ale ona podziękowała. Nie chciała, żeby ktokolwiek wszedł z nią do jej pustego domu.

Taksówka odjechała.

W pokoju dziennym było nieskazitelnie czysto. Na stole stał wazon z kwiatami i oparty o wazon plakat „Witaj w domu!” od dziewczynek. Przy koszykowym łóżeczku niemowlęcym leżały dwa nowe śpioszki i paczka jednorazowych pieluszek.

Nigdy nie byłam z moim dzieckiem sama. Czy nikt tego nie rozumie?

Ja na pewno wariuję. Viv usiadła na kanapie, przyciskając go mocno do siebie. Kwilił, maleńkie mokre usteczka błędziły przy jej uchu. Zaczął ssać płatek ucha i kolczyk.

W pokoju było cicho. Dziąselka szczypały jej skórę, a ona cała rozkwitła.

– Cześć, Thomas – szepnęła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Nie było lepiej teraz, gdy Viv wróciła do domu. Nadal nie wiedzieli, co dalej. Powiedziała tylko: dajcie mi czas. Obecność Ollie'ego rozstrajała ją i drażniła, więc Ollie musiał się wycofać do mieszkania Caroline. Nikt nie śmiał sprzeciwić się Viv.

Jest dziwna, ale jak można na to poradzić? Ann wpadała codziennie, przywoziła zakupy, podawała dziewczynkom podwieczorek. Viv okazywała jej wdzięczność – naprawdę wylewnie, jak nie siostrze, tylko znajomej z cocktailowego przyjęcia. Mówiła grzecznie: „Ach, proszę, nie rób tego. ja sobie dam radę”. Siedziała z dziewczynkami. Oglądając z nimi telewizję dla dzieci, raz zaśmiewała się tak histerycznie, że nawet one się przeraziły. Mówiła o synku bez żadnych zahamowań, skarżyła się, że przez niego nie może w nocy spać. To wydawało się normalne, ale oczy jej błyszczały, jak gdyby zażywała narkotyki. Wypytywała Ann o biuro, ciekawa szczegółów, wprost zafascynowana, gdy Ann opowiadała o komputerze, który się zepsuł.

Trzeciego dnia Ann była tak spięta, że zwymyślała kogoś, kto wyrzucał śmieci na ulicy. Wrzeszczała jak przekupka. W domu bała się powrotu Kena. Oczywiście, Ken jak zwykle zapytał o Marka.

Co mogła powiedzieć? – Wygląda świetnie. Przybiera na wadze. Adapter był włączony. Mówiła przy muzyce, ale nagle coś się zacięło i raz po raz jękały się te same takty.

– Do cholery z tym stereo! – Wyłączyła adapter. Płyta zatrzymała się ze zgrzytnięciem. Ken się wzdrygnął.

– Ann...

– Przepraszam. Wiem, jakie to dla ciebie cenne – najcenniejsze na świecie... i te twoje rybki, i twój zestaw kuchenny i...

– Ann!

Zmitygowała się. Po chwili zapytała: – Myślisz, że prowadzimy nudne jałowe życie?

– Nie.

– Urządzamy, reperujemy, konserwujemy – ciągnęła – wertujemy katalog „Wszystko do mieszkań” zamiast czytać Tolstoja.

– To się nazywa budowanie domu rodzinnego – powiedział. – Budujemy dom. Już zbudowaliśmy.

– Viv uważa, że to jałowe i nudne. Wiem, że tak uważa. I że nie umiemy żyć. – Głos jej drżał. Nie cierpiała siebie, takiej zrzędnej.

Ken usiadł przy niej. – Posłuchaj...

Przerwała mu. – To dlatego nie może się zdobyć na oddanie go. Spojrzał ze zdumieniem. – Tak powiedziała?

– Nie, ale...

– Nasze życie jest nie gorsze niż ich. Już swoje ona dobrze _” zabałagała.

– Przez nas.

– Bzdura – ujął Ann za zwiotczalą rękę. – Weź pod uwagę jej stan.

– Biorę mój.
– Tak, ale ona dopiero co urodziła dziecko. Kobiety stają się wtedy dziwne.
Sarkastycznie Ann burknęła: – Wiesz ze swojego bogatego doświadczenia? – Jakże nie cierpiała siebie.
– Jest taka zdezorientowana... – zaczął.
– A czy wszystkich wokoło nie dezorientuje? Bawi się nami, ta sama dawna Viv, wykrada go ze szpitala...
– Zatelefonowała, kiedy przyjechała do domu.
Ann wrzasnęła: – Przestań jej bronić! Wiem, że ona dla ciebie ma nieodparty urok.
– Ann! – raptownie puścił jej rękę i wstał.
– Jest o wiele bardziej podniecająca niż ja...
– To już skończone!
– Ale chyba grubym nietaktem...
Znów chwycił ją za rękę. – Chodź – pociągnął ją, żeby wstała.
– Wychodzimy.
– Dokąd? – zapytała zdumiona.
– Na kolację. Byleby daleko stąd.

*

W tamten wieczór Ollie, jak zwykle, siedział w pubie „Piwosz” przy Kensington High Street. Przeważnie tutaj jadał kolacje; kiełbasa z puree ziemniaczanym smakowała jak w domu. Niezupełnie, ale owszem.

Wpatrywał się markotnie w szklanekę, gdy ktoś poklepał go po plecach. – Ze wszystkich barów – warknął głos iście Humphreya Bogarta – ze wszystkich miast, ze wszystkich światów w końcu musiałem trafić do twojego.

Ollie odwrócił się. – James! – Nie widział go od lat.

– Cześć, Meadows! – powiedział James. – Sam jak palec?

– Jestem z Metyl Streep, ale ona właśnie poszła do toalety. James westchnął. – No cóż. To tylko, dopóki nie wróci.

– Przysiadł się ze swoim piwem. – Zawsze potrafiłeś się koło nich zakręcić. Jeszcze w szkole. „Gdzie jest Meadows?” pytaliśmy. „Poszedł na dziwki”. Boże, jak ja ciebie nienawidziłem.

– Prawdę mówiąc, przeważnie uczyłem się dwunastotaktowego bluesa w pawilonie sportowym.

– Bujaj mnie, bujaj, chłoptasiu. Modliłem się, żebyś dostał trądziku. Bez skutku. – Wypił trochę piwa. Z biegiem lat większość mężczyzn nabiera ciała, James jednak chudł i się zsychał. No, ale był adwokatem. – I nic. Do ciebie życie się uśmiecha, stary.

– Tak myślisz? – zapytał Ollie.

– Podczas gdy *numero uno*... Czy wiesz, ile dziś jestem do tyłu? Czterdzieści siedem funtów szterlingów...

Ollie zapytał: – Jak się to stało?

– Ta nowa lalunia. Pracuje dla jednego z naszych aplikantów. No więc zabieram ją do Bistro Vino, kieszeni nie oszczędzam, trunczki przedtem, pudding potem, i to taki z płomieniami, różne cuda i co? Ona łapie ostatnią podziemną do Hornchurch. Gdzie, pytam, zwrot kosztów?

Ollie parsknął śmiechem – po raz pierwszy od wielu dni. Zdał sobie z tego sprawę.

– James, naprawdę cię kocham.

– Cieszę się, że chociaż ty.

– Jesteś taki nietknięty odbudową.

James westchnął. – Obecnie one nawet nie przepraszają. Kiedyś, dawno temu, można było liczyć przynajmniej na pomocanie w taksówce; człowiek wiedział, co i jak. Mówię ci, OHver, jestem duszą zbląkaną. – Wychylił szklankę do dna. – Znasz mój problem? Nie otrząsałem się, odkąd mnie odtrąciła twoja bezlitosna siostra. Spójrz na mnie. Masz pojęcie, dostać kosza, bo panna woli Europejską Radę Ekonomiczną! Czy nie jestem bardziej fascynujący niż Urząd Kontroli Rolnictwa?

Ollie śmiał się. Jak napisał? *Stukot wysokich obcasów kobiet, które mają dokąd pójść*. Wczoraj wieczorem skończył powieść.

– To się nazywa: dla kariery – powiedział i wypił swoje piwo.

– Ja ciebie rozumiem.

– Ty? Tobie zawsze dobrze. Chodziłeś na dziwki, kiedy były dziwki, a kiedy wymarły, odkryłeś, że miło być troskliwym, czolgającym się, zmywającym statki, wyrozumiałym cholernym mężem.

Zaległo milczenie. W końcu Ollie zapytał: – Myślisz, że dlaczego siedzę tutaj?

– Dlaczego?

– Oprzyj się wygodnie – powiedział Ollie – to ci opowiem.

*

Od wielu lat Ken i Ann tak się nie upili. Weszli do swojego hallu rozchichotani i chwiejni. Ken skierował Ann do saloniku i popychał ją, aż opadła w fotel. Zapalił światło.

Pomachała rękami. – Witaj w moim ładnym wyjąłowym salonie. Zwróć uwagę na dopasowane regały i ogólne wypucowanie.

– Hm... – Rozejrzał się. – Bardzo tu ładnie.

– Lubię, jak jest czyściutko – powiedziała przymykając oczy. Policzki jej płonęły. – Jestem do głębi skrupulatna. Otworzyła oczy szeroko. – A pan kto?

– Jestem facetem do głębi skrupulatnym, ale mam w zanadrzu gwałtowną, spontaniczną, nie natrętną męskość.

Ze zmarszczonymi brwiami zmierzyła go spojrzeniem od stóp do głów.

– Ale czy jesteś wart hinduskiej kolacji? Kosztowałeś mnie dwadzieścia funtów.

Łypnął oczami na sufit. – Boże święty, oto jedna z tych wyzwolonych. Co mam zrobić w zamian?

Wyprostowała nogi, zrzuciła pantofle. – Zobaczymy.

Popatrzył na nią, przechylając głowę. – Wie pani, to dziwne... ale jak pani na imię, bo nie

dosłyszałem.

– Jak panu na imię? – wycedziła.

– Doświadczenie mnie nauczyło... niepotrzebnie zresztą, bo jestem szczęśliwie żonaty i kocham serdecznie moją wspańiałą żonę, która mówiąc nawiasem, jest bardzo podobna do tej bezczelnej ladacznicy tutaj...

– Mów prędzej.

– Więc doświadczenie mnie nauczyło... – Podeszedł do fotela, usiadł na podłodze i zaczął ją głaskać po łydce. – Doświadczenie mnie nauczyło, że hinduskie kolacje prowadzą tylko do kłopotów. Tak było kiedyś... – Przesunął rękę na jej udo, podciągnął spódnicę. – Do mnóstwa kłopotów – szepnął.

*

Obecność dziecka nie będzie rozwiązaniem dla waszego małżeństwa, mniej więcej tak powiedziała Viv. Nazajutrz rano Ken leżał w łóżku. Zimowe słońce przenikało zasłony. To zależy od was dwojga.

Głowa go bolała, język miał suchy. Jak ujęła to któraś z dziewczyn w biurze? Ann mu to powtórzyła. *W ustach mam istną latrynę jaszczurek.* Uśmiechnąłby się, gdyby nie czuł się tak okropnie. Ta dziewczyna, jak jej tam, używa życia ze wszechmiar. Viv również.

Skulił się przy Ann, dłoń położył na jej biodrze. Okropny ten kac. Ann, kiedy się obudzi, też będzie tak się czuła.

*

W tamten weekend Ann trzymała się daleko od siostry. I Ken trzymał się z daleka. Powiedział, że nie powinni jej się naprzykrzać. Poza tym Ann jakoś przesądnie uznała, że jeśli zajmie się czymś innym. Viv wreszcie się zdecyduje.

Włożyła kombinezon i spędziła weekend na terenie przyszłego ośrodka ogrodniczego, malując szkielet świeżo wzniesionej oranżerii. Ken nastawił radio i malował razem z z nią. Pogwizdywał starą piosenkę Franka Ifielda „Wspominam cię – uuu!”. Było tak, jak w dawnych czasach, gdy urządzali swoje pierwsze mieszkanie, zanim dorobili się domu. Naiwnie męski, on wtedy uczynił z niej swego terminatora. Odżywiali się paczkami popijanymi herbatą. Teraz Ann pojęła, że szczęście jest dla niej równoznaczne z brakiem pieniędzy. Czyli, w istocie, z młodością.

Dla młodych wszystko jest możliwe. Przypomniała sobie, jak stała z Viv w innym ośrodku ogrodniczym, wiele miesięcy temu. Oglądały paczki nasion. *Ach, te zawrotne możliwości,* powiedziała Viv i uśmiechnęła się. Właśnie w tamtą niedzielę coś w głowie Viv zakiełkowało. Może gdyby nie poszły do ośrodka w tamtą niedzielę i gdyby Ann, siedząc tam na ławce, nie płakała, nie byłoby żadnego Marka.

Ann odłożyła pędzel. Tak bardzo tęskniła do tego niemowlątka, że zrobiło jej się słabo.

W środę Ann postanowiła wpaść do Viv z obiadem. Może mogłyby porozmawiać. O tej porze dnia, kiedy dziewczynek nie ma, będzie łatwiej.

Zastała u Viv położną. Odstawiając wagę, pani Archer zwróciła się do Ann: – Niech pani

powie siostrze, żeby się wzięła w garść i zdecydowała.

– O czym pani mówi?

– No przecież musi się zdecydować co do tego małego kawalera.

Serce Ann zamarło.

Viv powiedziała szybko: – Chodzi o jego imię.

Ann odetchnęła. Pani Archer wskazała jej Viv siedzącą na kanapie z Markiem w objęciach.

– Przy córkach też była taka trudna?

– Nie.

– Czy ona pani słucha czy też tak się sprzeciwia jak mnie? Ann podeszła i włączyła piecyk. Odpowiedziała: – Nie słucha.

– Ależ słucham! – powiedziała Viv.

– Nie słucha – powtórzyła Ann głośniej, zwracając do pani Archer. – Zawsze stawiała na swoim.

– Chciała powiedzieć, że upieram się jak osioł – rzuciła Viv lekko.

Ann, zarumieniona, wsunęła rybę do piecyka.

– Tyś to powiedziała.

– Zawsze ją tak irytuję – poinformowała Viv położną, która już wychodziła.

– Czy tylko irytujesz? – zapytała Ann. I od razu pomyślała: Czego ja chciałam od niej? Jej wesołego usposobienia, jej smukłych ud, miłości naszego taty. A teraz chcę jej syna. Znowu poczuła mdłości. Dodała: – Ona myśli, że mnie to trochę przeraża.

– Nie myślę tak! – zaprotestowała Viv.

– Osoby urocze... – zaczęła Ann i urwała. Viv i pani Archer patrzyły. – Osobom uroczym sporo uchodzi bezkarnie.

Zapanowała cisza.

– No – powiedziała po chwili pani Archer – w każdym razie ma pani uroczego synka. – Dała Viv kartę do lekarza. – Niech pani pamięta, jego badanie za sześć tygodni, a za trzy miesiące pierwsze potrójne szczepienie. Nie zapomni pani?

Viv potwierdziła: – Nie zapomnę.

Wstała i odprowadziła panią Archer do drzwi frontowych. Z bijącym sercem Ann czekała przy piecyku. Ale Viv wróciła tylko uprzejma jak zwykle.

Wskazała piecyk. – Nie powinnaś była tej ryby przynosić. I tracisz przerwę obiadową dla mnie i w ogóle.

– Tak chcę – powiedziała Ann. Nagle coś sobie uprzytomniła. – Do diabła, sałata. Zostawiłam w domu.

– Ja pojedę.

– Nie...

– Mam samochód – powiedziała Viv. – To jedna chwila. I muszę się trochę przewietrzyć. – Z kpiącym ukośnym uśmiechem podała Ann dziecko. – Może ty go nakarmisz? Butelka jest tam, już gotowa. Jeżeli on wszystkiego nie spałaszuje, nie przejmuj się.

Potem doleciał zgrzyt biegów, gdy samochód ruszał sprzed domu. Mark był cięższy niż

poprzednim razem. Ledwie jego matka odeszła, zaczął płakać.

Ann trzymała go mocno, przytulając twarz do jego buzi. – Nie płacz – szeptała – nie płacz.

*

Viv siedziała na stole w kuchni Ann. Plastikową torbę z sałatą zobaczyła od razu, ale jej nie ruszyła. Siedziała patrząc na gumowe rękawiczki Ann leżące na suszarce. Ten specjalny czerwony wieszak na ścierki! Dwa kubki, dwa talerzyki stały przy rękawiczkach na tych prętach – po śniadaniu ich dwojga. Było cicho, słyszała własny oddech. Kuchenny kalendarz wisiał na ścianie – wciąż jeszcze październik. Jakież to niepodobne do Ann nie przewrócić stronicy kalendarza.

Minuty tykały sekundami – a raczej na tym niemym kuchennym zegarze bezgłośnie mijały. Nie była tu od tygodni. Tego niemowlęcego wózka nigdzie nie widać. Pewnie postawili go w przybudówce, albo może pozbyli się go. Ale za drzwiami, opakowany celofanem, stał nowiuteńki wysoki fotelik.

Wzięła sałatę i wstała. Odruchowo otworzyła kredens. Obok sterty czystych ściereczek zobaczyła reklamówkę Boots. W reklamówce znalazła watę, maść cynkową i niemowlęcy szampon.

Powinna już wyjść. Ale usiadła znowu i chwyciła się za głowę.

*

Po obiedzie Ann wyszła i wtedy Viv pojechała samochodem do tego ośrodka ogrodniczego. Padał deszcz ze śniegiem i było bardzo zimno.

Ken stał w oranżerii, podłączał światło. Gdy powiedziała, że powinni możliwie najprędzej pojechać do magistratu, żeby zarejestrować Marka, wykrzyknął: – Już idę. – I wyłączył prąd.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Noc była burzliwa. Deszcz ze śniegiem zaciął w okna Viv, na suficie nad zlewem pojawiła się wilgotna plama. Nic nie wiedząc o kłopotach z konserwacją domostwa, dziecko spało w swoim koszyku. Viv patrzyła na powtórkę filmu *Starsky i Hatch* w telewizji. Od kilku dni nie mogła skupić się dostatecznie, żeby czytać.

Usłyszała dzwonek do drzwi. Spojrzała na dziecko, ale się nie obudziło. On dobrze sypiał, lepiej niż dziewczynki, kiedy były takie małe.

Na progu stał Ollie zmoknięty i zgięty we dwoje.

– Ulituj się nad biedakiem – wybełkotał – który w tej okrutnej betonowej dżungli szuka jakiegoś schronienia, jakiegoś zaułka albo zlodowaciałej bramy, gdzie mógłby znaleźć chwilę ciepła, pełgający ogień i skosztować dorsza z frytkami.

Weszli do pokoju dziennego.

– Nie rozpałam ognia – powiedziała Viv. Ollie się trząsł, czy może przesadzał.

– Jest miejsce w tej gospodzie? – zapytał. – To pora dobrej woli.

– Dopiero za trzy tygodnie. – Wskazała kanapę.

Usiadł. Ona usiadła na dywaniku przed kominkiem. Wyciągnął ku niej otwartą paczkę frytek. – Chcesz?

Potrząsnęła głową. – Zjadłam rybę z obiadu.

W płaszczu siedział na kanapie i jadł frytki. Zapytał: – Dobrze się czujesz?

Nie odpowiedziała. Patrzyła na czerwone pręty elektrycznego kominka, stojącego przed pustym paleniskiem, wymiecionym starannie przez jej siostrę.

– Powinnaś mieć pewność – powiedział. – Nie daj się zmusić, bo nigdy im nie wybaczysz.

Podniosła wzrok. – Nie jesteś głupi.

– Mam mnóstwo czasu na rozmyślanie. – Spojrzała na puste palenisko. Ann nawet wyczyściła kratę. W pobliżu śpiące dziecko westchnęło.

Jak cicho w tym pokoju. Nawet łóżko chomika nie skrzypi. Chomik uciekł tydzień temu. Dziewczynki zostawiały drzwi do ogrodu otwarte. Miały nadzieję, że może zechce wrócić do domu. Czyż mogłaby je rozczarować?

Zapytała: – Źle się zachowuję?

– Wszyscy źle się zachowujemy.

Po chwili podsunęła się i wyciągnęła rękę. – Dasz mi frytkę?

Dał. Oparła się o bok kanapy. Sięgnęła po swoją torebkę, coś wyjęła i podała mu. Pokazał swoje zatłuszczone ręce i potrząsnął głową, więc sama to przed nim przytrzymała tak, żeby mógł przeczytać. To była metryka.

– Zarejestrowany jako syn Kena – powiedziała. Ollie milczał.

– Daj jeszcze jedną – poprosiła.

Dał jej. – Czyli załatwione – powiedział bezbarwnie. Przytaknęła. Nie było nic więcej do powiedzenia. Pochylił się i nogą pchnął ku niej plastikową torbę.

- Chcesz przeczytać moją książkę?
- Czy jest o nas? Uśmiechnął się półgębkiem.
- Zmienionych w sztukę. – Zawahał się i przyznał: – Jestem taki samotny.

Po chwili ciszy Viv powiedziała: – Ja też.

Nagle ruszyła do niego. Uklękła przy nim, przycisnęła się do jego płaszcza. Guziki ją uwierały. Usiłował trzymać ręce z daleka, były tak bardzo zatłuszczone, ale ona je złapała. Zaczęła całować go w te zatłuszczone palce, w szyję, w ciepłe usta. Odwzajemnił się pocałunkiem drętwo.

*

Nazajutrz Ollie wprowadził się powrotem do swojego domu. Byli sobie bardzo bliscy – on i Viv, której nigdy jeszcze nie widział tak pogrążonej w smutku. Po raz pierwszy w ich małżeństwie Viv zaznaczała wyraźnie, że jest jej potrzebny. Nie ruszali się z domu przez cały prawie tydzień. Z niejasnym pragnieniem pocieszania się wzajemnie – chociaż mówili, że to dla dziewczynek – kupili magnetowid i wypożyczali filmy z czasów, gdy dziewczynki były małe, a im się nie chciało postarać o babysitter, żeby pójść do kina. Jedząc całe góry wędzonego kalafiorowego sera, oglądali *Chinatown* i *Tootsie*.

Viv chodziła po domu z dzieckiem przypasanym do piersi, czując jak mu bije serduszko. Już uzgodnili, że da Marka Fletcherom przed samym Bożym Narodzeniem. Powiedziała, że musi go przedtem poznać, i nikt nie próbował jej się sprzeciwić. Może tak lepiej: dać Marka w prezencie na Gwiazdkę, woleli nie pytać.

Coś by się przydało, jakaś domowa uroczystość. Ollie zaproponował zabawę gwiazdkową dla dziewczynek. Będzie to przyjemność dla nich. One po swojemu, niedbale, spazmatycznie przywiązały się do bobaska – zwłaszcza Rosie lubiła go trzymać, nieomal dusić w objęciach, niech więc przejście Marka z rąk do rąk, jak Ollie to ujął, odbędzie się hucznie i z balonami. Viv miała zawieźć dziecko do siostry po wyjściu gości.

Ale były przed nimi jeszcze dwa tygodnie. Najpierw sprawy, które należało załatwić. Umówili się na sobotnie południe. Dziewczynki wysłali do sąsiadów, słońce świeciło, dziecko wystawili do ogrodu. Łatwiej rozmawiać, kiedy w domu pusto. Viv, wierząc, że się odpręży, wykonywała na kanapie poporodowe ćwiczenia Jane Fondy, podczas gdy Ollie w fartuchu zamiatał podłogę.

– Niewiele uciechy ze sprzątania tego pokoju – zauważył – odkąd twoja siostra tu rozwija działalność.

– Nie martw się – powiedziała Viv. – Niedługo będzie znów tak jak zawsze.

Wytrząsnął śmietniczkę nad puszką do śmieci i zapytał: – Rzeczywiście wracamy do normalności?

– Mam nadzieję, że nie. Kto chce być normalny? Zabrzmiął dzwonek. Popatrzyli na siebie. – Kto z nich?

– Nie mam zdolności telepatycznych.

Zrobił do niej minę. – Och, ale masz nadzwyczajną intuicję. Podszedł do drzwi frontowych. Viv odłożyła książkę i usiadła. Weszli we troje: Ann, Ken i James.

– Spotkaliśmy się na progu – powiedział James. Uściskał Viv; nie widziała go od lat. – Cześć, wspaniała.

Ken stał z boku, patrząc na nich. James mówił tym gromkim głosem prosto ze szkoły prywatnej, jaki Ollie dawno już utracił. Ann podeszła do okna wychodzącego na ogród.

Viv powiedziała jej: – Wszystko w porządku. Jest dobrze opatulony.

– Ja wcale... – zaczęła Ann i urwała.

– Dzień dzisiaj taki piękny – dodała Viv.

Usiedli. Ollie otworzył lodówkę i podał wino. Później Viv miała sobie przypominać ten moment: słoneczny pokój, ich pięcioro. Ależ byliśmy głuptasami.

Ollie nalał Chablis. James wziął od niego butelkę i powąchał z uznaniem:

– Jesteś takim snobem co do win – powiedział Ollie. – Bankrutowałem, kiedy zapraszałem cię na kolację.

Ken podniósł do nosa swój kieliszek i też powąchał potakując: – Bardzo dobre. – Dzisiaj w swoim bardzo ciemnym garniturze i krawacie z nylonu wydawał się staromodny i pompatyczny. Tamci dwaj byli o wiele wyżsi od niego.

Viv pomyślała: on jest ojcem mojego dziecka. Pamiętała zapach jego skóry.

James odchrząknął, włożył okulary. Prawie nie zmienił się w ciągu tych wszystkich lat. No, ale nigdy nie był żonaty.

Ollie usiadł. – Jak wiecie, James jest prawnikiem i zechciał uprzejmie zbadać te sprawy dla nas.

James wyciągnął notatki. – To nie jest mój zakres, rozumiecie, zasięgnąłem jednak informacji. – Popatrzył na nich, mówił z powagą. – Spodziewam się, że wiecie, jakie to zawile. Jesteśmy w bardzo mętnej wodzie, doprawdy. Niezależnie od problemów uczuciowych. – Zwrócił się do Viv, przyglądając jej się znad okularów. – Teraz, kiedy już masz syna, czy jesteś absolutnie pewna, że chcesz z niego zrezygnować?

W ciszy, jaka nastąpiła, głośny był trzask zapalki. Ken zapalił papierosa.

Viv powiedziała: – Chyba tak.

James upił trochę wina. – No, powiedzmy, że tak. Dla celów tej rozmowy. Oczywiście, wiadomo wam, że w żadnym razie nie może być mowy o zastępczym urodzeniu dziecka. – Popatrzył na nich. Przytaknęli. – I zakładam, że żadne pieniądze nie przeszły z ręki do ręki. To nie jest pod żadnym względem transakcja handlowa, ani też nie było żadnej rekompensaty za utratę zarobków i tak dalej.

Viv powiedziała: – Nie, dopóki Ken nie dostanie rachunku ode mnie.

Wybałuszyli oczy.

– Tylko żartowałam.

Znów zrobiło się cicho. Po chwili James podjął: – Nikt z zawodowców... doktor, położna... nie wie o tym układzie? Odpowiedziała Ann.

– Nikt.

– Świetnie. – James zwrócił się do Kena. – Słyszałem, że pan jest zarejestrowany jako ojciec małego...

– Marka – powiedziała Viv.

– Marka. To jest pierwszy krok. – James zwrócił się do Viv. – No, jako matka nieślubnego dziecka masz wszelkie uprawnienia. Zdajesz sobie z tego sprawę? – Przytaknęła. – W tej szczególnej sytuacji są dwie możliwości. Możesz przyznać im opiekę *de facto*. To znaczy, że nie będą mieli żadnych legalnych praw. Rozumiesz?

Viv chciała rozumieć, ale myślała: James, kiedy ostatni raz go widziałam, siedział pijany na podłodze w naszej łazience i mamrotał coś o siostrze OHie’ego. Po przyjęciu dawno temu. Rosie właśnie się urodziła, Daisy nie istniała. Nie miała miejsca na tym świecie. Ile dzieci urodziło się od tamtego czasu?

Spróbowała się skoncentrować. Ollie zapytał: – Komu jeszcze wina? – Wstał i zaczął napełniać kieliszki.

James mówił: – Ken i Ann mogą wychowywać małego Marka, ale ty nadal w każdej chwili będziesz mogła wziąć go z powrotem.

Ollie nalał wina do kieliszka Viv. Ann zapytała: – W każdej chwili, kiedy ona zechce?

James potwierdził: – Czy też kiedy uzna, że tego chce dziecko. Może pokłócicie się o jego wykształcenie...

Ollie parsknął śmiechem.

– Albo przyłapiecie go na czytaniu Emil Blyton.

Nikt się nie roześmiał. James ciągnął dalej: – Czy też w razie rozwodu którejś ze stron, jeżeli zechcesz go wziąć... czy też jeżeli coś się stanie twoim dziewczynkom...

Viv zmartwiała. – Nie!

– Trzeba wszystko brać po uwagę – powiedział James. Ann zwróciła się do Viv. – Trzeba. – Nie tknęła swojego wina.

– Wszystko może się zdarzyć. – James przenosił wzrok z twarzy na twarz. – Uważacie, że oddanie pod opiekę nie będzie zadowalające?

W ciszy kolejno każde z nich przytaknęło.

– Więc jest ta druga możliwość. Ken i Ann mogą zgodnie z prawem adoptować Marka.

Znowu cisza.

Ostatecznie odezwał się Ken: – Plan był właśnie taki. – Zdusił niedopalek.

James zapytał: – Czy w pełni zdajecie sobie sprawę, co to oznacza? Wy wszyscy? Przez co będziecie musieli przejść?

– Powiedz nam – poprosił Ollie.

– Dziecko zgłoszone do adopcji będzie w rękach sądu. – James zwrócił się do Viv. – Już nie będzie twoje. I ogromnie ryzykujesz.

– Jak to? – zapytała.

– Sąd może zdecydować, że ani wy ani wy nie nadajecie się na rodziców. Pomyślałaś o tym?

Sekundy tykały. Viv pocila się w swoim dresie.

James mówił dalej. – To niewykluczone. A w razie jakiegokolwiek wzmianki o urodzeniu zastępczym to nawet jest pewne. – Zrobił pauzę. – No, niezależnie od tego ty, Ann i Ken w okresie próbnym będziecie rygorystycznie poddani badaniom. Będą wizyty w domu, mnóstwo pytań. Będziecie z tym dzieckiem pod obserwacją i sprawa na pewno nabierze

rozgłosu. Zdołacie stawić temu czoło?

Po chwili Ann odpowiedziała: – Tak.

Viv zapytała: – To znaczy *Gmatwanina miłości? Romans w Rodzinie?*

– Będziecie musieli – powiedział James – z pewnością odpowiadać na te wszystkie pytania. – Zwrócił się do Kena. – A ty, stary, będziesz musiał udawać, oczywiście, że z tą naszą śliczną Viv miałeś romans. – Uśmiechnął się. – Nie za duży ambaras mówić to kolegom?

Viv oświadczyła wyraźnie: – My rzeczywiście mieliśmy romans.

Nikt się nie odezwał. Ollie wstał i przyniósł z lodówki następną butelkę wina.

– No bo cóż to było innego? – dodała Viv. Z huknięciem Ollie odkorkował butelkę.

– I jeszcze jedno. – James popatrzył na niego i Viv. – To was dotyczy. I może wam się nie podobać.

Ollie napelnił Jamesowi kieliszek. – Strzelaj.

– Jeżeli chcecie adopcji tego dziecka, musicie być w separacji. Wszyscy wlepili oczy w Jamesa, który zdjął okulary, schował swoje notatki.

– Co?! – powiedział Ollie.

– Nie! – powiedziała Viv. Szybko spojrzała na Ollie'ego. Twarz mu zastygła.

James wyjaśnił: – Musicie mieszkać oddzielnie. I to nie na niby. bo mogą sprawdzić.

– Dlaczego? – zapytał Ollie bardzo głośno.

– Dlatego, że wtedy będziecie uznani za parę mniej nadającą się niż ta druga. – James wskazał Ann i Kena słuchających z twarzami bez wyrazu. – Większa szansa dla nich. Rozumiesz?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Ollie postawił walizkę na podłodze i usiadł. W mieszkaniu pachniało stęchlizną. Zza ściany dolatywała pokrętna muzyka Środkowego Wschodu: bezsensowna.

Westchnął i wszedł do kuchni. Zapomniał wynieść ostatni worek ze śmieciami, kiedy wychodził stąd tydzień temu. Teraz w kuchni cuchnęło. Rzucił swoje zakupy na stół i wrócił do saloniku.

Głupie jakieś trele. To się nazywa melodia, cholera jasna!

Gorąco oblało mu twarz. Przyniósł z kuchni szczotkę do zamiatania i walnął kijem w ścianę. Raz, drugi, trzeci, z całej siły.

– Cisza! – wrzasnął. Walnął jeszcze raz. Tapeta się rozerwała, ale czy to ważne. A muzyka nie ucichła.

Gdy Ann wróciła do domu, Ken w przybudówce stukał młotkiem. Zbijał szkielet lalczynego domku.

– Boże – powiedziała – Viv wpadnie w zachwyty – Bo co?

– Chcesz, żeby się bawił lalkami.

– To dla dziewczynek.

Weszła do kuchni. Wszedł za nią. – Jak on to przyjął?

– Pan Fowler? – Włączyła czajnik elektryczny. – Wydawał się stary i zrezygnowany, tym gorzej ja się czułam.

Ken zaczął myć ręce. – Czy powiedział, że nie powinien być w żadnym razie dawać takiego awansu kobiecie?

– Nawet pan Fowler nie odważył się tego powiedzieć.

– Jak mu to przedstawiłaś?

– Adoptujemy dziecko, przykro mi, że nie złożyłam wymówienia należycie, ale to jest takie nagłe, więc już nie wrócę po Bożym Narodzeniu. – Umilkła i wyłączyła czajnik. – Nie mam ochoty na herbatę.

Weszła do saloniku. Wszedł za nią.

– Jesteś pewna? – zapytał. – Tak ciężko zapracowane to stanowisko.

Nalała sherry sobie i jemu też.

– Chcę pracować u ciebie. – Uśmiechnęła się. – I dziecko będzie miało lepsze warunki. – Wyczerpana, usiadła w fotelu. – Będzie rósł pośród roślin.

Wyobraziła sobie Marka w wózku przy półkach z geranium. Ona obok będzie sprawdzała rachunki. Kasa będzie dzwięczała, Ken będzie obsługiwał klientów w długim ogonku. Przymknęła oczy, żeby to było bardziej rzeczywiste.

*

Viv przez cały wieczór ubierała z dziewczynkami choinkę. Usiłowała być wesoła. Znalazła zeszlóroczne bombki, przeważnie potłuczone, i aniołka na czubek choinki.

Teraz dziewczynki już leżały w łóżkach, a ona jak co rok nie potrafiła podłączyć lampek.

Śmieszne, ale w oczach miała kłujące łzy. W koszyku Mark zaczął skrzypiąco płakać.

Rozległ się dzwonek. Poszła i otworzyła drzwi frontowe. Przed drzwiami stał ktoś zamaskowany, w kombinezonie. Aż podskoczyła. – Pani Meadows? – usłyszała stłumiony głos. – Podobno jest zgnilizna w tworzywie pani małżeństwa. Przyszedłem ją usunąć.

To był Ollie. Zdjął maskę.

*

Viv weszła do pokoju dziennego i usiadła. – Boże.

– Ponieważ nie wolno mi się z tobą widywać – powiedział Ollie – przyszedłem w przebraniu.

– Przestraszyłeś mnie. – Podniosła z koszyka płaczące dziecko.

– Pożyczyłem to od dawnej firmy Kena. Oni tam remontują mieszkanie na parterze.

– Już myślałam, że zaczęła się wojna atomowa.

– Przepraszam. – Usiadł.

– Nie rób tego nigdy.

– Gdzie twoje poczucie humoru?

Odpowiedziała apatycznie: – Nie jestem w nastroju. – I zaczęła kołysać dziecko.

Rozgniewał się. – A ja. myślisz, że jak się czuję? Och, to cudownie być wypychanym w ten mróz ze względu na twoją cholerną siostrę i twojego niegdysiejszego kochanka. Widać z tego, gdzie jestem na twojej liście priorytetów. Jak gdybym sam nie wiedział, gdzie.

– Przykro mi.

– Wiesz, co wpakowałem do mojej powieści, której nie śmiałem ci podsunąć z prośbą, żebyś ją przeczytała?

– Ja nie śmiem jej przeczytać.

– Napisałem, że mężczyźni są zbyteczni.

– Nie są – powiedziała Viv.

Prychnął. – Podaj chociaż jeden konkretny powód.

– Umieją – odpowiedziała – podłączyć lampki na choince. Popatrzył na nią. po czym wstał i podszedł do choinki.

Przyciskając dziecko do piersi, patrzyła, jak on majstruje przy tych maleńkich żarówkach.

Sekundy tykały. I raptem światła się zapaliły: maleńkie kulki czerwone, żółte i błękitne. Pokój zajaśniał.

Ollie spojrzał na Viv. Usta mu drgały.

*

Ann i Ken zwykle mieli choinkę srebrzystą – małą choinkę, którą rozpakowywali co rok. wyciągniętą z szafy w łazience. Tym razem jednak Ken wrócił do domu z prawdziwym drzewkiem. Przecież nie będą się przejmować tym, że igły się sypią.

Światła się paliły, gdy Ken wszedł, ujął rękę Ann i ostemplował wierzch jej dłoni gumową pieczętką.

– Cześć, kolego dyrektorze – powiedział. Wskazał cyfrę nieco rozmazaną na jej skórze. –

Nasz numer VAT. Tych zarejestrowanych razem niechaj nikt, żaden mężczyzna nie rozdzieli.

Podniosła wzrok na niego. – Ani żadna kobieta.

Uśmiechnął się. – Ani dziecko.

*

Słyszycie, to aniołów chór Narodził się świata Król...

Ollie przepychał się w tłoku na Oxford Street, przyciskając do siebie paczkę. Była tak nieporęczna, że wbijała mu się pod pachę. Nie wiadomo skąd dolatywały konserwowe kolędy. Ludzie go szturchali. Na wystawie Selfridge'a stał olbrzymi Święty Mikołaj. Patrzył groźnie, jak gdyby upominał dzieci, kiwał głową, tak jak gdyby mówił: *a nie powiedziałem ci, szelmo?*

Ollie był przygnębiony. Wszystkie dawne rany znów się otworzyły pomiędzy nim i Viv – można by myśleć, że niczego się nie nauczyli. Po raz pierwszy w życiu lękał się Bożego Narodzenia.

Pokój na ziemi i łaska wszędy Bóg nam wybacza grzechy i błędy...

Człowiek wydaje mnóstwo pieniędzy, kiedy jest nieszczęśliwy. Może przynajmniej dziewczynki pocieszy wspaniały domek dla lalek. On i Viv sfuszerowali tworzenie swego domu, ale ich córki mogą się bawić w dom. Ten jest duży, w stylu osiemnastowiecznym, na razie rozmontowany, ale on już przedtem przyniósł i schował cały komplet maleńkich mebelków. Plus – temu nie zdołał się oprzeć – plastikowego bobaska w kołysce.

Gdybym był dobrym ojcem, sam zrobiłbym mebelki. Ken zrobiłby na pewno, dumał smętnie Ollie, ale ja nie tylko mam dwie lewe ręce, w dodatku przebywam na wygnaniu. Jestem do luftu. Nawet nie umiałem dobrze napisać powieści. Nic dziwnego, że z wydawnictwa nie ma odpowiedzi. Kto by chciał wydać takie wypociny pełne goryczy i bez szczęśliwego zakończenia?

Zbyt trudno planować pierwszy dzień świąt. Gdyby Viv nie zrezygnowała z tego dziecka, mógłby mieszkać w swoim domu, być na swoim miejscu. I zatrzymaliby tego chłopaczka i może wszystko byłoby znów normalne. *Kto chce być normalny?*, powiedziała Viv. Ollie chciał.

W końcu zdołał złapać taksówkę. Pojechał z powrotem do Kensington. do kamienicy, w której centralne ogrzewanie się zepsuło.

... I przybieżajcie narodził się Król Aniołów...

Gromadka dzieci stała przed stacją kolei podziemnej. Śpiewały cienkimi głosikami, jedno z nich grzechotało puszką. Chłopiec w pasiastym szaliku chichotał.

Ann się zatrzymała.

– Na co zbieracie?

– Na miłosierdzie – odpowiedział ten chłopiec bez namysłu. Inny chłopiec parsknął śmiechem.

Do diabła, pomyślała Ann. Dała im funta. Niech mają. Idąc dalej, przymknęła oczy, bo to przynosi szczęście. Jeszcze trzy dni; potrzebowała wszelkich szczęśliwych omenów.

*

– On nie odjedzie daleko – powiedziała Viv. – Tylko kawałeczek drogi.

Daisy siedziała na kanapie. Trzymała szamoczące się niemowlę. Minę miała skupioną, ostatnio nauczyła się zmuszać do płaczu.

– To jest wasz brat cioteczny – powiedziała Viv zdesperowana. – On naprawdę nie odjedzie daleko. – Zobaczyła w oczach Daisy lśnienie łez i pomyślała: wszyscy płaczą w tym domu.

– Co będzie na przyjęciu? – zapytała Daisy.

– Mówiłam wam. Będzie prawdziwy kłown, tak jak zawsze chciałyście. Taki. jakiego Tamsin miała na swoje urodziny. I żółw zrobiony z galaretki. Naprawdę będzie uciecha! – dodała Viv przymilnie.

Powiedziała sobie: Daisy trzyma małego, bo inaczej musiałyby czyścić klatkę chomika.

– Zawsze chciałyście kłowna – powtórzyła.

Rosie, czyszcząc klatkę, oświadczyła kategorycznie: – Ja chcę Marka.

– Nie chciej – powiedziała Viv.

– Ja chcę naszego brata – powiedziała Rosie.

– Dziękuję, Diz.

Ollie położył słuchawkę. Krew w nim krążyła szaleńczo. Gdyby poszedł do piwiarni, tak jak zamierzał, ominęłyby go te telefony.

Nogi się pod nim ugiwały, aż musiał usiąść.

Wydadzą mu tę książkę i po tylu miesiącach odnalazł ojca Ann.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

– Jestem za stary, Viv – powiedział Ollie nadmuchując balony. Usiadł, bo w głowie mu się kręciło.

Viv wyjmowała z lodówki galaretkę. – Mój żółw! Klapnął.

– Zawodzisz jako matka.

Viv już zaglądała pod starą gazetę. – Zginęły mi paluszki czekoladowe.

Ollie obejrzał nadmuchany balon. – Kiedyś balony były większe.

– Policjanci też – powiedziała, jeszcze szukając. – I byli młodszy. – Zrezygnowała z tych paluszków. – Chcę ich radości.

– Policjantów?

– Dziewczynek. Chcę, żeby ta zabawa była czymś specjalnym. Ollie na pół się uśmiechnął. – To w porządku.

Oboje byli dziwnie, prawie obłądnie ożywieni. Gdy Viv upuściła nóż, podskoczyli oboje. Ollie serpentyną opasał sobie czoło w stylu lat sześćdziesiątych. Viv umalowała usta pomadką karmazynową.

Gdyby nie śmiech, byłby płacz. Wymijali się, krzątając z ręcznikiem po pokoju.

– Przepraszam – powiedziała Viv, gdy otarła się o ramię Ollie'ego.

Potem zjawił się Ken ze swoim domkiem dla lalek. Obijał się o ściany sieni, ten domek był taki duży, dwurodzinny. I pomalował go bardzo starannie.

Domek Ollie'ego, całe szczęście, stał w jego gabinecie na górze. Czekał ozdobnie, gwiazdkowo zapakowany, ale Ollie już go pokazał Viv.

Oboje szeroko otwartymi oczami patrzyli na Kena.

– To tylko drobiazg na pamiątkę – powiedział. Viv, zaskoczona, obejrzała ten drobiazg.

– Śliczny!

Z jakiegoś powodu ten domek dla lalek przepelnił miarę. Viv i Ollie usiedli bezsilnie. Twarze mieli napięte od wysiłku, żeby się nie śmiać, czy też żeby się nie rozpłakać. Ken przypatrywał się im, osłupiały.

Douglas przyszedł po Ann. Była blada, wystrojona w dosyć galową kwiecistą suknię i miała białe pantofle na wysokich obcasach. Douglas rozejrzał się po saloniku; zobaczył oświetlone rybki, oświetloną choinkę. To musiało być pięć lat temu, a pamiętał to żywo, jak gdyby było wczoraj. Dzień ślubu Ann; oni dwoje w parterowym domku w Watford stanęli, wahając się, na progu. Za nimi pusty pokój. Ann trzymała go pod rękę. *Czy dobrze wyglądam?* zapytała. Odpowiedział zgodnie z prawdą: *Promiennie*. Bo w tamtym momencie byli sobie bliscy. Rzeczywiście ślub Ann cieszył go o wiele bardziej niż ślub Viv.

Powiedział teraz: – Przepuściła cię przez niezłą wyzmaczkę ta paniusia. Nie spieszyła się z decyzją.

Ann nie odpowiedziała.

Ciągnął: – Nie myśl, że nie zauważyłem.

– To dla niej strasznie trudna sprawa.

Przez sekundę milczał, po czym powiedział nieporadnie: – Zaslugujesz na to dziecko. Będiesz cudowną matką.

– Nie potrzebujesz tego mówić.

Odchrząknął. – Na pewno będziesz się spisywała lepiej, niż ja się spisywałem.

– Nie bądź niemądry.

Powiedział: – Jedziemy na tym samym wózku, ty i ja. Cudze piskłę w gnieździe.

– Nie byłeś taki zły. – Wzięła go pod rękę. – Chodźmy.

*

W pokoju dziennym towarzystwo już się rozkręciło. Na górę dolatywały piski i śmiechy dzieci – dziewięciorga ich i buczący głos BratkaPsubratka, kłowna. Ollie i Douglas stali w gabinecie. Douglas miał na głowie draczny tekturowy kapelusz.

– Przepraszam, że cię tu ściągnąłem – powiedział Ollie – ale za chwilę muszę wyjść, w ogóle nie powinienem być tutaj.

– Cudactwo to wszystko. – Douglas pokręcił głową. – Dawniej było o wiele łatwiej, kiedy świat jeszcze się nie skomputeryzował i władze nie zaczęły się wtrącać do cudzych spraw.

– Chcę cię o coś poprosić.

– W związku z tym dzieckiem?

– Nie – powiedział Ollie. – Chodzi o Ann. – Urwał na chwilę, wypił trochę wina. – Wytropiłem jej ojca.

Na dole rozbrzmiał śmiech. Viv zawołała: – Daisy. usiądź!

– Wytropiłeś... co? – zapytał Douglas.

– Diz, ten szef magazynu, poruszył swoje źródła... och, już przed miesiącami. Ktoś z gazety w Stockport trochę poszperał i... no, mam adres.

Douglas wybałuszył oczy. – Czy Ann wiedziała, że go szukasz?

Ollie potrząsnął głową. – Nawet miałem ją zapytać, czy nadal chce wiedzieć.

– Co on robi?

– Prowadzi sklepik z figielkami.

Douglas uśmiechnął się słabo. – W sam raz odpowiednio. Milczeli. Na dole buczał głos kłowna.

– Myślisz – zapytał Ollie – że nie powinienem wywoływać wilka z lasu?

Douglas zawahał się, po czym przytaknął.

*

W piwiarni było już świątecznie, z sufitu zwisały serpentyny. W tej piwiarni w Kensington, gdzie Ollie tak często wieczorem przesiadywał.

Przybył z zabawy córek, zdyszany.

– Przepraszam, że się spóźniłem – powiedział siadając.

– Nie szkodzi – powiedziała Norah. Jak wiele osób, okazała się zdumiewająco stara w porównaniu ze swoim głosem przez telefon. Była w dopasowanym kostiumie. – Bardzo nam miło wpisać pana na listę naszych autorów. – Uścisnęła mu rękę.

– Nie tak miło jak mnie, że zostaję wpisany. Uśmiechnęła się. – Już widzę te recenzje „Wrażliwość... udany debiut... w końcu mężczyzna, który pisze jak kobieta” – siedzieli przy barze. Zamówiła dwie whisky i znów odwróciła się do niego.

– Oliver, to powieść bardzo współczesna. I przerażająco szczerą. Czerwieniłam się, jak gdybym podsłuchiwała. – Wetknęła papierosa w cygarniczkę i zapaliła. – Co pana żona o tym myśli?

– Jest nauczycielką – powiedział Ollie. – Dała mi piątkę minus.

– Minus?

– Mówi, że i bez tego jestem dostatecznie niemożliwy. Norah uśmiechnęła się i wypuściła dym nozdrzami. Ollie pomyślał: jest pewna, że ja żartuję.

– Zamierzamy to wydać we wrześniu – powiedziała Norah.

– Jest w tym coś bardzo szczególnego, Ollie. Głos prawdy. Ollie pomyślał: za dwie godziny moja żona wsiądzie do samochodu, pojedzie do swojej siostry i da jej swojego syna.

Powiedział: – Och, nie. Gdyby to była prawda, nikt by nie uwierzył.

*

Po zabawie sprząтали w milczeniu: Douglas, Vera i Viv. Ken pojechał do domu. Ann na górze kładła dziewczynki do łóżek. Jedyne słowa, jakie padły, odnosiły się do plastikowego pierścioneczka znalezionej na herbatniku.

– Czyje to?

Panował nastrój cichego oczekiwania jak w Wigilię, chociaż Wigilia miała być nazajutrz, nastrój jakiegoś uświęcenia, które nadawało znaczenie nawet składaniu papierowych talerzy i wpychaniu ich do puszek na śmieci. Dziecko spało przy choince w różnokolorowym blasku lampek.

Ann długo siedziała u dziewczynek. Gdy zeszła na dół, Douglasa i Very już nie było.

Stała w drzwiach pokoju dzieciennego. Po chwili powiedziała: – Zawsze chciałam zobaczyć takiego kłowna.

Viv siedziała na kanapie. – Fantastyczny, prawda?

– Myśmy nie miały kłownów, kiedy byliśmy małe. Viv powiedziała: – Nie było na to pieniędzy. Zapanowała cisza. Dziecko westchnęło i poruszyło się we śnie.

Ann podjęła: – Ale tak źle nam się nie działo.

– Kiedy?

– Wtedy, gdy byliśmy małe.

Znów zapanowała cisza. Potem Viv oznajmiła: – Będę u ciebie za pół godziny.

– Na pewno nie chcesz, żeby to Ollie? Viv potrząsnęła głową.

Ann wahała się. W końcu kiwnęła głową i wyszła. Matka miała przyjść na pół godziny, żeby dziewczynki nie zostały same w czasie nieobecności Viv.

Gdy pastuszkowie chcieli prać swoje skarpetki w ciemną noc...

Gromada hałaśliwych młodych maklerów stała przy barze. Była godzina dziewiąta, twarze mieli mocno zarumienione. *siedząc przy balii w krag...*

Ollie sam siedział przy swoim stoliku. Godzina dziewiąta; ona powinna już tam być.

Kawalek mydła „Słońca Blask” spadł z nieba im do rąk.

Jego córki śpiewały coś takiego, ale w ich wykonaniu to brzmiało stosowniej.

Przyniósł sobie jeszcze jedno piwo. Szukając w kieszeni drobnych, natrafił na zgniecioną papierową czapkę z przyjęcia. Pomyślał: kiedy przychodzi co do czego, kto z nas jest rzeczywiście dorosły?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Samochód Viv stoi przed tym małym domem. Na drzwiach frontowych wisi wieniec z ostrokrzewu i świcidełek. Na parterze światła się palą; okna saloniku jaśniejają nie zasłonięte. Widać choinkę i trzy osoby: Viv, Kena i Ann, która trzyma w objęciach niemowlę.

Ann całuje Viv. Viv całuje Kena. Potem drzwi frontowe się otwierają i Viv wychodzi. Staje na stopniu schodków. Ann i Ken patrzą na nią, gdy idzie w poprzek chodnika i wsiada do samochodu. Ken podnosi rękę, na pół machając, ale ona tego nie widzi.

Siedząc w samochodzie Viv odwraca się i patrzy na tylne siedzenie. Coś zostało – szal dziecka. Przechyla się, bierze szal, otwiera drzwiczki i wysiada.

Ale drzwi frontowe są już zamknięte. W saloniku Ann z dzieckiem na ręku stoi przy kominku. Ken podchodzi do okna, żeby zasunąć zasłony.

Zasłony już zasunięte. Rodzina w komplecie. Viv wraca do samochodu i odjeżdża.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Dochodzi godzina dziesiąta. Buńczuczni maklerzy rozhałasowali się jeszcze bardziej i przyłączyło się do nich kilku im podobnych. Ollie też mógłby. Odebrał wychowanie odpowiednie po temu. Dopiero Viv go uratowała. Oni teraz zrobili się sprośni. Głośno mówili o dupach.

Ollie skończył jeść chrupki, zgniół pustą torebkę i położył w popielniczce. Kiedyś trzeba wrócić do mieszkania. A lada chwila będzie zanadto pijany, żeby tam trafić.

Gdy podniósł wzrok, stała nad nim Viv w płaszczu. Wydawała się bardzo zziębnięta.

Przesunął się. Usiadła obok niego. – Napijmy się – powiedziała.

Wstał, ale mówiła dalej, więc usiadł z powrotem.

– Jest Boże Narodzenie. Przebierz się w czerwoną pelerynę, przypraw sobie siwą brodę, stań się niemodnym patriarchą z fantazji, stań się mitem mojego odrodzenia.

Westchnął. – Życie byłoby prostsze, gdybyś nie potrafiła mnie rozśmieszać.

Przyniósł jej piwo. Wypjłiigcific^

KONIEC